

STEVE SHADEHEAD

ZEGAR

Tom pierwszy
Początek końca



ZEGAR



Steve Shadehead

ZEGAR

Tom pierwszy

Początek końca

Copyright © Steve Shadehead, 2025

Redakcja: Autor

Korekta: Autor

Projekt typograficzny, skład i lamowanie: Autor

Opracowanie graficzne okładki: Autor

Ilustracje zawarte w książce: Proces powstawania warstwy wizualnej łączył nowoczesne techniki generatywne z tradycyjnym warsztatem graficznym. Wygenerowane zarysy i szkice stanowiły jedynie fundament, na którym autor poprzez drobiazgową obróbkę i autorski retusz zbudował finalne obrazy oddające klimat tej opowieści.

Wydanie: I

Miejsce i data wydania: Gdynia, 2026

ISBN 978-83-979457-0-8

Książka jest objęta ochroną prawa autorskiego. Wszelkie udostępnianie osobom trzecim, upowszechnianie i upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

Wstęp.....	6
Prolog.....	8
Poniedziałek.....	11
Złodziej snów.....	12
Cień, głośniejszy od krzyku.....	27
Echo wśród Arkanów.....	46
Labirynt pamięci.....	80
Czas ruszył.....	99
Wtorek.....	124
Atrament przepowiedni.....	125
Kot i mysz.....	151
Fałszywe nazwisko.....	182
Odcisk.....	200
Chłodna obietnica.....	215
Środa.....	237
Pod cienką warstwą.....	238
Lux Aeterna Silentium.....	260
Bilet w jedną stronę.....	278
Jak lustrzane odbicie.....	301
Czwartek.....	328
Za lustrem.....	329
Przełamana prawda.....	345
Powracający koszmar.....	370
Posłowie.....	398
Echo drugiego tomu.....	400

Wstęp

Czasami pytania są ważniejsze niż odpowiedzi. Czasami to, co wydaje się prawdą, okazuje się jedynie iluzją. Precyzyjnie ułożoną układanką, której brakuje jednego kluczowego elementu.

Ta historia zaczyna się od jednej karty tarota, której nie powinno być. Od zegara, który wskazuje godzinę, ale nie czas. Od śmierci, która okazuje się bardziej początkiem niż końcem. To są pierwsze znaki. Subtelne szczeliny w podświadomości, a nawet zwiastuny czegoś, co wciąż pozostaje nienazwane.

To nie jest opowieść o bohaterach. Jeśli szukasz prostych odpowiedzi, nie znajdziesz ich tutaj. Nie ma jasnych podziałów na dobro i zło. Na tych, których trzeba ocalić i tych, którym pozostało tylko potępienie. Są to wybory. Decyzje podejmowane w mroku, wśród cieni, które tylko wydłużają się z każdym krokiem w stronę prawdy. Ślady prowadzą donikąd. Albo w miejsca, w które lepiej nie zaglądać. Jednak ciekawość jest jak trucizna. Raz zasiana w umyśle zaczyna rozrastać się bez kontroli. Niech to będzie ostrzeżenie. Albo zaproszenie. Wybór należy do Ciebie.

Czas. Wszyscy myślą, że jest linią. Początkiem i końcem, ścieżką, którą można podążać, ale to kłamstwo. Czas nie biegnie. Czas trwa. Nieubłagany, nieruchomy, a jednak wciąż wymykający się z rąk. Możemy go mierzyć, próbować oswoić, zamknąć w mechanizmach zegarów i kalendarzy, ale on nie poddaje się żadnym regułom. Zatrzymany w jednej chwili bywa wiecznością. Rozciągnięty w nieskończoność potrafi zniknąć w mgnieniu oka.

Zegar. Pozornie posłuszny, odmierza godziny, porządkuje chaos, daje iluzję kontroli, ale to tylko złudzenie. Wskazówki krążą w kółko, uwięzione w wiecznej pętli, która nie zna końca. Możemy patrzeć na nie, śledzić każdą sekundę, a mimo to nigdy nie dowiemy się, kiedy wybije ta ostatnia. Bo zegar mierzy czas, ale nie zna przyszłości.

Śmierć. Nie patrzy na zegary. Nie liczy dni ani minut. Nie przychodzi za wcześnie ani za późno, ale tylko wtedy, gdy uzna, że to właściwy moment. Nie ostrzega, nie czeka, nie tłumaczy. Jest cicha, niewidzialna, obecna w cieniu każdej sekundy. Możemy odwracać wzrok, oszukiwać się, że jeszcze nie pora, że wskazówki wciąż mają kilka okrążeń do pokonania, ale ona nie potrzebuje wskazówek.

Prolog

– Pierwsza. *Mag*. Cztery elementy, rzekoma władza, ale on nie ma kontroli. On tylko rozpaczliwie próbuje polatać to, co już pękło.

Palec sunie niżej, zostawiając na papierze niewidzialną smugę łęku.

– Druga. *Kochankowie*. Spleceni w uścisku, który przypomina duszenie. Cienie zamiast twarzy. Wybór, który od początku był tylko kłamstwem.

– Trzecia. *Rydwán*. Dwa konie szarpiące się w przeciwnych kierunkach. Nie ma zwycięstwa, detektywie. Jest tylko rozrywanie na strzępy w absolutnej pustce.

– Czwarta. *Sprawiedliwość*. Waga bez ciężaru. Równowaga trupa, który nie ma już nic do stracenia.

Przelykam ślinę, ale moje gardło to rura pełna pyłu. Morgana nie przestaje.

– Piąta. *Pustelnik*. Latarnia, która zamiast świecić, wsysa resztki światła. Ciemność, która nie daje wytchnienia.

Oddycham płytko. Każde jej słowo to kolejny kamień do worka, który mam uwiązany u szyi. Czuję, jak mój kręgosłup trzeszczy pod tym ciężarem.

– Szósta. *Koło Fortuny*. Obraca się w próżni. Karma utknęła na środku, w martwym punkcie, a los... los po prostu zamarzl.

Czuję, jak zaciskam dłoń w pięść, kiedy przechodzi do kolejnej.

– Siódma to *Śmierć*. Szkielet tańczy w kółko, ale koniec nie nadchodzi. Wieczna agonია.

– Ósma. *Wisielec*. Odwrócony, patrzący w dno piekła... Czas się zatrzymał, a on czeka na coś, co nigdy go nie wybawi.

– Dziewiąta. *Cesarzowa*. Ziemia jałowa, stłumiona, ale życie zgnilo

pod warstwą lodu. Płodność karmiąca się trupami.

– Dziesiąta. *Gwiazda*. Woda, która nie splywa, kisi się w korytach. Zatrzymana płonna nadzieja.

– Jedenasta. *Wieża*. Zniszczona, ale chaos niczego nie zmienia. Wieczny upadek, który nigdy nie kończy się uderzeniem o bruk.

– Dwunasta to *Głupiec* – syczy, a jej głos brzmi jak piach sypany na marmur. – Krok w przepaść. Nieświadomość bydlęcia prowadzonego na rzeź.

Jej palec zatrzymuje się na samym środku tarczy. Tam, gdzie farba pękła, tworząc czarną wyrwę.

– To... nie ma ruchu – szepcze, a w jej oczach widzę odbicie końca świata. – Wszystko jest zawieszone. A my nie wiemy, co się stanie, gdy pęknięcie pójdzie dalej... Coś już się zaczęło. Albo właśnie dobiega końca.

Skwierczenie świecy w rogu brzmi jak kroki kogoś, kto idzie po nas, pustym korytarzem. Cienie na ścianach pełzną powoli, leniwie, jakby miały całą wieczność na to, by nas osaczyć. Duchota oblepia skórę jak mokra folia. To powietrze nie służy do oddychania. Służy do duszenia. Kadzidlany smród, słodkawy i mdlący, wżera się w nozdrza jak zapach rozkładającego się mięsa.

Czego ja, kurwa, oczekiwałem? Że wyjdę stąd z adresem mordercy? Symbole, których nikt nie rozumie, i wariatka mówiąca zagadkami, sama przerażona tym, co widzi. To nie jest śledztwo. To oglądanie własnej egzekucji w zwolnionym tempie.



PONIEDZIAŁEK



Złodziej snów

Zerwanie ze snu to nie proces, to brutalny uraz. Jakby ktoś wrzucił cię nago do przerębla. Nagły, lodowaty szok, który wyciska powietrze z płuc i zostawia cię zdrętwiałego, z walącym sercem. To nie jest powolny powrót do rzeczywistości. To gwałtowne szarpnięcie za kołnierz prosto w objęcia egzystencjalnego bagna.

Zegar puszcza sprężynę, a czas rozlewa się po pokoju jak brudna woda, wnikając w szczeliny zardzewiałych trybów mojego życia, osiadając na przekładniach i łożyskach. Nic tu nie działa, ale też nic się nie zatrzymuje. Płynie dalej, dziko, obco i kompletnie obojętnie.

Nie ma łagodnego przejścia, jest tylko surowa chwila, w której świat wdiera się ze swoimi ostrymi krawędziami, rozcinając przestrzeń między snem a jawą.

Myśli są jak porwane kartki, rozedrgane, tańczące na wietrze. Serce bije szybko, nie nadążając za tym, co nadchodzi. Wyrwane z sennej hibernacji, nieprzygotowane na tę konfrontację. Ciężar snu przygniata kończyny, nie pozwala im się poruszyć. Ciało waży tonę, przykute do łóżka stagnacją, która dusi skuteczniej niż brak tlenu.

Otwieram oczy. Pierwsza sekunda to zaćmienie. Mętne kształty, cienie tańczące na suficie jak wyblakłe widma w świetle księżyca. Nie mam pojęcia, gdzie jestem i szczerze mówiąc, mało mnie to obchodzi.

Po chwili widzę rozmyte plamy światła z zewnątrz. Pulsują w rytm mojego oddechu. Wzrok, przyzwyczajony do ciemności, nie potrafi uchwycić wyraźniejszych zarysów, nie znajdując ostrości, która pozwoliłaby zrozumieć, co dzieje się wokół. Migotliwe smugi przesuwają się leniwie po ścianach, obnażając nędzę mojego otoczenia, odbite od czegoś, czego nie widzę. Lampa, neon, jakie to ma znaczenie?

Pozwalam sobie na bezruch, licząc, że noc nie skończyła się jeszcze, że mogę zawrócić do snu, ale wiem, że to niemożliwe.

Sięgam po telefon. Zegar pokazuje **2:07**. Dopiero teraz dociera do mnie, że ekran jest zbyt jasny, oślepia i razi, okrutnie wrywając mnie

z półsnu. Tnie ciemność jak odlamek szkła, wbijając się w zmęczony umysł. Ból rozrywa oczy. Mrugam, ale to nic nie pomaga. Obrazy pod powiekami wypalily się jak martwe negatywy. Białe wstęgi, nieruchome. Zamykam oczy, ale one wciąż tam są. Dyszę, walcząc o każdy wdech w tym pokoju przesiąkniętym dymem i starymi błędami.

Przecieram twarz, próbując zrzucić to zmęczenie, ale ono jest jak kamień u szyi... Nie chce odejść, nie pozwala. Moje ciało już się poddało. To nie wybór, to jest fakt. Nie walczę, bo i tak bym przegrał. Za dużo palę, za dużo piję, nie tylko kawy. Za mało powodów, by w ogóle wstać z łóżka.

Każda noc to ten sam nędzny scenariusz. Sen płytki jak kaluża po letnim deszczu, praca, która wysysa duszę, i stres krążący wokół mnie jak smród z popielniczki. Pomoc? Może i gdzieś jest, ale nie mam siły, tym bardziej ochoty po nią sięgać. Niech się wszystko sypie, niech świat płonie, byleby tylko dali mi spokój.

Przekręcam się na bok, czując pod policzkiem chłodną, lepką od potu poduszkę. Przykleja się do mnie jak wyrzut sumienia, który wdycham z każdym oddechem. Zmienię ją? Jasne. Kiedyś. Czyli nigdy.

Ulewa wali w parapet z uporem sadysty uczącego się grać na pianinie. To nie jest kojący szum, to irytujący rytm, który przypomina, że odpoczynek to luksus, na który mnie nie stać. Zegar na ścianie nie odmierza czasu, on go wyżera. Każde tyknięcie to kęs wyrwany z mojego życia. Zostaje coraz mniej, a ja nawet nie próbuję uciekać. Gdzieś w dole przejeżdża samochód, jego opony świszczą, dźwięk rozplywa się, mieszając z ciszą w wąskich uliczkach.

Wciągam wilgotne, ciepkie powietrze. Mieszkanie cuchnie przeszłością, która wżarła się w meble tak głęboko, że nie wywietrzy jej żaden przeciąg. Na stole stoi butelka whisky, przyklejona do blatu warstwą wyschniętego alkoholu. Stała się częścią tego miejsca. Obok niej pusta szklanka. Czeka na napełnienie, które nie zaspokoi naszych

pragnień. To jest stały element krajobrazu mojej wędrówki.

Trudno powiedzieć, która to noc. Może ta sama co wczoraj. Może żadna. Wlecze się jak zwierzę z rozerwanym gardłem, którego nikt nie miał odwagi dobić. Ta noc to mój prywatny **Styxs**, a ja jestem swoim własnym, pijanym przewoźnikiem. Popycham tę dziurawą łódź z jednego brzegu na drugi, modląc się w duchu, żeby w końcu zaczęła nabierać wody i poszła na dno.

Nagle telefon wibruje jak dzwon w oddali, który nie przestaje wzywać, rozbijając resztki samotności w drobny mak. Podnoszę go, mrużąc oczy przed blaskiem. Tym razem jestem gotowy.

Na ekranie wyświetla się Dean T. Harlow. Samo to nazwisko wywołuje u mnie odruch wymiotny zmieszany z rezygnacją. Uśmiecham się cynicznie. Mimo to odbieram.

– Wiesz, która godzina? – warczę.

– Czekaj... **2:40**. Idealna pora, żeby zacząć kolejny beznadziejny dzień – rzuca Dean.

Siadam, spuszczać nogi na podłogę. Zimno tnie stopy aż do kości, skurcz wędruje w górę kręgosłupa, prosto do karku. Ściągam palce, próbując uzyskać choćby chwilową ulgę, ale to nic nie daje. Mam wrażenie, że to coś więcej. Podłoga chce mnie odrzucić, powiedzieć, że nie jestem tu mile widziany.

Sięgam po papierosa, palce drżą na paczce. Potrzebuję chwili, żeby zebrać te resztki myśli, które jeszcze nie zdechły. Nie wiem, co czuję ani co dokładnie się dzieje, ale mam nadzieję, że dym pomoże mi na chwilę zapomnieć. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Zapalniczka leży na stole. Chwytam. *Pstryk*. Nic. *Pstryk*. Nadal nic. Patrę na nią z obrzydzeniem. Zawodzi w jedynym momencie, gdy jej potrzebuję. Kolejny ruch kciuka jest pozbawiony nadziei. Iskry sypią się na stół, przypominając dogasające gwiazdy w jakimś zapomnianym przez Boga sektorze galaktyki...

W końcu jest. Płomień. Chwiejny, nędzny, żółtawy... jedyne światło w tym grobowcu, który nazywam domem. Odbija się w moich oczach, wyciągając z mroku worki pod powiekami i zmarszczki, których jeszcze wczoraj tam nie było.

Zaciągam się, bardziej niż potrzebuję. Chciałbym, żeby ten jeden oddech mógł odwrócić wszystko, co mnie męczy. Ciepły dym wypełnia mnie szczelnie, wypierając resztki tlenu, który od rana smakuje porażką. Zatrzymuję go w sobie na moment, doświadczając tego, jak leniwie rozchodzi się po moim ciele.

– Masz szczęście, że nie spałem. A właściwie to pecha. – Moje słowa brzmią bardziej znużone niż zwykle. Wypowiadam je bez większego zaangażowania, bo i tak wiem, co zaraz usłyszę.

W tle brzęk szkła i ten bełkotliwy gwar ludzkich odpadów, świętujących kolejną noc, której udało im się nie zdechnąć.

– Słuchaj... – przebija się przez ten szum. Głos pełen desperacji, od której robi mi się niedobrze. – Wiem, że to nie jest twój problem, ale... możesz mnie odebrać?

Wypuszczam powoli dym przez nos; przypomina duszę opuszczającą moje ciało. Zawsze to samo. Niegdyś nawet mnie to bawiło. Teraz? Już tylko męczy.

Kiedys myślałem, że jestem wolny. Że ten cały syf, te noce bez końca i dni bez znaczenia to mój wybór. Gówno prawda. Teraz czuję się jak **Ikar**, który nie tylko spalił skrzydła, ale przeżył upadek i teraz musi gnić w tym bagnie z połamanymi nogami, patrząc na słońce, które ma go głęboko w dupie.

– Co, za dużo wczoraj? – pytam, choć odpowiedź nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia. W oddali słychać wycie syreny. Dźwięk, który nigdy nie zwiastuje niczego dobrego.

– Oszczędź mi kazań. Po prostu przyjeżdż. To nie tylko podwózka, mamy robotę.

Robota. Magiczne słowo, które zawsze oznacza, że ktoś inny będzie krwawił, a ja będę musiał to sprzątać. Wzrok wraca do butelki. Stoi tam jak oskarżyciel, który zna wszystkie moje słabe punkty. To moja **syrena**. Jej blask obiecuje ukojenie, a zapach wabi mnie do portu, który jest cmentarzem okrętów. Mam świadomość tego, że jej pieśń jest kłamstwem, mimo to i tak kieruję swoje żagle w jej stronę.

Wiem, co mnie czeka, choć nie mam najmniejszej ochoty na to, co się za chwilę wydarzy. Głowa pulsuje rytmem pogrzebowego bębna.

Świat nie czeka na moje gorzkie żale, on nawet nie zauważy, kiedy w końcu zniknę i to jest w tym wszystkim najbardziej cyniczne. Ta świadomość, że nawet moja autodestrukcja jest dla tego miasta kompletnie nieistotna.

– Przyjedziesz?

Wdech, wydech.

– Oczywiście. Harlow, wzór profesjonalizmu – mówię, i czuję, jak jad sam spływa mi po brodzie.

– O, proszę! Detektyw Laamesth'on w swoim typowym, moralizatorskim tonie.

Czekam, aż echo jego rechotu zdechnie w słuchawce. Zastanawiam się, ile litrów nienawiści do samego siebie musiał przechylić, zanim odważył się wybrać mój numer.

– Gdzie jesteś?

– W naszej ulubionej spelunie.

Point Ice. Świątynia beznadziei. To miejsce nigdy nie zasypia, bo boi się koszmarów. Nie zadaje pytań, nie ocenia. Wchodzisz tam jako człowiek, wychodzisz jako cień. Albo wcale nie wychodzisz.

Idę w stronę okna. Moje stopy mijają niedopalki. Małe, białe zwłoki moich wczorajszych decyzji. Podłoga skrzypi pod ciężarem moich błędów. Wycieraczka powoli wrasta w dechy, gnije w milczeniu, zbędna jak cała reszta tego śmietnika. Firanka zwisa w nieładzie, drży przy

każdym moim oddechu. Jest stara, pożółkła i sztywna, przypomina pergamin wykonany z ludzkiej skóry. Powietrze w pokoju jest nasyczone, naładowane dreszczem, który zwiastuje tylko kolejny upadek. Zasłona napina się jak struna w instrumencie tortur. Zaraz puści.

Osad na szybie to warstwa przeszłości, której żadna ilość deszczu już nie zmyje. Nie ma szans na oczyszczenie tego miejsca, bo i właściwie po co? To jest pamiątka po tych, którzy już odeszli, zostawiając swoje ślady w najbardziej nieoczywistych miejscach. W lewym dolnym rogu widać pajęczynę pęknięć. Zaczyna się od drobnej rysy jak blizna na umęczonym ciele. Mimo że nikt tego nie zauważy, ona tam jest. Czasem tylko na nie spojrzę, tak jak teraz, z chwilową ciekawością, zanim znowu skupię się na tym, co ważniejsze.

W odbiciu widzę wrak. Cienie pod oczami... są tak głębokie, że mogłyby służyć za groby. Zarost jest za długi, zaniedbany, nieistotny. To tylko kolejna warstwa maskująca to, co zostało ze środka.

Smugi deszczu na zewnątrz rozmywają miasto w dziwną bezkształtną masę. Budynek wystają z mgły jak połamane żebra gigantycznego trupa. Latarnie rzucają blask w próżnię. Świecą zjawom, bo żywych już tu nie ma. Miasto żuje nas wszystkich powoli, cierpliwie, aż w końcu wypluwa prosto w błoto, gdy tylko stracimy smak.

Za szkłem, gdzie wiatr tańczy wśród cieni, coś się porusza. Ruch jest nienaturalnie wolny, jakby czas tam, na zewnątrz, już dawno stanął w miejscu. Ktoś tam stoi. Wbijam wzrok w gęstą czernią, nie widzę nic, a jednak czuję to *spojrzenie*. Przebija się przez szybę jak igła, ociera się o moją skórę, zostawiając lodowaty ślad. Nie potrafię tego zignorować, choć bardzo bym chciał.

Odrywam wzrok. W końcu co mnie to obchodzi?

Kolejne widmo w mieście duchów.

Wracam do rozmowy.

– Kto by pomyślał – rzucam w próżnię, bo sarkazm to jedyne, co

jeszcze trzyma mnie w pionie.

– Dyżurny zadzwonił. Patrol dostał zgłoszenie. Zgadnij, kto wygrał główniany los na loterii?

– Cudowny poniedziałek...

Dean prycha. To cichy, rzeźący dźwięk, w którym nie ma ani grama prawdziwego rozbawienia. Tylko wspólna akceptacja tego bagna.

– Jak zwykle. Howard, pośpiesz się.

Połączenie zostaje przerwane. Żadnych pożegnań, żadnych życzeń powodzenia. W tym świecie nikt nie marnuje śliny na uprzejmości, skoro i tak za chwilę możemy spotkać się w kostnicy.

Zaciągam się ostatni raz, czując, jak toksyczna chmura pali mi krtań, po czym duszę niedopalek w przepelnionej popielniczce. Moje palce drżą. Nie wiem, czy to z braku snu, czy to organizm błaga o kolejną dawkę trucizny, mimo że język mam już drętwy od nikotyny.

Wciągam koszulę. Guziki mijają się z dziurkami, tworząc na piersi asymetryczną krzywdę, której nawet nie mam siły naprawić. Bawelna jest sztywna od potu i starego dymu. Nosi na sobie mapę wczorajszych upokorzeń, a może i tych sprzed tygodnia. Żelazko? Nie pamiętam, jak wygląda. Marynarkę narzucam tak, jakby była całunem. Stary, zużyty tweed, który kiedyś mógł uchodzić za elegancki. Teraz to tylko nasiąknięta odorem alkoholu szmata, kolejna rzecz na długiej liście spraw do załatwienia, które mam głęboko gdzieś.

Pistolet leży na stole, przywalony stosem makulatury. Czarny metal lśni złośliwie. Powinien być w kaburze, ale nic w moim życiu nie jest tam, gdzie być powinno. Buty są uwalone błotem, matowe i smutne. Pastowanie ich w pogodę taką jak ta to tylko strata czasu.

Zaciskam palce na kluczach. Wychodzę.

Zamek *klika* z nieprzyjemnym, suchym trzaskiem. Winda nie działa. Oczywiście, że nie. Działała tylko raz. Rok temu. Pamiętam ten

dzień. Wszedłem, nacisnąłem przycisk i zabrała mnie na dół. Teraz to tylko puste metalowe pudło.

Drzwi klatki schodowej wałą o futrynę, a echo niesie się po piętrach jak wystrzał. Zatrzymuję się. W powietrzu wisi nieprzyjemny wyziew stęchlizny i szczyn. To miejsce to zwłoki budynku, a ja jestem robakiem, który wije się w jego trzewiach. Stopnie uginają się pod moimi butami, nasiąknięte wilgocią. Mają konsystencję mokrej gąbki. Nie myślę o tym. Po prostu stawiam kroki. Noga za nogą. Bezduśnie. Jak zawsze.

Wychodzę na zewnątrz. Chłód uderza mnie w twarz, mroząc pot na karku. Biegnę przez ulice, brodząc w kałużach, które wyglądają jak plamy rozlanej ropy. Asfalt lśni w świetle latarni srebrzystym, chorym blaskiem. Włosy kleją się do czoła, a zimny pot łączy się z chłodem. Skóra paruje jak przy gorączce.

Na parkingu panuje grobowa cisza. Woda cieknie przez dziurawy dach, miarowo uderzając o betonowy pył. Moje kroki są ciche, gubią się w mroku, zanim zdążą wywołać jakiegokolwiek echo. Mijam kilka zaparkowanych samochodów. W większości są to starsze modele, niektóre z widocznymi oznakami upływającego czasu.

Mój Ford stoi tam, gdzie zawsze. Wyblakły od słońca, z tłustymi plamami oleju na karoserii. Widać, że przez lata przeszedł niejedną naprawę, ale mimo to odpala za pierwszym razem. Obok niego, na wprost, stoi *rudy* van. Jego logo to już tylko nieczytelne wspomnienie, zatarte przez czas, który nie ma litości. Rdza wykwita na masce jak gangrena, żre go od środka, zgrzytając przy każdym podmuchu wiatru. Korozja ma swoje tempo, powolne, metodyczne, nieuniknione.

Ten van to ja. Unieruchomiony, wrośnięty w ziemię, z silnikiem, który dawno zapomniał, jak brzmi życie. Jest okazem erozji, cierpliwie czekającym, aż czas dokończy to, co zaczął. Ona nie krzyczy, ona konsumuje, milimetr po milimetrze, aż nie zostanie z człowieka nic poza

sypiącym się wspomnieniem tego, kim był kiedyś. Historia, której nie da się już zmienić, rysuje się na jego powierzchni. Czeka już tylko na to, by stać się częścią tego miejsca.

Otwieram drzwi. Wnętrze wita mnie chłodem grobowca. Skórzane siedzenie jest lodowate, nieprzyjemne, jakby brzydziło się mojego dotyku. W środku unosi się odór przepalonego oleju i starego dymu, który wsiąkł w tapicerkę tak głęboko, że stał się jej elementem. Moja własna mobilna kadzielnica. Świątynia na kółkach dla kogoś, kto już dawno przestał wierzyć w jakiegokolwiek bóstwa.

Przekręcam kluczyk. Silnik rzeźi niskim, chrapliwym dźwiękiem, przynosząc drżenie z kierownicy prosto na moje dłonie. Radio budzi się do życia samo. Z głośników wylewa się stary rock. Wokalista ma głos przepity, zdarty do żywego mięsa, wymęczony tysiącami mil bezsensownych podróży. Brzmi jak krzyk wydzierający się z gardła pełnego żwiru, podszyty tą jedną, ledwo uchwytną nutą melancholii, która sprawia, że masz ochotę zjechać w przepaść.

Przez chwilę trwam w bezruchu. W kabinie robi się duszno, para osiada na szybach, odcinając mnie od świata. Deszcz bębni o dach parkingu, jakby chciał się przebić do środka i mnie utopić. Przesuwam dłonią po gębie. Myślę o kawie. Albo o czymś, co naprawdę uciszyłoby to dudnienie w czaszce.

Zamiast tego chwytam kierownicę tak mocno, że jej szorstka tekstura wrzyna mi się w palce. Wrzucam bieg. Silnik mruczy gniewnie, gotowy do kolejnej rundy w tym bagnie. Dociskam gaz. Koła miały mokry beton, opony piszczą w desperackiej walce o przyczepność. Ford szarpie, odnajduje opór asfaltu i wyrывa do przodu. Dźwięk obrotujących się kół miesza się z wyciem silnika, a w powietrzu zostaje tylko smród spalonej gumy i spalin.

Ulice są puste, wybebeszone z życia. Wszystko, co jeszcze oddycha, zaryglowało się w domach, ale Los Angeles nie śpi...

Czuwa, patrząc w ciemność swoimi ślepyimi, neonowymi oczami. Pusta przestrzeń drwi z nas wszystkich, a asfalt, który ledwo mieści własny ciężar, zdaje się istnieć tylko po to, by czekać na kolejną duszę. Światła rozlewają się na jezdni jak krew z rozbitego nosa. Czerwienie, żółcie, zielenie. Te kolory malują się na kałużach, tworząc zniekształcone, chore odbicia. To halucynacja wyjęta z koszmaru, ze wszystkiego, co zwykle bywa normalne.

Przy krawężniku stoi kobieta w długim czarnym płaszczu. Wygląda jak żalobnica, która zgubiła trumnę i teraz nie wie, kogo właściwie ma oplakiwać. Szarpie kołnierz, walcząc z wiatrem, który próbuje obdrzeć ją z ostatniej warstwy godności. Może czeka na kogoś, kto nie zdążył przed nocą, albo na kogoś, kto po prostu miał dość i nigdy nie zamierzał wrócić.

Mijam przystanek. Wzrok skupiam na bezdomnym, który skulił się pod jaskrawą reklamą wakacji na Malediwach. Wygląda jak wyrzucony na brzeg śmieć, którego ocean litości nigdy nie zechce przygarnąć. Jego oblicze, schowane w zniekształconym od brudu płaszczu, jest już tylko wspomnieniem człowieka. Na plakacie błękitne niebo i piasek tak czysty, że aż wulgarny. To nie jest reklama, to wyrok. Krople deszczu spływają po gładkim plastiku, zamazując ten tani raj, zmieniając go w gnijącą, turkusową ranę. Cholerna, bezczelna iluzja dla tych, którzy mają jeszcze dość naiwności, by wierzyć w *jutro*.

Czerwone światło. Zatrzymuję się, a silnik warczy cicho pod maską, jak pies przed atakiem. Wycieraczki tną szybko: *lewo, prawo, lewo, prawo*. Hipnotyczny rytm, który odlicza czas stojący w miejscu. Wodna zasłona zmienia świat w akwarelową plamę szarości, poprzecinaną nerwowymi blaskami neonów. Przez skrzyżowanie przemyka brudna taksówka, zostawiając po sobie smród spalin i mgły. Widać już tylko zarys maski, ściśniętej między nocną zmianą a snem. Twarzy, równie zmęczonej, jak ta, którą widziałem dziś rano w odbiciu.

Zielone światło. Wbijam bieg z satysfakcją. Moje auto rusza dalej, rozrywając tę mazistą plamę miasta, zostawiając skrzyżowanie za sobą. Muzyka nagle cichnie, a w radiu pojawia się znajomy komunikat:

„Uwaga. W związku z trwającym stanem wyjątkowym publikujemy raport ratusza: w Los Angeles trwa trzecia doba zjawiska całkowitego zaniku światła dziennego. Anomalna ciemność utrzymuje się mimo wcześniejszych prognoz, które zakładały ustąpienie fenomenu po czterdziestu ośmiu godzinach...”

Po trzech dniach te komunikaty to tylko szum. Godziny i minuty zlewają się w jedno, a ich gadanie stało się jedynie stałym elementem krajobrazu. Tak samo nudnym, jak ta cała pieprzona ciemność.

„Mieszkańcy są proszeni o zachowanie szczególnej ostrożności i unikanie przemieszczania się bez wyraźnej potrzeby. Transport publiczny oraz kluczowe usługi działają wyłącznie w trybie awaryjnym...”

Beznamiętne, puste zdania. Martwe słowa wyrzucone na ulicę.

„Ciemność najprawdopodobniej utrzyma się jeszcze przez kolejne cztery doby. Prognozy ekspertów wskazują na wysokie prawdopodobieństwo wystąpienia kolejnych, nieprzewidywalnych zjawisk atmosferycznych. Prosimy o zachowanie spokoju. Na drogach odnotowuje się stały wzrost liczby wypadków. Służby ostrzegają przed całkowitą utratą orientacji w terenie. Przypominamy: usługi medyczne i ratunkowe funkcjonują w trybie priorytetowym, jednak należy liczyć się ze znacznymi opóźnieniami. Pozostańcie w domach”

Znowu to samo. Głupie pierdolenie o fenomenach, jakby użycie mądrego słowa miało cokolwiek wyjaśnić. Nie potrafią doprecyzować zwykłej prognozy pogody, a każą nam wierzyć w te ich cztery doby.

Wzruszam ramionami. Ciemność, wypadki, ostrzeżenia.

Wszystko to samo każdego dnia.

Każdego cholernego, czarnego dnia.

Skrećam w boczną uliczkę, hamując przy krawężniku. Silnik gaśnie. Napis nad wejściem nieprzerwanie walczy: *czervenien, czerń, czerwien*. Światło przerywa mrok w nierównych, spazmatycznych pulsach jak ostrzeżenie. Wyraźne, ale niewyraźne zarazem.

Zaraz ten blask zgaśnie na dobre, zostawiając po sobie tylko nie-skończoną, tłustą czerń. Ten neon to fałszywa latarnia na gnojowisku nadziei. Nie wskazuje drogi do domu. On tylko oznacza punkt, w którym możesz utonąć w nieco bardziej luksusowej scenerii. Mruga do mnie porozumiewawczo jak pijana dziwka: *wejdź, tu mrok smakuje tak samo, tylko rachunek będzie wyższy*.

Przekraczam próg. Drzwi ustępują pod moim naciskiem, skrzypiąc głośno. Pierwszy oddech wchodzi do gardła, trudny do przelknięcia. Mętny, lepki, zostaje na długo. Duchota i gorycz, najpierw subtelne, po chwili wbijają się głębiej, wypełniają płuca jak czarna smoła, która nie zostawia miejsca na powietrze.

Panele pod nogami są porysowane i uwalone brudem, jakby regularnie przeciągano po nich zwłoki klientów, którzy zapomnieli zapłacić. Wszystko tu jest zużyte, wyplute przez czas, zniszczone latami absolutnej, bezlitosnej obojętności. Tanie lampy wiszące nad głowami rzucają blade światło, które ledwo rozjaśnia wnętrze, sprawiając, że wszystko zdaje się rozmyte. Stoliki matowe, pozbawione połysku.

Pod cienką warstwą kurzu można dostrzec ledwo czytelne, wypłowiałe napisy na ścianach. Nikt nawet nie zwraca uwagi na to, że ktoś wchodzi. Nie ma tu tłumu. Są tylko resztki.

W kącie siedzi dwóch robotników, których życie zmieliło i wypluło gdzieś po drodze. Ciemne dłonie, zniszczone przez pracę, przesuwają

karty, kładąc je na stół jednym, płynnym ruchem jak skazańcy odliczający dni do kolejnej apelacji.

Ktoś śpi przy stoliku obok. Głowa wbita w brudny blat, ciało sztywne jak pośmiertne stężenie. Oddech cichy, ledwo słyszalny, pełny zmęczenia, w którym nie ma nadziei. Skórzana kurtka zwinęła się kłębkim pod głową. Nikt nie patrzy, nikt się nie przejmuje. Jeśli jutro rano wyniosą go nogami do przodu, jedyną reakcją będzie narzekanie, że blokuje przejście.

Barman to wysoki, spocony kawał mięsa z twarzą pociętą licznymi zmarszczkami. Wyciera szklankę z furją godną **Syzyfa** w brudnym fartuchu. Ta szklanka nigdy nie będzie czysta, tak jak to miasto nigdy nie zmyje z siebie grzechu, ale on musi ją trzeć. Robi to, by nie zwariować od świadomości, że jego gład codziennie stacza się prosto do zlewu pełnego pomyj.

Jest i on. Dean. Siedzi przy barze nieruchomo, wrośnięty w blat jak rak w zdrową tkankę. Jego cień pelźnie po ścianie, tłusty i czarny, niemożliwy do zgubienia. Spojrzenie utkwiło w jednym punkcie, ale nie ma w nim nic, co mogłoby świadczyć o zaangażowaniu. Podnosi głowę, gdy podchodzi.

– Kurwa, czekanie na ciebie to jak powolne odliczanie do śmierci.

– Ciebie też miło widzieć. Ciesz się, że w ogóle jestem.

Siadam obok, palce stukają o blat; cicho, bez pośpiechu.

– Podwójna, z lodem – rzucam do barmana.

Mężczyzna kiwa głową, wystarczająco, by wszystko było jasne, potem odkłada swój *gład* gdzieś pod ladę. Kostki lodu strzelają w szklance jak drobne fajerwerki. Wypijam zawartość naraz. Bez namysłu, bez zastanowienia. Znika szybciej, niż zdążę mrugnąć.

– No dobra. To gdzie odbiór *nagrody*?

– Hotel **Crumenatic Rebuss**. Technicy już są na miejscu. Mercer dojedzie do nas.

Diana Mercer. Patolog. Królowa kostnicy, zawsze tam, gdzie krew jest jedynym dowodem istnienia. Tam, gdzie nadzieja wykrwawiła się dawno temu, a jedyne, co zostaje, to lodowate milczenie stalowego stołu. Nie mam złudzeń, to miejsce to kolejna stacja drogi krzyżowej, na której nikt nie zmartwychwstanie.

– To ten na przedmieściach?

– Tak. Ten, który od dawna powinien być zrównany z ziemią.

– Ofiara?

– Nie wiem. Albo nie pytałem.

Nic nowego. Ten sam, stary, śmierdzący cyrk.

– Gotowy? – pytam.

– Daj mi chwilę – prosi, a w jego głosie pobrzmiwa cień czegoś, co kiedyś było zmęczeniem, a teraz jest już tylko rezygnacją.

– Miałeś ich wystarczająco dużo.

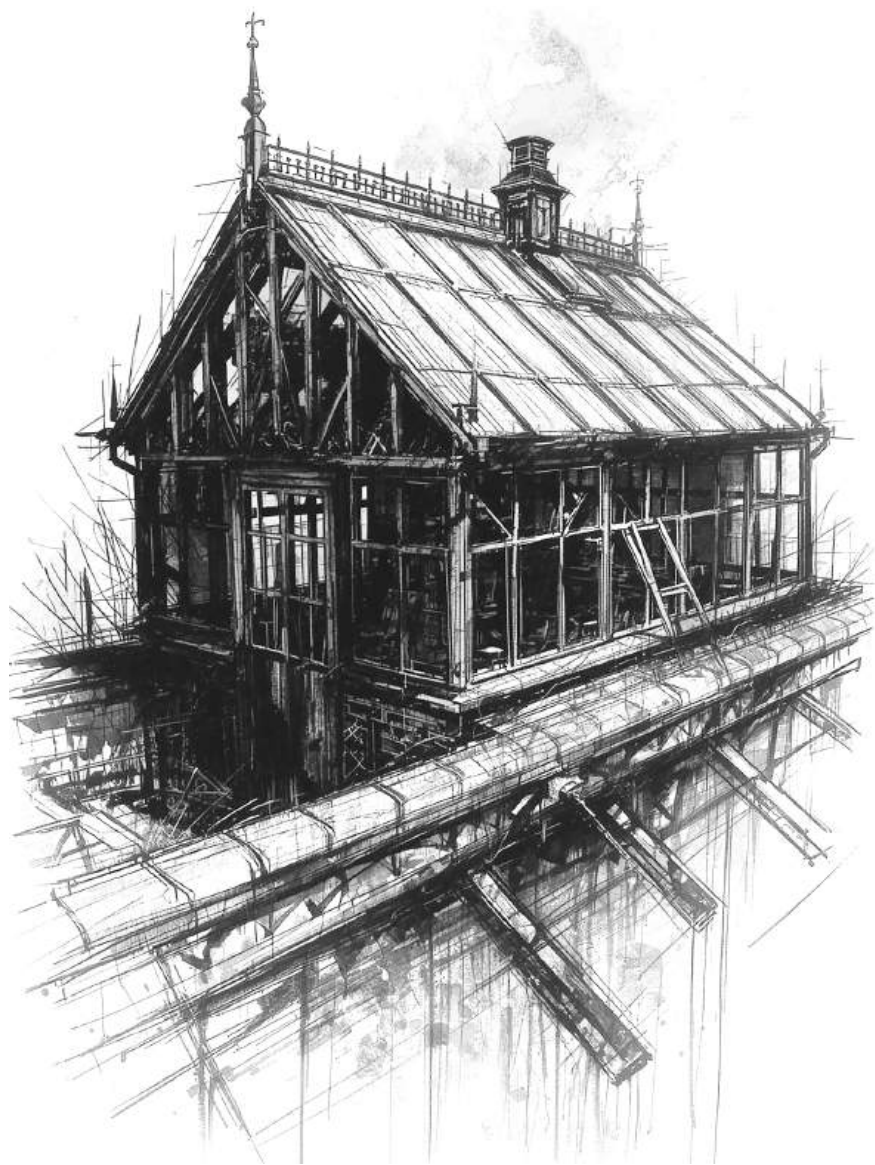
– Masz jeszcze sumienie, człowieku? – pyta, a ten żart brzmi jak suchy kaszel gruźlika.

– Miałem – odpowiadam cicho.

Dean uśmiecha się, ale to nie jest uśmiech. To tylko zewnętrzna reakcja, coś wyćwiczonego. Krzywy grymas, który nie mówi nic. Wolno dopija resztki, jakby ten ostatni łyk miał dla niego jakieś znaczenie. Wkładam papierosa do ust, zaciągając się na sucho; to tylko odruch.

Drzwi za nami zamykają się z cichym, tłumionym dźwiękiem.

Przedstawienie czas zacząć.



Cień, głośniejszy od krzyku

Opona ślizga się po krawężniku, wydając przerywany dźwięk. Silnik drga, dławi się, aż w końcu milknie. Przed nami architektoniczny trup, wokół którego krążą radiowozy. Stoją tam nieruchomo jak sępy, które czekają, aż padlina wystarczająco zmięknie, by dało się ją rozszarpać. Czerwone i niebieskie światła rzygają na mokry bruk, tańcząc w kałużach w rytm jakiejś chorej, zniekształconej melodii.

Zimny wiatr wbija się w skórę, zmuszając ciało do poddańczego skurczu. Deszcz nie tylko pada... on przeszywa to miasto, rozbijając się o mury z furją, jakby chciał zetrzeć Los Angeles z powierzchni ziemi. Beton pęka pod jego pięściami. Woda na ulicach nie ma już gdzie uciekać. Rynny rżęzą, zapchane brudem, a ścieki wylewają się na chodniki, niosąc ze sobą cały syf, który miasto próbowało ukryć w kanałach. Każdy krok to walka z błotnistą mazią, która wchodzi w buty, wchłania się w pory skóry, aż staje się częścią mnie. Czuję, jak ten brud powoli zastępuje moją krew.

Unoszę wzrok. To nie budynek, to monument porażki. Wciśnięty w wąską uliczkę, zdaje się podtrzymywany przez sąsiednie ruiny tylko po to, by proces gnicia był bardziej widowiskowy. Tynk odpada płatami, odsłaniając gołe, ceglane mięso murów. Rdzawe rynny zwisają niczym połamane, przegniłe kości, niezdolne już utrzymać ciężaru tego całego nieszczęścia. Okna? To tylko czarne, puste oczodoly. Wyglądają jakby mrok, który w nich mieszka, wypalił wszystko, co kiedykolwiek miało tam jakąś wartość.

Czas nie tylko odcisnął tu piętno. On tu dokonał egzekucji. Miejsca takie jak to nie mają już nic więcej do zaoferowania poza gorzką lekcją o tym, że nic nie trwa wiecznie.

Dean przelyka ślinę, a dźwięk ten wydaje mi się nienaturalnie głośny. Chowa dłonie głęboko w kieszeniach, jakby szukał tam resztek odwagi albo chociaż papierosa, który nie zamókł. Szuka czegokolwiek, co nie byłoby tą beznadzieją, która nas otacza. Daremny trud.

W tym mieście nie ma już bezpiecznych schronień.

– Pora zobaczyć, kto tym razem był na końcu kolejki – burczy.

W tej zgnilej ciemności nocne światła ledwie zarysowują kontury ulicy, jakby miasto wstydziło się pokazać swoją prawdziwą twarz. Przy wejściu gnije młody policjant. Mokra kurtka oblepiła go jak druga, nieszczęśliwa skóra, nasiąknięta nocą i cudzym pechem. Prostuje się na nasz widok, odruchowo, choć obaj wiemy, że hierarchia w tym miejscu nie istnieje... Jest tylko ten, który jeszcze stoi, i ten, który już leży. Chłopak ucieka myślami gdzieś daleko, pewnie do świata, w którym krew nie miesza się z deszczówką, ale nasze spojrzenie brutalnie ściąga go z powrotem.

– Dach – rzuca krótko, zanim zdąży splunąć pytaniem.

Zatrzymuję się przed drzwiami, przez chwilę tylko patrzę na nie. To chyba odruch, który nie ma sensu. Albo ma? Nie wiem. Poczulem coś... Zgrzyt w głowie, który zawsze pojawia się, gdy jesteś na drodze. To jak niewielka przerwa w oddechu, moment zawahania się, kiedy nie wiesz, czy to, co odczuwasz, to strach, czy tylko rutyna, która w końcu daje o sobie znać. Instynkt krzyczy: *zawróć!* Wyje jak syrena alarmowa w pustej fabryce. Słyszę to wyraźnie, niemal jak szum pojawiający się zawsze w takich chwilach, kiedy trzeba podjąć decyzję, ale wiem, że nie zawrócę. Nie zastanawiam się dlaczego. Może nie potrafię już uciekać od tych rzeczy. Może nawet nie chcę. Instynkt nie pije kawy o trzeciej w nocy, nie pali papierosów i nie wchodzi do tego zapomnianego miejsca... przynajmniej nie w tym momencie. Mój instynkt dawno zdechl, a ja tylko niosę jego zwłoki na plecach.

Hotel **Crumenatic Rebuss**. Nawet jego nazwa brzmi jak żart, ale nie taki, który śmieszy. Raczej ten, który przyprawia o ból głowy. Stary, zapomniany kawałek miasta, który kiedyś musiał mieć znaczenie, ale teraz symbolizuje tylko upadek.

Przekraczam próg i dostaję w twarz stęchlizną. Jest mokra, ciężka,

wgryza się w gardło jak kwas, który chce wypalić mi płuca od środka. Ściany chłoną wilgoć od dekad, a powietrze smakuje jak porażka doprowadzona kurzem, ale pod tym wszystkim czai się ten drugi zapach. Mdlący, słodkawy, jak wiązanki pogrzebowe rzucone do rowu. Ten swąd jest tu gospodarzem, wmurował się w fundamenty, stał się DNA tego miejsca. Chłonę go, mimo że nie chcę.

Ściany są pomarszczone, przypominają skórę starca. Każde rysa to blizna. Szary nalot czasu zalega na wszystkim: *meblach*, *okenach*, *moich dłoniach*. To grube warstwy brudu, ale nie na tyle, by nie wyczuć pod nimi każdej zmarszczki tej architektury zła.

W tym śliskim od nieczystości powietrza doświadczam, jak płuca robią się ociężałe, a oddech staje się płytszy.

Pod butami deski jęczą i zgrzytają niczym wyschnięte piszczyle pozabawione szpiku. Kiedy stawiam krok, jedna z nich wydaje z siebie przeciągły skowyt, jakby protestowała przeciwko samemu faktowi istnienia. Latarka w moich drżących rękach rzuca wąskie, chorowite światło, które ledwo radzi sobie z mrokiem.

Cienie pelzną po framugach, wspinają się na sufit jak chude, drańskie palce, które nie tyle zapraszają, ile chcą wciągnąć mnie w głąb tej padliny. Nie wskazują mi drogi. One przypominają, że każdy krok w głąb tego hotelu to krok w głąb wszystkiego, o czym wolalbym zapomnieć przy zimnej whisky w **Point Ice**. Mój własny cień odrywa się od ścian i rusza mi na spotkanie. To jedyny stary znajomy, jakiego tu mam, bo on, w przeciwieństwie do mnie, stąd pochodzi.

Chłodny dreszcz przenika mnie na wylot. To nie kwestia temperatury. To coś osiada tam, gdzie nic już nie grzeje, tam, gdzie dawno wygasło światło. Wchodzi pod skórę, owija się wokół kręgosłupa i zaciśka. Aż do kości.

Lada recepcyjna to tylko spróchniałe, porysowane ścierwo uginające się pod ciężarem zastygłego powietrza. Na blacie spoczywa stary

dzwonek. Zakurzony relikwiarz czasów, gdy ktoś tu jeszcze na kogoś czekał. Dotykam go, ale on milczy. Jest niepotrzebny jak sumienie w tym mieście.

Obok, na ścianie, dogorywa stary zegar wahadłowy. Wskazówki, sklezione brudem i obojętnością, zastygły w jednej, wiecznej chwili. Czas podciął sobie tu żyły i wykrwawił się na amen. Dziurawy dywan, niegdyś pewnie czerwony jak świeża krew, teraz jest tylko szarą, wytartą szmatą, która straciła nawet prawo do posiadania koloru.

– Cholera – wydusza z siebie Dean.

Zerkam w jego stronę.

– Co znowu?

– Nic. Tylko się zastanawiam, czy kiedykolwiek było tu życie.

– Kiedyś. Zanim Bóg o nim zapomniał.

Dean wzdycha, patrząc na tę ruinę, jakby szukał w niej sensu.

– A teraz?

– Teraz to tylko zapomniane śmieci. Przynajmniej nie musimy się martwić o świadków.

– No, to akurat cholerna prawda... – Uśmiecha się, ale w jego oczach nie ma radości. Jest tylko suchy, cyniczny blask człowieka, który widział już zbyt wiele końców świata.

Schody. Każdy stopień niesie echo, które odbija się od ścian jak wyrok. Mimo ciemności i ciszy czuć ten dziwny opór... coś, co próbuje mnie zatrzymać, a jednocześnie pcha mnie prosto w paszczę tego miejsca. Nie wiem, co to jest. Szczerze mówiąc, boję się, że za chwilę się dowiem.

Pierwsze piętro. Widać zarysy starych drzwi, które prowadzą do pomieszczeń, pamiętających czasy, gdy ktoś tu jeszcze mieszkał, żył. Teraz to tylko puste wnętrza. Patrząc na to wszystko, mam wrażenie, że ktoś po prostu zgasił światło i odszedł, zostawiając resztę na pożarcie.

Drugie piętro. Nagle *trząsk*, jakby coś pękło głęboko w trzewiach tej ruiny, dźwięk suchy i ostateczny jak lamana kość. Rozglądam się, ale widzę tylko zgłiszcza i cienie, które bawią się w chowanego z moją latarką. Z sufitu, przez dziurę ziejącą jak rana postrzałowa, spada gala-retowata kropla. Mikstura oleju, wody i brudu. Obserwuję, jak rozpryskuje się na posadzce, tworząc mały, czarny wszechświat. Każdy mój krok zostawia ślad w tym syfie. Pył unosi się, zagęszcza w powietrzu, a ja wciągam to cholerstwo do płuc, wiedząc, że ta martwota powoli osadza się we mnie na stałe.

Na ostatnim półpiętrze koczuje kolejny mundurowy. Jego sylwetka rozmywa się w mroku, jakby on sam stawał się częścią tego hotelu. Mundur nie chroni przed tym, co tu mieszka, przed tym beznadziejnym wyczekiwaniem na chwilę słabości. Patrzę na jego twarz, na każdą zmarszczkę wyrytą przez apatię. Jego oczy to dwa wypalone ekrany, nie ma w nich nadziei, nie ma pytań. On wie, że w tym mieście odpowiedzi i tak nikogo nie ratują.

– Wejście na dach? – pytam.

– Tam. – Wskazuje ręką kierunek. – Stara szklarnia.
Szklarnia na dachu tego grobowca. Świetny dowcip.

Kiwam głową bez słowa.

Docieramy do drzwi. Kieruję wzrok na metalową klamkę. Moja dłoń, mimo że niepewna, wyciąga się, ale nie od razu jej dotykam. Zatrzymuję się. To nie odruch. To coś innego, coś, czego nie potrafię wytłumaczyć.

– Będziesz się modlił do tych drzwi?

– Spieprzaj.

– Serio, wyglądasz, jakbyś zaraz miał ukłęknać i zacząć cmokać tę klamkę w oczekiwaniu na cud.

– Lepiej klęczeć, niż stać jak dureń i się gapić.

– Czyli teraz jestem durniem?

– Ty to powiedzialesz, nie ja.

– Pieprz się, Howard.

Gdy ją chwytam, chłód przenika moje palce. Dociskam. Napieram. Zawiasy odpowiadają oporem na moją siłę. Zgrzyt. Metalowe drzwi drgnęły o milimetr, a dźwięk zaczyna rezonować w powietrzu niczym paznokcie szorujące po tablicy.

– Śniadanie ci nie weszło, czy jak? – Dean parska, patrząc na moją walkę z materia.

– Zrób to sam, skoro jesteś taki cwany.

– Ledwo się trzymam, ale przynajmniej nie robię z siebie idioty.

– Ty byś ich nawet nie ruszył, gdybyś miał w ręku łaskę dynamitu.

Wdech, wydech. Przyciągam nogi i z całej siły dociskam barkiem. Zawiasy trzeszczą. Drzwi w końcu ustępują z lekkim, przeciągłym jękiem, który przypomina skowyt starego zwierzęcia, które zdało sobie sprawę, że każdy kolejny ruch tylko pogłębia ból. Wilgotny podmuch w końcu przynosi świeże powietrze, rozpraszając smród wewnątrz.

Krople bębnią w dach, pryskają na boki, nie dając chwili wytchnienia. Odgłos przypomina miliony drobnych uderzeń w te same miejsca, jak nieustający szept, który przenika przez skórę. Specjalistyczne światło lamp, zimne i surowe, ślizga się po powierzchni, odbijając się w wodnych zagłębieniach.

Technicy w tych swoich białych kombinezonach wyglądają jak stado sterylnych hien żerujących na trupie nocy. Ich zakapturzone sylwetki zlewają się z szarością mgły, a kroki, choć ciche, niosą się w tej pustce nienaturalnie glucho. Nie zważają na wodę spływającą im po twarzach i maskach. Cienie wokół nich tańczą nieśpiesznie. Każdy ich ruch zostawia plamę, która natychmiast znika pod kolejną kroplą.

Deszcz, ten bezlitosny skurwiol, zmywa ostatnie dowody z radosną obojętnością. W kałużach tonie prawda, a deszcz zaciera przeszłość

szybciej, niż oni są w stanie ją zabezpieczyć.

Na krawędzi dachu stoi szklarnia. To już nie miejsce. To skarlała narośl, pasożyt wrosnięty w ciało budynku. Wygląda jak pomnik postawiony ku czci rozkładu. Szkło to teraz matowa powierzchnia, pełna pęknięć. W niektórych miejscach cała szyba wyleciała, pozbawiając ją resztek sensu. Ta konstrukcja nie odbija światła, ona je pożera, dla-
wiąc każdy promień w swoich czarnych trzewiach. Korozja przeżarła metalowy szkielet do szpiku, zrastając się z budynkiem w jeden wielki, ropiejący strup. Spróbuj go zerwać, a cały ten pierdolnik rozpadnie ci się w rękach, odsłaniając tylko więcej ciemności.

Drzwi? Jeśli kiedyś w ogóle istniały, to teraz są tylko fantomowym bólem tego wejścia, powidokiem po świetle, który miał jeszcze jakieś zasady. Wchodzę w tę ruinę, a każdy mój krok to wyrok wydany na rozbite szkło. Chrząst pod butami brzmi jak mielenie zębów, a powietrze uderza w płuca fetorem starej ziemi i zaawansowanego gnicia. To zapach zapomnianych krypt, w których czas zdechl i nikt nie pofatygował się, by go pochować. Roślinność, dzika i chora, wpełzła na stoly, dusząc je w uścisku, który nie ma w sobie nic z życia. Te uschnięte pnącza wyglądają jak szponiaste dłonie potępieńców, zastygłe w ostatnim, desperackim geście.

W samym sercu tego rozkładu, na ołtarzu z przegnilej ziemi, leży ona... kobieta. Twarz zastygła w wyrazistym spokoju, jakby pozwoliła sobie na chwilowy odpoczynek. Grymas na jej ustach nie jest tym, który można zobaczyć na twarzy osoby zadowolonej, ale taki, który pozostaje po czymś, czego nie da się cofnąć, nie da się naprawić.

Uśmiech jest wykrzywiony, nienaturalny, nieproszony. Wypełniony udre-
ką, która z trudem próbuje udawać beztruskę. Przypomina porcelanową maskę **arlekina**. Gładką, nieruchomą, z tym przymuszonym uśmiechem, który można kupić w sklepie z koszmarami albo, co gor-
sza, w **gabinecie osobliwości**.

Skóra na policzkach jest gładka, pozbawiona każdego śladu życia. Spoczywa na niej blask, ale to nie polysk zdrowia. To efekt cudzych rąk, które zadbały o każdy szczegół. Włosy, czarne jak atrament, nie są już miękkie, ale sztywne, splecione z resztkami liści. Przylegają do skóry, nieruchome, jakby były połączone z nią na stałe. Każde pasmo wydaje się pozbawione lekkości, zbyt nieznaczące, by ktoś chciał się nimi zająć.

Sukienka? To po prostu czarna dziura w kształcie ubrania. Materiał nie tyle ją okrywa, ile pożera, zlewając się z mrokiem tak skutecznie, że ofiara wydaje się jedynie cieniem rzuconym przez samą śmierć na ten betonowy dół.

Jednak to nie sukienka przyciąga uwagę.

Nie włosy.

Nawet nie ta chora sceneria. To pozycja.

Sztwna, nienaturalna. Ułożona starannie, niemal teatralnie, jak postać w martwym przedstawieniu. Ręce rozłożone w taki sposób, który wyklucza przypadek. Palce ma lekko rozstawione, jakby jeszcze chwilę temu czegoś dotykały.

Głowa odchylona. Usta lekko uchylone. Brak w nich przestrzeni na dźwięk. Nie zdążyła krzyknąć, a może wcale tego nie chciała. Oczy są zamknięte, ale nie wyglądają na przekonane, że to już koniec. Ciało, choć martwe, zdaje się czekać. Na coś, czego nie będzie. Na moment, który już minął. Albo nigdy nie istniał. Zamrożone w swojej ostatniej chwili. Uwięzione w pamięci śmierci. Widziałem już sporo. Za dużo, by jeszcze wierzyć w jakikolwiek porządek tego świata. Ciała porzucone, zostawione w pośpiechu, zapomniane. Niektóre z nich rozczłonkowane, inne brutalnie zbezczeszczone, pozbawione wszystkiego, co mogłoby je kiedyś określać. Żadne z nich nie zachowało resztek godności. Śmierć jest brudna, chaotyczna. To coś, co nie daje się okiełznać. Jest jak burza, której nie sposób przewidzieć ani kontrolować.

Tylko że tu... w tej scenie coś nie pozwala mi spokojnie oddychać. To nie jest zbrodnia, to manifest. Coś, co nie ma w sobie przypadkowości ani zawirowania. Jest jak pokaz siły jak wyraz czyjejs władzy. Brakuje tu chaosu. Brakuje *tego* pośpiechu, który towarzyszy zwyklemu morderstwu. Jest tylko chłodna kalkulacja, gdzie każda czynność ma swoje miejsce i cel. I to milczenie, które wręcz wrzeszczy. Pochłania dźwięk, każdą emocję, tłumiąc wszystko wokół. Jakikolwiek szcegół, każda linia ciała, kąt, w którym leży, mówi o zdominowaniu.

To przestało być ciałem. Stało się elementem większego planu. Eksponatem, uwiecznionym w szklanej witrynie. Jest *dziełem sztuki*, które bezlitośnie obnaża prawdę, zmuszając nas do zrozumienia czegoś, czego jeszcze nie potrafimy nazwać.

Co to jest? Tego jeszcze nie wiem. To wiadomość, zaszyfrowana na martwej tkance, której nie wolno zignorować. Kobieta stała się nośnikiem, a śmierć zaledwie jednym z puzzli w układance, którą ktoś celowo rzucił nam pod nogi.

Nagle *klik*. Błysk flesza przecina ciemność, chwilowo wypełniając pomieszczenie blaskiem, a przez tę krótką chwilę wszystko staje się wyraźniejsze, bardziej rzeczywiste. Świat zostaje zalany białą pustką, tylko po to, by po chwili wrócić do swojego naturalnego stanu: *szarości, brudu i tej dusznej atmosfery*.

Kryminalistyk wkracza w swoje rytmy, porusza się szybkim, pewnym krokiem. Ręce działają na autopilocie, nie ma zaskoczenia, nie ma niepokoju. To jest praca, którą wykonuje codziennie. Każdy detal musi zostać uchwycony, każdy moment musi zostać zatrzymany na zdjęciu. *Klik*. I kolejny błysk. Na moment wszystko nabiera ostrości. Ciemna otchłań odsłania rąbek swojej tajemnicy, zaprasza, by poznać coś, czego nie powinno się nigdy zobaczyć. Zanim zdążę się oswoić, znów nadchodzi półmrok, wszystko znika w cieniu, a pytania pozostają bez odpowiedzi.

– Elegancko to wygląda – rzuca Parker. Ten facet ma empatię zarzewiałej puszkę po konserwach. Elegancja to ostatnie, co przychodzi mi na myśl.

– Mamy coś? – pytam.

Parker przesuwając językiem po zębach, wzdycha.

– Na razie? Nic konkretnego.

Czeka na kolejne pytanie, więc je zadaje.

– Tożsamość ustalona?

– Jeszcze nie. Nie miała przy sobie dokumentów ani telefonu.

– A miała cokolwiek?

– Kartę...

– Kredytową? – pytanie wychodzi automatycznie.

Kręci głową.

– Chyba do tarota. Trzymała ją w ręku.

Patrzy na mnie, czekając, aż coś powiem. Tylko że nic nie przychodzi mi do głowy.

– Co dokładnie?

– Coś z zegarem. Nie znam się na tym.

Coś mi zaczyna zgrzytać, jak mechanizm, który odmówił dalszej współpracy. Tarot to wróżby, mistyka, fatum. A to miejsce jest zupełnie inne. Tu nie ma miejsca na metafizykę ani sny.

– Kto ją znalazł?

Parker odkłada aparat, mierzy mnie spojrzeniem.

– Oficjalnie? Nikt.

Marszcząc czoło.

– Nikt?

– Ktoś zadzwonił na numer alarmowy, podał adres i powiedział, że zostawił ciało. Potem się rozłączył.

– *Zostawił?* – powtarzam wolno. – Jak paczkę?

– Tak podano w ogłoszeniu.

- Kto miałby tu przychodzić? Bezdomni? Złomiarze?
- W taką pogodę? Wątpię – odpowiada.
- Numer da się wysledzić w systemie?
- Wszystko jest w rejestrze.

Zaciskam szczękę. Ten, kto dzwonił, nie natknął się na ciało. On je tu przyniósł, a potem wyreżyserował cały ten chory spektakl.

– Jakież ślady? Odciski? Cokolwiek?

– Nic, co by nam pomogło. Żadnych oczywistych tropów. Ktoś po sobie posprzątał. Jeżeli chodzi o kartę, to będzie do waszej dyspozycji po południu, a nawet i szybciej.

Wracam wzrokiem do ofiary. To nie jest zwykła martwa twarz. To magnes, który wciąga mnie w głąb jej udreki. Przelykam ślinę, ale to nie pomaga. Gęstniejąca w gardle gula dusi mnie tak samo, jak ten wymuszony, porcelanowy uśmiech, który zdaje się drwić ze mnie.

Do szklarni wchodzi Mercer. Jej obecność jest jak fałszywy akord uderzony w samym środku **Eroiki Beethovena**, jakby heroiczny marsz nagle zamienił się w piskliwy, drwiący dźwięk.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom Mercer nie ma na sobie klasycznego, profesjonalnego stroju, który pasowałby do kogoś, kto zawodowo grzebie w cudzych nieszczęściach. Dziś wystąpiła w jasnej, zdecydowanie zbyt jasnej, sukience w kwiaty. Te pstrokate, wrzaskliwe kolory tną mrok szklarni jak zardzewiałe ostrze. To wzór, który pasuje do nadmorskiego kurortu, do słońca, którego nie widzieliśmy od kilku dni, a nie do tego cmentarza roślin i wilgotnego smrodu degeneracji. Mercer wygląda jak kolorowy defekt na czarno-białym zdjęciu z kostnicy. Ten widok nie przynosi nadziei, on tylko bardziej uwypukla totalny bezsens wszystkiego, w czym tkwimy po uszy.

Patrząc na nią, nigdy bym nie zgadł, że ta kobieta jest specjalistką od katalogowania zwłok. Ma w tym doświadczenie, owszem, ale jej strój krzyczy, że na chwilę zapomniała, w jakim bagnie przyszło nam

żyć. Do tego te włosy. Miedziana, rozczochrana szopa upięta byle jak, jakby przed chwilą wypadła z łóżka. Coś w tym wszystkim sprawia, że jej wygląd wydaje się maską, którą założyła, by ukryć swój prawdziwy stan. Gdy wchodzi, nie patrzy na ciało z typową obojętnością. Jej oczy są przesadnie szeroko otwarte. Stara się nie przeoczyć żadnego szczegółu. Mimo że zachowuje spokój, coś w jej postawie zdradza zmęczenie. Jej ramiona są lekko opuszczone, kroki powolne. W końcu laskawie zauważa naszą obecność, a jej wzrok mówi wyraźnie: *ny też tutaj? Jaka szkoda, że jeszcze nie leżycie obok niej.*

– Przepraszam was, jestem dziś wyjątkowo rozkojarzona. Najpierw skończyła mi się kawa, a potem przez pięć minut szukałam kluczy, które miałam w kieszeni.

Pauza, krótka i wymowna, podsuwa myśl, że jej słowa nie mają związku z tym, gdzie jesteśmy i co właśnie robimy. Głos ma techniczny, rutynowy, ale jej twarz mówi, że nie jest tu w pełni obecna.

Wzdycham, niby przypadkiem, ale Dean i tak obraca głowę. Nie rozumiem jednego: *jak ktoś taki może zajmować się zwłokami?* Czy ona ma jakieś poczucie wagi sytuacji? Czy to tylko moja frustracja? Ostatecznie to nie ma żadnego znaczenia, ale... coś w tym wszystkim mnie drażni. To chyba jej sposób bycia. Wszystko, co tu się dzieje, nie robi na niej żadnego wrażenia. Martwe ciała traktuje jak coś obcego, niewartego uwagi.

Dean, który nigdy nie potrafi usiedzieć spokojnie, wskazuje na nią palcem, a w jego głosie słychać już tę ironię, którą z siebie wydusza.

– I to ona ma ustalić, co się tu wydarzyło?

– No tak, bo pan Howard Laamesth'on i pan Dean Harlow zawsze zaczynają dzień od bycia chodzącymi ideałami – odgryza się Mercer, nawet na nas nie patrząc.

– Dla niej to już bez znaczenia – mówi Dean.

– Dlaczego?

– Bo to jej ostatnia noc.

– Mówisz to tak, jakbyś już ją sprzedał. Może w takim razie powinienam wprowadzić do swojej oferty zwłoki na wynos?

– Niezły biznes – rzuca z ironią.

Słucham tego festiwalu żenady i czuję, jak pulsuje mi skroń.

– A może skupcie się na tej, której naprawdę nie przeszkadza nasza obecność? – podsumowuję ostro, patrząc na nich oboje.

Mercer patrzy na nas z obojętnością godną kogoś, kto od lat jada śniadanie w towarzystwie otwartych klatek piersiowych. Mruczy coś pod nosem, cicho, niewyraźnie. Z początku myślę, że to przekleństwa rzucone pod naszym adresem, ale w jej słowach nie ma nienawiści. To szept beznamiętny i suchy jak szelest starego pergaminu. Zanim zdążę zapytać, mówi dalej:

– Dobrze, spójrzmy na naszą ofiarę – rzuca, jakby zapraszała nas do obejrzenia pękniętej rury w piwnicy.

Zaczyna naciągać lateksowe rękawiczki. Guma skrzypi złośliwie, rozrywając martwą szklarni. Każdy jej ruch jest tak powolny, wyprany z jakiegokolwiek napięcia. Mercer nie czuje ciężaru tej chwili, bo dla niej śmierć to tylko kolejna biurokratyczna przeszkoda w drodze do domu. Kuca obok ciała, a ja widzę w jej oczach czystą, krystaliczną apatię. Jednym, niemal brutalnym w swojej niedbalości ruchem odgarnia mokre włosy z twarzy dziewczyny. Jej palce suną po zimnej skórze szyi i nadgarstków z nudną pewnością siebie. Nie szuka życia... szuka jedynie potwierdzenia, że rozkład postępuje zgodnie z harmonogramem. Krzywi się na chwilę, ale to tylko lekki grymas, przypomina bardziej odruch niż reakcję na coś naprawdę nieprzyjemnego.

– Co ją zabiło? – wyduszam z siebie.

Wzdycha. Unosi brwi i patrzy na mnie, jakby tłumaczyła dziecku, że świat jest niesprawiedliwy. Celebryje to milczenie, karmiąc się moją narastającą irytacją.

– Nie wiem – odpowiada w końcu.

Może powinna spytać kart tarota, skoro już jesteśmy w klimacie.

– A można konkretniej? – warczę.

– Eh... Jeśli coś tu jest, nie zobaczymy tego gołym okiem.

Cudownie. Krążymy wokół tego samego.

– Czyli zabieracie ją na sekcję? – pytam, choć to pytanie retoryczne, puste jak obietnice ratusza.

– Nie ma innej opcji. Trzeba to sprawdzić dokładniej. Na razie nie mam pojęcia, co wam powiedzieć. Zgadywać też nie chcę.

Nie mam pojęcia... Smakuję te słowa w myślach. To nie jest tylko przyznanie się do niewiedzy. Bardziej odsunięcie problemu na później. Obserwuję Mercer, próbując wyczytać z niej cokolwiek. Tylko że nic tam nie ma. Tylko rutyna, ale może tak właśnie powinno być? Może przychodzi ten moment, kiedy albo się oddzielasz, albo zaczynasz śnić o tych twarzach po nocach. Jak ja...

– Ciepłowość nie jest twoją mocną stroną, co? – rzuca Dean, przeciągając się jak znudzony kot.

Mercer nie reaguje. Wciąga powietrze nosem, marszczy brwi. Coś w jej wyrazie twarzy się zmienia.

– Czujecie to? – jej głos jest cichy, ale pełen napięcia.

Patrzę na nią, nie do końca wiedząc, o co jej chodzi.

– Co?

Bierze kolejny wdech, smakując powietrze, próbując wyłowić z niego coś konkretnego.

– Słodki zapach... ale w ten zły sposób. Jak przejrzale owoce. Zepsuty miód. Coś, co kiedyś pachniało dobrze, ale teraz... gnije.

To zapach kłamstwa. Tak właśnie pachnie inscenizacja, kiedy usiłuje udawać tragedię.

Dean przewraca oczami, po czym teatralnie wciąga powietrze.

– Nic nie czuję – po chwili dodaje. – Może tego nie widzisz, ale

wszystko tutaj jest zgniłe. Co nie Parker?

Technik kiwa głową i wraca do robienia zdjęć.

Mercer przygryza wargę. Nie wygląda na przekonaną. Palce, schowane w lateksowych rękawiczkach, zaciskają się kurczowo, jakby starała się powstrzymać od sięgnięcia po coś, czego nie powinna dotykać.

– Może mi się wydawało – mruczy w końcu, ale w jej tonie nie ma cienia pewności.

Sięgam do kieszeni, wyciągam papierosa. Stukam nim w zapalniczkę. *Pstryk*. Płomień rzuca krótką, ciepłą smugę światła. Zaciągam się mocno. Dym gryzie w płuca. Nie kaszlę. Dawno przestałem.

– Co myślisz? – pytam Deana.

Rozgląda się leniwie po szklarni. Brudne szyby, splątane rośliny, cienie wciskające się w kąty jak obecność, która na coś czeka. I ona. Leży bez ruchu jak lalka starannie ustawiona przez kogoś, komu sprawiło to chorą satysfakcję.

– Zbyt przemyślane – odzywa się w końcu. – Ktoś chciał, żebyśmy znaleźli ją dokładnie w takim stanie.

– Tylko po co?

Dean ponownie spogląda w stronę ofiary, na jej rękę odchyloną jak w teatralnym geście.

– To wszystko jest... popieprzone – mówi cicho, z lekką niepewnością. – Wygląda na starannie zaplanowaną ekspozycję, a nie miejsce zbrodni.

Czuję, jak papieros parzy mnie w palcach. Strzepuję popiół, wypuszczam dym. Unosi się, rozmywa w półmroku.

– Myślisz, że to przedstawienie? – dopytuję.

Dean nie odrywa wzroku od ciała.

– Nikt tak nie umiera.

Ma rację. Śmierć to zazwyczaj belkot, krew i gówno, a nie symetria i estetyka. Ta poza, ta kompozycja... to jest chore. Czuję, jak kark mi

sztynwieje. Ten instynktowny sygnał, że właśnie wdepnęliśmy w coś, co nas przerośnie.

– Bez dwóch zdań – przyznaje, gasząc peta butem. – Ale na razie mamy więcej pytań niż odpowiedzi.

– Zbieramy się?

Nie protestuję. Nic tu nie gra. A jednak... ktoś to zaplanował.

Odwracamy się i ruszamy, a z każdym następnym krokiem szkło coraz głośniej zgrzyta pod butami.

Ponownie znajdujemy się w tym przeklętym hotelu. Gdzieś w połowie drogi coś słyszę. Zatrzymuję się na ułamek sekundy, nasłuchując dalszego planu. Wiatr? Szczur? A może coś innego? Dean nie reaguje. Może nie słyszał. Może nie chce słyszeć.

Idziemy dalej, mijając kolejne korytarze. Światło latarki nie nadąża. Rozlewa się po ścianach, po czym niknie w ciemności. Drzwi pokoi są zamknięte. Na ich powierzchni widać niezliczone ślady dłoni. Smugi kurzu, zarysowane dotykiem. Kiedyś ktoś je otwierał, ale teraz już nikt nie chce o nich pamiętać.

Idę pierwszy. Jeszcze chwila. Kilka sekund. Wreszcie odetchnę powietrzem, które nie śmierdzi stęchlizną i rozkładem. W holu zwalniam, wtedy kątem oka dostrzegam coś... Zegar. Ten, który wisiał tu, kiedy wchodziliśmy. Stary, przy recepcji. Dalej wisi, ale... wskazówki tym razem są ustawione na **2:07**. To coś znajomego, choć nie potrafię tego nazwać. To jak echo czegoś, co wydarzyło się dawno temu, ale wciąż nie pozwala o sobie zapomnieć.

– Howard? – głos Deana wrywa mnie z zamyślenia.

Mrugam.

– Co?

– Co jest? – Dean staje obok, nawet nie patrząc na zegar. – Stoisz tu i gapisz się w ścianę, jakbyś dostał udaru.

Nie komentuje. Wzruszam ramionami.

Wychodzimy. Drzwi zamykają się za nami cichym trzaskiem. Na moment zamykam oczy. Wciągam powietrze. Mimo oczekiwań to nie zmywa obrazu, który wciąż mam przed oczyma. W głowie kręci się ta scena: *ciało w szklarni, ręce ustawione jak rekwizyt, gotowe do odegrania swojej roli*. Wszystko zaplanowane, scenografia przygotowana. Teraz tylko czekać na sygnał. Powinienem już zacząć klaskać?

Wypuszczam dymiący oddech.

– Potrzebuję kawy – stwierdzam.

– Myślałem, że karmisz się cynizmem i złymi decyzjami – rzuca to z ironicznym uśmiechem, ale w jego głosie słychać zmęczenie.

– Tak. Do północy. Teraz potrzebuję kofeiny.

Strząsam krople z płaszcza. Dean idzie za mną.

– Myślisz, że coś znajdziemy o tej porze? – pyta.

– Może. W najgorszym razie zostaje stacja benzynowa.

– Świetnie. Paliwo rakietowe w plastikowym kubku.

Kofeina to jeden z moich olejów napędowych. Nie piję kawy dla jej gorzkiego smaku. Piję ją, żeby nakarmić silnik, który ledwo dycha pod żebrami, tylko po to, by przepchnąć ten *złom* przez kolejną noc, oszukać czas. Bo u mnie *jutro* zawsze nadchodzi zbyt wcześnie, zawsze smakując tak samo, jak *dzisiaj*.

Odwracam się do niego.

– Wolisz zostać i pić deszczówkę z dachu? – warczę na niego.

– Masz rację, te pomyje brzmią jak luksus.

Miasto patrzy we mnie tymi swoimi czarnymi ślepiami niczym cyklop. Nie ma w nim współczucia, jest tylko jedna szklana źrenica, która czeka, aż mrugnę pierwszy.

– Od trzech dni dzień omija to miasto szerokim łukiem – mówię.

– Mrok wszystko spowalnia. Ludzie zamykają sklepy wcześniej, inni siedzą w swoich czterech ścianach. Tylko stacje benzynowe udają, że nic się nie zmieniło.

– Boją się tak samo, ale ktoś musi sprzedawać to cholerne *palivo*.

Siadamy w samochodzie. Silnik budzi się do życia. Wypełnia mrok monotonnym pomrukiem, który staje się tłem dla ciszy między nami.

Odjeżdżamy, zostawiając za sobą zniszczoną sylwetkę hotelu oraz puste okna, które teraz przypominają setki martwych oczu. Stary parking, zarośnięty chwastami, które walczą o ostatni centymetr kruszącego się betonu, powoli niknie w skondensowanej mgle.

Gdy po raz ostatni spoglądam w lusterko, martwy szkielet **Crumenatic Rebuss** migocze w czerwieni światel stopu. Półmrok wylewający się z wnętrza budynku nie zostaje jednak w tyle... Zdaje się pełznąć za nami po szosie, jakby to miejsce nie było już tylko budowlą, lecz głodnym organizmem, który właśnie wypuścił nas ze swoich łap tylko po to, by rozpocząć **polowanie na czarownice**.

Przez ułamek sekundy widzę w jednym z okien na piętrze, tam, gdzie nie powinno być już nikogo, bladą, nienaturalnie długą dłoń.

Unosi się powoli, z namaszczeniem, jakby знаła wagę gestu lepiej niż my jego konsekwencje. Palce są zbyt cienkie, zbyt spokojne, nie należą do ciała, które wciąż podlega prawom ciepła i krwi.

W tym krótkim ruchu jest coś obrzędowego, jak znak dany tym, którzy zostali już wybrani. Powietrze twardnieje, a milczenie zapada tak głęboko, że aż bolą uszy.

To nie jest ostrzeżenie.

To błogosławieństwo naszej drogi do piekła.

Drogi bez powrotu.



Echo wśród Arkanów

Miasto w zawieszeniu, między snem a śmiercią. Neony pulsują jak powolne uderzenia serca, rozmyte przez wodne zawirowania. Kolorowe światła odbijają się w kałużach, migoczą, drżą w rytmie mijających samochodów. Kilka sylwetek przemyka pod parasolami. Ostatnie nocne autobusy toczą się ospale, polykane przez głębię czerni. Okna odbijają twarze ludzi, którzy nie śpią, nie odpoczywają, tylko przemieszczają się bez celu.

Mijamy zamknięte bary, z oknami przybrudzonymi kurzem, gdzie plastikowe krzesła wciąż stoją nieruchomo po ostatnich bywalcach. Przygaszone witryny sklepów z niedbale przyklejonymi kartkami z napisem *zamknięte*. Jedne tylko na noc, inne na zawsze. Punkty usługowe, których nikt już nie potrzebuje. Wypłowiałe godziny otwarcia zapisane na taśmach, których klej dawno stracił siłę. Niektóre z tych miejsc są martwe od dawna, ale wciąż mają nadzieję, że ktoś do nich jeszcze wróci.

Dean w milczeniu bębni palcami o kolano. Równomiernie, mechanicznie. W głośnikach radio szepcze coś o nadchodzącym arktycznym froncie, ale przecież zimno już tu jest.

– Nic tu nie ma.

– Może coś znajdziemy dalej? – rzucam.

– Ostatnia stacja wyglądała, jakby ją zamknęli razem z końcem świata. – Dean przeciera twarz dłonią. – **Banner** jest za rogiem.

Patrzę na niego z powątpiewaniem.

– Serio? **Banner**? Tam jeszcze coś działa?

– Chyba że masz lepszy pomysł?

Nie mam.

Zjeżdżam na poboczne, gaszę silnik. Przez chwilę siedzę bez ruchu, ręka nadal na kluczyku, palce spięte.

Wdech, wydech.

Dean pierwszy otwiera drzwi. Chłód przenika do środka, wciskając

się w zakamarki ubrań, zderzając się z resztkami ciepła, które nagromadziło się w aucie. Mruczy coś pod nosem. Nie jestem w stanie stwierdzić, czy to przekleństwo, czy tylko westchnienie zmęczenia.

Wychodzę za nim na ten zaduch. Pogoda na zewnątrz tylko udaje, że odpuszcza. Teraz po prostu zmienia taktykę, zamieniając powietrze w mokrą szmatę, którą ktoś wciska mi do gardła. Ulica wydaje się pusta, ale to też złudzenie. Gdzieś w oddali echo kroków, szum silnika. Podmuch wiatru uderza nagle, szarpie ulotkami przyklejonymi do tablicy ogłoszeń. Fruną jak wyrwane strony z dawno zamkniętej historii. Wirują przez krótki moment, zanim opadną na ziemię, rozmoczone, bezwartościowe.

Podnoszę głowę. **Great Ten Banner.** Nazwa tak samo pretensjonalna, jak cała ta dzielnica, która od trzech dni udaje, że brak słońca to tylko przejściowa awaria, a nie wyrok. Światło szyldu drży w ciemności, błękitny poblask rozlewa się po chodniku, koślawiąc cienie. Nie muszę widzieć reszty. Wiem, gdzie jesteśmy.

Drzwi otwierają się z lekkim oporem, zawiasy wydają się zbyt zmęczone, by działać bez protestu. Mały dzwoneczek brzęczy krótko jak system alarmowy w kostnicy. Ciepło otula nas od razu. Lepka fala, która przykleja się do skóry. Pachnie jedzeniem, ale nie tym świeżym. To zapach tłuszczu wchłoniętego w ściany, przypalonej kawy, której zapach kojarzy się bardziej z warsztatem samochodowym niż z kuchnią. Coś jeszcze. Nuta trudna do uchwycenia, niemal niepokojąca. Pleśń? Nie jestem pewny, czy chcę znać prawdę. Z głośników wycieka coś, co udaje muzykę. To nie jest jazz. To dźwięk rozpadającej się nadziei puszczonej w pętlę.

Za ladą stoi kelnerka. Wygląda, jakby ktoś ją tu postawił dziesięć lat temu i zapomniał wyłączyć. Opiera się o blat tak sztywno, jakby jej kręgosłup już dawno zamienił się w zardzewiały pręt. Twarz ma kolor i fakturę tynku w publicznym szalecie. Lakier na paznokciach jest od

dawna odprysnięty, a fartuch dawno już przestał być śnieżnobiały. Gapi się gdzieś w przestrzeń, ignorując nas z taką pasją, że niemal czuć jej pogardę do wszystkiego, co jeszcze ma tętno. Patrzę na zegar. **5:11**. Sekundnik drga, bije głową w mur, próbuje przeskoczyć na **5:12** i przegrywa tę walkę co każdą sekundę, jakby czas, podobnie jak krew w jej żyłach, całkowicie zakrzepł.

Głęboko w trzewiach lokalu, gdzie światło jarzeniówek ledwo dociera, ktoś siedzi pochylony. Dłonie oplatają kubek jak ostatnią kotwicę, trzymając się resztek ciepła. W kącie, przy oknie zasłoniętym brudem, tkwi para. Nie dotykają się, ich wzrok mija się gdzieś w pustce. Milczenie, zbite jak olej z tego lokalu, dawno temu zastąpiło słowa. Ona gapi się w szybę, jakby szukała tam świata, którego już nie ma. On w skupieniu skubie krawędź butelki kciukiem, jakby to mogło cokolwiek zmienić. Dziadek przy ladzie pochyla się nad talerzem. Je powoli, liczy każdy kęs. Nie ze skąpstwa, raczej z ostrożności, kto nie jest pewien, czy to nie jego ostatni posiłek. Twarz poorana zmarszczkami, dłonie drżące, ale uparte. Raz po raz oblizuje wargi, starając się zatrzymać smak na dłużej. Dwa stoliki dalej siedzi trowiec. Telefon trzyma go w miejscu lepiej niż hamulec ręczny. Twarz ma martwą od ekranu, dłoń skostniała na kubku zimnej kawy. W jego oczach nie ma już nic poza asfaltem, który wyżarł mu duszę niezliczoną ilością bezsensownych mil w trasie. Nad wszystkimi wisi to samo uczucie. Zmęczenie. Brak tu pośpiechu, nie ma ekscytacji. Są tylko godziny bez końca, noc ciągnąca się w nieskończoność, jak zimna kawa, której nikt już nie chce dopić.

Krzesła skomlą pod naszym ciężarem, jakby samo zniedołężnienie, które tu przywlekliśmy, ważyło więcej niż tonę. Za barem tkwi kelner, niski, wychudzony żyłak, którego lata w tej dziurze wyżłobiły go niczym kwas w wapieniu. Skóra na jego czaszce jest napięta jak membrana na tamburynie, a rysy nie mają już nic wspólnego z młodością.

Oczy to dwie bryły lodu, w których wygasło ostatnie żywe spojrzenie. Facet działa na autopilocie, mechaniczny ochlap odliczający sekundy do końca zmiany, która prawdopodobnie trwa od dekady.

Menu to żart. Tutaj nikt niczego nie wybiera. W karcie figuruje tylko zmarnowany czas o smaku zaprzepaszczonej szansy.

– Dwie kawy – rzucam, nie czekając na powitanie. – Czarne.

Nalewa. Automat zamknięty w ludzkiej skórze. Żadnego zbędnego ruchu, żadnego: *dzień dobry*. Mam wrażenie, że gdyby przestał łąć tę czarną lurę, po prostu rozsypałby się w proch. Może on jest częścią inwentarza, przyśrubowany do podłogi razem z ekspresem?

Biorę lyk. Gorzka, palona, czarna jak ta pieprzona noc i równie nieprzyjemna.

Dean stuka palcami o ceramikę, wybijając rytm niepokoju.

– To coś więcej niż zwykle morderstwo – mruczy.

Mrużę oczy, pozwalając goryczy osiąść na języku.

– Każde morderstwo to tylko morderstwo. Jedynie statystyka rośnie. Tyle.

– Ta wiadomość... nie podoba mi się ta karta.

– Nie musi ci się podobać.

Jednak w głowie wciąż mam tamtą szklarnię. Ten obraz nie chce spłynąć do ścieku razem z resztą porannych wspomnień.

– To było... dziwne – wykrztusza w końcu Dean.

– Wszystko jest dziwne, kiedy przyjrzesz się wystarczająco długo.

– Nie. – Kręci głową. – To jest inne.

Obracam w dłoni paczkę papierosów.

– Może.

– Może? Cholera, Howard! – Wybucho, a jego głos tnie duszne, przesiąknięte tłuszczem powietrze baru jak zardzewiała pila. – Karta tarota przy zwłokach ułożonych jak na oltarzu, a ty mi tu serwujesz swoje *może?*

Wyciągam ostatniego papierosa. *Pstryk*. Płomień zapalniczki tańczy w półmroku jak ognisko na pogrzebie. Zaciągam się głęboko, czując, jak toksyczny dym wypełnia płuca, oferując tę nędzną namiastkę ukojenia. Wypuszczam go powoli. Szare smugi rozlewają się wokół nas, tworząc barierę między nami a tym beznadziejnym lokalem. To już nie jest nalóg. To awaryjny system podtrzymywania złudzeń.

– Może to nic. Może to manifest jakiegoś psychopaty, który naczytał się bzdur – słowa smakują gorzej niż ta kawa. – Skąd, do cholery, mam wiedzieć, czy to symbol, czy tylko ktoś bawi się naszym kosztem, Dean? W tym mieście prawda to towar deficytowy, a my nawet nie mamy drobnych.

Zaciągam się ostatni raz, tak głęboko, że czuję, jak żar wypala mi resztki instynktu samozachowawczego. Próbuję zatopić w tym papierosie wszystkie wątpliwości, jakby ten kawałek zwiniętego tytoniu był jedyną rzeczą, która powstrzymuje mnie przed rozpadem. Wątpliwości jednak nie znikają, one po prostu zwęgłają się we mnie, zostawiając w środku jałową, czarną dziurę. W świetle dogasającego żaru moje dłonie wyglądają jak u nieboszczyka, a popiół opadający na podłogę przypomina zmielone kości tych wszystkich pechowców, którzy zostali tu na zawsze.

– Komisariat? – pyta Dean. Głos ma płaski, retoryczny, jakby odczytywał wyrok, który zapadł dawno temu.

Zamiast odpowiedzi kiwam tylko głową.

Wciągam ręce głębiej w płaszcz, próbując otulić ciało przed zimnem przenikającym do kości. Chłodne, dłużące się godziny nie sprzyjają niczemu. Wiatr tylko potęguje wrażenie, że czas nie tylko zwolnił, a na zawsze utknął w tym miejscu.

Droga przed nami jest nierówna, wyżłobiona przez lata intensywnego ruchu i zapomnienia, rozciąga się jak martwy organ. Przydrożne

drzewa stoją niczym milczący strażnicy, ich gałęzie szeleszczą w rytm podmuchu wiatru, ale nic się nie rusza. Są tylko ten zgrzytający odgłos gumy o asfalt, który wydaje się jedynym świadkiem naszej podróży.

Każdy zakręt, każda nierówność na drodze to nic więcej niż echo czegoś, co zawsze tu było. Wszystko zbyt ciemne, by dostrzec jakieś szczegóły. Te same obdrapane kamienice i wymięte reklamy, które ledwo się trzymają na wiekowych ścianach, pogieęte szyldy, które powinny dawno zniknąć. Może przed laty mogłyby być jakimś symbolem, ale teraz? Teraz to tylko zmarszczki, które na stałe wpisały się w twarz tego miasta. Każda spękana ściana to zapisana trauma. Miasto nie ma już skóry, ma tylko te głębokie bruzdy, w których zbiera się brud i nasza niemoc. Papierowe śmieci pelzną po chodnikach, klejąc się do nich, zostawiając po sobie strzępy niegdyś kolorowych ogłoszeń. Deszcz, który spadł chwilę wcześniej, zmiękczył je do granic możliwości, tworząc małe kulki błota. Wdeptane, zlepione w bezkształtną masę, którą już trudno rozróżnić.

Dean mówi, wpatrzony w szybę:

- Miałem nadzieję na coś więcej, ale teraz widzę, że nie mamy nic.
- To się okaże, kiedy dowiemy się, kim jest ofiara.
- A jak się nie dowiemy?
- To będziemy mieli jeszcze mniej niż nic. Dno pod dnem.
- Powiem ci, że przynajmniej jesteś konsekwentny w pierdoleniu głupot – prycha, zerkając na mnie z tym swoim tanim cynizmem.

Zaciskam dłonie na kierownicy, aż palce zaczynają drętwieć, starając się nie dać wyprowadzić z równowagi.

- A ty w wymyślaniu teorii, które nikogo nie obchodzą.
- Tyle wystarczy, jeśli potrafisz wyciągnąć z tego coś sensownego.
- I co takiego wyciągnąłeś? – pytam.
- Wystarczy wiedzieć, gdzie patrzeć – uśmiecha się krzywo.
- No tak, bo ty zawsze wszystko widzisz, **Sherlocku**.

- Nie wszystko. Tylko to, co ma znaczenie.
- Super – rzucam. – Czyli nic.

Podjeżdżam do nocnego sklepu, który zdaje się częścią tej samej zapomnianej rzeczywistości. Silnik pulsuje głuchym rytmem, odzwierciedlając fakt, że w tym miejscu nie liczy się klasa ani szybkość, tu liczy się tylko to, czy maszyna dociągnie do kolejnego skrzyżowania, zanim ostatecznie wypluje tłoki. Bez papierosów ten dzień się rozpadnie. To fundament mojej piramidy, nie zdrowia, a przetrwania. Kiedy nie mam nic innego, co mogłoby mnie trzymać w pionie, to właśnie ten drobny gest, *zapalenie papierosa*, staje się czymś więcej niż tylko nawykiem. To chwilowa stabilność, która w tym świecie jest najbliższą jakiegokolwiek poczucia kontroli. Z każdym wstrząsem nadwrażliwości w ciele, każdą pustką, która miota się w mojej głowie, ten mały moment jest moją stabilizacją.

Wchodząc do sklepu, widzę, jak żarówki nad kasą mrugają w leniwym rytmie. Tutaj wszystko tkwi w martwym punkcie, a powietrze wypełnia zapach stęchłych paczek chipsów i taniego napoju gazowanego, którego nikt o zdrowych zmysłach nie powinien pić. Sięgam po paczkę fajek. Wiem, że to nie to, co zwykle kupuję. To jak wybór między kulą w potylicę a nożem pod żebro. Podchodzę do kasy, rzucam kilka monet. Wychodząc, resztę zgarniam bez liczenia. Kroki, ciche, odległe, odbijają się od brudnych ścian. Gina w zapomnianych korytarzach. Światło latarni na zewnątrz rzuca ledwie wystarczający blask, by cokolwiek zarysować w tej ciemności.

Kilka minut później jesteśmy pod komisariatem. Parking jest niemal pusty, jakby to miejsce zniknęło z mapy tego przeklętego miasta. Kilka radiowozów stoi samotnie. To już nie są maszyny. To skamieniałe bestie z **żelaznego lasu**, które kiedyś pilnowały granic świata, a teraz wyłącznie rdzewieją, czekając na ostateczny moment, na ostatni

zmierzch. Ich wypłowiałe emblematy są jak starte runy na grobowcach. Nikt już nie pamięta ich znaczenia, a jedyne, co w nich pozostało, to milcząca historia upadku, której nikt nie odważy się odczytać, by nie obudzić demonów przeszłości.

Światło nad progiem to ostatnia iskra na ołtarzu **Hestii**, która nie ma już siły karmić nadziei tego miasta. To puls umierającego boga porządku. Dogasa, rzucając drżące cienie na nasze twarze. Kiedy zgaśnie całkowicie, nie zostanie nam nic poza ciemnością, w której prawo silniejszego jest jedynym kodeksem, jaki przetrwał.

To miejsce nie żyje. Trzyma je tylko inercja, mechanizm, który raz uruchomiony kręci się sam, nie zwracając uwagi na zmiany wokół. Ze wnętrza powłoka budynku gnije jak coś, co traci sens istnienia. Widać tu ślady przeszłości, których nikt już nie zmyje. Pożółkłe plamy, otarcia, odpryski farby. Mury są zwiotczałe, gotowe rozsypać się na drobne kawałki. Patrząc na nie, czuję ten sam rodzaj lęku, który musiał towarzyszyć ludziom pod murem **Maria**, gdy kamień zaczął kruszeć, odsłaniając żywe oko, ukrytego w środku kolosa. To nie beton pęka. To puszcza iluzja bezpieczeństwa. Jak to miasto, które umiera na raty, powoli, z dnia na dzień. Rdzawe poręcze, powyginane kraty. Ktoś próbował się dostać do środka. Albo wyrwać. Tylko pytanie brzmi: *кто byłby na tyle głupi, żeby dobrowolnie tu wejść?*

Dawniej ten budynek udawał, że ma znaczenie. Dziś to tylko relikwiarz przeszłości, zniszczony, zapomniany jak zardzewiała brama prowadząca donikąd. Kiedyś wchodziło się tu z poczuciem, że robi się coś wielkiego. Pierwszy raz w mundurze? Duma buzowała w żyłach wraz z każdą miną mijanych ludzi. Wtedy to był symbol...

Teraz? Ten mundur to tylko kawał szmaty, która z każdą godziną staje się cięższa, nasiąka brudem i beznadzieją, aż zaczyna paraliżować ruchy. To nie tarcza, to cholerne brzemię. Wbija cię w ziemię i pilnuje, żebyś nigdy z niej nie wstał.

Spojrzenia na ulicy też się zmieniły. Nie ma w nich podziwu, tylko obojętność. Chłód oraz niechęć. Czasem pogarda, którą czujesz na plecach, zanim jeszcze zdołasz przejść obok. Gdy mijasz ludzi, jedni odwracają wzrok, nie zauważając cię. Inni patrzą, ale nie patrzą, jakbyś był im coś winien. Coś, czego nie jesteś w stanie im dać. Nieważne, ile byś się starał, to nie wystarczy. To coś, co po prostu się wie. Lepiej nie zwracać uwagi i iść dalej, nie oglądać się, nie pytać o nic. Bo kiedy staniesz, poczujesz to jeszcze mocniej.

Coś we mnie wyje, żeby uciekać, póki jeszcze odróżniam własne imię od numeru odznaki. Uciec przed tym toksycznym powietrzem, które z każdym wdechem wypala mi resztki człowieczeństwa, ale nie ucieknę. Nie mam dokąd. Wchodzę tam jak skazaniec, który sam domyka za sobą drzwi do celi. Moja wolność zakończyła się w momencie, w którym uwierzyłem, że naprawdę mogę coś zmienić.

Dotykam klamki. Jest lodowata jak serce Mercer. W środku wita mnie ta sama nędza. Ściany o nikotynowym odcieniu, z palety brudnych żółci i przygaszonych brązów, choć palenie jest od dawna zakazane. Tylko że tu, w tym miejscu, zakazy mają małe znaczenie. Każdy, kto wchodzi, już ma swoje własne prawo, które zatarło wszystko, co mogłoby je ograniczyć. Sufit wisi nad nami w grobowym milczeniu, trzyma się na miejscu tylko siłą przyzwyczajenia. Płaty farby zwisają jak zwłoki ciem, gotowe spaść na głowę w każdej sekundzie.

Praca w tym miejscu to czysty masochizm, codzienne biczowanie się świadomością własnej bezużyteczności. Powietrze jest syropowate, zaciska się na gardle jak pętla, nie dając szansy na żaden głębszy oddech. Jeśli tak wygląda ostoja sprawiedliwości, to piekło musi być naprawdę luksusowym miejscem.

Dyżurny za ladą wygląda jak zjawa. Zgarbiony, twarz nieprzyjemnie blada, jakby słońce zapomniało go ogrzać przez kilka ostatnich miesięcy. Rozczochrany, oczy podkrążone jak po trzech nieprzespanych

nocach. Patrzy, ale nie widzi. Dryfuje gdzieś między snem a realnością, nie potrafi rozróżnić, która z nich jest bardziej bolesna. Jego spojrzenie jest puste, nie oczekuje niczego. Nie zadaje pytań. Nie chce poznać odpowiedzi. To miejsce wymaga tylko milczącej akceptacji.

W tle rzeźbi ekspres do kawy. To nie jest urządzenie, to mechaniczny pacjent na oddziale intensywnej terapii, który błaga o odłączenie aparatury. Charczy, krztusi się, kaszle czarną mazią. Każda kropla to walka. Ta ciecz nie zapowiada żadnego ratunku, ona smakuje jak skumulowane rozczarowanie z całego tygodnia, przepuszczone przez brudny filtr beznadziei.

Za oknem noc nie czeka na zaproszenie. Wpełza do środka, rozgaszcza się w kątach, wymazuje resztki kolorów. Zna drogę, zawsze ją znajdzie. To jej miejsce, część mroku, który nieustannie wypełnia przestrzeń, zamieniając każdą chwilę w beczasową ciemność.

Siadam przy biurku. Nie po raz pierwszy i z pewnością nie po raz ostatni. Przecieram dłonią po blacie. Kurz osiada na skórze, wciska się pod paznokcie. Wydaje się, że każda cząstka tego brudu jest tu od zawsze. Zagnieżdżyła się w strukturze miejsca. I chociaż to wszystko jest pełne zapomnienia, nigdy się nie wymazuje. Najświeższa rzecz tutaj? To właśnie ten cholerny ekspres do kawy, który i tak działa tylko wtedy, gdy ma na to ochotę.

Gdy włączam komputer, wentylatory obracają się powoli, wzdychając kurzem. Mózg maszyny mieli zera i jedyne bez najmniejszego przekonania. Dysk twardy wyje z rozpaczy, głowice szorują po talerzach, a procesor dławi się ostatnimi cyklami przy akompaniamencie piszczącego BIOS-u. To agonია krzemu. Ta maszyna wie, że to koniec, ale wciąż karmi mnie nędzną iluzją działania, zupełnie jak ten cały komisariat, jak to całe pieprzone miasto.

Czekam. Ekran miga. I nic. *Klik*. Zero reakcji. Czekam dalej, ale

cierpliwość mi się kończy. Myszka łąduje na blacie. Najpierw z impetem. Drugi raz z wściekłością. Maszyna stęka. Może po prostu nie ma już siły. Tak jak wszystko wokół. Każdy element, każda maszyna, która kiedyś działała sprawnie, teraz tylko dusi się, walcząc ze sobą. Tak jak ludzie. Tak jak te budynki. Kiedyś pełne życia, a teraz... stoją, pokryte kurzem, przeżarte przez czas i zniechęcenie. Żaden z tych mechanizmów nie ma już energii, by wstać z kolan. Mimo to nie ustępują. Wciąż się trzymają, na granicy wytrzymałości, walcząc z własną degradacją. Wszystko tutaj jest takie samo. I nigdy się nie zmienia.

Słyszę krótki, cichy śmiech. Wszystko to wydaje się jednym wielkim żartem. Nie pytam, co go tak bawi. Wiem. W końcu prostuje się, przeciera twarz dłonią, wzdycha.

– Dobra, geniuszu techniki, może jednak ci pomogę, zanim całkowicie rozpieprzysz ten złom.

Kręcę głową, sięgam po papierosa.

– Rób, co chcesz.

Pstryk. Leniwy dym unosi się i oplata znak zakazu palenia w kpiącym rytmie. Czerwona dłoń na piktogramie wyciąga się w niemym sprzeciwie, a następnie znika w szarym kłębie. To ironiczne jak bardzo mnie to nie obchodzi.

Telefon wibruje. Krótko. Dwa razy. Potem znowu. Sięgam po niego, zerkam na ekran: *Parker*. Nie czekam. Odbieram.

– Laamesth'on.

– Mam dla ciebie coś ciekawego. – Głos jest zmęczony, szorstki.

– Mów.

– Ofiara to Sinéad Worthime – mówi. – Była notowana, więc szybko ją znaleźliśmy.

Nazwisko odbija się w mojej głowie jak echo w pustym korytarzu. Znajome do bólu, lecz nie potrafię go umiejscowić. Czasem po prostu takie rzeczy wracają jak zlepek wspomnień, które się nie skleją. Jak

obrazy z własnego życia, pomyłone z cudzymi.

– I ta karta... – dodaje. – Możecie ją zabrać. Odciski są tylko jej.

Siedzę bez ruchu. Patrzę na ekran, który właśnie postanowił zgaśnąć. Dym snuje się leniwie tak jak myśli. Karta. Tylko jej odciski. Nie wiem, co gorsze, kiedy nie masz odpowiedzi, czy kiedy dostajesz odpowiedź, której nie chcesz.

– Tylko jej? Jesteś pewny?

– Sprawdziłem dokładnie. Żadnych innych śladów.

– Użyto rękawiczek?

– Nic na to nie wskazuje. Jeśli ktoś jej ją dał, musiał być ostrożny.

– To dziwne.

– Wiem. Dobra, zabierzcie kartę. Może wy coś z niej wyciągniecie.

– Jasne. Dzięki.

Połączenie się urywa.

Wciągam powietrze, z delikatną nutą kurzu i wilgoci, która ściskają w płucach. Odwracam się do partnera.

– Sinéad Worthime. Coś ci to mówi?

– A powinno?

– Jeżeli jej nie zabiłeś, to nie.

– Można mi wiele zarzucić, Howard, ale koneserem sztuki to ja nie jestem. – Oparcie krzesła skrzypi pod jego ciężarem. – Co to w ogóle za nazwisko? Francja? Niemcy? Norwegia? Te klimaty?

– Dobra. Musimy sprawdzić, kim była, zamiast zgadywać.

– Więc po jaką cholere mnie pytasz? – rzuca Dean.

– Po to, żebyś przestał w końcu myśleć o kolejnym drinku.

– Super. Nie wiedziałem, Howard, że robisz tu za inspektora pracy.

– Mam z tego certyfikat. Skoro już wiesz, to bierz się do roboty.

Złom zacina się na raporcie, mieli dane. Cursor miga, zawieszony w chwili decyzji, która nie chce nadejść.

Dopiero po kilku minutach ekran w końcu się rozjaśnia. Przesuwam palcami po chropowatych klawiszach. Dźwięk stukania jest znajomy, niemal monotony, krąży w jednym, niezmiennym rytmie.

Imię i nazwisko: Sinéad Worthime

Rok i miejsce urodzenia: 5.12.1974. Irlandia, Dublin

– To jeszcze dziewczyna... Ile miała? Dwadzieścia siedem lat?

Podnoszę wzrok. Patrzę na niego jak na dziecko, które właśnie zjadło kawałek plasteliny.

– Ty chodziłeś na matematykę, czy tylko pod szkołę?

– Co?

– To, że ona miała dwadzieścia dziewięć lat. Nie siedem.

Widzę, jak trybiki w jego głowie próbują się zazębić. Kuleczka myśli w końcu odbija się od jednej ściany do drugiej i...

– Zauważyłeś może, od której jestem dziś na nogach?

– Tak, od piątku. I co, Nobla mam ci dać?

– Lepiej skup się na raporcie, zanim go napiszę ci na czole – syczy. Wracam do ekranu z uśmiechem, który sam się pisze pod nosem.

Zawód: Artystka

Wyroki: Brak

Wykroczenia: Posiadanie substancji nielegalnych

Długi skarbowe: Brak

– Już nie taka wzorowa obywatelka – mruczę.

Czuję oddech na karku. Za blisko. Próbuję nie reagować, ale z każdą sekundą wyczuwam na plecach coraz bardziej narastające napięcie. Dean zagląda mi przez ramię. Irytuje mnie to. Wpycha się, jakby miał coś do powiedzenia, ale nie mówi nic.

Zerkam na godzinę. **6:33**. Każda minuta ciągnie się jak guma. Przewijam dalej.

Adres: Unvoiced Til Street 20, Apt 7b, Los Angeles

Telefon: Brak aktywnych numerów

Zatrzymuję się na tej ostatniej informacji.

– Brak numeru – mruczę.

Dean unosi brew.

– No i?

– No i to, że nikt nie żyje dziś bez telefonu. To nie średniowiecze.

– Może zmieniła i nie zaktualizowała w systemie.

– Może – powtarzam. – Ale jeśli miała nowy, to dlaczego nie pojawił się nigdzie przez ostatnie miesiące? Żadnych rejestracji, żadnych połączeń na jej nazwisko.

Dean wpatruje się w ekran, jakby próbował wyłowić coś, co mnie całkowicie omija.

– Ktoś go usunął?

– Albo nigdy go nie było – mówię, choć sam w to nie wierzę.

Analizuję te dane, ale to wszystko wydaje się zbyt powierzchowne. Nie pasuje mi to. Każdy ma numer. Każdy. Chyba że ktoś postarał się, żeby go nie było, wymazał wszystko jak ślady na brudnej szybie.

Notatka przy aktach:

Zatrzymana podczas rutynowej kontroli. Znaleziono przy niej środki odurzające. Postępowanie zostało umorzone z uwagi na znikomą ilość i brak dowodów na zamiar handlu

– Nic szczególnego – stwierdzam.

Marszczy brwi, widać, że nie zgadza się z moją oceną sytuacji.

– Samotna malarka? Nie brzmi jak ktoś, kto kończy w szklarni, jak jakaś lalka z kartą w dłoni.

Patrzę na zdjęcie z dowodu. Długie ciemne włosy, szczęka lekko wysunięta, ostre spojrzenie. Sinéad. Zbyt pewna siebie, jej wzrok łamie wszystko, co staje na jej drodze. Widzę ją, a ona widzi mnie. Biała twarz na tle szarych linii, które od razu zaczynają zlewać się z tłem.

Klik. Strony ładują się z prędkością konającego zółwia. Ociągają się z ujawnieniem czegokolwiek istotnego. Kilka durnych wystaw. Większość to niszowy syf, cuchnący na kilometr pretensjonalnością i tą desperacką próbą nadania znaczenia czemuś, co nie ma żadnej trwałej wartości. Sztuka w świecie, który zdycha z głodu, to tylko kolejna forma artystycznej nekrofilii.

– Nie miała z czego żyć – stwierdzam cicho.

– Może dlatego coś poszło nie tak? – mówi, nie patrząc na mnie.

Wydział budzi się do życia, co oznacza, że trupy zaczynają się ruszać. Kawa, monitory, kroki, dym papierosowy wijący się leniwie nad głowami. Zamiast myśli, to zapach staje się dominującym elementem, niedającym miejsca na nic więcej. Ktoś ziewa, ktoś klnie na kolejny obowiązkowy formularz. Dzień jak co dzień, poranny chaos, który odgrywa się według tej samej choreografii beznadziei. Ktoś otwiera okno, a powietrze wślizguje się do środka. Niemal czuję, jak zalewa moje płuca. Noc zmienia się w dzień, ale tylko z nazwy.

Senność wgryza się głębiej. Czuję ją w każdej zmarszczce, w każdym skurczu karku. To już nie jest apatia, to stan permanentny. Moje ciało skapitulowało, poddało się codziennej walce o normalność.

Cień sunie między biurkami, rzucając pytanie:

– Już od świtu na nogach?

Podnoszę brwi, nie podnosząc wzroku.

– Jeśli tak wygląda świt w twoim świecie, to ja wolę zostać w nocy.

Mężczyzna parska śmiechem, który brzmi jak suchy kaszel, i znika za rogiem. Gdzieś w tle telefon brzęczy, ignorowany przez wszystkich. Po co odbierać? I tak dzwoni tylko zło, nieszczęście albo ratusz. Stukot klawiatur miesza się z rozmowami o tym, kto ma dyżur w sądzie, kto zawałił raport, pierdoły, które nie mają żadnego znaczenia. Nie wiem, co jest bardziej męczące. Cisza, która tu panuje, czy ten nędzny hałas udający życie.

Stos papierów na moim biurku to nic więcej jak tykająca bomba biurokracji. Każdy dokument to potencjalny wybuch, który lada moment rozpieprzy mi resztki zdrowia psychicznego.

Dean wraca z kubkiem kawy w dłoni.

– A dla mnie? – pytam, choć dobrze wiem, że odpowiedź mnie nie zaskoczy.

– Widzisz gdzieś tutaj pieprzony biały fartuch? – Wskazuje ręką na swoje ubranie, jakby był modelem na pokazie mody dla bezdomnych.

Wzruszam ramionami. Szkoda strzępić ryja.

Leniwie opada na krzesło, a jego sprawiają wrażenie opóźnionych. Gapi się w okno, szukając porządku tam, gdzie go nie ma, czyli w ten zalany deszczem burdelu, który udaje miasto. Otwiera usta.

– No dobra. Co mamy?

Przeciągam się. Zmęczenie wbija mi się w kręgosłup jak rdzawy gwóźdź. Wciągam powietrze, wiedząc, że ból fizyczny to jedyne, co jest tu konkretne.

– Martwa artystka. Brak świadków. Brak motywu.

Dean unosi brew, pociąga łyk kawy. Niemal słyszę, jak ścisza kubek. Dźwięk tej czynności staje się niepokojąco głośny.

– Brzmi jak ślepy zaulek. Poza tym, że nie miała z czego żyć.

– Oficjalnie tak – odpowiadam, choć to tylko kolejna półprawda, którą karmimy system, żeby przestał rzeźnić.

Dean siorbie głośno, jakby chciał wydusić z tej kawy resztki sensu,

którego w niej nie ma. Patrzę na niego w milczeniu. Ignoruje mnie, celebrując każdą kroplę tej lury. W końcu wzdycha i odstawia kubek na blat z cichym stęknieniem, które nie pasuje do jego postawy.

– No co? – rzuca, czując mój wzrok na karku.

– Masz jeszcze język, czy już ci się rozpuścił w tej czarnej brei?

Prycha. Wraca do porannej benzyny, ale tym razem pije normalnie.

Kilka minut później drzwi ustępują, a w progu staje kobieta z teczką. Jej wejście jest jak rozkaz, precyzyjne, pewne. Zastyga na moment, skanując to wysypisko, które nazywamy miejscem pracy. To moment, w którym wszystko na chwilę zastyga. Jej obecność nie jest po prostu zauważalna. Ona niejako dominuje przestrzeń, wypełniając pomieszczenie siłą, z którą się nie negocjuje, tylko jej ulega.

Codziennie ktoś wchodzi i wychodzi z tego komisariatu, ale ona... W czymś tkwi różnica. Jest jak ucieleśnienie nieuniknionego, które stanęło w progu, by przypomnieć mi, że każda zbrodnia ma swój cień, a każdy dług zostanie ściągnięty. To nie jest tylko obecność, to wyrok wydany przez samą jej postawę. Nieugiętą, pionową kreskę w świetle, który dawno stracił kręgosłup.

Strój prosty, elegancki, stonowany. Bardziej to cień niż ubranie. Czerni jest głęboka i absolutna, pochłania światło, nie odbija go. Dopasowany płaszcz o minimalistycznym kroju, opina ramiona i sięga do połowy łydek. Brak guzików czy widocznych zapieć, jakby był czymś naturalnym, częścią jej sylwetki. Pod spodem ciemna koszula z wysokim kołnierzem, idealnie gładka, bez śladów zagniecia. Jest spięta na mankietach niemal niewidocznymi spinkami. Spodnie w kant, wąskie, ale nie obcisłe, opadają prosto na eleganckie buty, niskie, matowe, bez żadnych ozdób. Jest jedną z tych osób, które przyciągają uwagę, mimo że wcale tego nie próbują robić. Jej wzrok zdaje się gardzić wszystkim, co nas otacza.

Zgiełk rozmów, dźwięki telefonów czy ciche *klikanie* w klawiaturę... Cała ta codzienna dawka dźwięków nie ma teraz znaczenia. Nie widzę i nie słyszę niczego oprócz niej.

Podchodzi do dyżurnego, który wciąż mieli ozorem przez telefon. Rzuca kilka słów, a ten ludzki wrak, nie przerywając rozmowy, pokornie kiwa łbem. Wskazuje palcem prosto na mnie jak oskarżyciel na skazańca.

– Laamesth'on? Tam siedzi.

Kobieta nie marnuje śliny. Czysta ekonomia słów, jakby każda sylaba kosztowała fortunę. Dźwięk jej kroków na twardym linoleum to miarowe uderzenia młota wbitego w moją czaszkę. To ciężar góry lodowej, która płynie prosto na mój przeżarty rdzą kadłub. Przechodzi przez salę, ściskając teczkę i zatrzymuje się przy moim biurku. Napięcie zagęszcza się tak bardzo, że niemal czuję jego smak w ustach. Zapach kłopotów, których nie da się spuścić w kiblu.

– Detektyw Howard Laamesth'on?

Bez słowa unoszę głowę, patrzę na nią przez chwilę, starając się wyczytać coś z jej spojrzenia. Cokolwiek, co pozwoliłoby zrozumieć, kim naprawdę jest. Jednak jej twarz nie zdradza niczego. Ani surowości, ani ciepła. Ani strachu, ani zainteresowania. To nie jest oblicze człowieka, to raport pogodowy zapowiadający wieczne zero absolutne. Jest w niej coś dziwnego, jakby to, co się teraz dzieje, było nieistotnym epizodem w czymś znacznie większym. Nie ma w niej emocji, żadnej reakcji, która mogłaby powiedzieć, co naprawdę myśli.

Jej ciemne, proste włosy opadają na ramiona. Twarz ma ostre, wyraziste rysy. Jest jak marmurowy posąg, który ktoś ożywił tylko po to, by przekazał nam ostatnie namaszczenie. Jej oczy to dwa wyschnięte baseny. Brązowe, puste, z tym rodzajem głębi, w którą nie chcesz zaglądać, bo wiesz, że nic nie oddaje spojrzenia. To otchłań, która nawet nie mruga.

Czekam. Niech ona wykona pierwszy ruch w tym martwym tańcu. Kobieta stoi nieruchomo, niewzruszona jak skała, na której rozbijają się resztki mojej cierpliwości. W końcu, gdy milczenie zaczyna śmierdzieć trupem, otwiera usta:

– Przepraszam, nie przedstawiłam się. Nazywam się Alison Tugers. Pracuję w firmie zajmującej się analizą danych z zewnętrznych źródeł.

To, że mówi to tak zwyczajnie, nie zmienia faktu, że jej obecność wciąż nie daje mi spokoju. Może dlatego, że rzadko ktoś spoza mojego świata wkracza w tę przestrzeń.

– Poproszono mnie o pilne dostarczenie konkretnego zapisu rozmowy operatora numeru alarmowego.

Nie czeka na moją zgodę. Po co? W tym świecie nikt już o nic nie pyta. Otwiera teczkę, wyciąga płytę CD i kładzie ją na moim zasyfionym biurku. Ten kawałek plastiku lśni wśród kurzu jak moneta na oczach nieboszczyka. Jej ruchy są płynne, wyćwiczone do obrzydliwości jak mechaniczny balet rutyny.

– To jest nagranie tej rozmowy.

Biorę płytę do ręki, obracam ją powoli w palcach. Jest zimna, nie ma w niej nic, co by przyciągało uwagę.

– Dzięki – mówię, starając się brzmieć naturalnie. Wychodzi mi to fatalnie.

– Jeśli będzie coś jeszcze, w czym mogę pomóc, proszę o kontakt telefoniczny. – Jej ton jest uprzejmy w ten sam sposób, w jaki uprzejma jest instrukcja obsługi gilotyny.

Sięga do kieszeni i wyciąga wizytówkę.

– Jestem dostępna pod tym numerem.

Przytakuje, choć mam wrażenie, że to wszystko jest tylko kolejną formalnością, kolejnym gestem w tej układance, której nie rozumiem.

Kładzie wizytówkę na biurku i bez słowa, z taką samą pewnością, jaką weszła do tego pomieszczenia, kieruje się w stronę wyjścia.

Drzwi zamykają się za nią, a ciszę, która po niej została, natychmiast rozdziera śmiech Deana. Gość niemal spada z krzesła, trzęsąc się w tym swoim żalonym napadzie wesołości. W jego oczach lśni ten rodzaj złośliwego błysku, który pojawia się tylko wtedy, gdy ktoś inny oberwie rykoszetem od życia.

– Ty to masz styl, Howard. Jak nikt potrafisz czarować panienki. Prawdziwy amant z prosektorium – rzezi, ocierając łzę, która pewnie jest jedyną czystą rzeczą na jego twarzy.

Rzucam mu spojrzenie, które powinno go zwęglić na miejscu. Marszczę brwi, czując, jak w środku wzbiera mi żółć. Wiem, co zaraz nastąpi. To ta jego mała, nędzna gierka. Szukanie zadry w moim pancerzu, wywlekanie każdej słabości na wierzch, byle tylko poczuć się przez chwilę mniej martwym niż reszta tego wydziału.

– Co? – cedzę przez zęby, udając, że nie łapię tej jego prymitywnej ironii. – Co cię tak bawi?

Wzrusza ramionami, ale ten cyniczny uśmiech wciąż wykrzywia mu gębę. Nie odpuszcza. Nigdy nie odpuszcza, póki nie poczuje krwi.

– Widziałem, jak gapileś się na nią – mówi, a w jego głosie slychać czystą złośliwość. – Nieźle, Howard, nieźle. Widać, że nie jesteś tu nowicjuszem w branży beznadziejnych przypadków. Wyglądałeś, jakbyś zaraz miał ją zapytać o numer seryjny, a nie o nazwisko.

Przewracam oczami, czując, że każda sekunda tej rozmowy to minuta życia, której nikt mi nie zwróci.

Przyglądam się wizytówce. Niewielka, gładka, biała kartka:

QuantumStream Innovations

Alison M. Tugers Specjalista ds. Współpracy Zewnętrznej

Tel. 555-2478

E-mail: a.m.tugers@quantumsi.com

– No dobra, koniec żartów. – Uśmiecha się szeroko. – Odpalaj płytę, mój ty **Romeo**.

Zrzucam mu szybkie spojrzenie.

– Czy już dziś mówiłem ci, żebyś spieprzał?

Dean wzdycha, unosząc ręce w geście poddania, i w końcu przy-
myka jadaczkę. Przynajmniej na chwilę.

Wkładam płytę do napędu. Mechanizm rzezi, trzeszczy i mieli plastik z takim oporem, jakby próbował przeżuć ludzkie zęby. W końcu głośniki eksplodują ostrym, pojedynczym impulsem. Nie jest głośny, ale wystarczająco nagły, by poczuć go jak uklucie pod mostkiem. Po nim pozostaje głuchota, milcząca, ale pełna napięcia.

– Chyba załapało – rzuca Dean, a to jego wieczne, lekceważące rozbawienie sprawia, że mam ochotę rozbić mu ten cholerny monitor na głowie. – Kto by pomyślał, że to komputer stanie się twoim jedynym życiowym partnerem.

Patrzę na niego, nie dając się rozproszyć. Uśmiecham się, a potem rzucam z minimalnym przekąsem:

– Czasem masz rację, Dean, ale rzadko tam, gdzie to istotne.

Wciskam play, zanim ta maszyna ostatecznie wyzionie ducha.

Na początku slychać tylko statyczny szum, cichy, nieprzyjemny jak elektryczność pelzająca po gołych przewodach. Po chwili nagranie się stabilizuje. Głos operatora przebija się przez foniczne zakłócenia.

– Służby ratunkowe, Los Angeles, jaki jest rodzaj zgłoszenia?

Milisekunda pustki.

Potem słowa.

Jednak to nie jest ludzki głos.

– ...*ćb...śb...a...n...*

Dźwięk jest zniekształcony, przyduszony, wyciągnięty z jakiejś gardzieli, która nie zna światła dziennego. Jest zbyt głęboki, nasycony tą dziwną wibracją, która sprawia, że żołądek wywraca mi się na drugą

stronę. Dean milczy, jego wzrok jest skupiony, nie wygląda na zszokowanego, ale coś w jego oczach mówi, że i on to poczuł. Może tylko nie chce tego przyznać.

– Gdzie się pan znajduje? – pyta operator. Głos ma spokojny. Czy on jest głuchy? Czy ten system filtruje mrok tak skutecznie, że słyszy tylko to, co chce usłyszeć?

Znów to samo. Trzask. Skok w nagraniu. A potem...

– ...*hh...nie...szhkl...a...rni...a...*

To nie są słowa. To echo.

Słowo *szklarnia* rozciąga się nienaturalnie, jakby każda litera była nasączona czymś, co przypomina ludzką mowę tylko w ten sam sposób, w jaki manekin przypomina żywego człowieka. Mam ochotę wyłączyć to gównem.

– Rozumiem, wysłałam patrol do hotelu. Jak się pan nazywa?

– ...*wa...ndo.....tbb...*

Pojedynczy trzask. Potem koniec, lecz nie całkowicie.

To nie jest milczenie. To obecność. To oddech. Cichy, długi, przeciągły wydech, który wysysa cały tlen z biura. Ktoś lub coś siedzi tuż przy mikrofonie, po drugiej stronie pustej linii. Czeka na zaproszenie.

Nagle z głośników wyrывa się pisk. Cienki, przeszywający, wwiercający się w czaszkę jak wiertło dentystyczne. Przypomina dźwięk, który wydaje szklanka, kiedy przejedziesz po niej palcem.

Głośniki milkną, ale *to* wciąż tam jest. Nie wiem jak, nie wiem gdzie, ale odbieram to wewnętrznie. To *oddycha*. I nie jestem pewien, czy to było nagranie, czy to właśnie nas *ślucha*.

Dean wciska stop.

Dźwięk wciąż rezonuje w mojej głowie. Coś wewnątrz powtarza go w nieskończoność: *hh...nie...szhkl...a...rni...a...*

– Co to, do jasnej cholery, miało być? – rzuca Dean, a w jego głosie irytacja walczy z lękiem o to, kto pierwszy wymieknie.

– Nie wiem – odpowiadam. To najszczerza rzecz, jaką powiedziałem od tygodnia.

– Zakłócenia? – pyta, ale brzmi to, jak błaganie o jakiegokolwiek racjonalne kłamstwo.

– Dean, kiedy ostatnio słyszałeś zakłócenia, które brzmiały jak cholerny oddech wciśnięty prosto w twoje ucho?

Nie wiem.

– Operator niczego nie zauważył – mruczy w końcu, czepiając się logiki jak tonący brzytwy.

– Może miał lepszy sprzęt? Może to, co słyszeliśmy, nie było przeznaczone dla niego, tylko skierowane prosto do nas.

Słowa zawisają w powietrzu.

– Nie! – ucina, zanim dodam coś więcej. – Howard, oszczędź mi tych paranormalnych bzdurow. To tylko pieprzone nagranie. Technologia. Zawsze da się to racjonalnie wyjaśnić.

Mówi to pewnie, ale widzę, jak drży mu dłoń, gdy przeciera kark. Boi się, że racjonalne wyjaśnienia skończyły się razem ze światłem dziennym trzy dni temu.

– Odsłuchujemy to raz jeszcze? – pyta, choć widać, że woli pokłnąć własny język.

– Szkoda czasu. Jadę po tę cholerną kartę do Parkera, a ty załatwiasz nakaz. Rusz tylek.

– Poniedziałek rano, a ja muszę iść lizać tylek szefowi? – prychna, ale przynajmniej wraca mu ten jego cyniczny instynkt przetrwania.

– Bo robisz to najlepiej w całym Los Angeles.

Dean przewraca oczami.

– Weź od razu tę płytę i daj Parkerowi do analizy. – Jego ton jest niemal rozkazujący jak zawsze wtedy, kiedy chce zakończyć temat. Przesuwa krążek po blacie z wyraźnym obrzydzeniem, jakby dotykał czegoś brudnego.

Wychodzę. Pogoda niby odpuściła, ale to tylko złudzenie. Powietrze wisi nisko, mętne i brudne, a miasto wygląda, jakby desperacko próbowało złapać oddech przez szmatę nasączoną benzyną. Ten lepki osad po burzy czuję na każdym centymetrze skóry.

Macam kieszeń płaszcz. Paczka papierosów jest twarda i szorstka. Wyciągam jednego, wilgotnego od wszechobecnej pary. Wykrzywia się w moich ustach, jakby on też miał dość. *Pstryk*. Płomień zapalniczki drży na wietrze, odbijając się w smolistej kałuży u moich stóp. Ogień liże bibulkę, aż żar zaczyna wyżerać krawędzie. Pierwszy mach. Dym jest gorzki, gęsty, wypełnia mnie jak spóźnione wspomnienie lepszego życia. Nikotyna uderza do głowy. Jedyne dowód na to, że wciąż jeszcze coś czuję.

Idę do swojego Crown Vica. Kroki dudnią w tej martwej pustce, buty walą o beton z głuchym pogłosem. Otwieram drzwi, czując pod palcami znajomą, zimną krawędź metalu i tę jedną rysę. Pamiątkę po nocy, której wolalbym nie pamiętać.

Siedzenie jest twarde, skóra popękana jak moje sumienie. Wpasowuję się w te wyżłobienia, które przez lata uformowały się pod mój ciężar. Przekręcam kluczyk. Osiem cylindrów budzi się do życia z rykiem rozdrażnionego bydłęcia, które ma dość bycia zaprzęganym do tej furgonetki z trupami. Wentylacja rzyga starym kurzem i smrodem paliwa. Radio. Znowu jakiś przepity głos wyje o końcu świata.

Nagranie wciąż żre mi mózg, wgryza się w synapsy jak kwas.

Ten głos... to nie były ludzkie struny głosowe. To brzmiało jak coś, co uczyło się mówić, trawiąc cudze gardła. W tamtej chwili czułem, że za tym dźwiękiem czai się otchłań, ale może Dean ma rację. Może to tylko pierdolona technologia, błąd w kodzie, zakłócenie, które ułożyło się w parodię oddechu. Chcę w to wierzyć, bo alternatywa oznacza, że noc przyniosła nam coś znacznie gorszego niż tylko brak słońca i trupa w szklarni.

Jeszcze ta cała Tugers...

Jej spojrzenie miało temperaturę ciekłego azotu. Sposób, w jaki podała mi tę płytę, to nie była rutynowa dostawa. To był podarek od kogoś, kto dokładnie wie, co jest w środku. Co ona ukrywa pod tym płaszczem zrobionym z cienia? Kiedy mówiła, że może pomóc, nie brzmiało to, jak oferta, ale jak zaproszenie do gry, w której karty są już znaczone. I dlatego jej obecność wciąż nie daje mi spokoju?

Wjeżdżam na główną ulicę. Neony rzucają światłem na mokry asfalt, tworząc w kałużach konstelację sztucznych gwiazd na martwym niebie. Na rogu jakiś bezdomny sączy truciznę z papierowej torby, skulony pod murem, jakby próbował się w niego wtopić.

Samochody wleką się leniwie, ich reflektory pełzną po bruku jak ślepe robaki. Na skrzyżowaniu wybucha czerwień. Ford warczy, wibruje pod moimi dłońmi, gotów wyrwać się z tej pułapki. Mijają mnie ludzie, a raczej ich cienie pochowane w płaszczach, każdy zamknięty w swojej osobistej celi rozpaczy.

Przejeżdżam przez most. Stalowe barierki lśnią wilgocią. Rzeka poniżej jest czarna i nieruchoma jak olej. Skręcam w lewo, w stronę wydziału technicznego. Parking świeci pustkami, co tylko potęguje wrażenie, że świat właśnie się kończy, a my jesteśmy ostatnimi ludźmi, którzy nie dostali zaproszenia na pogrzeb.

Wysiadam. Z oddali dobiegają odgłosy silników, wściekłych klaksonów i cichych, bezosobowych rozmów. Razem tworzą ścieżkę dźwiękową miasta, które nienawidzi samo siebie. W szybie auta widzę odbicie budynku: *biała fasada, lśniące okna*. Ktoś tu desperacko próbuje utrzymać pozory cywilizacji, nakładając świeżą farbę na gnijące blizny konstrukcji. To miejsce ma swoje lata i swoje trupy, ale ktoś dba, by nie rozpadło się zbyt szybko.

Na ścianie przy wejściu wisi krzywo metalowa tabliczka. Ma starte krawędzie, jakby czas próbował ją zjeść, ale czarny napis wciąż bije po oczach:

LABORATORIUM KRYMINALISTYCZNE SEKCJA B

Jeśli gdzieś w tym mieście można jeszcze rozłożyć mrok na czynniki pierwsze, to właśnie tutaj. Parker już na mnie czeka, a on kocha martwe dane prawie tak mocno, jak ja nienawidzę poranków. Identyfikator lekko kołysze się na smyczy. Przykładam go do czytnika. Pik. Zamek puszcza. Drzwi otwierają się z cichym syknięciem, wpuszczając mnie do środka. Natychmiast dostaję w twarz dawkę orzeźwienia. Czystość aż drażni nozdrza. Metal, plastik, echo środków dezynfekujących. Na ścianach oprawione plany budynku, jarzą się pod jasnym światłem. Tutaj nie ma miejsca na przypadek. Każdy element jest na swoim miejscu, jakby porządek był jedyną religią, jaka nam została. Monotonny szum systemów i ciche syczenie wentylacji zlewa się w jeden mechaniczny szept, który zagłusza myśli. Mijam kolejne korytarze. Krzesła pod ścianami stoją w równych rzędkach. Warsztat Parkera jest na samym końcu. Mleczne drzwi, za którymi światło jarzy się nieregularnie, jakby serce **sekcji B** miało arytmie.

Parker siedzi przy niskim biurku, pochylony nad jakimś otwartym urządzeniem niczym włamywacz nad sejfem, w którym zamiast złota są tylko cudze tajemnice. Kable wiją się między narzędziami jak logiczne pułapki, a drobne śrubki na metalowej tacy wyglądają jak szczątki cyfrowej ofiary. Na ekranie migają linie zielonego kodu, ale on na nie wcale nie patrzy, nie czyta danych. On wylapuje błędy instynktem. Parker nie naprawia sprzętu, wchodzi tam, gdzie system zakładał, że nikt nie wejdzie.

Zatrzymuję się przed nim, ale on udaje, że mnie nie widzi. Czeka.

– Karta – rzucam krótko, nie mając siły na uprzejmości.

Nie odpowiada. Wstaje, prostując te swoje długie, pajęczne łapy. Sięga na górną półkę po czarne, matowe pudelko. Otwiera je z nabożną ostrożnością, dając mi czas, bym poczuł ciężar tego, co zaraz nastąpi. Kładzie kartę przede mną. Zerkam w jej stronę. Zwykły papierowy prostokąt, ale po latach w policji wiem, że najlepszymi kłamcami są właśnie pozory.

– Nic. Zero. Czysta jak sumienie noworodka – zaczyna Parker, ale w jego głosie słychać nutę chorobliwego podziwu. – Ubranie czyste, karta tak samo. Ten, kto ją tam zostawił, to pieprzony artysta. Wiedział dokładnie, jak wszystko wyczyścić. To nie jest robota amatora.

– W szklarni też nic? Żadnego włosa, odcisku?

– Powiem ci tak: *to wygląda, jakby ona sama tam przyszła.*

– Serio? – pryham, czując narastającą irytację. – Położyła się, następnie zdechła na zawołanie? To ma być twoja oficjalna wersja? To mam wpisać do tego pieprzonego raportu?

Wsuwam kartę do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Jest zimna. Ten chłód przebija się przez materiał i dotyka skóry.

– Będziemy szukać dalej. – Parker wzrusza ramionami. – Ale bądźmy szczerzy, pewnie gównem z tego wyjdzie.

Rzucam na stół płytę od Tugers. Krążek wiruje przez chwilę, lśniąc w jarzeniowym blasku, zanim znieruchomieje.

– Sprawdź też to. I przygotuj się na to, że ten dźwięk może ci się śnić po nocach. Jeśli jeszcze w ogóle śpisz.

– Co to jest? – pyta Parker, a w jego głosie słychać niechęć do wszystkiego, co nie jest czystym kodem.

– Nagranie rozmowy z potencjalnym zabójcą. Albo z czymś, co go udaje – rzucam, czując na plecach lodowaty dreszcz. – Sprawdź, czy ktoś przy tym majstrował. Jeśli to cyfrowe kłamstwo, masz je obnażyć.

Bierze płytę, obracając ją spokojnie w dłoniach, jakby dostał jakiś

rodzaj radioaktywnego opadu.

– To wszystko?

– Tak, na razie. Jeśli coś znajdziesz, daj znać.

Z Parkerem nie ma co gadać bez dowodów.

Odwracam się i wychodzę z tej sterylnej klatki prosto w ramiona nocy, która znów zaczęła na mnie rzygać drobnym, złośliwym opadem. Krople osiadają na szybie Forda, rozmazując neony w drżące, krwawe smugi.

Drzwi zatraskują się glucho, odcinając mnie od szumu miasta. Włączam światło w kabinie. Nędzna, żółtawa żarówka ledwo omiata wnętrze. Wyciągam kartę. Papier wygląda na stary, lekko pożółkły, ale to oszustwo. Jest zbyt gładki, postarzony powierzchownie, by uśpić czujność. Przesuwam kciukiem po krawędzi. Jest nierówna, szarpana ręcznie, jakby ktoś wycinał ten wyrok w pośpiechu.

Wpatruję się w środek. Zegar. Popękana tarcza i wskazówki wygięte pod nienaturalnymi kątami jak połamane palce, które bezskutecznie próbowały zatrzymać sam czas. Cyfry rzymskie i symbole mieszają się w alfabet, którego nikt nie chciałby umieć czytać.

Im dłużej patrzę, tym bardziej mam wrażenie, że cienie postaci wokół tarczy zaczynają drgać. Może to zmęczenie, może to ta pieprzona kawa, a może ta karta naprawdę żyje własnym, mrocznym życiem. Na dole, piasek. Zasypuje dolną część karty, wysypując się przez widoczne szczeliny. Nie wiem, co to znaczy. I nie podoba mi się to.

Rzucam to gównem na siedzenie obok. Nie ma sensu zgadywać. Potrzebuję faktów. Zawracam płynnie, czując znajomy ciężar auta. Światła ulic rozmazują się na szybie, rwane pręgami wody, jakby miasto płakało nad własnym upadkiem.

Komisariat wita mnie swoją kakofonią, symfonią frustracji i beznadziei. Dean tkwi przy biurku, wciśnięty w telefon tak mocno, jakby od

tego zależało jego życie. Jego wzrok jest rozbiegany, nieobecny. Wodzi palcem po wyszczerbionym rancie kubka z zimną kawą, która już dawno straciła smak. Dostrzega mnie i przyspiesza rozmowę.

– Tak – przytakuje, brzmiąc jak zdarta płyta. – Jasne. Dzięki, szefie.

Odkłada telefon. Krzesło skrzypi pod nim jak szubienica.

– Mam nakaz – rzuca z tym swoim cwany uśmiechem.

– Dobrze, ale czemu dzwoniłeś?

Wzrusza ramionami, *klikając* coś na monitorze.

– Spójrz na to tak. To higiena pracy. To, że ty zawsze wyglądasz jak po tygodniu imprezy w kanale, nie oznacza, że ja mam ochotę oglądać gębę starego po nocy spędzonej przy whisky. To kwestia estetyki, Howard.

Patrzę na niego, czując, jak irytacja pulsuje mi w skroniach. Jego bez troska to tylko kolejna warstwa ochronna, którą nakłada na to bagno, żeby nie zwariować.

– Nie wierzę, że zadzwoniłeś tylko po to, żeby nie musieć z nim gadać twarzą w twarz.

– Powiedziałem, że jesteśmy w terenie i będziemy tego potrzebować, jak wrócimy. Kłamstwo to fundament skutecznej policji, nie wiedziałeś o tym?

Kręcę głową z lekkim politowaniem.

– Tak czy inaczej, cel osiągnięty, co? Stary jest w dobrym humorze. Albo po prostu chce mieć ten syf z głowy. – Dean rzuca to z tą swoją lekką pogardą, która jest u nas walutą narodową.

– Może jedno i drugie – odpowiadam.

Opadam na krzesło. Stare, metalowe rurki jęczą pod moim ciężarem, ale jeszcze się trzymają. Wyciągam z kieszeni kartę i kładę ją na zasyfionym blacie. Lśni w świetle jarzeniówek jak coś, co wypłuło samo piekło.

– Znasz się na tarocie? – pytam, nie odrywając od niej wzroku.

Dean zerka na prostokąt papieru, pilnując się, żeby go nie dotknąć. Jakby to była próbka węglik.

– Na czym? Howard, wyglądam ci na wróżkę z telewizji?

– No właśnie. Sprawdzę to w internecie. Może tam znajdę instrukcję obsługi tego szaleństwa.

– To ty baw się w egzorcystę, a ja idę rozprostować gnaty, zanim na stałe zrosną się z tym biurkiem.

Odpalam Explorera. Maszyna przetwarza dane, dysk rzeźi, a ja czekam, gapiąc się w kursor, który miga jak puls umierającego.

Wpisuje: *lista kart tarota. Klik*. Pierwszy wynik to ściek dla fanów ezoteryki: *fioletowe tła, gówniane amulety i obietnice szczęścia za jedyne 9,99\$*. Cudownie. Prawda zawsze jest ukryta pod grubą warstwą brokatu i kłamstw.

Mieję te informacje wzrokiem. Siedemdziesiąt osiem kart. Wielkie Arkana, Małe Arkana. Symbole losu, przeznaczenia i inne bzdury dla ludzi, którzy nie potrafią pogodzić się z tym, że rządzi nami przypadek i grawitacja.

Wielkie Arkana: *Głupiec, Mag, Kapłanka, Kochankowie...* Dwadzieścia dwie karty. Punkty zwrotne. Jakieś ezoteryczne cholerstwo, które ma tłumaczyć, dlaczego twoje życie to ruina.

Niżej Małe Arkana. Pięćdziesiąt sześć kart. Buławy, Kielichy, Miecze, Denary. Codziennosc opisana obrazkami. Dziesięć numerów, cztery figury.

Zatrzymuję się i patrzę na to, co leży przed moją ręką. Popękana tarcza zegara... te dziwne, wygięte wskazówki... cienie postaci, które zdają się drgać, gdy nie patrzysz na nie bezpośrednio.

Wracam do listy.

Głupiec. Stoi nad przepaścią. Nie wiem, czy to odwaga, czy po prostu brak mózgu. Może zaraz spadnie i skończy się ta zabawa.

Kochankowie. Spleceni w cieniu. Ich twarze to tylko plamy mroku,

ale wyglądają bardziej, jak ofiary wypadku niż para w ekstazie.

Rydwani. Dwa konie rwą w różne strony. Totalny paraliż. Chaos przebrany za ruch. Ten wóz nigdzie nie pojedzie tak jak to miasto.

Przewijam dalej, czytając te bzdury o uniwersalnych symbolach, przeznaczeniu i kosmicznym rezonansie, który rzekomo ma naprawić moją pustą lodówkę i jeszcze pustsze życie. Wyszukiwarka karmi mnie nadzieją skrojoną pod naiwnych internautów, mając archetypy **Junga** na papkę dla zdesperowanych. Każda karta, od *Maga* po *Śmierć*, została tu pozbawiona głębi i sprowadzona do roli prostej ilustracji, byle kupić naklejkę na zderzak samochodu. To wygląda jak darmowa próbka szamponu wklejona do kolorowej gazety. Obietnica luksusu, która starcza na jedno mycie i zostawia po sobie tylko puste opakowanie.

Wracam wzrokiem do mojego znaleziska. Moja karta nie pasuje do tego cukierkowego obrazka z internetu. Nie ma tu *światlanej przyszłości* ani *nonych możliwości*. Jest tylko ten zegar z powykręcanyimi wskazówkami, który wygląda, jakby czas oszalał.

Stukam palcem w papier. Jest zimny i niepokojąco gładki.

– Czym ty, do cholery, jesteś? – mruczę do pustego biurka.

Ktoś to musiał spreparować. Tylko po co? Jaki chory umysł zadaje sobie tyle trudu, żeby stworzyć kartę, której nie ma? To informacja. Jeśli tak, to dla kogo? Dla mnie?

Drzwi biura walą o framugę, wrywając mnie z tego transu. Kilku gliniarzy unosi lby znad raportów, rzucając szybkie, nienawistne spojrzenia, po czym wracają do swojego papierowego gnoju. Dean idzie przez salę, wymachując nakazem jak trofeum. Zatrzymuje się nade mną, szczerząc zęby w tym swoim cynicznym uśmiechu.

– Co tak siedzisz, Howard? Miałeś objawienie, czy po prostu twój procesor ostatecznie się przegrzał? – pyta, zaglądając mi przez ramię.

– Po prostu myślę. – Podnoszę brwi. Przesuwam ten kawałek tektury w jego stronę, jakbym podawał mu odbezpieczony granat. – To

nie jest zwykła karta tarota.

Dean opiera się o biurko.

– A co to znaczy *zwykła* w świecie, gdzie słońce bierze bezterminowy urlop?

– Tarot to siedemdziesiąt osiem kart. Wielkie Arkana to dw...

Przerywa mi, unosząc ręce w obronnym geście, jakby te fakty mogły go czymś zarazić.

– Serio? Przestań mi tu czarować i lać wodę. Mów konkretnie, zanim osiwieję do reszty.

– Gdybyś ty był zawsze taki konkretny... – szepczę pod nosem, po czym wbijam palec w rysunek. – Zegar. Nie ma takiej karty w żadnej talii od Los Angeles po Watykan. To błąd. Intruz.

– Widzisz? Można? – Klaszcze w dłonie, a ten dźwięk jest tak pusty, jak jego nadzieja na szybkie rozwiązanie tej sprawy. Potem jednak mruży oczy, a cynizm na chwilę ustępuje miejsca instynktowi. – Może jednak to jakaś autorska wersja? Jakiś niszowy syf dla artystów, którzy za dużo ćpają?

– Przejrzałem wszystko. Kolekcjonerskie edycje, dziwne fora, sklepy dla czubków. Nic. Zero. Ta karta narodziła się w czyjejs chorej głowie specjalnie na tę okazję.

Bierze ją w palce, obraca pod światło, jakby sprawdzał autentyczność banknotu.

– A więc to albo robota szarlatana, który ma za dużo wolnego czasu i nie lubi wędkowania.

– No właśnie, i to mnie martwi najbardziej.

Dean uśmiecha się krzywo. To jego firmowy grymas, którym maskuje fakt, że też ma gesią skórkę. Rzuca nakaz na stół. Papier wciąż jest ciepły, pachnie tonerem i biurokracją. To aromat procedur, które przecież i tak nikogo nie uratują.

– Olać wróżby. Zaglądamy do sekretów naszej artystki? Może w jej

pokoju znajdziemy instrukcję obsługi tego zegara.

Sięgam po dokument. To tylko kolejny kawałek nieistotnej rzeczywistości, urzędowe pozwolenie na grzebanie w cudzych śmieciach.

– Takie tajemnice zawsze smakują najlepiej, nie? – mówię to głosem tak wypranym z emocji, że sam siebie nie poznaję. To już nie jest ironia. To tylko stwierdzenie faktu w świecie, gdzie prywatność umiera wraz z pulsem.

Zaczyna się coś, co wykracza poza standardowy raport z miejsca zbrodni. Jeśli ta karta to list, to właśnie poczułem, jak ktoś przykładami znaczek do czoła. Stała się kotwicą, która uwięzła w mule tego gnijącego miasta. Myślmy, że ją badamy, ale tak naprawdę to ona nas tu trzyma, blokuje nam drogę ucieczki, podczas gdy wokół zaczyna wzbierać sztorm, na który nie mamy ani szalup, ani odwagi.

To pierwsza kostka domina, którą ktoś pchnął w naszą stronę z absolutnej ciemności. Wygląda niewinnie jak kawałek zadrukowanego papieru, ale ma w sobie wystarczający impet, by wywołać lawinę, która zmiecie ten komisariat i nas razem z nim, zanim w ogóle zrozumiemy, że nikt tu nie przyszedł wygrać. Przyszliśmy tylko odegrać swoje role w martwym przedstawieniu.



Labirynt pamięci

Unvoiced Til. Adres, który brzmi jak ponury żart, obietnica złożona w próżni. Żółtawa fasada budynku łuszczy się i odpada płatami, przypominając chorą skórę, która trzyma się kości już tylko siłą nawyku. Ślady dawnych remontów to jedynie jaśniejsze plamy farby, bez nadziejne próby zamaskowania fuszerki, które i tak zmatowiały pod bezlitosnym, choć niewidocznym od trzech dni słońcem. Kiedyś mieszkali tu ludzie, którzy wierzyli w pracę i jutro. Na dole parzono przyzwoitą kawę za kilka centów, która nie smakowała popiołem. Dzisiaj to miejsce stoi w milczeniu jak ranny pies czekający na poboczu, aż śmierć w końcu sobie o nim przypomni.

Na parterze wegetuje pralnia. Nad wejściem straszy odrapane logo. Z wnętrza bije aromat detergentu zmieszanego z zapachem ludzkiego zmęczenia. To lokalny czyściciel. Bębny automatów obracają się w nieskończoność, mieląc brud, którego nie da się już wypłukać. To hipnotyczny, jałowy rytuał zmywania win, które wżarły się w tkaninę tego miasta zbyt głęboko, by jakkolwiek chemia mogła je usunąć.

Obok dogorywa sklep monopolowy. Neon ledwie trzyma się resztek nadziei. Kilka liter już zgasło, reszta już tylko pulsuje, czekając na ostatecznie zwanie.

Wchodzimy na klatkę schodową. Szara farba na ścianach jest starta do gołego tynku wszędzie tam, gdzie szukały oparcia dłonie lokatorów. Każdy nasz krok odbija się głucho, jakby budynek liczył uderzenia gwoździ wbijanych w jego trumnę. Kurz wisi w dusznym powietrzu, walcząc o dominację z zapachem wilgoci i tanich środków czystości. Winda zatrzymuje się z jękiem metalu o kilka centymetrów za nisko. Drzwi otwierają się z niskim, zgrzytliwym dźwiękiem, czymś pomiędzy ostrzeżeniem a błaganiem o litość. Utknięcie tutaj... Powiedzmy sobie szczerze: *z tego miejsca się nie wraca.*

Korytarz wita nas absolutnym bezgłosem. Żadnych kroków, żadnych rozmów z innych lokali, tylko ledwo słyszalny szum miasta.

7b. Ostatnie drzwi na samym końcu, tam, gdzie mrok jest najgęstszy. Bladozielone, obdrapane na krawędziach, z resztkami zdrapanych naklejek jak świadectwo czyjejś nieustępliwości, która ostatecznie i tak przegrała z obojętnością.

Dean podchodzi i niepewnie chwyta za klamkę. Metal delikatnie się ugina, ale zamek trzyma mocno.

– Zamknięte.

– No, niedziwne – rzucam, wyciągając paczkę papierosów, bez patrzenia na niego.

– Nie, ale kto wie. Nigdy nie wiadomo.

– Naprawdę liczyłeś na to, że zostawi klucz pod wycieraczką i liścik: *wejdź, Dean, i poznaj moje sekrety, zanim całkiem wyparuję?*

Zaciągam się.

– Howard... oszczędź mi tych nadziei. Dzwoń do ślusarza albo od razu do grabarza od drzwi.

Wzdycham, wyciągam telefon i dzwonię. Monotonny sygnał w słuchawce brzmi jak odliczanie na oddziale reanimacyjnym. W końcu odzywa się głos. Chropowaty, zmęczony, wyrwany z drzemki, która pewnie była jedyną dobrą rzeczą w jego nędznym życiu. Podaję adres. Mężczyzna mruczy coś pod nosem, obiecując, że zjawi się za kwadrans. Chowam telefon, nie spuszczać wzroku z drzwi. Zastanawiam się, ile warstw kłamstw musi skrywać ten zamek.

W korytarzu powietrze stoi w miejscu. Smakuje wspomnieniami, które zdechły i utkwily tu na zawsze przez awarię wentylacji. To stała atmosfera stagnacji. Nic się nie rusza, nic się nie zmienia, wszystko tylko powoli śmierdzi. Przez brudne okno widać światła miasta, rozsmazane plamy czerwieni i złota, które układają się w przypadkowy, niepokojący wzór. Przechodnie pod latarniami wyglądają jak cienie potępieńców, blakające się bez celu po dusznej scenografii.

– Coś cię gryzie? – Dean patrzy na mnie z ukosa.

Strząsam popiół na posadzkę, niech dołączy do reszty brudu.

– Po prostu... – Wypuszczam dym. – Nie lubię, jak coś się nie zgadza i psuje rytm.

Nie pyta dalej. Nie musi. Doskonale wie, że to nie kwestia zamka ani drzwi. Problem jest głębszy, choć jeszcze nie widać, w jakiej formie będzie chciał się łaskawie ujawnić.

Trzeci papieros dogorywa między moimi palcami. Dym wije się leniwie, nie rozprasza się, tylko wgryza w skórę, przygniatając swoją cichą obecnością.

Po chwili w korytarzu pojawia się wyczekiwany mężczyzna. Oczy ma podkrążone, ale wciąż czujne. Jest gotów na wszystko, co może go zaskoczyć. Palce ma pewne, ale paznokcie brudne od smaru. Skóra jest zgrubiała w miejscach, gdzie zbyt wiele razy dotykała twardych narzędzi. Ma na sobie kombinezon, który lata świetności ma za sobą. Jest wyblakły, przytarty, śmierdzący olejem i rezygnacją. Mężczyzna ocenia wzrokiem drzwi, potem nas. W jego spojrzeniu nie ma grama ciekawości. Widział już tysiące takich drzwi i tysiące takich gliniarzy. Zna tę opowieść i zna wszystkie jej zakończenia. A każde z nich jest tak samo brudne.

– Co mamy? – pyta, nie podnosząc wzroku.

Dean podaje mu nakaz. Ślusarz ledwie zerka na papier. Dla niego to tylko świstek, który sprawia, że jego praca jest legalnym wandalizmem, a nie przestępstwem. Sięga do torby po pognieciony blok formularzy, który przeszedł już przez niejedno piekło. Wypełnia go na autopilocie.

– Panowie, dane. Tylko tyle mnie obchodzi – rzuca.

Wpisujemy się. Długopis skrobie o wilgotny papier, tusz rozlewa się nierówno, tworząc kleksy, które wyglądają jak małe plamy atramentowej krwi. Mężczyzna odrywa kopię, składając ją pewnym ruchem.

– Dwie minuty.

Kłęką przy zamku, a torba uchyla się szerzej, odsłaniając arsenal narzędzi. Wyglądają jak zestaw do patroszenia, nie tylko zamków. Facet nie traci czasu. Cienkie wytrychy wślizgują się w szczelinę, badają mechanizm w milczeniu, wyciągając z niego każdy wstydlivy sekret zapadek.

– Ludzie myślą, że zamki ich ochronią – rzuca ślusarz, a w jego głosie słyhać czysty, techniczny cynizm. – Ale w tym mieście nie ma takich drzwi, których nie dałoby się rzucić na kolana.

Zamek puszcza, wydając ostatnie tchnienie. Ciche, ostateczne *kliknięcie*. Mechanizm poddaje się, nie mając już siły walczyć z profesjonalną przemocą.

– Proszę bardzo.

Zbiera graty błyskawicznie. Narzędzia lądują w torbie z metalicznym szczękiem. Wstaje i odchodzi, nie rzucając nawet spojrzenia. To nie jego sprawa, nie jego syf. Znika w mroku korytarza, a my zostajemy sami z zapachem smaru i tym, co czai się za progiem.

Dean sięga po broń, kabura wydaje cichy trzask. Napięcie w jego ruchach mówi więcej niż słowa, ale nie wyjmuje jej, tylko delikatnie ją przesuwa.

– Wchodzimy? – pyta, gapiąc się w ciemność za progiem. Ta czerń zdaje się nas wchłaniać, smakować, zanim ostatecznie nas przelknie.

– Dean, nie po gnilem na korytarzu, żeby teraz ustąpić przed wejściem – odpowiadam, starając się brzmieć pewnie.

Tylko czy naprawdę chcemy tam wejść?

Na początku jest zastaly zapach zmieszany z powietrzem, które nie ruszało się przez tygodnie. Potem ciemność. Nie ta zwykła, brak światła, ale ta, która ma kształt, masę i własną, złą wolę. Jest oślepiająca, niemal fizyczna. Dotyka skóry, szepcząc prosto do ucha, że intruzi nie kończą tu dobrze.

Dean rusza przodem. Jego wzrok omiata wnętrze, szukając schematu w chaosie. Standardowa procedura: *wejść, nie zrygać się, znaleźć coś, co pozwoli zamknąć sprawę przed świtem, który i tak nie nadejdzie*. Proste. Zostaję z tyłu. Papieros zwisa mi z ust, a żar jest jedyną, nędzną iskrą w tej martwej przestrzeni. Zaciągam się resztką dymu, mimo że już smakuje filtrem.

Mieszkanie jest ciche, aż za bardzo. Dźwięki z zewnątrz zatrzymują się w progu, nie mają odwagi przekroczyć tej granicy. To miejsce sprawia wrażenie odciętego od reszty świata, gdzie czas płynie wolniej albo wcale. Jest za duże jak na kogoś bez stałej pracy. Z czego ona się utrzymywała? Stare, drewniane podłogi skrzypią pod naszymi butami, przeciągając dźwięk po pomieszczeniu, wydłużając ciszę. Głębiej unosi się gorzki zapach farby olejnej.

Przeciągam dłoń po drewnianej komodzie. Kurz przykleja mi się do palców, tworząc cienką warstwę, jakby całe to miejsce było czymś oblepione.

– Spodziewałem się czegoś... sam w sumie nie wiem, bardziej przytulnego? – burczy. – Gdzie kwiaty w wazonach, pastelowe poduszki i książki o pozytywnym myśleniu?

Zamiast tego obrazy na ścianach, *brutalne*, jakby farba nie została wymieszana tylko z pigmentem, ale z czystym oblędem, co sprawia, że scena staje się szokująca. Postacie w nierealnych pozach, rozkład podany na tacy, ciała jak połamane marionetki, których sznurki ktoś poplątał w pijackim widzie. Zatrzymane w połowie gestu, w groteskowej imitacji życia. To nie są obrazy, to okna otwarte prosto na najgłębsze warstwy koszmaru. Niektóre realistyczne do bólu, inne abstrakcyjne, jakby ktoś próbował namalować dźwięk topniejącej duszy.

– Miała chore... kurwa, chore poczucie estetyki. – Dean spluwa na podłogę.

Rozglądam się po ścianach, zatrzymując się na kolejnych obrazach.

Coś w nich jest. Niepokój, który nie daje się uchwycić. Rozlewa się poza granice słów. Nie chcę patrzeć dłużej, niż muszę. Każdy szczegół wypacza prawdziwość, przesuwając proporcje, rozmywając granice, wyciekając poza swoje ramy. Każda sekunda spędzona przed nimi. To jak powolny koszmar dla moich oczu.

Pierwszy obraz: *mężczyzna w martwej agonii*. Szeroko otwarte oczy, źrenice rozszerzone do granic możliwości. Coś rozumiał, ale za późno. Usta rozwarłe w niemym *krzyku*. Dźwięk, którego nie ma, ale który rozrywa bębunki w mojej głowie. Ten obraz nie pokazuje bólu. On nim promieniuje, infekując powietrze w pokoju tak skutecznie, że każdy oddech smakuje jak *żelazo i strach*.

To nie jest ciało. To echo jego obecności, zbyt doskonale, by mogło być prawdziwe. *Zgięte, złamane, sprasowane* przez nieznaną siłę. Kości wychodzą spod skóry, próbują zostawić to, co jeszcze żyje. Ciało to nie *dom*, to pułapka z zamkiem od wewnątrz. *Żebra rozwarłe* pod złym kątem, jakby miały zaraz *oderwać* się od reszty. Czerwone plamy na płótnie to nie krew, to substancja. Zbyt nasycona. Zbyt obca. Nie chodzi o realizm. Chodzi o to, by widz musiał patrzeć. Skóra przecięta. Każde cięcie zrobione z zamiarem. Zostają nie tylko rany, ale i ślady. W tym obrazie nie ma śmierci. To próg, moment przed. Zamrożony strach. *Krzyk*, który nigdy nie odpuści.

Drugi: *kobieta*. Twarz *rozzerwana* w uśmiechu, który nigdy nie poznał *granic mięśni*. Oczy czarne, ale nie jak otchłań, tylko jak coś, co już nie potrzebuje wzroku. Z ciała sączy się płyn, lepki, zimny, jak syntetyczny śluz. Uniesiona ręka nie niesie żadnej intencji. Paznokcie wyrosły w szaleństwie, długie, zakrzywione, *nieludzkie*.

Powierzchnia obrazu jest niemal trójwymiarowa. Faktura ciała tak zawieszista, że niemal zdaje się mieć temperaturę. Wzrok zaczyna ślizgać się po szczegółach. Widoczna substancja, nie tylko *obecna*, *lecz*

wręcz ruchoma. Wślizguje się między fałdy, *oplata forme*, żyje kosztem jej wnętrza. To nie tylko perspektywa. To struktura, zapach, którego nie da się zetrzeć z myśli. Obraz wchodzi przez oczy, ale zostaje w ciele. Odbieram to całym sobą, wszystkimi zmysłami naraz.

Te obrazy nie tylko przedstawiają cierpienie. One je doświadczają, wypływają z każdej szczeliny, wstrząsając mną, na poziomie, którego nie potrafię pojąć. Nie wiem, jak długo patrzę. Sekundy? Minuty? Nie jestem pewien. Zegar w kącie pokoju spóźnia się o kilka chwil, gubi czas, nie mogąc utrzymać właściwego rytmu. Wciągam głęboko powietrze, starając się oczyścić umysł. Muszę stąd wyjść, daleko od tych piekielnych widoków.

Odwracam się. Na stoliku leżą pędzle, szkicowniki, noże malarskie. Wszystko wygląda na używane, ale nie tutaj. Bez plam farby, bez śladów pracy. Musiała mieć pracownię gdzieś indziej.

Dean otwiera szufladę komody. Dźwięk przesuwających się przedmiotów łamie ciszę. Wyciąga zeszyt, przekartkowuje go, a na jego twarzy pojawia się zniechęcenie. Krzywi się lekko.

– Nie wiem, czego szukamy, ale wolę to znaleźć, zanim natrafię na coś jeszcze bardziej pojebanego. – Widać, że coś zauważył, ale woli odwrócić od tego wzrok.

Stoję przy biurku, palce mimowolnie przesuwają się po zimnej powierzchni, czując każdą rysę, każdą nierówność. To miejsce coś krywa, ale co? Jakaś tajemnicę? Coś ukrytego w cieniu, czekającego tylko na odkrycie?

Przechodzę kilka kroków do przodu. Wszystko, co tu jest, oblepia mnie, wchłania każdy ruch, każdą myśl. Zatracam się w tej atmosferze. Miejsce ma własne życie, obarcza mnie swoim ciężarem.

– Howard. – Jego głos się zmienia. Nie jest już rozbawiony, nie lekceważy mnie. Czuć w nim coś więcej, coś, co zmienia wszystko.

Odwracam się, marszcząc brwi.

– Co znowu?

– Musisz to zobaczyć.

Stoi przy ścianie. Patrzy na obraz, który wisiał tam od początku, ale dopiero teraz go zauważyliśmy. Przez cały czas był tam, czekając, aż spojrzymy w jego stronę. Podchodząc bliżej, czuję, jak napięcie w powietrzu niemal uderza mnie po twarzy.

Zatrzymuję się.

Patrzę, ale nie wierzę własnym oczom. To ja, jednak to nie mogę być ja. Moje oblicze, moje oczy, ale jakieś inne. Patrzą na mnie, ale to nie ja patrzę. To coś, co przybrało moją formę, z jakimś nieznanym zamysłem. Czarne tło mnie wciąga, pustka nie daje mi spokoju. To jak ciemność, która nie tylko otacza, ale i przesywa, wnika. Rozmyte sylwetki postaci, które nie wydają się realne, są tylko wspomnieniem, które nigdy nie miało pełnej formy. Ten obraz to przekłete zwierciadło. Nie przedstawia mojej twarzy. On ją więzi. Patrząc na to płótno, czuję, jak mój świat puszczą na szwach, a ja staję się tylko marną kopią tego, co ona namalowała w swoim szaleństwie. To nie jest portret, to wyrok wydany na moją tożsamość.

– Co to jest? – słowa wydobywają się z moich ust z trudem...

Dean patrzy na obraz potem na mnie. Jego oczy są ciemne, zamglone. Sięga do kieszeni, szukając odpowiedzi, ale nie znajduje jej.

– To chyba, kurwa, pytanie do ciebie.

Oddycham płytko. Obraz mnie przytłacza, nie jestem w stanie oderwać wzroku. Pochłania mnie niczym czarna dziura, z której nie ma ucieczki. Mam wrażenie, że staję się częścią tego obrazu.

– Masz jakiegoś tajnego fana? – rzuca, ale w jego głosie nie ma śladu lekkości. – Może znałeś ją kiedyś? – Zbliży się, a jego głos staje się sztywny. – Dawna znajoma? Dziewczyna z baru? Ktoś, kogo kiedyś minąłeś na ulicy?

– A co to kurwa, przesłuchanie? – Ściskam zęby.

– Nie, próbuje ci pomóc.

– Dzięki za taką pomoc – mruczę, ściskając papierosa, licząc, że to zneutralizuje bałagan w mojej głowie.

Błądę w swoim własnym labiryncie pamięci, ale wszystkie alejki są ślepe. Los Angeles to miasto, które buduje się na amnezji, a ja właśnie odkryłem, że ktoś sporządził szczegółowy plan moich własnych zapomnianych grzechów i powiesił go na ścianie. Miasto, które wszystko wypłuwa i niczego nie trzyma. W głowie przesuwam wspomnienia jak karty w talii. Miejsca, twarze, spojrzenia. Czy kiedykolwiek ją spotkałem? Może spojrzalem. Może zamieniliśmy parę słów. A może nie pamiętam nic.

Pstryk. Płomień rozświetlił obraz, rzucając dziwne, zniekształcone cienie na ścianę. Mam wrażenie, że w tym świetle obraz zdaje się jeszcze bardziej niepokojący, a w jego wnętrzu ukrywają się rzeczy, które nie mają prawa istnieć. Wciągam ciepły dym.

– A Gdybyś zobaczył portret ze swoją twarzą, bez względu na to, w jaki sposób został namalowany, co byś pomyślał? – pytam, nie odrywając wzroku od płótna.

Dean wzdycha, widać, że nie chce się nad tym zastanawiać.

– Pewnie pomyślałbym, że ktoś ma naprawdę dziwaczny gust. Tylko, Howard ... dobrze wiesz, że to coś więcej. To nie wygląda na zbieg okoliczności.

Wypuszczam tłusty obłok, próbując wyprzeć tę myśl.

– A może chodzi o coś zupełnie innego? – rzuca nagle. – Może ona wcale cię nie знаła. Może ktoś jej zlecił, żeby to namalowała.

Obracam się w jego stronę, marszcząc brwi. Zimny dreszcz przeżywa mi kark.

– Za dużo tych *może*.

– Wiem, Howard, ale jedno ci powiem. Jeśli martwa dziewczyna

trzyma w mieszkaniu twój portret... to coś tu cholernie nie gra.

Słowa zaczynają rezonować w głowie, przypominając echo w pustym pomieszczeniu. Elementy zaczynają do siebie pasować, ale nie widzę wzoru. Jest jeszcze coś. Wszystkie jej prace są brutalne, chaotyczne, przesycone dziką ciemnością i bólem. Życiem, które nie potrafiło znaleźć spokoju, ale ten obraz... Jest inny. Zbyt wyważony.

Zbliżam się, przeczuwając, że odpowiedź może być tuż pod palcami, a obraz mi coś powie, jeśli tylko podejść wystarczająco blisko.

Farba na nim pachnie inaczej, to jest bardziej, jak smród, jak coś palonego, z nutą czegoś zleżalego, co wypełnia powietrze i zostaje na skórze. Wokół wszystko wydaje się pełne nieświeżości, nawet jakby ściany i podłoga zatrzymały w sobie oddech przeszłości, zapomnianą duszę tego miejsca.

Stare płótno, stare ściany, stare wspomnienia.

Sięgam ręką z obawą, że dotyk może uwolnić coś, czego nie chcę, coś, co powinno być ukryte. Każdy mój ruch jest powolny. Przecieram powierzchnię. Jestem zaskoczony jej dziwną fakturą, nie do końca rozumiejąc, dlaczego dotyk tego obrazu wydaje się tak... niepokojący.

Pod opuszkami odbieram coś, czego nie potrafię określić. Powłoka jest gładka, ale niekoniecznie równa. Wypukłe miejsca przeplatają się ze wklęsłymi, jakby coś chciało się uwolnić spod jej powierzchni. Coś, co jest wciśnięte w obraz, zakleszczone w nim jak stłumiony wrzask.

Za ścianą rozlega się kapanie wody. *Tik... tik... tik...* Dźwięk ma zbyt regularny, mechaniczny charakter. Czas zwolnił, a każdy upływający moment staje się pułapką.

– Musimy dowiedzieć się, kto jej to zlecił – szepczę, ale wiem, że to nie wystarczy.

– Albo, co gorsza... – Dean patrzy na mnie. – Dlaczego?

Sięga po telefon i dzwoni po kryminalistyków, traktując to jak zwykle zamówienie na pizzę.

– Mamy coś, co trzeba obejrzyć – zaczyna, a ja rozglądam się dalej.

Mój wzrok pada na łóżko. Na pościeli leży notatnik, zapomniany, złożony na jej wyblakłych krawędziach, które straciły kolor od ciągłego prania. Skórzana okładka jest nieco zużyta, brzegami zaczynają się strzępić delikatne ślady czasu. Napis na okładce:

SEKRETY MOJEJ GŁOWY

Otwieram go ostrożnie. Chaos. Strzępy zdań, pojedyncze słowa zapisane w pośpiechu, jakby nie miała czasu na nic więcej.

*nie otwieraj drzwi
jeśli zapuka, zobaczysz, to nie on
nigdy nie był
to niemożliwe
nie patrz w oczy
nie odpowiadaj, nawet jeśli mówi twoim głosem
to nie ty
to nie ty
spalam
myślałam, że ~~spie~~
ktoś tu był
on to on
w środku
~~nie w domu~~
we mnie
zabrał coś
nie jestem już
nie jestem
nie jestem już*

*chciałam ci powiedzieć
 tylko nie słuchasz
 nikt nie słucha
 zaczęło się od głosu i dźwięku
 takiego... cienkiego
 jak szept, oddech przez szparę
 potem przyszedł sen
 nie był mój
 nie był mój
 teraz
 nie wiem
 czy jestem jeszcze obudzona?
 czy to ty?
~~czy ja~~
 czy on?
 czy...*

Czytam te słowa i mam wrażenie, że to nie jest zapis choroby to raport z pola bitwy, którą ta kobieta przegrała we własnym łóżku.

Ten intruz nie pukał. Nie fatygował się nawet, by użyć klamki. Wyważył drzwi, wyrzucił stare meble jej tożsamości przez okno i teraz rozsiada się w tej pustej czaszce z brudnymi nogami na stole.

Część z nich jest tak mocno skreślona, że ledwo da się je odczytać, jakby próbowała je zabić. Wydaje mi się, że to, co znajdę dalej, nie będzie łatwe do zrozumienia.

Kolejne strony:

*Projekt dla H.
 Spotkanie w L.A.
 Światło pada pod złym kątem. Muszę poprawić*

Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale wiem, że w tej dezorganizacji jest coś, czego nie potrafię uchwycić.

Przewracam kartkę.

Nie wiem, czy to dobrze, ale obiecałam, że to zrobię

Muszę to zrobić

Cie Ń nie pas uje do te go obra zu

Ost atn i obr az. Po te m w yja de

Słowa się łamią. Desperacja, napięcie. Ona chciała wyrwać z siebie coś, co wrastało w niej zbyt długo. Zatrzymuję się na jednym wyrazie, który wygląda, jakby sam siebie wypalił w tych kartkach:

LUX AETERNA SILENTIUM

Trzy słowa, zapisane gwałtownym ruchem. Krzyk wciśnięty w papier. A jednak zapisała to milczeniem. Czerwony, podkreślony tekst nie daje mi spokoju. Mrużę oczy. Znam to, ale nie mogę sobie przypomnieć skąd. Może to było kiedyś w książce? Może to z filmu, może... gdzieś to widziałem, słyszałem. Gdzieś w przeszłości?

Na marginesie, mały szkic. To biała maska. Wyrysowana ostrymi, zdecydowanymi liniami. Wydaje się czymś więcej niż tylko elementem rysunku. Jest w niej coś dziwnego. Skrywa niewypowiedzianą groźbę. Maska... **Lux Aeterna Silentium** ... Może to klub? Stowarzyszenie? A może coś znacznie gorszego. Albo tylko osobista obsesja ofiary?

Cofam o kilka kartek: spotkanie w L.A. Teraz pytanie. Czy chodzi tu o Los Angeles, czy o **Lux Aeterna**?

W tym momencie zbliża się Dean.

– Masz coś? – Zagląda mi przez ramię.

– Może. Lux Aeterna Silentium... coś ci mówi? – pytam, choć sam wiem, że to nie jest proste pytanie.

– Yyyyy... brzmi jak klub dla snobów.

Przewracam kolejne strony. Luźne szkice, rysunki sylwetek, które nie pasują do siebie. Twarze. Znam je, ale nie potrafię ich umiejscowić. Każda wydaje się znajoma jak odbicie w lustrze z przeszłości, ale z której nie jestem w stanie wyciągnąć żadnej historii.

Ostatnia kartka:

Harold Wage Phelptoon

Wanda H. O.

– A to? – Dean wskazuje na te imiona palcem.

– Też chciałbym wiedzieć.

Wpatruję się w litery. Układają się w coś, co powinno mieć sens, ale nie dla moich oczu. Jeśli miała mój portret na ścianie, to możliwe, że te osoby mają z tym coś wspólnego. A może to oni są odpowiedzialni za to wszystko.

Zamykam notatnik, wsuwam go do kieszeni płaszcza. Techników nadal nie ma, ale pewnie zaraz się zjawia.

Dean przeciąga się, zerka na zegarek.

– Dobra i tak tu już nic nie zdziałamy. Żarcie?

Kiwam głową.

– Brzmi dobrze.

Uśmiecha się krzywo.

– W końcu jakaś sensowna decyzja.

W progu zatrzymuję się na chwilę, odwracając się w stronę obrazu. Patrę jeszcze raz na moją twarz. Po chwili zawahania się wiem, że muszę wyjść, nim ta myśl zdominuje wszystko, co mogłoby mnie tu trzymać dalej.

Trzydzieści minut później.
Szyld nad wejściem:

Minus Motivates Diner Since 1958

Drzwi zatrząskują się za nami, a ciche brzęczenie dzwonka odbija się w powietrzu, wchłaniając zapachy bekonu, starego oleju i tłuszczu na zaparowanych szybach. Bładawe światło lamp rzuca niedosmażone cienie. Odbija się od stolików i sztućców, zmęczonych latami nadużywania. Wszędzie obecni są ci sami zżarci ludzie. Starsi ludzie, którzy czują, że ich życie przeszło obok. W kącie kilku facetów w garniturach. Twarze jak po karambolu, które nie potrafią już udawać. Widać w nich żal. Za wszystkim, co miało znaczenie. Pomimo tego wszystkiego, muszą teraz tu być. Tak jak ja.

– Idealnie. – Dean zdejmuje płaszcz. – Miejsce, gdzie kawa smakuje jak zmielone sumienie mojej byłej żony.

– Przecież ty nie byłeś żonaty.

– Widzisz? Nie mam żony, a i tak zrobiła mi burdel w głowie.

Siadam naprzeciwko, wciąż czując na skórze chłód tamtego dusznego mieszkania. Wchodzę tu bez złudzeń, bez nadziei na poprawę. Zresztą, co ja wiem o nadziei.

– Burdel to ty już miałeś wcześniej – mówię cicho.

Dean wpatruje się w blat, jakby coś liczył. Dopiero po chwili podnosi wzrok.

– Co?

– Pytałem, czemu tu przychodzimy?

Dean milczy chwilę. Jego szczeka napina się, jakby już miał coś odbić, ale myśl gaśnie, zanim zdąży wyjść z ust. Po chwili jednak mówi:

– Bo lubimy cierpieć.

Kelnerka podchodzi, wchodząc w scenę, którą odgrywa tu już od lat. Starsza kobiecina, z jakąś stałą rutyną na twarzy, której nic nie jest w stanie już zdziwić.

– To, co zwykle, panowie? – Zna nas na wylot, po prostu wie.

Dean zamawia pierwszy.

– Bekon, jajecznicza, tosty. Mała czarna, tak jak sumienie mojego kolegi – mówi to z lekkim uśmiechem.

– Będę udawał, że mnie to nie dotknęło. To samo.

To wszystko wydaje się normalne, ale my siedzimy tu, jakbyśmy dopiero co przekroczyli kolejny krąg piekła, tylko bez **Danteo Alighieri** za towarzysza. On miał przynajmniej **Wergiliusza**, który tłumaczył mu sens każdego cierpienia. My mamy tylko kelnerkę, pytającą o zamówienie. Nasze potępienie jest głuche i pozbawione poezji. Nie ma tu płomieni ani lodowych jezior, jest tylko ten mdły zapach mielonych ziaren i świadomość, że nikt nie spisze naszych losów w cholerynych tercynach. Jesteśmy w kręgu, którego nie ma na żadnej mapie, tym bardziej w Los Angeles. W kręgu ludzi, którzy przeżyli koniec świata, ale muszą dokończyć śniadanie.

– Miałeś romans z martwą malarką? – rzuca nagle.

Podnoszę wzrok, zaskoczony tym pytaniem.

– Nawet jej nie znałem. Oszczędź sobie tych nędznych scenariuszy.

– Wiesz, może ona była jak te kobiety, które piszą listy do seryjnych morderców.

– Serio... wyglądam na mordercę? – Wzrasta irytacja, której nie da się zignorować.

– Wiesz, Howard ... coś jest w tych twoich oczach. Patrzysz na mnie jak jakiś czarny charakter z filmu noir. Tylko że bez tych błyskotliwych tekstów i z jeszcze większym balaganem w głowie niż ten, co zastaliśmy u malarki. Ci faceci przynajmniej trzymali jakiś fason do

napisów końcowych.

– Dzięki za trafną diagnozę, doktorze **Jekyll**. Wiesz, co jeszcze siedzi w mojej głowie? Ten cholerny obraz.

– **Życie to sen** – mówi. W jego oczach teraz błyszczy **Hyde**.

Marszczę brwi.

– Co ty właśnie powiedziałeś?

– Nieważne. To nie miało sensu nawet w moich myślach. Zapomnij – macha ręką, jakby odganiał muchę od padliny.

Przewracam oczami.

– No to świetnie. Będziemy teraz gadać zagadkami?

Odkłada sztucce.

– Dobra. Załóżmy, że to nie przypadek. Ktoś dał jej ten tarot. Kazał namalować twój portret. Kazał jej... – Dean przerywa swoją myśl w połowie zdania.

– Umrzeć? – To słowo pada między nami jak kula, która odbija się od ścian, ale nie trafia do celu.

– Może. Albo po prostu trafiła na wiedzę, która miała zbyt wysoką cenę, żeby pozwolili jej z nią biegać po mieście – mówi to z taką lekkością, jakby wystawiał fakturę za czyjś zgon.

Wyciąga rękę po filiżankę, a ja widzę w tym geście całą biurokratyczną obojętność tego świata. Najpierw kogoś zabijają, a potem spokojnie dopijasz espresso, bo przecież praca sama się nie skończy. Czasem myślę, że śmierć jest dla niego tylko przecinkiem w zdaniu, które i tak nie ma sensu.

Zapach przysmażonego jedzenia wisi w knajpie, ale nagle wszystko staje się mdle. Całe to miejsce, cały akt, staje się tylko tłem, bez scenariusza i z nagrobkami aktorów.

Dean poważnieje na moment.

– Coraz mniej mi się to podoba.

– Mnie też. – Uśmiecham się krzywo.

Rzucam kilka banknotów na blat. Za kawę, za święty spokój oraz za **Beatrycze**, której tu nikt nie poprowadzi przez żaden krąg.

– Wracamy? – Dean rzuca pytanie.

Kiwam głową.

Jest coś uspokajającego w powrocie. Szum rozmów, ciche głosy, szelest papierów. Buduję wokół siebie mur z akt. Każda teczka, każdy raport to cegła w fortecy, która ma mnie odgradzić od fałszu tego świata. Ten proceduralny porządek to jedyna siła, która sprawia, że świat wydaje się, choć odrobinę bardziej prawdziwy, nawet jeśli to tylko kłamstwo zapisane na papierze.



Czas ruszył

Siedzę przy biurku. Opieram się o blat z twardego drewna, a dłonie opadają wzdłuż krawędzi. Zaciągam się papierosem. Nikotyna zaczyna się sączyć do moich żył. Dym wypuszczam powoli, pozwalając, by unosił się leniwie, mieszając się z tym starym, przepoconym powietrzem w biurze. Lampa nad biurkiem rzuca zziębnięte, nieprzyjemne światło, a ja patrzę, jak dym wnika w nie, tańczy, tworząc niemal materialną zasłonę.

Dean stoi obok. Jego sylwetka rzuca długi cień na ścianę.

W świetle monitora widać ostre linie jego twarzy, cień zarostu, lekki grymas znużenia.

– Dobra, zaczynamy od tego całego **Lux Aete...** – zerkam do notatnika. – **Lux Aeterna Silentium.** Brzmi jak łacina. Może wiesz, co to znaczy profesorze? Oszczędziłbyś nam czas. – pytam, z lekkim złośliwym uśmiechem, bo dobrze wiem, że nie ma pojęcia.

Dean robi oczy jak jednodolarówki, patrzy na mnie, jakbym zasurował, że właśnie zapisał się na kurs tajemnej magii.

– Miałem łacinę na studiach, ale to było wieki temu.

– A pamiętasz, chociaż jak wymieniać żetony na piwo w barze studenckim? Bo to chyba jedyny fragment edukacji, który faktycznie ci się przydał.

Dostaję od niego szybki cios w tył głowy. Mimo całej tej sytuacji jest w tym coś zabawnego.

– Co cię tak bawi? – rzuca z przekąsem. – Kujonem raczej nie byłeś. Inaczej nie musiałbyś dziś klepać ze mną raportów po godzinach, których i tak nikt nie czyta.

Przez chwilę udaję, że czegoś szukam w notatkach, żeby nie musiał widzieć, że się uśmiecham. Nie dam mu tej satysfakcji. Jeszcze by pomyślał, że go lubię.

Zaczynam wpisywać hasło w przeglądarkę. Wyszukiwarka wyrzuca mi w twarz szum informacyjny: stare pieśni o aniołach, łacińskie frazy

o wieczności, barokowe katedry w sepii. Same śmieci.

* * *

Lux Aeterna Silentium – manifest cyfrowy (1998)

<http://www.luxaeterna.org/manifesto.html>

Strona artysty działającego pod pseudonimem Lux Aeter. Zawiera cyfrowe kolaże, fragmenty poezji oraz zdjęcia rozmażanych symboli. Całość migocze w nieskiej rozdzielczości na czarnym tle.

* * *

Forum.alt-occult.net „Lux Aeterna Silentium” – co to takiego jest?

<http://forum.alt-occult.net/thread/luxaeternasilentium1843.html>

Stara dyskusja z 1996 roku. Jeden z użytkowników twierdzi, że wyrażenie pojawiło się w zakazanym traktacie przetłumaczonym z łaciny przez sektę Via Noctis.

Ostatni wpis: „Kto naprawdę to widział, ten milczy”.

Moderator zamknął wątek miesiąc później.

* * *

Angelic Hosts: Lux Archive

<http://angelichosts.tripod.com/luxarchive.html>

Amatorska strona o rzekomym zakonniku z XIII wieku, Luxariusus.

W tle gra cicha muzyka MIDI.

Cytat ze strony: „Głosy zgasły. Została tylko pamięć światła”.

Ostatnia aktualizacja: listopad 2000.

* * *

DMOZ Mirror – LA_Silentium.html (zarchiwizowany)
http://web.archive.org/web/Weird/Esoteric/LA_Silentium.html
Zarchiwizowany katalogowy wpis. Zawiera fragment rzekomego kazania z a-
konu Fratres Aeterni.
Wersja w archiwum – oryginał usunięto.

Geocities – Shadow Gate Archive
<http://www.geocities.com/shadowgate7/silentlux.html>
Zbugowana strona z prostym kodem HTML.
Tekst na środku: „Lux Aeterna Silentium to nie modlitwa. To ostrzeżenie”.
Podpisane: admin7 // kontakt: brak.
Licznik odwiedzin zatrzymał się na: 02766.

– I co? – Dean zagląda mi przez ramię. – Odkryłeś jakiś nowy kult miłośników świec? Albo medytujących hipsterów?

– Same pierdoly.

Klikam już chyba setny link. Kolejna strona nie ładuje się od dobrych dwóch minut.

– Brzmi jak głęboka filozofia ludzi, którzy nigdy nie zapłacili podatku – mruczy Dean. – A co to w ogóle znaczy?

– **Lux Aeterna Silentium?** – Zaznaczam tę frazę, następnie kopiuję do tłumacza. – Wieczne światło... ciszy?

Dean się krzywi.

– Brzmi jak hasło do sekty. Nadaje się też na kiepski tatuaż. Masz może coś lepszego?

– Mam tylko zimną kawę i zmarnowaną godzinę.
W końcu załadowało stronę.

* * *

Lux Aeterna Silentium – zagadkowy projekt artystyczny?

Strona wygląda jak żywcem wyjeta z mrocznych zakątków wczesnego internetu. Ciemne tło, białe litery, żadnych ozdóbek, żadnych interaktywnych bajerów. Na samej górze widnieje data: 2001. To nie jest nic, co by mogło uchować się w tym chaotycznym świecie, zwłaszcza że to tekst sprzed dwóch lat.

„Lux Aeterna Silentium to nie jest tylko sztuka. To było coś, czego nie da się zrozumieć. Znajduje się na obrzeżach Los Angeles. Byłem tam, widziałem to na własne oczy, a teraz nie potrafię pozbyć się tego uczucia, jakby coś z tego zostało we mnie na zawsze. Pojawia się i znika, nie w sensie fizycznym, ale w czymś głębszym. W tym, co zostaje w umyśle, co zostaje w ciele. Po tym wszystkim, co przeżyłem, nie mogę mówić o tym, co się wydarzyło, ale nie dlatego, że ktoś mi zabronił, ale dlatego, że... nie wiem, jak to nazwać. To nie był eksperyment. To było coś, co wstrząsnęło wszystkim, co dotychczas uważałem za rzeczywiste. Być może to był test, ale test czego?”

Na samym dole podpis: SilverFox71.

* * *

– W końcu coś ciekawego – mówię.
– Kolejne pieprzenie, ale tym razem na naszym podwórku.
Klikam na profil... błąd 404. Konto usunięte.
– Kłasyka – mruczę. – Ktoś coś napisał, a potem zniknął.
– Może sam się usunął.
– Może to nie był jego wybór.
Zapalając papierosa, zaciagam się nie tylko dymem, ale i mroźnym

powietrzem wpadającym przez otwarte okno.

Zerkam na zegarek. **17:42**. Czas stoi w miejscu.

Dean rzuca w moją stronę spojrzenie, które mówi więcej niż słowa. Jego ziewnięcie sprawia, że zaczynam wątpić. W końcu mówi:

– Co jeszcze było w tym notatniku?

– Czekaj.

Otwieram na ostatniej stronie.

– Harold i Wanda. Wydaje się, że ona jest kimś ważnym – mówię.

Mam wrażenie, że ta kobieta, gdzieś tam, w tej dziwnej przestrzeni, jest czymś więcej niż tylko imieniem na kartce.

Dean wzrusza ramionami.

– Tak, ale bez nazwiska to tylko imię.

Muszę się zgodzić, to niezaprzeczalny fakt.

– Poszukajmy jego.

Teraz wpisuję Harold Wage Phelptoon. Nie muszę długo czekać.

* * *

Artforum – Contemporary Art Critique

http://www.artforum.com/critique_Phelptoon

Harold Phelptoon: Artysta z piórem – Krytyk, który nadaje kształt światu sztuki.

Harold Phelptoon jest jedną z najpotężniejszych postaci w świecie współczesnej krytyki artystycznej. Jego nazwisko otwiera, ale też zamyka drzwi do kariery.

Nie jako obserwator, ale jako siła, która kształtuje bieg wydarzeń.

Nie jest typowym recenzentem. To autorytet, którego zdanie potrafi zmienić odbiór całego środowiska. Artysty wiedzą, że wystarczy jeden tekst jego autorstwa,

by całkowicie odmienić ich los.

Jego komentarze są bezkompromisowe, a zarazem przenikliwe.

W jego oczach sztuka nie jest dekoracją, lecz narzędziem wpływu, polem eksperymentu, które może prowokować, burzyć porządek albo poszerzać granice postrzegania. Dla niego liczy się autentyczność, nie pozór. Tam, gdzie inni widzą formę, on dostrzega intencję. To nie tylko pisarz i eseista, ale również ktoś, kto wyznacza kierunki współczesnej narracji artystycznej. Sama jego obecność na wystawie to sygnał, że dana praca zostanie poddana najwyższej próbie.

W świecie sztuki jego osądy to nie tylko komentarze. To rozstrzygnięcia, które nie pozostają bez echa.

Niezależnie od tego, czy artysta spotka się z pochwałą, czy krytyką, nie jedno, właśnie został dostrzeżony przez człowieka, którego głos niesie za sobą realną moc w tym świecie.

* * *

Dean cicho gwizdże.

– A więc to taki typ, co sączy szampana i udaje, że rozumie więcej niż zwykli śmiertelnicy?

– Mniej więcej.

Patrzę na zdjęcie: elegancki garnitur, przenikliwe spojrzenie. Nie wygląda na kogoś, kto mógłby kiedykolwiek pobrudzić sobie rękawy farbą. Za to wygląda na kogoś, kto doskonale wie, ile warte jest ludzkie życie i kto za nie płaci.

Dean przechyla się w moją stronę.

– Myślisz, że znał naszą ofiarę?

Stukam długopisem rytmicznie o blat, szukając w tym dźwięku odpowiedzi, ale dźwięk jest płaski, kompletnie wyprany ze znaczenia.

– Musimy znaleźć sposób, by spytać się go osobiście.

– Phelptoon ... Phelptoon ... – mruczę pod nosem, wpisując nazwisko do bazy.

Chwila ciszy.

Ekran miga. Sekunda. Druga.

Imię i nazwisko: Harold Wage Phelptoon
Rok i miejsce urodzenia: 14.05.1968. Santa Monica, Kalifornia
Zawód: Nieustalony
Wyroki: Brak
Wykroczenia: Brak
Długi skarbowe: Brak
Adres: Nieustalony
Telefon: 555-2070

– Adres nieznany, ale mamy numer telefonu.

Dean zerka przez ramię i uśmiecha się lekko.

– No to, na co czekasz? Dzwon.

Wpisuję numer, kciuk zawisa nad przyciskiem na ułamek sekundy, po czym wciskam zieloną słuchawkę. Przystawiam go do ucha.

Jeden sygnał.

Drugi.

Trzeci. *Klik. Klik.*

– Biuro Harolda Phelptoona, w czym mogę pomóc? – Głos po drugiej stronie lodowaty, wyuczony do perfekcji.

– Detektyw Howard Laamesth'on, wydział zabójstw. Koniecznie muszę porozmawiać z panem Phelptoonem.

– Pan Phelptoon nie ma w zwyczaju rozmawiać z policją – głos sztywnieje. Brzmi jak recytowana kwestia, powtarzana w identycznych, awaryjnych sytuacjach.

Unoszę brew, bardziej w rozbawieniu niż ze zdziwienia. Chciałbym dodać coś kąśliwego, ale powstrzymuję się od tego. Sytuacja i tak już jest cholernie dziwna.

– Nie miałem pojęcia, że to sekretarki ustalają teraz, z kim wolno

komukolwiek rozmawiać.

– Jest teraz zajęty. Jeśli ma pan formalne zapytanie, proszę przesłać je drogą mailową.

– Pewnie ma pełne ręce roboty, ale trup powinien przyciągnąć jego uwagę – zawieszam głos na chwilę, licząc, że w końcu coś drgnie.

Milczenie. Szelest kartek w tle. Pewnie zastanawia się, czy naprawdę warto się z tym użerać.

– Pan Phelptoon nie ma nic wspólnego z tą sprawą.

– Ciekawe, że to jest pani pierwsza odpowiedź, zanim pani zapytała o jakiegokolwiek szczegóły.

– Pan Phelptoon nie udziela informacji przez telefon. Jeśli to jest wszystko... – Ostatnie słowa są jak granica, którą zamierza zamknąć.

Oblizuję wargi. Zerkam na partnera, który stoi cicho obok.

Kiwa głową, dając mi znak: *dociśnij ją!*

– **Lux Aeterna** albo imię Wanda. Coś to pani mówi?

Tym razem cisza trwa dłużej. Czas zdaje się rozciągać. Przez chwilę myślę, że może coś się zmienia, ale kobieta odzyskuje zimną kontrolę.

– Nie sądzę, detektywie, byśmy mieli coś więcej do omówienia.

Sygnal urywa się nagle.

Telefon łąduje na biurku z głuchym stuknięciem.

Przez sekundę patrzę na wygaszony ekran, oczekując, że zadzwoni z powrotem. Tylko że nie dzwoni. Zaciskam palce w pięść.

– No i? – Dean pyta z kpiącym uśmiechem na twarzy.

– Ta kobieta coś wie.

– Jeżeli tak, to boi się gadać. – Dean przytakuje.

Znamy ten typ ludzi.

Nazwisko Phelptoon osiada w zakątkach mojej głowy jak kurz, nie do strząśnięcia. Pochylam głowę i wypuszczam powietrze. Zastanawiam się, jak dobrać się do kogoś, kto najwyraźniej uważa się za boga w tym gnilnym panteonie.

– To, co teraz? – Dean przenosi na mnie wzrok.

– Teraz? Pora sprawdzić, czy nasz *opiniodawca* zostawił swój adres gdzieś w sieci.

Phelptoon to duch. Jego nazwisko wypływa tylko przy prywatnych aukcjach, tam, gdzie bogate sępy rozrywają resztki prawdziwej sztuki. Zero wywiadów, zero publicznych wystąpień, zero dowodów na to, że ten facet w ogóle oddycha tym samym zanieczyszczonym powietrzem co my. To nie skromność, to celowy manewr? Gra w cieniach, z dala od ciekawskich oczu.

Mielę kolejne strony, przedzierając się przez śmieciowe informacje, aż w końcu... jest. Trop. Wystawa dla *elity*, dla tych wszystkich kolekcjonerów i marszandów, którzy budują swoje imperia na trupach takich jak Sinéad. Świat, którego nie rozumiem i którym gardzę, ale który teraz wyciąga po nas swoje wypiełgnowane pazury. Sponsor strategiczny: *Harold Phelptoon*.

Dean zerka na mnie.

– Co to za uśmiech? Mamy coś?

– Dziś wieczorem w centrum odbywa się wernisaż. Phelptoon to główny dobroczyńca, wielki pan i władca tego cyrku.

– Czyli jest spora szansa, że ten szczur wychyli się z nory.

Kiwam głową.

– Może. Albo chociaż ktoś, kto go zna.

Dean przeciąga się, zerkając na zegar.

– Zaczęło się?

– Tak. Już trwa.

Patrzemy na siebie. Decyzja zapada bez słów.

Dean zamyka notatki i wstaje pierwszy.

Podnoszę się zaraz za nim.

Zabieram kluczyki z biurka, on sięga po płaszcz. Korytarz jest pusty, dyżurny nawet na nas nie spogląda. Cały czas mam wrażenie, że

coś nas ściga, a my za tym czymś podążamy w otchłań.

Dwadzieścia minut później hamuję przy krawężniku, a świat nagle za szybą Crown Vica staje się tak obcy, jakbyśmy wjechali do innej galaktyki. Kieliszki z kryształu, oślepiający blask fleszy i muzyka, która nie ma nic wspólnego z rżeniem mojego silnika. To akwarium dla elity, szklany klosz, pod którym hoduje się luksus destylowany z czystej obludy. Tutaj nie czuć smrodu deszczu ani spalin, tutaj pachnie się pieniędzmi, które kupiły ignorancję wobec końca świata. My jesteśmy tylko brudnym osadem, który osiadł na szybie tego sterylnego rajku.

– Subtelnie – mruczy Dean, poprawiając swój sfatygowany kołnierz. – I drogo tak, że aż boli w portfelu od samego patrzenia.

Wysiadamy. Chłód wpija się w skórę. I jak się okazuje, nie musimy robić kroku, żeby ktoś już stanął na naszej drodze. Ochroniarz. Postawny, z wyraźnym *nie przejdziesz, kolego*, wypisanym na twarzy. Stoi przed nami jak **Cerber** w skrojonym na miarę garniturze. Nie pilnuje tutaj bezpieczeństwa, pilnuje *czystości gatunkowej* tego miejsca. Jego spojrzenie jest szybkie, oceniające, a jego kły prawdopodobnie stają się ostrzejsze w kontakście tych, którzy nie mają zaproszenia.

– Nie wejdziecie... – Wskazuje palcem na nasze ubrania. – W tych szmatach wyglądacie na takich, co się zgubili w kolejce po zasilek.

Dean uśmiecha się kpiąco.

– To boli, stary. Naprawdę. Skaleczyłeś moje uczucia estetyczne.

Sięgam do kieszeni i wyciągam odznakę. Unoszę ją tak, by metal złapał światło i na sekundę go oślepił. To jedyny błysk autentyczności w całej tej operze mydlanej.

Mój płaszcz może i cuchnie tytoniem, a marynarka gryzie w szyję, ale ten kawałek blachy to klucz, który otwiera każde drzwi. **Bond** miał swoją licencję na zabijanie. My mamy licencję na gwałcenie prywatności i wchodzenie butami w życie tych, którzy myślą, że są nietykalni.

– Detektyw Howard Laamesth'on, wydział zabójstw. To mój partner, detektyw Dean Harlow.

Ochroniarz patrzy na odznakę, mruga i lekko unosi brwi.

– Jakiś problem?

– Chcielibyśmy zamienić kilka słów z organizatorem.

Chwila napięcia. Ochroniarz patrzy na nas przez chwilę.

– W środku są prywatni goście...

– Nie wszyscy chcą rozmawiać z policją, ale przecież nie będziemy pytać o pozwolenie – odpowiadam stanowczo.

Ostatecznie ochroniarz ustępuje. Nie robi tego z szacunku, tylko ze strachu przed papierkową wojną. Robiąc krok w bok, wykonuje ten swój wyćwiczony, mechaniczny unik. To najmniejsze możliwe ustępstwo, na jakie stać tę strażniczą bestię na etacie. Jedna głowa wciąż warczy pod nosem, druga sprawdza naszą reakcję, a trzecia już dawno zdechła z nudów w tym dusznym lobby.

– Nie róbcie zamieszania.

– My? – Dean się uśmiecha. – Jesteśmy duszami towarzystwa.

Wchodzimy. Drogie alkohole wypełniają powietrze, lecz to nie jest zapach przyjemności. To przytłumiona fabrykowna uprzejmość, która przepelnia całe to miejsce, aż po wysokie sufity i białe ściany. Sztuka rozmieszczona z przerażającą finezją: *każdy obraz zajmuje swoje miejsce, a każda pojedyncza plama farby ma więcej do powiedzenia, niż całe moje życie*. Mężczyźni w drogich smokingach, kobiety w sukniach wieczorowych, krążą z kieliszkami, wymieniając grzeczności, które mają mniej znaczenia niż zapach horrendalnie drogich perfum w całej sali. Ich słowa ważą mniej niż te bąbelki.

To nic więcej, jak **bal manekinów**, gdzie autentyczność została wyeksmitowana tak jak lokator zalegający z czynszem.

– No dobra. Gotowy? – mruczy Dean, dopinając marynarkę, jakby miał zaraz wręczać Oscary.

– Zawsze – odpowiadam, rzucając okiem na salę.

– I co teraz?

– Bar...

Dean unosi brew.

– Panie detektywie, naprawdę? Alkohol na służbie?

– Jeśli to może pomóc wtopić się w tłum, to grzech się nie napić.

– Nawet jakbyś obalil całą butelkę **Blanton's Single Barrel**, może nawet w końcu byś się ogolił, to co najwyżej wtopiłbyś się w tłum na oddziale geriatrycznym. Masz w oczach tyle rezygnacji, że barman naleje ci podwójną z litości, a nie z koleżeństwa.

Odwracam się w jego stronę.

– Już mniejsza o mój zarost, ale skąd ty, do jasnej cholery, bierzesz te wszystkie mądrości? Wyczytałeś to na ulotce w poczekalni u swojego terapeuty, czy po prostu ten syf wokół sprawia, że nagle czujesz się taki odcytany?

– U mojego terapeuty? Ten gość powiesił się dwa lata temu po jednej z naszych sesji. – Uśmiecha się krzywo, mrużąc oczy. – Po prostu lubię nazywać rzeczy po imieniu. Ty widzisz syf, ja widzę scenę, na której Mercer zaraz odegra swój wielki finał, a my nie mamy nawet biletów w pierwszym rzędzie. Więc oszczędź sobie te wycieczki po moim wykształceniu i pij, póki jeszcze masz przelyk.

Rezygnuję, z nim się nie da wygrać.

Podchodzimy do wysepki z alkoholami.

Barman rzuca nam krótkie spojrzenie, oceniając nas bez słowa, ale nie zadaje żadnych pytań. To chyba najlepsze, co może nas tu spotkać, w końcu nie chcemy zwracać na siebie zbyt dużej uwagi.

Co ja chrzanię... świecimy jak dwie pieprzone latarnie morskie na środku tej szklanej sceny, w garniturach, które wałą deszczem i stęchłą kawą. Manekiny przy stolikach wstrzymują oddech, bo wnosimy tu smród ulicy, którego żaden z tych ich wymuskanych scenariuszy nie

przewidział. Jak mi przykro...

Dean rozgląda się leniwie.

– Myślisz, że ktoś tu będzie chętny do gadania? – pyta, na co nie odpowiadam od razu, tylko sączę lyk drinka, skupiając na otoczeniu.

– Może. Jeśli zadamy właściwe pytania.

Pływamy teraz wśród egzotycznych drapieżników, które poruszają się w tej dusznej, drogiej cieczy z niehumanicznym spokojem. Ich rozmowy to tylko bańki mydlane na powierzchni. Bez znaczenia, bez echa, służące tylko temu, by udawać, że jeszcze oddychają. Szukamy twarzy, spojrzeń, reakcji. Kogoś, kto zadrży na dźwięk nazwiska człowieka, którego szukamy.

W końcu ją znajduję. Wysoka, pewna siebie, ubrana w suknię, która spokojnie mogłaby kosztować więcej niż nasza roczna pensja. Trzyma kieliszek szampana z nonszalancją kogoś, kto jest na setnej takiej imprezie. W jej oczach jednak coś się kryje. To nie jest obojętność, którą widzę na jej twarzy. To coś głębszego. Wygląda jak ktoś, kto polknął żyletkę i teraz musi grać, żeby nikt nie zauważył krwi na jej zębach.

Zatrzymuję się krok od niej.

– Phelptoon – rzuca w jej stronę, uważnie śledząc każdy jej ruch.

Odwraca głowę w moją stronę, powoli sączy szampana, a jej oczy, choć spokojne, zdradzają coś innego... cień niepewności. Może sekunda, może mniej, ale nie umknęło to mojej uwadze. Potem jednak pojawia się uśmiech. Maską, która przyrosła jej do twarzy podczas tych wszystkich wieczorów. To idealna, szklana powłoka, pod którą schowała prawdę o Phelptoonie. Nie uśmiecha się do mnie, ona musi grać, by nie wypaść z tej drogiej, szklanej sceny.

– Policja? – Jej głos aż ocieka rozbawieniem. – Jak uroczo.

Dean opiera się o bar.

– Spokojnie. Chcemy tylko pogadać. O sztuce, o śmierci... takich pierdołach.

– Och, panowie, panowie... – Śmieje się cicho, widocznie uznając nasze słowa za przejaw dziecinnej naiwności. – Jesteście tacy... nie na miejscu.

Chcę coś odpowiedzieć, ale obraca się, zostawiając po sobie smugę drobno wyważonych perfum i echo swojego śmiechu, który rezonuje w przestrzeni. Dean patrzy za nią z wyraźnym niesmakiem, a jego usta skrzywiają się w lekkim grymasie.

– Cudownie. Może za rok dostaniemy stolik dla dorosłych i zestaw kredek do kolorowania raportów.

Upijam kolejny łyk. Alkohol piecze w przelyku.

– Przynajmniej nie kazala nam spieprzac.

– Małe zwycięstwo w wielkiej klęsce – mruczy Dean.

Obserwujemy salę. Kobieta znika, rozplywajac się w morzu drogich tkanin i pozorów. Jej zachowanie świadczy o tym, że temat Phelp-toona jest zamknięty, a jej protekcyjnalne spojrzenie to ostatnia kropka w tym rozdziale.

Wtedy ją dostrzegam. Kelnerka. Smukła, ubrana w czarną sukienkę, w jednej ręce trzyma tacę jak tarczę. Jej uśmiech jest idealny, wyczony, stanowi integralną część munduru, pod którym brak już miejsca na człowieka.

– Detektyw Howard Laamesth'on? – pyta kelnerka.

Zastyga mi ręka ze szklanką. Unoszę brew, starając się wyczuć jej intencje.

– Zależy, kto pyta i ile ma na sumieniu – rzucam.

– Ktoś chce się z panem spotkać. Prywatnie.

Mrużę oczy.

– Ze mną? Osobiście?

– Tylko z panem.

Dean prostuje się obok mnie.

– Kto dokładnie?

Kelnerka nie zmienia wyrazu twarzy. Uśmiech pozostaje ten sam, ciepły, uprzejmy, kompletnie sztuczny.

– Osoba, która nie lubi czekać. Proszę iść za mną.

Dean odstawia szklankę na bar. Stuknięcie szkła o blat wydaje niemal groźny dźwięk.

– A jeśli detektyw nie lubi chodzić sam na randki w ciemno?

– Wtedy spotkanie się nie odbędzie. A jedyna szansa przypadnie.

To klasyczna pułapka. Ten, kto mnie wzywa, doskonale zna moje słabości. Samotność to jedyny stan, w którym tracę czujność, a to zaproszenie jest wabikiem, który odcina mnie od Deana.

– Dam sobie radę – mówię cicho.

– Jasne, jasne. Zawsze sobie radzisz. Do momentu, aż w końcu ktoś palnie ci w ten głupi leb. Przynajmniej będę wiedział, kogo skreślić z listy plac, zanim Mercer zdąży cię otworzyć.

– Miło, że już wybrałeś mi kwatere.

– **Tylko kto, nakarmi Mercer?**

– Co ty pieprzysz znowu?

Kelnerka odwraca się i rusza w tłum, jakby wiedziała, że tak czy inaczej, pójdę za nią.

– Nie podoba mi się to – mówi Dean cicho, ale stanowczo.

– Nie musi – odpowiadam.

Ruszam za nią. Wzdłuż sali tłum jest zbyt gęsty, a zapach tłustych banknotów, jedwabnych sukienek i przygaszonego przepychu przytłacza. Ludzie się rozstępują, ale nie z szacunku. To niechęć. Czuję na sobie ich spojrzenia. Są krótkie, oceniające, pełne lekceważenia. Nic nowego. Szpilki stukają cicho o marmurową posadzkę, ich dźwięk jest wyraźny w tym napięciu, które z każdą sekundą staje się coraz bardziej opresyjne. W powietrzu wisi szum śmiechu, a rozmowy, które wypełniają przestrzeń, urywają się, gdy mijam kolejne grupki gości.

Jestem nie na miejscu. I oni to wiedzą.

Nie oglądam się. Wiem, że Dean został przy barze. Gotowy do ruchu w razie potrzeby.

Drzwi. Kelnerka otwiera je bez słowa.

Wchodzę do innego świata. Bezdźwięczność aż nienaturalnie wybrzmiewa w uszach.

Prywatna sala. Pusta. Jakby ktoś wyszorował ją, aż do białej kości.

Obracam się. Kelnerki już nie ma. Drzwi cicho się domykają. Nawet ich nie usłyszałem.

Ścienne panele bielsze niż powinny być. Gładkie. Usunięto z nich wszystko, co mogło zdradzić, czym to miejsce było wcześniej. Brak okien i wyjścia innego niż to, przez które przyszedłem. Chłód nie przypomina tego z klimatyzowanych pomieszczeń, jest bardziej surowy, wnika w skórę wprost ze ścian. Pokój wydaje się opuszczony, lecz nie całkiem bezduszny. Powietrze drży resztkami niedawnej obecności, wciąż niosąc ślad po kimś, kto dopiero co wyszedł.

Ruszam ostrożnie, buty cicho szurają po podłodze.

Nagle ją dostrzegam. Kartę. Samotną, pośrodku stołu.

Leży jak plama w oceanicznej bieli, która nie ma brzegu. Na niej zegar. Taki sam jak ten z miejsca zbrodni. Prawie.

Podchodzę powoli, a kark mam sztywny od napięcia. Wskazówki. Tamte były powykręcane, chaotyczne, niemal przypadkowe. Te tutaj są równo ustawione. Godzina pierwsza.

Sięgam po nią. Papier jest zimny, gładki, sprawia wrażenie dopiero wyciągniętego z plastikowej osłony. Obok niej leży skrawek papieru, który nie pasuje do reszty. Poszarpane krawędzie, atrament wsiąknięty w nierówną fakturę, a na niej ręcznie zapisane słowa:

Czas ruszył

Coś wyczuwam, ale to nie jest niepokój. To przecucie. Szept pod

skórą, ledwo wyczuwalny, a jednak nie do zignorowania.

Ktoś wiedział, że tu będę.

Ktoś to przygotował.

Ktoś patrzy mi na ręce.

Światło nad głową zamrugalo. Ledwo zauważalnie. Na ułamek sekundy dopada mnie znajome ukłucie adrenaliny.

Odwracam się gwałtownie. Nic. Coś w pomieszczeniu się zmieniło. Jest za ciasne? Za duszne? Za... martwe? Wzrok wraca do stołu. Karta leży dokładnie tam, gdzie była. Przez chwilę nie jestem pewien, czy naprawdę po nią sięgnąłem. Chłód w palcach mówi mi, że tak...

Zgarniam ją do kieszeni. *Czas ruszył*. Nie czekam dłużej.

Wychodzę, odczuwając ciężar spojrzenia na plecach. Gwar rozmów, stukot kieliszków, muzyka płynąca z subtelnych instrumentów. Wszystko brzmi z oddali, jakbym był pod wodą. Wskazówki zegara na karcie ustawione na pierwszą. Cięży w mojej kieszeni bardziej niż odznaka. Wiem jedno: *właśnie stałem się przynętą*. Ktoś rzucił mi ten ochlap informacji nie po to, by mi pomóc, ale bym zaczął biec w wyznaczonym kierunku. Jestem zwierzyną, której na moment pozwolono na chwilę poczuć się myśliwym, a ten zegar na karcie to tylko odliczanie do momentu, w którym wnyk zaciśnie się na mojej nodze.

Dean zauważa mnie od razu. Prostuje się przy barze. Spojrzenie przeszywa mnie na wskroś. Brwi ściągnięte, szczeka napięta.

Gdy podchodzę, pyta:

– Kto cię wezwał?

– Nie wiem. – Zęby zaciskają się same. – Ale zabójca jest tutaj.

Rzucam kartę na blat.

Dean patrzy na nią... dłużej niż powinien.

– Kolejna?

Kiwam głową.

Podnosi ją ostrożnie, w obawie, że może go poparzyć lub nawet gwałtownie wybuchnąć.

– Skąd ją masz? Była w tej sali?

– Tak, ale poza nią nikogo tam nie zastałem. Ktoś się z nami bawi. Jego spojrzenie jest uważne, napięte.

– Nie nazwałbym tego zabawą. Zdecydowanie nie. Coś jeszcze?

– Kartka z napisem *czas ruszył* – zawieszam głos. – Kelnerka. Musimy ją znaleźć.

Dean obraca kartę w palcach i zerka przez ramię na tłum, szukając czegokolwiek, co mogłoby to wyjaśnić.

– Może to przypadek.

– Może – mruczę, choć obaj wiemy, że to bzdura. Nie dzisiaj.

Przesuwam wzrokiem po sali, czując na sobie spojrzenia. Niektóre obojętne. Inne... zbyt długie. Jeśli ktoś gra z nami w grę, nie zamierzam być pionkiem. Puls w skroniach bije miarowo, jak odliczanie, którego nie rozumiem. Kroki stają się cięższe, głośniejsze. Wrażenie, że naprawdę wszedłem do tej gry, narasta.

Dean idzie tuż za mną, ale tym razem jego cień nie odstępuje mnie ani na krok. Kelnerzy. Czarne uniformy, białe rękawiczki. Mężczyźni. Każdy z nich.

– Coś tu nie gra... – Dean marszczy brwi.

Wracamy do baru.

Nachylam się do barmana, wyciągam odznakę.

– Kelnerka. Czarne włosy, wiązany fartuch. Gdzie ją znajduję?

Facet patrzy na mnie, potem na Deana. Jego spojrzenie mówi mi wszystko. Czeka, aż przyznam, że to żart.

– Jaka kelnerkę?

Kark mi się napina.

– Tę, która przed chwilą przekazała mi wiadomość.

Barman patrzy na mnie z politowaniem, jakby naprawdę miał mi

polać zaraz podwójną kolejkę.

– Obsługą zajmują się tylko mężczyźni. Nie ma tu żadnych kobiet.

Milczenie opada, jakby ktoś wyciszył świat. Powietrze nagle waży więcej, zdaje się, że coś wypełnia je napięciem, którego nie widać.

– Chyba sobie kpisz – syczę.

Barman wzrusza ramionami i wraca do polerowania szkła.

Widzę ją w głowie. Jej twarz. Jej spojrzenie. Jej ciepły, uprzedzony uśmiech. Nie wyglądała na kogoś, kto by się bawił.

Patrzę na Deana.

– I co o tym sądzisz?

– Wydaje mi się, że mamy do czynienia z kimś, kto zna nasze ruchy lepiej niż my... – Przechyliła głowę. – I dobrze to wykorzystuje.

Gwar wokół zlewa się w jedno. Szum rozmów, brzęk szkła, muzyka, nagle wszystkie dźwięki tracą znaczenie. A potem słyszę je. Kroki. Pewne. Ciężkie. Nie chcę patrzeć, ale muszę.

Powoli unoszę głowę. Mężczyzna w garniturze, który leży na nim jak druga skóra. Tkanina bez jednego zagniecenia układa się bezbłędnie jakby szyta pod jego ruchy. Za nim, dwaj ochroniarze. Tłum rozstępuje się przed nimi jak woda przed dziobem statku. Bez protestu. Bez oporu. Zatrzymuje się przed nami. Nie przyszedł tu rozmawiać. Przyszedł położyć kres naszym pytaniom.

– Panowie – mówi. Jego ton jest gładki, chłodny, idealnie opanowany. – Myślę, że wasza obecność na dzisiejszym wydarzeniu nie jest już konieczna.

Czuję, jak napięcie między nami tężeje.

Dean uśmiecha się krzywo. Mimo to jego oczy pozostają czujne.

– Ciekawe. A nam się wydawało, że właśnie dopiero zaczyna się robić interesująco.

Mężczyzna nie odwzajemnia uśmiechu. Jego przenikliwe spojrzenie sunie po nas, bez cienia emocji.

Ochroniarze są nieruchomi jak posągi, ale napięcie w ich sylwetkach mówi jedno: *czekają tylko na sygnał*.

– Nie widzę was na liście gości, a wasza obecność przyciąga... niepożądane zainteresowanie. – Spogląda na zegarek. – Proszę, opuśćcie nas dobrowolnie. Zanim stanie się to... nieprzyjemne.

Telefon wibruje w kieszeni, rozrywając napięcie jak zerwana cięciwa. Sięgam po niego, zerkam na ekran. *Stary*. To nie przypadek.

Odbieram.

– Laamesth'on, do cholery, co wy tam wyrabiacie? – głos kapitana brzmi, jakby zaraz miał dostać zawału. – Właściciel budynku właśnie mi grozi, że nas usmaży. Nie życzy sobie żadnych scen na swojej prywatnej imprezie.

Zaciskam zęby.

– Nie robimy scen.

– Nie obchodzi mnie to. Wynoście się! Natychmiast!

Połączenie się urywa.

Przez ułamek sekundy patrzę prosto w jego oczy. Widzi moją decyzję na twarzy. Unosi brew, jakby spodziewał się, że powiem coś więcej, ale tylko milczenie przechodzi mi przez gardło.

Mężczyzna odchodzi bez słowa, ale ochroniarze się nie ruszają. Czekają, aż skierujemy się do wyjścia.

Dean wzdycha.

– Czyli koniec zabawy.

– Na dziś – poprawiam go, idąc w stronę drzwi.

Gdy mijamy gości, ich spojrzenia palą moją skórę. Niektóre są pełne ulgi, inne są rozbawione. Ktoś parska cicho, ktoś inny wymienia szybkie porozumiewawcze spojrzenia z towarzyszem.

Dean mruczy pod nosem coś, czego nie dosłyszałem, ale znam go na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że właśnie powstrzymuje się przed rzucającem jakiejś złośliwości.

Nocne powietrze jest toporne jakby wyciągnięte z ciemnych zakamarków miasta. Wilgoć skleja skórę, ale przynajmniej przynosi ulgę po stłamszonym zaduchu wewnątrz. Wychodzimy w milczeniu, mijając ochroniarzy, którzy obserwują nas wzrokiem, aż znikamy za rogiem. Tak po prostu. Koniec.

Dean przeciąga dłonią po karku.

– Cóż, to było wyjątkowo gówniane.

W głowie wciąż mam obraz karty. Papier pod palcami wydawał się chłodny jak stal. I te słowa na skrawku. *Czas ruszył*. Czemu akurat teraz? Czemu ja?

Dean zerka na mnie kątem oka.

– Więc? Co dalej?

– Nie wracamy do biura.

– A to ciekawe. – Kącik ust ledwo drga w uśmiechu. – Bo myślałem, że umierasz z tęsknoty za raportami.

Ignoruję go. Stary już raz dał nam ostrzeżenie. Jeśli teraz zobaczy nas w biurze, będzie chciał więcej odpowiedzi, niż możemy mu dać.

– Bar? – rzuca Dean, jakby czytał mi w myślach.

– Bar...

Wsiadamy do auta, a silnik mruczy cicho, przelamując nocną ciszę. Tym razem to on prowadzi. Siedzę obok, wpatrzony w szybę, na której rozmazują się światła miasta, a noc wplata się w ruchy auta. Wiatr lekko uderza w szybę. To działa jak rodzaj hipnozy.

Z każdą minutą jestem coraz bardziej rozluźniony, ale wciąż nie mogę pozbyć się tej ciągłej niepewności, czując, jak cały świat wokół mnie zaczyna płynąć w dziwnym, nieznanym rytmie. Myśli płaczą się jak smugi deszczu na szybie. Dziwnie przypominają kartę, którą wciąż trzymam w ręku. Nie wiem, kto mi ją zostawił ani dlaczego. Jedno

wiem na pewno. Czas ruszył i nie zatrzyma się, dopóki nie wybije godziny, w której wszystko się rozstrzygnie.

Kilka minut później drzwi baru zamykają się za nami z delikatnym stuknięciem, niemal starając się ukryć naszą obecność. W powietrzu wciąż wisi zapach zmarnowanych godzin i dymu, który już dawno wsiąknął w drewno, w ludzi, w czas.

Tutaj moment płynie wolniej, a zewnętrzny świat nie wpływa na to, co dzieje się w tym pomieszczeniu. To miejsce ma swoją historię, pełną milczenia i półszeptów, które przyciągają tych, którzy szukają zapomnienia. Mroczna głębia rozrzedza się jedynie nikłymi smugami światła, wydłużając na ścianach cienie niczym ręce gotowe pochłonąć wszystko.

Przy barze kilku samotnych klientów pochyła się nad szklankami. Zagubieni w letargu lub półprzytomnych rozmowach.

Zostawiamy za sobą ten durny wernisaż i szklaną scenę pełną manekinów. Tutaj wśród tych wszystkich cieni i bluesa wreszcie czuję się, jakbym wrócił do domu. Bar, dokładnie taki, jakiego potrzebujemy. Barman rzuca na salę znudzone spojrzenie, widząc to tysiąc razy. Zna ją nas tu. Wiedzą, że nie szukamy rozmowy.

Siadamy w cieniu, w rogu sali, z dala od blasku lamp. Zamawiamy rozcieńczoną wersję **Blanton's**. Podają ją pewnie z beczki, która robi za basen dla szczurów. Płyn jest mętny i pali w gardle jak stopiony asfalt, ale przynajmniej nie udaje niczego, czym nie jest.

– Nadal myślisz o tej kelnerce? – rzuca nagle.

Zamiast odpowiedzi, sięgam do kieszeni. Wyciągam kartę i kładę ją przed sobą. Zwykły papier. To pozór. Wpatruję się w zegar, licząc, że zdradzi mi swoją tajemnicę.

– Myślę o tym, kto chciał, żebym ją zobaczył.

Dean przekrzywia głowę.

– Może ktoś chciał cię nastraszyć, zrobić przedstawienie.

– To coś więcej.

Martwota drży pod brzękiem szkła. W tle, zamiast muzyki klasycznej, leniwe rozmowy i sfrustrowane przekleństwa przy automatach do gry. Elektroniczny dźwięk wygranej, który nigdy nie nadchodzi, miesza się z nerwowymi uderzaniem w przyciski, a myśli kapią powoli, jak deszcz na rozgrzany asfalt.

W końcu Dean odkłada szklankę i wzdycha.

– To co, mamy noc, karty, whisky i zero cholernych odpowiedzi.

Mamy jeszcze dym i lekki posmak goryczy.

– Witamy w naszym małym piekle.

Pijemy dalej.

Nic więcej już dzisiaj nie wymyślimy, ale to nie znaczy, że sprawa na tym się kończy. Whisky znika w naszych szklankach, wraz z fundamentami, których zaczynamy już nie rozumieć. Rozmowy się rozmywają, słowa stają się bardziej zamazane, a mrok gęstnieje, wchłaniając naszą świadomość.

Czas płynie niepostrzeżenie. Kolejne szklanki, coraz mniej rozważne, coraz bardziej zmieszane. Dean mówi coś, ale już nie wiem co dokładnie. Słyszę tylko, jak ostrzega mnie przed Mercer. Mówi, że ona nie uznaje żadnych *panów*, nawet mnie, i jeśli pozwala mi się dotknąć, to wyłącznie na własnych zasadach. Słucham tego belkotu i myślę, że alkohol ostatecznie wyżarł mu resztki rozsądku. Dean próbuje ubrać w słowa coś, czego sam nie rozumie, jakby chciał mnie ostrzec przed demonem, którego sam sobie wymyślił. A przecież Mercer po prostu jest zimna i nieunikniona. Podobnie jak ta Tugers...

Mój umysł zaczyna twardnieć, szkło wygrywa w tej grze o uwagę. Nie myślę już o kartach, nie myślę o kelnerce, nie myślę o niczym istotnym. Tylko o tym, jak whisky staje się coraz bardziej goryczkowa, jak świat wokół mnie staje się coraz bardziej odległy.

Kiedy wstajemy, nawet nie wiem, jak minęły te godziny.

Moje kroki są mozolne, a świat wokół mnie przesuwa się zbyt szybko, a może zbyt wolno. Jestem jak puste naczynie, z którego ktoś wylał resztki starego Howarda. To, co wyszło z hotelu i z tego wernisażu, to tylko skorupa wypełniona echem cudzej woli. Wiem, że to nie koniec, bo czuję w środku to ociążale, nieludzkie zimno, które wypełnia każdą szczelinę mojej nowej, rozbitej tożsamości.

Wszystko się zmienia, ale na razie pozostajemy w tym zawieszeniu, w tej chwili, która wciąż trzyma nas przy sobie. A co stanie się jutro?

To już kwestia kolejnej karty, której jeszcze nie zdążyłem obrócić.

Moje życie stało się talią losu, którą ktoś inny tasuje w ciemności. Każda godzina to nowa *Arkana*, a *jutro* uśmiecha się do mnie z drzwiami. Nie czekam na świt, czekam na moment, w którym ten niewidzialny gracz położy na stole ostatnią brakującą kartę.

WTOREK



Atrament przepowiedni

Budzik. To plastikowe pudło wwierca się w kość czaszkową jak wiertło, rozdierając poranek swoją irytującą, nieustępliwą falą dźwięku. Otwieram oczy. Od razu żałuję. Światło poranka to nie światło. To odłamek rozbitej żarówki wbity prosto w galki oczne. Zimne, kłujące, nie do zniesienia.

Zaciskam powieki, ale ból nie znika. Rozłazi się jak gangrena, próbuje sięgnąć jądra mojej duszy. Tępy, pulsujący rytm w skroniach. Jęczę, nie z bólu, a z pogardy dla samego siebie. To echo krzyku, zamkniętego gdzieś za oczami, który nigdy się nie wydostanie.

Przewracam się na bok, wciskam twarz w poduszkę. Jedyna miękka rzecz w tym twardym świecie. Wiatr za oknem wyje jak zgłodniały pies, zawodzi. Jak coś, co próbuje się dostać do środka, ale bezskutecznie, skazane na wieczne potępienie na zewnątrz. Dźwięk przypomina coś, czego nie da się do końca zrozumieć, ale czuję go wszędzie. Czystą, pierwotną rozpacz.

6:30. Nie jest wcześniej. Jest nieprzyzwoicie, kurwa, wcześniej, biorąc pod uwagę ilość trucizny, jaką wczoraj w siebie wlałem. Uporczywe myśli, rozmazane jak plamy na zaporowanej szybie, brudne i niechciane. Mimo to... wracają. Hotel. Szklarnia. Pretensjonalne obrazy malarki. Wystawa, na której znowu poczułem się jak intruz. Ta cholernie zagadkowa karta, bez sensu, bez nadziei. Kelnerka, której nie było. Kolejne kłamstwo w tym mieście kłamców. Spojrzenie mężczyzny, twarde, nieprzeniknione jak kamień, który cię zmiażdży. Telefon od starego, ostatni gwóźdź do mojej trumny. Albo do trumny tej dziewczyny, co na jedno wychodzi.

Przecieram twarz dłonią, a suchość skóry wyciąga resztki energii. Język mam jałowy jak papier, którym wycierano podłogę. Głowa ciężka jak betonowy blok, nagrobek dla moich złudzeń, a myśli rozpadają się jak gruz, który nie przestaje spadać w głąb wnętrza.

Wstaję. Każdy ruch wydaje się trudniejszy od poprzedniego. Akt

woli, który kosztuje więcej, niż jestem wart.

Materac ugina się pode mną, sprężyny skrzypią, a zgrzyt metalu wypełnia pokój jak dźwięk w próżni, który nigdy nie kończy swojej podróży. Ruch to niekończący się ból w czaszce, który uderza coraz mocniej. W rytm mojego upadku.

Łazienka. Zimne światło rąbie przestrzeń na ostre kąty, obnażając przy tym każdy brud, każdą skazę mojej duszy. Wnika pod skórę, wbi-ja się w kości. W lustrze widzę obcą maskę, która wyrosła na mojej twarzy. To mapa zniszczeń narysowana przez wczorajszą whisky.

Cienie pod oczami to nie jest zmęczenie. To głębokie rynny, którymi wycieka ze mnie wszystko, co jeszcze uważałem za ludzkie. W lustrze widzę potargane włosy; to już nie fryzura... to gniazdo ułożone z porażek, cień czegoś, co kiedyś, w jakimś innym, lepszym życiu, nazywałem egzystencją. Przekrwione białka nie patrzą na mnie. Patrzą gdzieś obok, jakby bały się spotkać wzrok kogoś tak żalosego.

To nie ja. To twarz kogoś, kto utknął w przeszłości jak w zbitym bagnie. Nie czekam na przyszłość. Nie mam czym jej przywitać, chyba że środkowym palcem. Pozostaje tylko spojrzenie wbite w brudną podłogę i oddech, który wciąż się waha, czy jest sens robić kolejny wdech.

Odkręcam kran. Rury warczą jak zdychający kundel, plując rdzawym strumieniem. Woda śmierdzi metalem, rozbryzguje się na porcelanie jak rozwodniona krew z rozciętej tętnicy.

Wdech, wydech.

Czekam, aż ta ciecz przestanie przypominać ściek.

Zanurzam dłonie. Chłód wczepia się w skórę jak pazury kostuchy. Ostro, nieustępliwie. Chwilowa ulga to tylko kłamstwo. Ciężar nie znika, on po prostu mości się głębiej w moich trzewiach.

Pluczę usta, ale ta jałowa suchość jest nie do pokonania. Jakbym

miał w gardle piasek z cmentarza, wsypany w każdą szczelinę dziąseł. Tego nie da się nawodnić. Piasek nie koi, piasek grzebie żywcem. Podnoszę wzrok. Czas wrócić do egzystencji, która mnie nienawidzi, ale nie chce wypuścić ze swoich brudnych łap.

Wychodzę z łazienki, a głowa dudni w rytm wyroku śmierci. Kawa. Potrzebuję tej czarnej lury, żeby udawać, że jeszcze funkcjonuję.

Kuchnia tonie w bezruchu. Tylko lodówka wydaje ten swój niski, neurotyczny szum, a rury w ścianach stukają, jakby ktoś od środka próbował się wydostać.

Kubek. Wrzątek.

Obietnica zmartwychwstania, które nigdy nie nastąpi.

Aromat jest gorzki jak zapowiedź bitwy, którą już dawno przegrałem. Biorę łyk i krzywię się z obrzydzenia. Smakuje dziwnie... jak popiół. Jak metal. Jak kłamstwo. Może to mój kac, a może po prostu moje ciało zaczyna odrzucać wszystko, co nie jest alkoholem.

Podchodzę do okna i otwieram je na oścież. Miasto. Wielki śmietnik skąpany w wiecznym mroku. Noc nie chce zdechnąć, świt został odwołany. Ciemność wślizguje się do kuchni jak tłusta plama oleju, zatrzymując czas w miejscu, o którym Bóg dawno zapomniał. Latarnie ledwie tlą się we mgle, przypominając dogasające zapalki.

Deszcz wali o bruk. Miasto znowu próbuje się umyć, ale ten brud jest zbyt głęboki. Nie ma punktów oparcia. Nie ma nadziei. Jest tylko ten chłodny, mokry mrok i świadomość, że dzisiaj wydarzy się coś, czego nie da się już odkręcić.

Odstawiam kubek. Idę do pokoju, ignorując ten ściekowy posmak na języku. Nie mam czasu ani chęci, żeby rozwodzić się nad durną kawą, która smakuje jak pomyje po płukaniu silnika.

Ubieram się mechanicznie, jakbym obsługiwał cudze ciało. Koszula, wybieram tę mniej pogniecioną. Spodnie. Pasek. Buty.

Ruchy są wyprane z jakiejkolwiek świadomości. Ręce wykonują gesty, które dawno temu miały znaczenie, a teraz są tylko pośmiertnymi drgawkami rutyny.

Zegarek. Kiedyś odmierzał mi czas, porządek, rytm. Dzisiaj to tylko kajdany na nadgarstku. Zimny ciężar, który przypomina, że czas ucieka, a ja pędzę prosto w ścianę, nie mając pojęcia, po co to robię.

Bron. Kiedyś dawała złudzenie siły. Teraz wisi na szelkach jak zbędny balast, kawałek żelastwa, który nie budzi ani strachu, ani pewności. To tylko kolejne narzędzie do robienia dziur w świecie, który i tak jest już podziurawiony, jak skorodowane sito.

Odznaka. Kawałek metalu, dowód na to, że mam prawo legalnie babrać się w gównie. Dziś to tylko biżuteria dla naiwniaków, która odgradza mnie od cywilów, ale nie przypomina o niczym, w co warto by wierzyć.

To artefakty, które mam, ale już nie wierzę w to, co reprezentują. Trzymam je przy sobie, bo tak trzeba.

Przeczესuję włosy, szukając w tym geście resztek sensu, ale pod palcami czuję tylko tłusty osad beznadziei.

Winda stoi jak trumna na sztorc. Nieruchoma, martwa. Idę schodami. Na ścianie, tam, gdzie wcześniej był tylko brud, wykwitł nowy, chorobliwy grzyb. Zielonkawo-brązowa pleśń rozlewa się po tynku jak stan zapalny, cuchnie stęchlizną i starym, zjełczałym tłuszczem. Wygląda, jakby karmiła się samotnością tego budynku, gęstniejąc w mroku. Przechodzę obok, odwracając wzrok. Mam już dość zgnilizny we własnej głowie.

Na zewnątrz powietrze jest jak mokra szmata na twarzy. Deszcz przesiąka przez ubranie, docierając do kości.

Droga na komisariat mija szybko, nie odczuwam upływu czasu.

Czerwone światła migoczą w deszczu jak rozżarzone węgielki, a opony suną po mokrym asfalcie, cicho jak przewracane kartki książki. Woda chlupocze pod nadkolem, a ja nie zwracam uwagi na nic poza szumem silnika i tym, co muszę zrobić. Jadę na autopilocie.

Parkuję. Tutaj powietrze ma inną, niemal twardą fakturę.

Dean już tam jest. Jak zwykle, zawsze o krok przed wszystkimi, irytująco nienaganny. Opiera się o maskę, a deszcz splywa po jego aucie, jakby bał się go pobrudzić. Rzuca mi spojrzenie, które prześwieśla mnie na wylot.

– No, no. Wyglądasz jak gówno, które utknęło w kiblu i odmawia splukania – wita mnie tym swoim szorstkim tonem.

– I tak się czuję – rzucam, wyciągając fajkę. Dym smakuje jak popiół, ale to jedyna stała w tym chorym świecie.

– Spaleś? Chociaż chwilę?

– Wystarczająco, żeby mieć koszmary.

Ledwo przekraczamy próg tej rzeźni, a już słyszę swoje nazwisko. Ryk kogoś, kto myśli, że decyduje o losach świata.

– Laamesth'on! Harlow! Natychmiast do mnie!

Świetnie. Ochrzan na śniadanie, zamiast jajecznicy.

W gabinecie panuje duchota, która wyciska pot z każdej pory ciała. Stary podkreślił ogrzewanie, jakby chciał nas tu żywcem uwędzić. Siedzi tam, rozparty w fotelu, który trze pod ciężarem jego dawno przebrzmiałej chwały i kilku nadprogramowych kilogramów zgorzknienia. Kapitan. Naczelna małpa w tym cyrku. Kiedyś pewnie potrafił wydać rozkaz, który nie brzmiał jak wyrok śmierci wydany na raty, ale te czasy zmyła krew i tania whisky. Teraz jest tylko reliktem, portretową pamiątką po czasach, gdy zasady coś znaczyły.

Jego oddech jest miarowy jak świst zepsutej wentylacji w dokach. Nie patrzy na nas jak na ludzi, lecz jak na kolejne pozycje w rejestrze

strat, które trzeba będzie jakoś zaksiegować przed końcem miesiąca.

Gdy w końcu rozłącza palce, by sięgnąć po szklanke, w której lód dawno zamienił się w mętną wodę, już wiem, że bezgłos dobiega końca. A cisza w jego wykonaniu zawsze jest lepsza niż to, co następuje po niej. Bo kiedy stary otwiera usta, z gabinetu ulatnia się ostatnia kropla nadziei, zostawiając nas ze smakiem porażki.

– Zamknijcie drzwi! – jego głos tnie powietrze.

Zatrząskuję je nogą. Dźwięk odbija się od ścian. Nie siadam. Zostaję przy drzwiach, gotowy na najgorsze. Wzrok mam wbity w stół, wiem, że nie będę miał okazji do odpoczynku.

Dean opada na fotel z tą swoją irytującą swobodą, jakbyśmy byli dalej w barze, a nie na dywaniku u kogoś, kto trzyma nasze nędzne życia w garści.

Nagle plik papierów łąduje na blacie z głuchym plaśnięciem. Brzmi jak uderzenie łopata o wieko trumny.

– Wiecie, ile kosztuje mnie utrzymywanie was na stanowisku?

Dobrze wiem, że to miasto nas utrzymuje, a raczej to, co z niego zostało po tym, jak politycy i gangsterzy wyszali z niego szpik, ale milczę. Po wczorajszym szkoda mi śliny na oczywistości.

– Słuchajcie... – zaczyna, a jego dłoń sunie po biurku, jakby gładziła ostrze. – Dzwonił do mnie właściciel galerii. Potem jego prawnicy, te hieny w garniturach za pięć patyków. A potem ktoś jeszcze wyżej. Ludzie, których nazwiska parzą język.

Zatrzymuję się na tym ostatnim. Ktoś jeszcze wyżej? To już nie są zarty. To jest liga, w której trupy chowa się w fundamentach wieżowców, a nie w krzakach.

– Powiedziałem im, że nie jesteście psami na smyczy. Że jeśli tam wleźliście, to mieliście powód.

Napinam szczękę tak mocno, że aż strzela mi żuchwa. Spodziewałem się wrzasku, zawieszenia, kazań o etyce i sterty papierów, które

musiałbym podpisać przed oddaniem odznaki. Tymczasem ten stary wyga... on się tłumaczy? To śmierdzi gorzej niż ta pleśń na klatce schodowej.

– Musiałem zareagować. Nie miałem wyboru. – Unosi na mnie wzrok, a w jego oczach widzę odbicie własnego zmęczenia. – Między nami, panowie... nie wierzę, że trafiliście tam przez przypadek na darmowe drinki.

– Co pan sugeruje? – pytam, a mój głos jest suchy jak ten piasek, który wciąż chrzęści mi w ustach.

– Sugeruje, że jeśli ktoś włożył tyle wysiłku, żeby was stamtąd wykopać, to znaczy, że deptaliście komuś po odciskach, które bolą najbardziej.

Dean przechyla się do przodu, czujny jak pies.

– Więc nie jesteśmy zawieszeni?

Stary parska. Siedzi przed nami jak wygięta sprężyna, która zaraz puści pod ciężarem tych wszystkich telefonów *z góry*. Jego irytacja to nie jest złość. To czysty destylat strachu kogoś, kto próbuje nie dać się zmiażdżyć, gdy całe miasto napiera na jego biurko.

– Wyglądam na gościa, który rozdaje urlopy? Niemniej, jeśli bardzo ci zależy, Harlow, mogę cię wysłać na wieczne wakacje.

– Nie, szefie! – Dean odpowiada szybko.

Pauza. Taka, w której słychać tylko bicie własnego serca.

– Macie coś, czy tylko marnujecie mój czas?

To błąd. Stary nie powinien nas zachęcać. Powinien kazać nam wypieprzać i zapomnieć o sprawie. Wrzucić teczkę do archiwum, z dopiskiem: *zdechło śmiercią naturalną*. A jednak chce, żebyśmy to pociągnęli.

– Nic konkretnego – odpowiadam ostrożnie. – Ale to nie koniec.

Stary kiwa głową. Najwyraźniej tego się spodziewał.

– To nie koniec – powtarza jak echo. – Więc nie spieprzcie tego bardziej, niż już to zrobiliście.

Wskazuje drzwi gestem, który nie znosi sprzeciwu.

– A teraz wypieprzać mi z oczu.

Nie czekamy. Wychodzimy bez słowa.

Dean rzuca mi spojrzenie – to jedno z tych, którymi próbuje wygrzebać resztki prawdy z mojego zamulonego mózgu.

– Co o tym sądzisz? – pyta.

– Myślę, że skoro te szychy tak bardzo chcą, żebyśmy trzymali łapy przy sobie, to znaczy, że właśnie powinniśmy im je wepchnąć aż po łokcie w gardła. Kopanie głębiej to jedyne, co nam zostało.

Kącik ust drga mu ledwo zauważalnie.

– Dokładnie to chciałem usłyszeć.

Opadam bezwiednie na krzesło, a ono trzeszczy pode mną jak moje życie. Wczorajsza noc zostawiła po sobie coś gorszego niż kac. To lepki osad pod skórą, coś, czego nie potrafię nazwać, ale co wy czuwam głęboko w kościach. Ktoś pociąga za sznurki, a ja jestem tylko marną marionetką, która spóźnia się na własne przedstawienie.

Dean nagle rzuca przede mną raport.

– Technicy skończyli – mówi spokojnie, zbyt spokojnie. – Mamy potrójne Żet. Żadnych odcisków. Żadnych śladów włamania. Żadnych tropów. Czysto jak w grobie przed pogrzebem.

Spoglądam na te suche fakty. Litery zlewają się w jedną wielką pustkę. Nic. Jak zwykle w tym przeklętym mieście.

– Czyli jesteście w czarnej dupie – podsumowuję, odrzucając raport. Czuję irytację osiadającą na języku.

– Nie do końca. Mamy kartę. I tę cholerną zagadkę, która śmierdzi na całą miłą.

– Cała ta sprawa to jeden wielki ściąg, Dean.

– Może, ale twój portret... Zdjęli wierzchnią warstwę i znaleźli coś pod spodem. Ktoś namalował tam drugie dno. Dosłownie.

– Co takiego? – pytam, czując, jak zimny dreszcz przebiega mi po kręgosłupie.

– Zegar.

– Zegar? Co ty, kurwa, pieprzysz?

– Masz zdjęcie w raporcie. Patrz.

Przekartkowuję te bzdury. Jest. Stary, wahadłowy zegar, namalowany z taką precyzją, że niemal słyszę jego tykanie. Wskazuje **2:07**. Zamarzam. Ta liczba uderza mnie mocniej niż whisky wczoraj.

Dlaczego, do diabła, wciąż ta sama godzina? Wpatruję się w zdjęcie, próbując wycisnąć z niego jakąś logikę, ale znajduję tylko strach.

Obudziłem się o tej porze w poniedziałek. Zegar w hotelu, przy martwej kobiecie, stanął dokładnie na tej minucie. A teraz to? Ukryte pod farbą na obrazie? Co to jest, do jasnej cholery?

Nie wierzę w zbiegi okoliczności. Zbiegi okoliczności są dla ludzi, którzy jeszcze mają nadzieję. Jeśli spojrzę na zegar następnym razem, co zobaczę? Godzinę, w której krew przestanie mi płynąć w żyłach?

– Howard! Halo, ziemia! – Głos Deana wyrывa mnie z letargu.

Gwałtownie unoszę wzrok.

– Co?

– Wyjdź z tego swojego prywatnego Houston i wróć na łączność, bo tracę cierpliwość. Dryfujesz gdzieś na orbicie własnego bałaganu, a ja potrzebuję cię tutaj, na ziemi, zanim całkiem odleczisz.

– Nie. Nic mi nie jest – kłamię tak naturalnie, że sam prawie sobie wierzę. – Co mówileś?

Macha ręką, wyraźnie zniesmaczony moim stanem.

– Myślę, że ktoś się nieźle napracował, żeby niczego nie zostawić. A to też mówi więcej, niż im się wydaje.

– Może i tak, ale to nie daje nam nazwisk.

Obrazy wracają. Mieszkanie malarki. Te makabryczne płótna, które wyglądały, jakby ociekały świeżą krwią.

– Ona coś wiedziała. Coś, co nie mieściło się w ramach.

Dean otwiera usta, ważąc słowa, jakby bał się, że jeśli je wypowie, nie będzie już odwrotu.

– Myślisz, że ktoś ją... wyłączył, zanim zdążyła krzyknąć? Że te obrazy to jej list pożegnalny pisany szyfrem?

– To tylko teoria – przyznaję, a mój głos brzmi jak tarcie papieru ściernego o beton. – Może to wszystko to jeden wielki, cholerny teatr kukielkowy. Ktoś napisał scenariusz, a my po prostu rzygamy swoimi kwestiami, myśląc, że mamy na cokolwiek wpływ.

Dean przekrzywia głowę, badając mnie wzrokiem, jakbym właśnie przyznał się do morderstwa.

– Więc co teraz, reżyserze?

– Szukamy dalej. Bo jak na razie *czas ruszył* prosto na nas... a my wciąż stoimy w miejscu, czekając, aż nas rozjedzie.

– Karta nie daje ci spokoju, co?

– A powinna? Ktoś nam ją podsunął pod nos jak przynętę. Tak jak tę cholerną kelnerkę, która rozplynęła się w powietrzu, zanim zdążyłem zapamiętać kolor jej oczu.

Klik. Ekran komputera rozświetla biuro. RzUCA zimne, trupie światło na stertę papierów, którą nazywamy aktami. Wszystko w tym pokoju jest wyprane z energii, jakby meble i ściany też miały dosyć tej roboty. Powietrze staje się smoliste, trudne do przepchnięcia przez płuca. Wpisuję hasło, ale zanim enter zdąży zareagować, maszyna zamiera. Monitor zwleka, przeciągając tę decyzję z sadystyczną satysfakcją. Ta kupa złomu jest zawsze o krok przed moimi myślami, doskonale wiedząc, jak bardzo nienawidzę czekać. Dioda miga nieregularnie, jak arytmiczne serce starca, a komputer rzezi jak maratończyk, który właśnie wypluwa płuca na finiszu.

Przesuwam dłońią po twarzy. Zmęczenie pali mnie pod powiekami, jakby ktoś nasypał mi tam żużla. Wciskam klawisz ponownie. Nic.

W normalny dzień posłałbym wiązanke, od której zwiędłyby paprotki w sekretariacie, albo przynajmniej poprawiłbym obudowie z buta, ale nie dzisiaj. Dzisiaj tylko opieram się o oparcie i czuję, jak zmęczenie wżera się w moje kości jak kwas chlorowodorowy, zostawiając po sobie tylko dymiące zgliszcza.

Jeśli ta kupa złomu ruszy, to świetnie. Jeśli nie. Trudno. Nie mam już siły, żeby walczyć z buntem maszyn. One i tak wygrywają.

Podnoszę się i ruszam do kuchni. Kafelki pod moimi butami są stare, wyszczerbione i śliskie. Lekko trzeszczą pod podszewkami, skrywając pod warstwą brudu sekrety, których żaden sanepid nie chciałby znać. Powietrze w kuchni jest duszne, nasyczone odorem zwiędłej kawy i pleśni, która zamieszkała tu na stałe. To zapach pary, która nigdy nie znalazła wyjścia i po prostu zdechła na ścianach.

Ekspres do kawy patrzy na mnie z wyższością. To złośliwy, zardzewiały karczmarz, który doskonale wie, że jestem na jego łasce. Spluwa do mojego kubka czarną, oleistą mazią z wyrazem najwyższej pogardy. Wie, że wypiję każdą kroplę tej trucizny, byleby tylko poczuć to brutalne uderzenie kofeiny, które wciąga mnie jak nalóg.

W końcu strużka czerni wypełnia naczynie, unosząc parę, która gryzie w nozdrza jak gaz łzawiący. Biorę pierwszy łyk. Jest gorzki, palący, obrzydliwy, ale nigdy nie chodziło o smak, a o to, żeby zmusić to truchło, które nazywam ciałem, do zrobienia jeszcze kilku kroków.

Wracam do biurka. Płyn w kubku jest czarny jak moja przeszłość, ale przynajmniej parzy. A ból to jedyny dowód na to, że jeszcze nie stałem się częścią tej pleśni na ścianie.

Monitor w końcu zaskoczył z jękiem starej maszyny tortur. Błękitne światło pożera moje zmęczone oczy.

Wpisuję hasła: *zegar, pęknięta tarcza. Symbolika czasu w tarocie.*

Żadnych konkretów. Tylko akademicki bełkot, który gównowo znaczy w starciu z martwą kobietą w hotelu.

Przeskakuję na ezoteryczne bagna. Fora dla ludzi, którzy boją się realiów tego świata, więc szukają schronienia w duchach i przeklętych symbolach. Obietnice, że przyszłość da się oszukać, jeśli tylko ustawisz karty w odpowiednim układzie.

Gówno prawda. Przyszłość to pociąg, który i tak cię rozjedzie, bez względu na to, jaką kartę wyciągniesz. Przewijam dalej te brednie.

Wtedy wyskakuje to nazwisko.

Raz. Drugi. Piąty.

Morgana de Lys. Wróżbitka. Podobno zna każdą talie, każdą kartę, jaka istnieje. W jej żyłach nie płynie krew, ale atrament ich rysunków. Nie ma oficjalnej strony. Są tylko wzmianki w artykułach. Zostają tylko szeptane polecenia na forach, ukryte między wierszami o kłátwach. Ktoś pisze, że Morgana czyta to, co ukryte pod skórą świata. Brzmi jak kolejna porcja spirytystycznych rzygów, ale wchodzę głębiej. Mały gabinet na obrzeżach, w miejscu, gdzie nawet szczury chodzą dwójkami. Anonim ostrzega: *nie rozmawia z każdym. Trzeba mieć powód.*

Pytam siebie, czy mój jest wystarczająco dobry. Chyba tak.

Zapisuję adres.

– Może wróżby nie są takie durne. – Wzdycham, gasząc ekran.

Podnoszę wzrok na Deana. Wygląda jak wrak człowieka, który właśnie osiadł na mieliźnie. Masuje skronie, wciskając kciuki w skórę, jakby chciał zdusić ból, zanim ten rozsądzi mu czaszkę. Znajomy widok. Upadek w zwolnionym tempie.

– Jedziesz ze mną? – rzucam.

Otwiera jedno przekrwione oko.

– Gdzie? Do psychiatrika?

– Wróżbitka. Może wie coś o tej karcie.

– Serio? Stoczyłeś się aż tak nisko, Howard? Wróżby?

Pstryk. Płomień drga jak ostatnia iskra nadziei, po czym znika, zostawiając duszący smród benzyny.

– Jeśli ma mi zdradzić coś, czego nie ma w aktach, to czemu nie?

Dean kręci głową, ale to nie złośliwość. To rezygnacja.

– Chętnie bym zobaczył, jak ta stara oszustka czyta ci z ręki, że czeka cię tylko marskość wątroby, ale... – Klepie się w pierś z grymasem bólu – Dziś mój żołądek ogłosił niepodległość. Jeśli znowu wsiądę do samochodu, rzygnę prosto na deskę rozdzielczą.

Patrzę na niego i widzę nas obu. Dwóch żołnierzy bez wojny, otrutych przez tanią whisky i brak złudzeń. Dean próbuje żartować, ale jego ciało właśnie wywiesza białą flagę, zostawiając mnie samego na linii frontu z przepowiednią śmierci, która i tak od dawna wisi nad nami, jak smog nad tym miastem.

– Oszczędź mi szczegółów swojej anatomii.

– Jak wydasz ostatnie grosze na amulety przeciw złym duchom, nie mów, że cię nie ostrzegalem! – woła za mną.

– Zobaczymy, czy dalej będzie ci do śmiechu, kiedy wrócę z datą twojej śmierci! – odkrzykuje.

– Już ją znam, Howard! Spytaj ją, czy będzie bolało!

Zamykam drzwi za sobą, a chłód poranka uderza w twarz. W kieszeni skrawek papieru, który może zmienić wszystko. Silnik odpala bezbłędnie, mruczy pod maską jak drapieżnik. Radio włącza się samo, sycząc statycznym szumem, zanim złapie pierwsze nuty stacji.

Dwadzieścia minut później, centrum zostaje za mną.

„Uwaga. W związku z trwającym stanem wyjątkowym publikujemy raport ratusza: Los Angeles pozostaje nadal pogrążone w całkowitej ciemności. Zjawisko nie wykazuje żadnych oznak ustępowania...”

Ten sam cholerny, bezpłciowy głos w radiu. Ton niezmienny, martwy jakby czytał instrukcję obsługi tostera, a nie nekrolog cywilizacji.

„Według najnowszych informacji, długość nocy nie podlega już naturalnemu cyklowi. Prosimy też o dostosowanie codziennych czynności do warunków sztucznego oświetlenia. Władze miejskie apelują o unikanie przemieszczania się poza wyznaczone strefy bezpieczeństwa. Transport publiczny oraz kluczowe usługi nadal działają wyłącznie w trybie awaryjnym. W przypadku braku możliwości kontaktu z bliskimi prosimy wszystkich o korzystanie tylko z systemów łączności w trybie ograniczonym. Zwykłe linie mogą być przeciążone. Temperatura obniżyła się o kolejne trzy stopnie. W niektórych rejonach odnotowano liczne anomalie elektromagnetyczne. Zaleca się pozostanie w budynkach, ograniczenie użycia energii oraz przygotowanie zapasów na co najmniej kolejne siedemdziesiąt dwie godziny. Prognozy na najbliższe dni nie są jednoznaczne...”

Słucham tego belkotu i mam ochotę strzelić w deskę rozdzielczą. Czwarty dzień bez słońca, a te biurokratyczne pluskwy dalej udają, że mają nad czymkolwiek kontrolę.

Ulice pustoszeją, a budynki zdają się kurczyć, karłowacieć w tym wiecznym mroku. Cienie snują się po fasadach jak pasożyty, przeskakując z jednego wybitego okna na drugie. Sygnalizacja świetlna zdechła. Zostały tylko migoczące żółte lampy, które pulsują chaotycznie jak oczy wariata tuż przed atakiem. Drgają w agonii, gotowe zgasnąć na zawsze i zostawić nas w tej czarnej dziurze.

Droga wije się między magazynami i pustymi lokalami, które noszą w sobie echo dawnych czasów, gdy cokolwiek miało jeszcze sens. Mury szepczą o przeszłości, której nie odzyskamy, bo i po co? Graffiti na ścianach łuszczy się jak stary, zawszony tatuaż na skórze trupa, który zbyt długo gnił na widoku. W powietrzu unosi się aromatyczny beton i żelazisty pył. Rdza przenika tlen. Wdycham ją głęboko, czując, jak moje płuca powoli zamieniają się w metal, a krew w żyłach tłoczy

się ciężko, z wyraźnymi, bolesnymi grudkami, jakby zamiast osocza płynął w niej żwir w formie płynnej.

Zjeżdżam z głównej arterii ulicy. Asfalt się kończy, zaczyna się miasto-kanibal. Los Angeles zaczęło pożerać własne wnętrze. Kamienie bębnią o podwozie jak kości wypluwane przez głodne skrzyżowania. Głębokie dziury to otwarte usta, gotowe wciągnąć mnie prosto do środka tej betonowej padliny. Miasto przestało nas gościć. Teraz nas trawi, powoli rozpuszczając w kwasie wiecznej nocy.

Zatrzymuję się. Wylączam silnik. Cisza, która następuje, nie jest zwykłym rodzajem spokoju. To zawieszenie w próżni, chwila, w której cały świat wstrzymuje oddech, bojąc się, że następny będzie ostatnim. W tym miejscu przyszłość nigdy nie dotarła, utknęła gdzieś na autostradzie, porzucona i zapomniana.

Wysiadam, a noga od razu łąduje w kałuży. Woda jest lodowata, brudna, tłusta od ulicznego szlamu. Wciągam powietrze przez zęby, strzepuję wodę z buta, ale gramatura mokrego materiału już zdołała wgryźć się w skórę. Za każdym razem, gdy stawiam krok, czuję, jak woda wnika głębiej, a ciężar buta robi się uciążliwy.

Kurwa, zawsze coś...

Podnoszę wzrok. To miejsce nie jest tylko adresem. To luka w kodzie porządku tego świata. Wybryk pijanego kartografa, który upuścił kleksa na mapę i nazwał go ulicą. Stoję na jednej z tych nieistniejących wysp, które nigdy nie zaznały słońca, a moja przemoczona stopa to jedyny dowód na to, że ta makabryczna pomyłka jest materialna.

Podchodzę bliżej. Nad głową jęczy szyld, raz po raz, uderzając bokiem o ścianę budynku, próbując wyrwać się z zawiasów, ale brak mu sił. Dźwięk przypomina cichy, zrozpaczony płacz.

PRZEPOWIEDNIE TALIZMANY OCZYSZCZENIA

Mur jest wypłowiały, dach pewnie przecieka, wpuszczając do środka ten brudny, czarny deszcz. Drzwi wyglądają na żart, wystarczyłby jeden mocniejszy podmuch, by wyleciały z futryny razem z całym tym ezoterycznym cyrkiem. Jedynym drogowskazem jest neonowa ręka. Migocze nerwowo, jakby miała atak padaczki, rzucając krwawe refleksy na mokry chodnik. Miejsce w sam raz, żeby zapłacić za złudzenia. Pieniędzmi. Albo duszą, jeśli komuś jeszcze jakaś została.

W środku śmierdzi kadzidłem, stęchlizną i tanim, jarmarcznym dramatyзмом. Światło jest przytłumione, żółtawe, jak na starych fotografiach z sekcji zwłok. Ktoś tu przedawkował mistycyzm, tworząc poświatę, która zaciera granice między prawdziwością a tym, co wyimaginowane. Lichy regal ugina się pod ciężarem importowanej tandety, jakby próbował dźwigać grzechy całego Chinatown. Plastikowe kryształki odbijają trupie światło jarzeniówek, a obok nich rzędem wiszą masowo produkowane obietnice lepszego jutra, które śmierdzą tanim polimerem i wyzyskiem.

Wzrok ucieka ku seryjnie tłoczonym symbolom **Kanji**, które mają niby oznaczać *siłę* czy *spokój*, a w tym miejscu Wyglądają jedynie jak wyrok wypisany na kawalku dykty. Jest też obowiązkowy, pozłacany zestaw do **Feng Shui** i łapacze snów z syntetycznych piór. Pod nimi figurki **Buddy** z żywicy, które uśmiechają się złośliwie do każdego, kto wchodzi tu z nadzieją. To cały ten nowożytny, amerykański kicz. Próba zaklamania świata za pomocą przedmiotów wartych mniej niż bilet do metra.

To nie koniec. Jeszcze te książki z tytułami dla ludzi, którzy stracili kontakt z bazą. *Przepowiednie dla zagubionych dusz*. *Sekrety wszechświata*. *Jak oczyścić aurę i wygrać w lotto*. Kurwa. Co ja tu robię? Jeszcze moment, a zacznę wierzyć w horoskopy i przeproszać czarne koty za to, że żyję.

Za ladą siedzi ona. Morgana. Może ma pięćdziesiątkę, może sto lat. W tym świetle każda zmarszczka wygląda jak kanion. Siwe, splecione

włosy opadają na ramiona jak brudna wełna, która nasiąknęła wilgocią wszystkich deszczowych nocy tego miasta. Bandana w gwiazdy ledwo trzyma ten chaos w ryzach. Patrzy na mnie jak **upadła Madonna** z zapomnianego, prowincjonalnego ołtarza. Jej makijaż to maska, którą mogłaby nosić **Markiza de Brinvilliers** przed wejściem na szafot. Dumna, przerysowana i śmierzcząca kłamstwem. Te jej fioletowe powieki to nie ozdoba, to kamuflaż kogoś, kto widocznie zbyt długo zaglądał w otchłań. Teraz próbuje zamalować to, co w niej zobaczył.

Usta są podkreślone nazbyt ciemną szminką, nie do końca starannie, jakby malowała się w pośpiechu między jedną wizją a drugą. Na uszach kołyszą się ogromne, okrągłe kolczyki, które przy każdym ruchu wydają ciche, metaliczne brzmienie, trochę jak ostrzeżenie, a trochę jak zapewnienie. Jej oczy to dwie czarne dziury, w których odbija się światło kadzidel. Przesuwa dłonią po blacie. Pomarszczoną, ozdobioną pierścieniami, które wydają się starsze od niej samej. Bada mnie, waży moją wartość.

– Jesteś umówiony? – pyta, nie ruszając się z miejsca. Jej głos to dźwięk żwiru przesypanywanego w trumnie.

– Laamesth'on. Chcę porozmawiać – rzucam krótko.

– Wszyscy chcą.

Nie czekam na jej laskawość. Wyciągam z kieszeni kartę i kładę ją przed nią na blacie. Kartonik uderza o drewno z ciężarem, którego nie powinien mieć.

– To coś ci mówi? – pytam.

Patrzy na nią. Długo. Jej oczy tracą ten cyrkowy błysk, stają się zimne i ostre. Karta wydaje się ożywać pod jej wzrokiem, wsysając całą historię tego hotelu, martwej kobiety i tego zegara zatrzymanego na **2:07**. Wszystko miesza się w jednym punkcie.

Morgana podnosi wzrok i nagle maska opada.

– Chodź.

Nie pyta o nic więcej. Nie wspomina o zapłacie. To dziwne. W takich norach płacisz nawet za powietrze. Wstaje i rusza w głąb.

Drzwi otwierają się bezszelestnie, jakby same bały się dźwięku własnych zawiasów. Wchodzę za nią w wilgotny korytarz, gdzie czas zwalnia, a powietrze robi się lodowate.

Kiedy przekraczamy próg tylnego pokoju, cała ta jarmarczna szopka znika. Morgana przestaje być już atrakcją dla turystów. Zmienia się w reżysera cieni, w kogoś pokroju **Johna Dee**. Nekromantę ryszotka, kogoś, kto zamiast w niebo, patrzy prosto w dno szamba. Tu nie ma kiczu. Jest tylko surowa, ciężka powaga, która sprawia, że czuję się jak petent u kogoś, kto trzyma klucze do najgłębszych piwnic Los Angeles. Ciemność tutaj ma swoją masę. Jest materialna.

Zatrzymuje się przy stole.

To pomieszczenie to nie sklepik a izolotka dla obłąkanych, w której czas dawno przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie. Świece migoczą na niskim stoliku, rzucając drżące cienie na przybrudzone ściany, które wydają się obce, niepasujące do reszty tego miejsca. Pomiedzy nimi widać plamy wilgoci. Nigdy nie było tu dość ciepła, by naprawdę wysuszyć powietrze.

Pachnie tu czymś ostrym, metalicznym jak rozgrzany do czerwoności nóż przesuwany się po skórze, zostawiający po sobie ślad, który trudno jest usunąć. Czuć też kadzidło, ale nie takie, jak na froncie. To coś bardziej surowego jak przypalona ziemia i krew. Przypomina starą ranę, której nie udało się całkowicie wyleczyć, a teraz jedynie rozprzestrzenia się w powietrzu. Morgana muska kartę opuszkami, jakby chciała wyczuć pod palcami tętno tego papieru.

– Skąd to masz? – pyta, nie patrząc na mnie. Jej palce zaciskają się na krawędzi blatu tak mocno, że bieleją jej kostki.

W jej oczach błyska coś na kształt zrozumienia. Albo strachu. Widzę w niej wygnaną **Sybillę**, która nagle rozpoznała zapach własnego

wyroku. Ten błysk w jej oczach to nie jest wiedza. To przerażenie kogoś, kto przez lata tylko udawał, że rozmawia z duchami, a teraz... pierwszy raz w życiu poczuł na karku oddech prawdziwego potwora. Trudno powiedzieć, co bardziej mnie niepokoi.

– Była na miejscu zbrodni – mówię, a mój głos brzmi jak zgrzyt klucza w zardzewiałym zamku. – I nie jest jedyną.

Siada, wskazując mi krzesło. Nie ruszam się. Wolę stać, gotowy do ucieczki z tego dusznego koszmaru.

– To nie jest byle karta – rzuca, przesuując dłonią po blacie, jakby zgarniała z niego niewidzialne prochy zmarłych. – To coś znacznie starszego. Coś, co zerwało się z łańcucha.

– To tarot?

– Tarot? – powtarza z kpina, która tnie jak brzytwa. – Tarot to kolorowanka dla dzieci. To, co tu leży, to anatomia końca.

– Mów dalej.

Dotyka krawędzi karty. Powoli. Z nabożnym lękiem.

– Ten... zegar. To ostrzeżenie.

Świetnie. Naprawdę dobry początek.

– Przed czym? Przed spóźnieniem na własny pogrzeb?

– Przed tym, kto je rozdaje.

Atmosfera się zagęszcza, świece przygasają pod niewidzialnym ciężarem. Niemal słyszę pęknięcie tynku.

– Ta karta nie powinna istnieć w tym świecie – szepcze, a jej słowa nikną w mroku. – Ktoś zadał sobie mnóstwo trudu, żebyś to właśnie ty ją znalazł.

Obserwuję ją, polując na każdy fałszywy ruch, ale jej twarz jest jak kamień. Przenikliwa, nieustępliwa.

– Co oznaczają te rzymskie cyfry? – Czuję, jak piasek w moich ustach znowu zaczyna chrzęścić.

– Zegar to nie czas – mówi powoli. Jej głos brzmi jak wyrok

odczytywany w piwnicy. – Ale te cyfry nie mierzą godzin. One wskazują punkty, w których rzeczywistość odkleiła się jak stary plaster. Niektóre zegary nie mierzą tego, co nadchodzi. Mierzą to, co utraciliśmy. I to, co nigdy nie powinno zostać zbudzone.

Nie podoba mi się kierunek tej rozmowy.

Wodzi wzrokiem od XII do VI, jakby czytała mapę pola bitwy.

– Niektóre liczby ważą więcej niż inne.

– A wskazówki? – pytam, a moje serce uderza w rytm tego przekłętego zegara. – Na poprzedniej były powykręcane, jakby ktoś zламаł czasowi kręgosłup. Na tej... ustawione na pierwszą.

Kiwa głową, a jej palce wciąż drżą na papierze.

– To znaczy, że coś się zaczęło. *Czas ruszył.*

Te słowa przygniatają mnie do ziemi. *Czas ruszył... Coś się zaczęło...* Czyli co? Wcześniej stał w miejscu? Czuję się jak skazaniec przed sędzią, który właśnie odwrócił klepsydrę. To nie jest śledztwo, to egzekucja rozciągnięta w czasie. Skoro zegar ruszył, to znaczy, że do tej pory byłem tylko martwym statystą w oczekiwaniu na pierwszy akt tragedii, którą ten *zegarmistrz* dla mnie napisał? Przesuwam językiem po zębach, próbując pozbyć się dziwnego wrażenia, że coś się zmieniło, że wszystko wokół zaczyna nabierać tempa.

– Kto mógł stworzyć coś takiego?

Milczy. To milczenie jest głośniejsze niż krzyk. Jej palec sunie po tarczy zegara, szukając pulsu w martwej farbie.

– Do każdej godziny przypisany jest symbol – mówi w końcu, a jej głos jest zbyt spokojny, by mógł być ludzki.

Śledzę jej palec. Porusza się, jakby czas faktycznie zdechł, potem zostawił mnie w tej dusznej klatce.

– Pierwsza. *Mag*. Cztery elementy, rzekoma władza, ale on nie ma kontroli. On tylko rozpaczliwie próbuje polatać to, co już pękło.

Palec sunie niżej, zostawiając na papierze niewidzialną smugę łęku.

– Druga. *Kochankowie*. Spleceni w uścisku, który przypomina duszenie. Cienie zamiast twarzy. Wybór, który od początku był tylko kłamstwem.

– Trzecia. *Rydwany*. Dwa konie szarpiące się w przeciwnych kierunkach. Nie ma zwycięstwa, detektywie. Jest tylko rozrywanie na strzępy w absolutnej pustce.

– Czwarta. *Sprawiedliwość*. Waga bez ciężaru. Równowaga trupa, który nie ma już nic do stracenia.

Przelykam ślinę, ale moje gardło to rura pełna pyłu. Morgana nie przestaje.

– Piąta. *Pustelnik*. Latarnia, która zamiast świecić, wsysa resztki światła. Ciemność, która nie daje wytchnienia.

Oddycham płytko. Każde jej słowo to kolejny kamień do worka, który mam uwiązany u szyi. Czuję, jak mój kręgosłup trzeszczy pod tym ciężarem.

– Szósta. *Koło Fortuny*. Obraca się w próżni. Karma utknęła na środku, w martwym punkcie, a los... los po prostu zamarzl.

Czuję, jak zaciskam dłoń w pięść, kiedy przechodzi do kolejnej.

– Siódma to *Śmierć*. Szkielet tańczy w kółko, ale koniec nie nadchodzi. Wieczna agonია.

– Ósma. *Wisielec*. Odwrócony, patrzący w dno piekła... Czas się zatrzymał, a on czeka na coś, co nigdy go nie wybawi.

– Dziewiąta. *Cesarzowa*. Ziemia jałowa, stłumiona, ale życie zgnilo pod warstwą lodu. Płodność karmiąca się trupami.

– Dziesiąta. *Gwiazda*. Woda, która nie splywa, kisi się w korytach. Zatrzymana płonna nadzieja.

– Jedenasta. *Wieża*. Zniszczona, ale chaos niczego nie zmienia. Wieczny upadek, który nigdy nie kończy się uderzeniem o bruk.

– Dwunasta to *Głupiec* – syczy, a jej głos brzmi jak piach sypany na marmur. – Krok w przepaść. Nieświadomość bydlęcia prowadzonego

na rzeź.

Teraz jej palec zatrzymuje się na środku tarczy. Tam, gdzie farba pękła, tworząc czarną wyrwę.

– To... nie ma ruchu – szepcze, a w jej oczach widzę odbicie końca świata. – Wszystko jest zawieszona. A my nie wiemy, co się stanie, gdy pęknięcie pójdzie dalej... Coś już się zaczęło. Albo właśnie dobiega końca.

Skwierczenie świecy w rogu brzmi jak kroki kogoś, kto idzie po nas, pustym korytarzem. Cienie na ścianach pełzną powoli, leniwie, jakby miały całą wieczność na to, by nas osaczyć. Duchota oblepia skórę jak mokra folia. To powietrze nie służy do oddychania. Służy do duszenia. Kadzidlany smród, słodkawy i mdlący, wżera się w nozdrza jak zapach rozkładającego się mięsa.

Czego ja, kurwa, oczekiwałem? Że wyjdę stąd z adresem mordercy? Symbole, których nikt nie rozumie i wariatka mówiąca zagadkami, sama przerażona tym, co widzi. To nie jest śledztwo. To oglądanie własnej egzekucji w zwolnionym tempie.

– Howard... – charczy, a jej kolczyki dzwonią jak dzwon pogrzebowy. – To nie ty szukasz Zegarmistrza. To on już cię znalazł. Jesteś dwunastą cyfrą na jego tarczy.

– Co ty pieprzysz, stara wariatko? – warczę, próbując zachować resztki dystansu. – Skąd znasz moje imię?

Zamiast odpowiedzi, jej dłoń strzela w stronę mojego nadgarstka. Chwyta mnie mocno. To nie jest chwyt staruszki. To uścisk topielca, który w ostatnim akcie desperacji próbuje wciągnąć cię ze sobą pod lodowatą taflę. Nie ma w tym miękkości, tylko obca, martwa siła, która zdaje się kruszyć mi kości. Jej oczy wbijają się w moje. Są czarne, głębokie i puste jak świeżo wykopane groby w deszczową noc.

– Ty... – Jej głos urywa się, jakby w gardle uwiązał jej kawałek szkła. Palce zaciskają się jeszcze mocniej, aż czuję pulsowanie własnej

krwi pod jej paznokciami. – Albo nie... sam musisz odkryć prawdę, podążając za anagramami.

Podnoszę wzrok. Jej spojrzenie to zapomniana studnia.

Ciemna, bez dna, bez echa. Ona mnie nie widzi. Patrzy przez moją czaszkę na coś obcego i nienasyconego.

– *Zawsze jestem ostatnia, choć nikt mnie nie widzi* – jej głos staje się nie-ludzki, monotonny jak odgłos kapiącej wody. – *Możesz mnie czuć, ale nie możesz mnie dotknąć. Przychodzę, gdy wszystko ustaje, a mimo to nie zostawiam żadnego cienia.* Nim czas zapętlili się o siedem dni... musisz znać odpowiedź, Howard. Inaczej sam staniesz się zagadką.

Patrzę na nią. Sekundę. Może dwie. I wtedy coś we mnie się rwie. To nie jest olśnienie. To czysta, pierwotna nienawiść do świata, który robi sobie ze mnie jaja.

– Jasne, kurwa. Bardzo mistycznie – warczę, wrywając rękę z jej uścisku. Jestem zbyt zirytowany, by dalej grać w tym przedstawieniu.

Wyciągam dłoń i zgarniam kartę z blatu. Zabieram ją jak relikwię wydartą z płonącej świątyni, jedyny dowód na to, że jeszcze nie zwariowałem. Nie czekam na jej protesty, nie patrzę jej w oczy. Czuję się jak **Eneasz** uciekający z ruin Kartaginy, niosący w dłoni resztki porządku, który na moich oczach obraca się w śmierdzący popiół.

Mój cynizm to tylko tania maska, którą przybijam do twarzy, żeby ukryć pod nią czysty, paraliżujący strach. A ta karta to mój jedyny bilet ucieczki z labiryntu, w którym ktoś mnie zamknął i zgasił światło.

– Siedem dni? – rzucam przez ramię, dochodząc do drzwi. – Mam nadzieję, że Zegarmistrz nie dolicza odsetek za spóźnienie.

Na zewnątrz zapalam papierosa. Dym wżera mi się w płuca, piecze i gryzie, ale nie przynosi żadnej ulgi. Jest gorzki i suchy, dokładnie jak ostatnie słowa staruszki. Zaciągam się tak głęboko, jakbym chciał wypełnić płuca betonem i opaść na dno tego bagna. Wypuszczam dym,

który rozwiewa się gwałtownie, jakby samo powietrze chciało się go pozbyć. I wtedy ją zauważam.

Po drugiej stronie, przy latarni, stoi kobieta. Jest zbyt daleko, bym mógł dostrzec rysy twarzy, ale wystarczająco blisko, by ścisk w żołądku dotarł do kręgosłupa. Jej sylwetka jest zlepiona z cienia, gęstego jak rozlany atrament, jakby mrok wokół niej nie był brakiem światła, ale jej własną skórą. Nie drgnie nawet o milimetr. To nie jest kobieta.

To **Nemezis** we własnej osobie, mrok mojego przeznaczenia, który ulepił się z kałuż i miejskiego smogu. Nie oddycha, bo fatum nie potrzebuje tlenu, by trwać. Stoi nieruchomo, nieunikniona jak grawitacja, obserwując mnie w sposób, w jaki kat patrzy na skazańca po odczytaniu sentencji. Czuję na plecach zimne spojrzenie samej historii, która właśnie wbiła we mnie wzrok. Nie mam pojęcia, kim jest. Jedno wiem na pewno. Nie znalazła się tu przypadkiem.

Palce mimowolnie się rozluźniają. Papieros wyślizguje się, następnie uderza o chodnik. Żar syczy cicho, gdy wpada w kałużę, rozmywając nikotynowy ślad w brudnej wodzie. Dym unosi się jeszcze przez chwilę, cienka smużka, którą wiatr natychmiast rozprasza. Nie ma już żadnego śladu po tym, co było.

Kiedy wracam wzrokiem, *kobieta* robi krok w stronę mgły. Nie przyspiesza. Nie ma w niej pośpiechu, jakby wiedziała, że czas jej nie dotyczy. Nie ogląda się.

Z każdym krokiem rozplywa się w przesiąkniętym szarym oparze, jakby przechodziła do innego świata, do którego nie mam wstępu. Każdy instykt we mnie wrzeszczy: *idź za nią. Zatrzymaj ją. Upewnij się, że to prawda, że istnieje, że to wszystko dzieje się naprawdę. Że nie zvarionalem.*

Jednak nie ruszam się. Coś mnie trzyma w miejscu.

Strach? Wątpliwości? A może ta cicha, lepka niepewność, która pojawia się zawsze wtedy, gdy zmysły zaczynają się rozmywać. Wiem, że pościg jest bezcelowy. Przecież przeznaczenie nie zostawia odcisków

butów w błocie Los Angeles. Nie mam pewności, czy to ja mam ją odnaleźć. Czy nie jest przypadkiem odwrotnie?

Patrzę, jak głaz, który właśnie wtoczyłem na szczyt, toczy się z powrotem w przepaść. Całe to śledztwo, ambicje, poczucie sprawiedliwości właśnie znika w otchłani, a ja zostaję z pustymi rękami pod brudnym niebem i przepowiedniami z dupy.

Ta egzekucja nie potrzebuje szubienicy. Wystarczy jej ta duszna cisza, w której słyszę tylko bicie własnego serca, odliczającego czas do preludium, które odbywa się tu i teraz, w czasie teraźniejszym.



Kot i mysz

Podjeżdżam pod komisariat, ale mam to dziwne przeczucie, które rozlewa się we mnie jak gorący tłuszcz na ranie. Radio, które milczało od dłuższego czasu, nagle ożywa. Najpierw słyszę cichy *trząsk*. Przypomina odgłos zagubionej częstotliwości, której nikt nie odbiera. Zatrzymuję wzrok na panelu, gotów dotknąć regulacji, ale zanim to zrobię, przestrzeń wypełnia szum. Głęboki. Obcy. Przypomina wdech kogoś, kto *nie powinien oddychać*. Kto nie musi albo nie ma płuc. Wśród tych dźwięków wylaniają się dwa głosy, niewyraźne, zamazane jakby tonące w głębokiej wodzie.

Pierwszy śpiwny. Hipnotyczny jak pieśń utkana z resztek tchu. Delikatny jak pajęczyna i tak samo śmiertelny. Drugi z kolei jest chropowaty, ostry jakby przebijał się przez mur zrobiony z kamieni i szkła. Z początku dalekie, ale zbliżają się jak echo czegoś, co nie ma imienia.

Czuję się jak nurek, któremu właśnie pękl przewód z tlenem na samym dnie Rowu Mariańskiego. Te odgłosy nie płyną z głośników. One wyciekają z nieszczelności wszechświata. Słucham tej *pieśni syreny* i *szeptu demona*, wiedząc, że to ciśnienie zaraz zmiażdży mi płuca. To nie jest awaria radia, to dekompresja mojej duszy.

– *Ve...ni...ad...te*. – Pauza – *No...men...me...um...est...w...a...nd...oth...b...*

Zgrzyt. Głośniejszy, bardziej nieprzyjemny. Coś się zatrzymuje. Potem przestawia. Szarpie. Głos odbija się echem, mocniejszym niż cokolwiek wcześniej. Potem coś eksploduje pod skórą. Cicho, ale bezlitośnie. Przez sekundę świat wydaje się inny. Każdy dźwięk waży. Ciemność ma temperaturę. I nagle wiem: *nie jestem tu mile widziany*. Świat chce mnie wypluć. Pozbyć się jak intruza.

To niemożliwe.

To niemożliwe!

Odwracam się. Powietrze iskrzy napięciem jak wstrzymane tętno. Wiem, że to głos z nagrania, z numerem alarmowym.

Przestrzeń staje się realna. Nienaturalnie realna.

Już nie słyszę, a czuję ten głos.

Wdziera się we mnie jak fala, która nie ma litości.

Nie jest transmisją. Jest obecnością.

Oddycham głęboko, próbując uspokoić serce. Głos wciąż wiruje wokół mnie, ale już nie uderza tak intensywnie, jak chwilę temu. Coś powoli rozpuszcza ten ciężar, który wypełnił przestrzeń.

Szczęk metalu przerywa zastój, a szum w końcu zaczyna opadać.

Otoczenie wokół mnie staje się stopniowo mniej obce, mniej obciążone, a mgliste granice, które wcześniej rozciągały się we wszystkich kierunkach... teraz ustępują.

Gaszę silnik. Kluczyk ślizga się w moich spoconych dłoniach. Jest za ciężki, by go utrzymać. Zerkam na radio raz jeszcze.

Wdech, wydech. Może to tylko stres, może jakiś niepokój mnie złapał, ale nie mogę pozbyć się tego uczucia.

Patrzę na komisariat. Budynek stoi, ale coś się w nim nie zgadza. Może proporcje są inne? Może kształt jest zbyt płaski, zniekształcony przez coś, czego nie widzę? To tylko kartonowa dekoracja z taniego kryminału. Ten gmach, który zawsze był dla mnie fundamentem prawa, nagle wydaje się tylko sennym powidokiem, który zaraz może zostać zwinięty przez ekipę techniczną. Optyka kłamie, perspektywa drży, jakbym patrzył na świat oczami kogoś, kto właśnie przejrzał na oczy i dostrzegł, że za tą fasadą nie ma nic prócz pustki.

Podchodzę, otwieram drzwi. Powietrze uderza mnie w twarz. Zaczynam się dusić. Kurz nagrany od lamp biurowych jest wymieszany z ciepłem pracujących komputerów. To samo, co zawsze, a jednak jakieś inne. Z tyłu jest coś jeszcze, drażniąca nuta taniego toniku do golenia.

Gdy podchodzę, Dean unosi głowę znad kubka kawy i się szczyrzy.

– No i co? Wywróżyła ci datę pogrzebu? Czy może już powinieneś

zacząć szukać promocji na trumny, póki jeszcze masz na to siłę?

– Zamknij się, Dean.

– Serio. Co ci wywróżyła? Tajemniczą kochankę z nogami do nieba? Bogactwo? Albo twoja wątroba, która spakuje się i wyjedzie na urlop, jeśli nie przestaniesz pić?

– Przepowiedziała, że na mojej drodze stanie skończony idiota. Jak widzisz, stara wiedźma nie kłamała – rzucam, siadając ciężko na krzesła, które jęczy pod ciężarem mojego zniechęcenia.

Wybuchła śmiechem. Jego głośny, bezczelny śmiech, który nie ma w sobie ani troski, ani śladu powagi.

– No, to przynajmniej trafiła w dziesiątkę! Może sam do niej pójde.

– Dobra, dość tych bzdur. Mamy coś nowego? – pytam, opierając się o biurko, rozmasowując skronie. Ból pulsuje w głowie. Świadek tego, co przed chwilą się wydarzyło.

Dean wzrusza ramionami, wciąż rozbawiony.

– Parker sprawdził nagranie – mówi, nie patrząc mi w oczy. – Nic nie wskazuje na problem techniczny. Stwierdził, że to wada przy zapisie danych.

– Wada zapisu? – powtarzam. – To by było zbyt proste.

– Sprawdził wszystkie możliwe ślady, a tu... nic. Żadnych usterek.

– Chyba będę musiał zadzwonić do Alison po drugą kopię.

Dean unosi brwi, a na jego twarzy pojawia się lekki grymas. Znowu zgrywa tego samego, dobrze znanego mi faceta, który zawsze ma coś do powiedzenia. Zawsze nie w porę...

– Przyznaj, Howard... tylko przed sobą. Czekaleś na powód, żeby do niej zadzwonić – rzuca to z taką pewnością, jakby właśnie wyrecytował moje najgorsze tajemnice.

Spoglądam na niego.

– Dean, skupmy się na faktach, a nie na tym, co masz w głowie.

– Dobrze, dobrze – wzdycha. – Dział kryminalistyki nadal bada

zebrane informacje. Sprawdziłem też, czy inne podobne karty pojawiły się przy innych morderstwach. Zgadnij co?

– Nic.

– Bingo. Nie mamy żadnego naśladowcy.

– To chyba dobry znak.

Przeszukuję biurko, rozsypując papiery. Kartki ślizgają się po blacie, niektóre spadają na podłogę. Biurko jak zawsze zagracone: *raporty, notatki, zszywane, długopisy bez wkładu*. Przesuwam wszystko jednym ruchem, potem drugim, szybciej, nieuważnie. Gdzieś tu była ta wizytówka. Wiem, że była. Zamieram na moment. Lewy róg? Pod monitorem? Obok kubka z kawą? Szukam dalej, bardziej nerwowo. Przesuwam telefon, podnoszę segregator. Nic. Przecież ją widziałem. Przytrzymuję ręką stos dokumentów, przewracam je kartka po kartce. Szleszczą sucho. Drażniąco.

Zerkam pod biurko. Kilka luźnych kartek na podłodze. Schylam się, sięgam, sprawdzam każdą z osobna. Coraz bardziej mnie to wkurza. To tylko wizytówka, ale potrzebuję jej teraz. Palce ślizgają się po plastiku identyfikatora, ocierają o rogi papieru. Przez chwilę myślę, że ją mam, ale to tylko stare przypomnienie o spotkaniu.

Wtedy ją widzę. Jest wciśniętą między teczki, przyklejona drobinka kawy. Wyciągam ostrożnie. Papier lekko wilgotny. Druk przetarty. Sięgam po telefon. Znowu mam to uczucie, coś mi umyka. Może to te papiery. A może to, co usłyszałem w samochodzie?

Dean ziewa. Patrzy na mnie. Na telefon. Potem na wizytówkę.

– Zachciało ci się romansów w trakcie dochodzenia?

Zamknij się, Dean. Albo przestań oddychać w moją stronę.

Zanim zdąży powiedzieć coś jeszcze, wybieram numer.

Alison odbiera, prawie że od razu. Czekala? Czy po prostu nie miała nic lepszego do roboty?

– Tak? Słucham. – mówi to chłodno, niemal mechanicznie.

– Dzień dobry – zaczynam – Tu detektyw Laamesth'on. Dzwonię w sprawie nagrania.

– Tak? – jej odpowiedź brzmi niemal monotonna.

To tylko kilka sekund rozmowy, a ona już mnie drażni.

– Nagranie, które pani wczoraj dostarczyła, ma dość istotną wadę. Prawdopodobnie uszkodzenie, może coś z nagrywaniem. Trzeba zrobić nową kopię, następnie upewnić się, że tym razem będzie działać prawidłowo.

– Dobrze, rozumiem detektywie – odpowiada cicho. – Zajmę się tym. Wszystko będzie w porządku.

– Dziękuję. Czeka...

Rozłączyła się bez słowa.

Wciąż trzymam telefon w ręce, patrząc na wyświetlacz.

– Randki nie będzie? – Dean parska, rozciągając się leniwie na krześle jak kot w pełnym słońcu.

– Ona jest jakaś dziwna. Cały czas taka służbowa. I jeszcze rozłączyła się bez słowa.

– A ty jak się zachowywałeś, kiedy przyszła? Jedno słowo *dzięki*. No to teraz się nie dziw, że traktuje cię jak powietrze.

Może ma rację. Może, zamiast tego całego *profesjonalizmu* powinienem spróbować być bardziej ludzki. Chociaż... na co to się zda w tym świecie, w którym każdy krok wymaga precyzyjnego kalkulowania?

– Właśnie! – Wrywa się nagle, wtrącając się w moje myśli. – Jak pojechałeś do wróżki dać fusy z porannej kawy do analizy, to inna wariatka dzwoniła. Mówiła, że skończyła sekcję. Prześle raport, ale woli, żebyśmy przyjechali osobiście.

Wdech, wydech. Myślę: *Howard, nie reaguj.*

– Czyli coś znalazła.

– Albo tylko narobimy sobie większego gówna.

– Jedziesz, czy znowu uciekniesz w wymówki?

– Już mi lepiej, dziękuję, że pytasz. – Pada z nutą ironii.

– No to jedziemy.

Wstaje, ale moje ciało wciąż waży za dużo, jakbym nigdy nie wrócił z tego Rowu Mariańskiego, w który wciągnęło mnie radio. Dean idzie przodem, rzuca jakieś kolejne durne żarty, a ja słyszę tylko ten zgrzyt. Ten nieludzki wdech, który rozdarł mi radio pod komisariatem, wciąż czuję pod skórą. *Ve... ni... ad... te...* Te słowa nie dają mi spokoju, krążą w mojej krwi jak trucizna, której nie da się wyplukać żartem czy alkoholem. Świat wokół może sobie gadać o raportach i sekcjach, ale ja wciąż czuję na karku ten *szept demona*. Tamta transmisja się nie skończyła. Ona dopiero zaczyna trawić mnie od środka. Jestem tylko odbiornikiem, który zaraz spłonie od nadmiaru napięcia.

W powietrzu czuć chłód, zapach brudnych ulic oraz nadciągający kolejny deszcz. Cokolwiek Mercer ma nam do powiedzenia, lepiej to usłyszeć na żywo, ale nie pamiętam, by chociaż jedno spotkanie z nią było proste. Tylko coś mówi mi, że nie mamy wyboru.

Ruch skrzyni biegów, wibracja pod stopą, ruszamy. Wiatr zaczyna targać drzewami, przesuwać ołowiane niebo.

Raz po raz moje oczy uciekają w stronę czarnej maskownicy radia. Patrę na nie z lękiem, jak na odbezpieczony granat, czekając, aż cisza znowu się rozwarstwi i wypluje z siebie ten nieludzki wdech.

Dean bębni palcami o drzwi. Kątem oka łapię jego spojrzenie.

– Dobra, a tak serio – zaczyna. – Co ci powiedziała ta wróżbiarka?

Przewracam oczami, zniecierpliwiony. Jedną ręką trzymam kierownicę, drugą obracam zapalniczkę w palcach, starając się nie rozproszyc. W końcu odpalam papierosa. *Pstryk*. Dym gryzie w gardło, zmuszając mnie do krótkiego kaszlu, a potem wypełnia płuca mazistą mgłą, zostawiając po sobie gorzki, nieprzyjemny posmak. Wypuszczam go powoli przez uchylone okno, starając się skupić na drodze.

Dziwne... przecież dawno nie kaszlałem.

– Pieprznęta baba o niepokojąco luźnym kontakcie ze światem jak cała ta przeklęta magia podszeptów i teatralnych póz. Nic nie mówiła wprost. Sztuka dla sztuki, ot co.

Dean kiwa głową, ale w jego oczach widać sceptycyzm. Chce coś wylapać, coś, czego nie powiedziałem.

– A jednak tam pojechałeś.

– Tak samo mogłem zapytać barmana w jakiejś spelunie. Efekt byłby identyczny.

Dean śmieje się jak cyniczny błazen, który próbuje zagłuszyć huk trzaskającego świata. Jego niedowierzenie to tarcza, której niestety mu zazdroszczę, ale która w tym mieście wydaje się krucha niczym szkło. Jedziemy ramię w ramię, ale on jedzie na spotkanie z raportem, a ja jadę na spotkanie z fatum, którego on nawet nie dostrzega za oknem.

Kilka przecznic wydaje się całą miłą. Czas się rozciąga, mimo że mijamy kolejne ulice jak duchy, bez względu na to, jak bardzo wkrótce zacznie padać.

Podjeżdżamy, a to znajome uczucie narasta we mnie. Budynek nie starzeje się, on się rozpada. Cegły, kiedyś rude, teraz są wypłowiałe, poszarzałe, w niektórych miejscach odspojone. Wysokie, wąskie okna zasłonięte żaluzjami, odcinające wnętrze od świata zewnętrznego. Maszynne, metalowe drzwi. Białe? Może sto lat temu. Teraz obdrapanie, żółtkłe na krawędziach, przeżarte grubą warstwą rdzy. Cały ten budynek, wszystko tu, poddaje się powolnemu, nieodwracalnemu procesowi rozkładu... jak jego lokatorzy.

Dean wzdycha cicho.

– Powiedz mi, dlaczego wszyscy ci lekarze to jebani dziwacy? – Zadaje pytanie, które brzmi jak półzart, ale z tą drapieżną nutą, która sugeruje, że nie zadaje go po raz pierwszy.

– To nie są lekarze. To patolodzy. Różnica jest subtelna, mimo to

zasadnicza – odpowiadam, choć sam dobrze wiem, że nie ma większego sensu w tłumaczeniu tego Deanowi.

– Czyli jeszcze większe świry.

Kostnica zawsze wydaje się miejscem, którego unika każdy, kto nie musi się tam znaleźć, ale dziś... Jest w niej coś, co sprawia, że nie chce się do niej wejść. Może nawet śmierć zawahałaby się na jej progu. Wydaje się, że coś w tej przestrzeni jest bardziej... obce niż zwykle. To miejsce od dawna nie jest tylko świadkiem samego umierania, ale samo gnije.

W środku, wbrew pozorom uderza mnie sterylność. Nie taka zwykła czystość, lecz coś przesadnego, jak próba usunięcia najmniejszego śladu życia. Kafle lśnią jak tafla lodu. Powietrze ma ten specyficzny chłód, który wchodzi w kości i nie odpuszcza. Ściany pokryte gładką, niemal lśniącą farbą, bez najmniejszej skazy. Każdy, kto odważyłby się tknąć ich brudnymi dłońmi, skończyłby wyprowadzony w plastikowym worku. Nic tu nie ma prawa istnieć, nic nie ma prawa się brudzić, wszystko musi pozostać nienaruszone, idealne.

Czuć środki dezynfekujące i coś jeszcze. Metaliczną, przytłumioną woń, której nie sposób pomylić z niczym innym. W tle jednostajny szum wentylacji przerywany pojedynczym, mechanicznym stukotem. Odgłos przypomina spadającą kroplę wody w opuszczonym magazynie. Błat recepcji lśni bielą, pusty, bezosobowy. Nikt nie siedzi za szybą. Komputer pozostaje wyłączony, czarny ekran odbija mdle światło lamp. Pochłania obraz, zamiast go odbijać.

Dalej, za kolejnymi drzwiami, korytarz biegnie w głąb budynku, identyczny, klaustrofobiczny, bez ozdób, bez osobowości. Wszystko tu wydaje się martwe w sposób, który niepokoi bardziej niż widok samego ciała na stalowym stole. Coś w tym miejscu sprawia, że nie ma tu nic, czego można by się trzymać. Tylko chłód, spokój i przestrzeń, gdzie nic nie należy do nikogo. Nawet własne życie.

Wchodzimy do gabinetu. I oto ukazuje się nasz **Charon** w kwiecistej sukience. Mercer wygląda, jakby wyrosła prosto z tych sterylnych fug a jej strój to makabryczny żart, próba zasiania ogrodu na cementarzu. Te kwiaty na materiale są martwe tak samo, jak te wszystkie ciała w chłodniach, ale ona nosi je jak pancerz. Patrzy na nas zza progu, którego my boimy się przekroczyć. W przeciwieństwie do **Charona** ona trzyma skalpel w dłoni zamiast wiosła.

Dean pochyła się z tym swoim idiotycznym półuśmiechem.

– Wygląda, jakby urodziła się w tym budynku. – Ledwie porusza ustami, ale mówi na tyle głośno, żebym usłyszał.

Zanim zdążę go szturchnąć łokciem, dociera do nas chłodny, wyraźny głos:

– Gdybym tu mieszkała, panie Harlow, pierwszą wolną szufladę zarezerwowałabym dla pana.

Mercer to strażniczka szuflad, bibliotekarka ludzkich szczątków, która w każdym żywym człowieku widzi tylko błędnie skatalogowany wolumin. Jej propozycja nie jest tylko żartem, to urzędowe stwierdzenie faktu. Dla niej wszyscy jesteśmy tymczasowymi lokatorami, którzy prędzej czy później trafią wprost do jej kartoteki. W jej oczach nie ma złośliwości, jest tylko lodowata cierpliwość kogoś, kto zawsze wygrywa z czasem.

– Cóż, to miłe, że przewidziała pani dla mnie coś specjalnego.

Kobieta tylko przewraca oczami.

– Proszę nie przesadzać. Byłoby wspólne z kimś innym. – Jej ton jest chłodny, oschły.

– Brzmi jak randka – Dean rzuca to z uśmiechem, siadając na jednym z krzeseł. Jego lekceważący ton nie pasuje do miejsca, w którym się znajdujemy. A jednak to chyba najlepsza maska, którą ma.

– Zimne i milczące kobiety? W takim razie idealna – odpowiada beznamiętnie.

Patrzę najpierw na jedno, potem na drugie. Rozkładam ręce.

– W jakim celu nalegałaś na nasz przyjazd? – pytam, starając się, brzmiąc neutralnie, ale w moim głosie slychać zmęczenie.

– Proszę pójść za mną. – Wstaje i rusza w stronę jednego z przyziemionych pomieszczeń.

Formalina miesza się z kwaśną wonią starych tkanin i stęchłego powietrza. Coś ściska mnie w piersi, wciąga, niosąc w sobie coś martwego. Metaliczna nuta osiada na podniebieniu, drażni gardło, zostawiając ślad czegoś, co nie powinno tu trwać. Nie znika, tylko krąży. Każdy wdech smakuje obco. Gorycz przykleja się do języka. Z każdym krokiem atmosfera się zmienia.

Podchodzimy do stalowego stołu. Dźwięk stóp odbija się echem, spóźniony, nienaturalny, jakby nie mój. Mercer, jak zawsze bez pośpiechu, sięga po rękawiczki. Zakłada je metodycznie, naciągając lateks na palce, traktując ten gest jak coś równie realnego, jak oddychanie. Sięga do przykrycia i jednym ruchem odsłania ciało. Czuję coś. Nie strach, nie wstręt, raczej irracjonalne poczucie, że patrzę na coś, co zostało wyrwane z własnego miejsca.

Nie pierwszy raz widzę trupa, ale... coś tu jest nie tak. Nie pustka, nie brak życia, ale coś bardziej fundamentalnego. Wszystko, co było tą kobietą, zostało wymazane, ale nie do końca. Jak ledwo widoczna smuga na szybie. Coś uleciało i nie da się już tego dostrzec.

Leży nieruchomo pod bladym, zimnym światłem. Skóra jest kredowobiała, napięta. Wygląda jak coś, co można wcisnąć w szufladę. Ślady sekcji są wyraźne i chirurgicznie precyzyjne, długie, równe cięcia biegną od mostka w dół. Cienkie, czarne szwy kontrastują z kredową bielą skóry, tworząc linie, które wyglądają prawie nienaturalnie. Zbyt idealne. Ona nie zszywała ciała. Ona próbowała je odizolować, zamknąć przed światem, oddzielić to, co martwe, od tego, co żywe.

Czuje, jak moje palce niepewnie wędrują w stronę szwów, nie dotykając ich ostatecznie. Nie chcę naruszyć tej granicy między tym, co mogło być, a tym, co jest teraz. Dotykam ich tylko w myślach, wyobrażając sobie, jakby to było poczuć je na poziomie czegoś głębszego niż skóra. Moje dłonie drżą, choć nie wiem dlaczego.

– Czysta robota, co? – jej głos jest nieco zbyt spokojny, a kącik ust unosi się minimalnie. To nie jest uśmiech, to cień zadowolenia. Może satysfakcja z dobrze wykonanej pracy, ale w tym kontekście to brzmi jak coś zupełnie innego.

– Chciałaś się pochwalić, jak dobrze sobie radzisz w roli doktora **Frankensteina**? – rzuca Dean, z kpiącym uśmiechem.

Kobieta go ignoruje.

– Ale nie o to tu chodzi. Mam coś, co może was zainteresować.

Czekamy. Chociaż głusza w pomieszczeniu jest niepokojąca, ta atmosfera wciąż się zagęszcza, jakby coś unosiło się między nami a tym zimnym ciałem.

– Normalnie sekcja daje nam jasne odpowiedzi. – Pauza. – Tylko nie w tym przypadku...

Nachylam się bliżej. Mózg nieprzerwanie podsuwa mi pytania, ale nie mam pojęcia, na co liczę.

– Nie było żadnych obrażeń zewnętrznych, żadnych śladów duszenia, uderzenia, zatrucia. Serce? Zdrowe. Płuca? Czyste. Żadnych narkotyków, żadnych trucizn. Ona... nie powinna była umrzeć.

Dean gwizdże cicho, ale dźwięk wydaje się nieodpowiedni do tego miejsca. Nie brzmi jak ulga, raczej jak próba rozładowania napięcia. Znam go na tyle, by wiedzieć, że w ten sposób stara się złagodzić coś, co czujemy wszyscy. To napięcie, które nie pozwala oddychać.

– Więc co, padła i koniec? – wypuszcza z siebie, z przekąsem.

– No właśnie nie. – Mercer unosi brew, wyraźnie podkreślając, że jej teoria to coś więcej niż tylko martwe ciało. – Bo już na zdjęciu coś

mi nie pasowało.

– I co? – pytam, ponagłając ją.

Mercer rzuca mi spojrzenie i wyciąga zdjęcie rentgenowskie.

– Zobaczcie to. – Unosi kliszę, światło przesącza się przez nią, kładąc na jej twarzy dziwne, nienaturalne cienie.

Wzrok ślizga mi się po zdjęciu. Szukam w nim sensu, ale dla mnie to czarna magia. Każda bruzda kory mózgowej wydaje się splycona, rozmazana, ale nic mi to nie mówi.

– Kiedy otworzyłam czaszkę, wszystko wyglądało zaskakująco zwyczajnie. Żadnych wylewów, żadnych urazów – zawiesza głos. – Ale kiedy sięgnęłam głębiej... – Pauza, cięższa niż wcześniej – ... mózg był wysuszony. Całkowicie, jakby wypłynęła z niego cała wilgoć.

Wszystko milknie. Świat cofa się, kurczy, zostaje za szkłem. Jesteśmy tylko my, zawieszani w tej dziwnej bańce, gdzie czas płynie na przekór logice. Wentylacja szepcze gdzieś z oddali, ledwo słyszalna. Zegar na ścianie... jego regularność staje się nie do zniesienia.

– Czyli? – pytam, łamiąc tę ciszę. Potrzebuję odpowiedzi, zamiast kolejnych zagadek.

Mercer odkłada zdjęcie. Zatrzymuje wzrok na mnie.

– Oficjalnie? Niewydolność mózgu.

– A nieoficjalnie?

– Nie mam pojęcia.

Świetnie. Stoimy dokładnie tam, gdzie pięć minut temu.

– Nie mam jasnej przyczyny śmierci. Nic, co mogę wpisać do raportu i zamknąć sprawę.

– Więc? Po co tu jesteśmy? – pytam, starając się utrzymać chłodną postawę, mimo że poczucie niepewności zaczyna we mnie narastać.

Kobieta wdycha cicho, zmęczona czymś więcej niż tylko tą rozmową. Kręci głową, a w jej ruchach jest coś odległego, nieobecnego.

– Ten zapach... – zaczyna powoli. – Pamiętacie go? Słodki, coś jak

zepsuty miód?

Dean wzrusza ramionami.

– Nic nie czułem.

– Od palenia macie już wypalone kubki smakowe i swoje detektywistyczne nosy. – Słowa Mercer brzmią jak szybka diagnoza, ale w jej tonie czuć zniecierpliwienie. – Poza tym czuję od was alkohol...

Wzdrygam się. Wspomnienie wczorajszego wieczoru wciąż mam w ciele. Nie podoba mi się, że to zostało wyciągnięte na wierzch. Mercer patrzy na nas jak na upadłych rycerzy, którzy przetrwonili swój honor w tanich barach. W jej sterylnym królestwie nasze zmęczenie śmierdzi porażką, a oddech zdradza, że próbowaliśmy zapisać strach, zamiast go zrozumieć. Jesteśmy tylko *zgniecionymi puszkami*. Reliktami starego świata, który nie potrafi już utrzymać gardy przed nadchodzącym mrokiem.

– Przestań, nie musisz nam tego teraz wypominać – mówię trochę zbyt głośno.

– Zgoda, nie mam najlepszej formy. A ty, Mercer, nie próbuj nas oceniać – kończy Dean, kręcąc głową.

Jak zwykle impulsywny, zgrywa twardziela, ale wiem, że to kolejna maska. Żaden z nas nie rozumie, co tu się naprawdę dzieje.

Im dłużej wpatruję się w ciało, tym bardziej dociera do mnie, że jestem zagubiony. To, co tu się dzieje, nie pasuje do niczego, co znam.

Mercer nie komentuje. Przez chwilę wygląda na zasłuchaną, ale jej twarz pozostaje obojętna. Nasze słowa nie wywołują żadnej reakcji, nie zatrzymują się w niej na moment, nie zostawiają śladu.

– Tutaj go nie czuję. Jeśli unosił się w szklarni, to znaczy, że nie pochodził od ciała. Musiał mieć inne źródło.

Jej słowa wpadają w pustkę i wiszą w powietrzu, budząc niepokój. Nie chodzi o to, że nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Po prostu wiem, że coś nam umknęło.

Patrzę na Mercer z narastającym napięciem.

– Myślisz, że coś pomineliśmy? – pytam, mimo iż domyślam się, że odpowiedź jest równie nieuchwytna, jak jej spojrzenie.

– Sugeruję, że warto tam wrócić. Coś mi mówi, że nie widzieliście wszystkiego. – Daje nam do zrozumienia, jak bardzo jesteśmy ślepi.

Zerkam na Deana. On patrzy na mnie. I obaj wiemy: *żaden z nas nie chce tam wracać*. Do szklarni. Do tego zapachu. Do czegoś, co dalej może tam być. Jednak skoro naprawdę przeoczyliśmy coś, co może dać odpowiedzi... nie mamy wyboru.

Dean wzdycha przeciągle, teatralnie, jego irytacja wisi w powietrzu.

– Nienawidzę takich sugestii. One zawsze kończą się źle.

Zerkam na ciało na stole, potem znowu na Mercer. Ona już nie patrzy na nas. Zajęta jest czymś zupełnie innym. Może myśla, może wspomnieniem, może czymś, czego nawet nie potrafimy nazwać.

Drzwi zamykają się za nami z cichym *kliknięciem*. Wiatr przynosi ze sobą jeszcze większy chłód, uderzając w nas jak przypomnienie tego, co zostaje poza tymi czterema ścianami kostnicy. To nie tylko zimno, to świat, który wcale nie chce nas tu z powrotem. Uczucie zimnych kafelków pod stopami nie znika. Coś z tamtej przestrzeni przykleiło się do mnie i nie chce puścić.

Koła podskakują na dziurawym asfalcie, a każda dziura wytrąca mnie z rytmu. To jak powrót do przeszłości, której lepiej było nie ruszać. To zawsze niesie za sobą konsekwencje. Resory skrzypią. To dźwięk zmęczenia albo przymusu powrotu. Niechcianej konieczności.

Dean zerka na mnie co chwilę, szukając słowa, odpowiedzi, czegokolwiek, co mogłoby nadać temu sens. W końcu zaczyna się śmiać...

– Dobrze się czujesz? – pytam.

– Słuchaj, coś mi się przypomniało.

Patrzę na niego z tą samą energią, z jaką słucham kapiącego kranu

o trzeciej nad ranem.

– No, co? – pytam, kręcąc głową i nie odrywając wzroku od drogi.

– Policjant zatrzymuje samochód i mówi: „*Panie kierowco, czy wie pan, dlaczego pana zatrzymałem?*” Na to ten odpowiada: „*Nie, nie mam pojęcia!*” A policjant: „*Właśnie. Proszę wyjść z pojazdu, mam podejrzenie, że znajduje się pan w stanie nieświadomości*”.

Dean, mój prywatny cyniczny błazen, recytuje akt oskarżenia, którego nie rozumie. Ten durny żart to jedyna trafna diagnoza naszego położenia. Jedziemy przez Los Angeles i rzeczywiście jesteśmy w stanie nieświadomości. Nie rozumiemy znaków, nie czujemy zapachów, moje radio nadaje głosy umarłych. Śmiejemy się, by nie oszaleć, podczas gdy ten cholerny świat wystawia nam mandat za bycie ślepych na własny koniec.

– Rewelacja, Harlow – rzucam, starając się ukryć rozdrażnienie.

Wzrusza ramionami i śmieje się pod nosem.

– Co? Nie mów, że tego nie znasz. Klasyk.

– Racja, to klasyk... jak cholera.

Milczymy. Tylko odgłos silnika i cichy szum opon wypełniają miejsce między nami. Światła zmieniają się na czerwone. Wtedy rozlega się dźwięk telefonu w kieszeni. Sięgam po niego. Znajomy numer. Nie waham się.

– Tak?

– Detektywie – głos w słuchawce, chłodny jak zawsze. – Próbowałam przenieść nagranie na nowy nośnik. Za każdym razem jest błąd.

To niemożliwe. To wszystko dzieje się naprawdę?

– I co teraz? – pytam.

– Można je odsłuchać z serwera, ale tylko na miejscu.

Co, do cholery, ona kombinuje?

– Teraz nie. Może o siedemnastej? – pytam.

– Może być.

Świetnie...

– Gdzie?

– Wysłałam w SMS-ie.

– Dobra. Chciałem przep...

Koniec połączenia.

– Cholera, znowu to samo – mruczę pod nosem.

– Co?

– Rozłączyła się. Znowu.

– Nadal masz u niej przejebane. – Dean parska śmiechem.

Przewracam oczami, ignorując go.

– Nagranie jest skopane. Mamy być u niej o siedemnastej.

– Nie, stary. To twoja sprawa. Ja odpadam. – Podnosi rękę. – Nie będę przeszkadzał w waszej wielkiej miłości.

Udaję, że tego nie słyszałem.

Crumenatic Rebus to martwy kolos, który czeka na mój powrót od wieków. Jego ślepe okna to oczy olbrzymia, który dawno stracił duszę, ale zachował apetyt na intruzów. To miejsce nie stoi na mapie tego miasta. Ono wyrasta z samej tkanki koszmaru, oddychając wilgocią tak ciężką, jakby mury pocily się ze strachu przed tym, co ukryto wewnątrz. Nawet wiatr traci tu impet, bojąc się przekroczyć próg.

– Ta cała Mercer mnie przeraża – mówi Dean. – Ma ten swój zimny ton i spojrzenie, jakby nie kroila ludzi po śmierci, tylko sprawdzała, jak wyglądałoby od środka za życia.

– Może dlatego jest dobra w swoim fachu – odpowiadam.

– Dobra, jasne. Tylko to, co mówiła o tym zapachu... Sam nie wiem, Howard.

– Nie mamy nic. – Wzruszam ramionami. – Jeśli technicy coś przeczyli, to albo teraz to sprawdzimy, albo będziemy kisić się w papierach bez żadnego tropu.

– Mam złe przeczucia.

– Jak zawsze.

Zatrzymuję się pod hotelem. Silnik gaśnie z cichym jękiem, jakby sam pojazd nie chciał tu być. Przez chwilę zalega bezruch, przerywany tylko naszymi oddechami, zbyt wyraźnymi, jakby cały świat na moment wstrzymał ruch. W tle snuje się szum miasta, które zdaje się nie zauważać istnienia tego miejsca. To, co rozciąga się przed nami, wydaje się martwe. To ciemność. A nawet niechęć do bycia dostrzeżonym.

Otwieram drzwi powoli. Wiatr wdziera się do środka, niesie wilgoć, tłustą mgłę i coś nieuchwytnego, co oblepia skórę i próbuje zostać.

– Gotowy? – pyta Dean, patrząc na wejście.

– Zawsze.

Hol wygląda tak jak wcześniej. Te same obdrapane ściany. Ten sam smak kurzu i zgnilizny. A jednak w powietrzu unosi się coś nowego... To ciche napięcie, które wypełnia całą przestrzeń.

Zegar na ścianie tyka powoli, niechętnie jak niedźwiedź budzący się po długim śnie. Wcześniej wskazówki tkwiły w miejscu, zamrożone brudem. Teraz ruszają, z opóźnionym rytmem, który nie pasuje do niczego wokół.

Idziemy w stronę schodów. Światło latarki omiata pył i cienie, które przesuwają się po ścianach w dziwnym, poszarpanym tańcu. Mijam stare lustro. Matowe, nierówne szkło zniekształca poświatę, odbijając nie tyle mój obraz, ile jego echo. Zatrzymuję wzrok. W kącie tafli coś się porusza. Cień? Plama? Twarz? Nie moja. Mrugam, już jej nie ma.

Odwracam się. Pusto. Może to Dean. Może coś innego. Coś, czego nie chcę nazwać.

Po chwili jesteśmy na dachu. Wchodzimy do *ogrodu gnicia*, gdzie każda paproć jest pomnikiem porażki. To miejsce to negatyw stworzenia. Tu ziemia nie karmi, ona pochłania, a zapach butwiejącej zieleni

jest jak oddech cmentarza, który próbuje udawać szklarnię.

Stoję pośród tych szczątków i czuję, że nie szukamy tu dowodów, lecz uczestniczymy w sekcji zwłok samej natury, którą ktoś tutaj celowo zatrul.

Dean wciąga powietrze, ale natychmiast się krzywi.

– Chyba ta stuknięta baba miała zwidy – burczy, próbując wcisnąć żart w martwą atmosferę.

Kucam w miejscu, gdzie leżało ciało. Została tylko wilgotna ziemia, która nie zdradza już niczego.

– Może zapach się ulotnił? – rzucam, sam nie wierząc w to, co mówię. Dźwięk moich słów natychmiast niknie, pochłaniany przez mrok, który zjada każdy szept.

– Albo to coś, co nie zostaje na długo. Może to coś, co tu rosło.

Dean przeskakuje nad przewróconą donicą i staje przy *połamanych roślinnych zwłokach*, zwiędłych szczątkach, pokrytych pleśnią.

Mercer była pewna. Jeśli tego tu nie ma, działało tylko w konkretnych warunkach. Albo ktoś już to usunął.

Przesuwam przewróconą półkę. Kurz wzbija się w górę, drażni gardło. Osadza się w płucach jak cement, wżera w śluzówkę, zostawia metaliczny posmak ściany.

– I co? – burczy. – Mamy tu stać i liczyć, że coś cudownie się pojawi z powietrza?

Chcę odpowiedzieć, ale...

– Czekaj.

Na jednej z szyb coś przyciąga mój wzrok. Coś, czego nie powinno tu być. Nie w tej chwili.

Promień światła pada na brudne szkło. I wtedy to widzę. Dziwną substancję, ledwo zauważalną w szwach światła i cienia. Coś pomiędzy płamą a pomrukiem nieobecności. Jak ślad zostawiony przypadkiem. Byle jak.

Powoli zbliżam palce do szyby. Ostrożnie, z niechęcią, obawiając się, że zniknie pod wpływem choćby najmniejszego dotyku. Przesuwam palcem po śladzie. Nie jest gładka. Czuć opór, drobne grudki jak osad soli. Mimo to przylega do skóry. Śliska, obca warstwa. Próbuje się tego pozbyć. Pocieram palce o siebie. To tylko pogarsza sprawę. Lepi się mocniej. Wnika głębiej.

Patrzę na ślad. I wtedy widzę: **207**. Numer? Godzina? Kod? Nie wiem. Ważne jest to, że coś mnie w tym niepokoi.

– Czyli... to tu było cały czas? I nikt tego nie zauważył? – rzuca Dean, próbując połączyć kawalki.

– Może było za ciemno. Może patrzyli z niewłaściwej strony. Cholera, resztą my też to przeoczyliśmy.

W świetle latarki ślad błyszczy jak zastygła żywica. Jak coś, co tylko czekało, żeby zostać zauważone. Nie znika. Wciąż tu jest. A zapach... zapach był tu cały czas. Tłumiony przez inne, ale obecny.

– Czyli ofiara to zostawiła? – Dean mówi ciszej. – Znak?

– Albo morderca. Trzeba sprawdzić, co to jest. – Wyciągam z kieszeni plastikowy woreczek. Ostrożnie zeszkrobuję próbkę. To wszystko przypomina układankę z brakującymi kawalkami. Zamykam woreczek i chowam do kieszeni, uważając, by nic nie zostało na ubraniu.

Wtedy to wraca. Numer. **207**.

Gdzie już go widziałem? Nie wiem, ale jest cholernie znajomy.

– No i? – Dean opiera się o framugę. Unosi brew. – Smaku już nie sprawdzisz?

Potrząsam głową, wytrącając tę myśl.

– Tam też byłeś taki mądry?

– Howard, ja stamtąd pochodzę.

– Wracamy. Trzeba to dać do analizy – mówię.

Światło omiata ściany, gdzie kiedyś ktoś przykleił tapetę w geometryczne wzory. Teraz to już tylko cień dawnych ambicji. Pokrzywiony

rytm, obdarty z resztek sensu. Wszystko rozmazane czasem i wilgocią. Każdy krok odbija się głuchym echem. Drewno skrzypi pod butami. Powietrze zawiesiste jak za każdym razem. Całe to miejsce wciąga nasze oddechy, zatrzymuje je, nie pozwalając nam uciec.

Mijamy kolejne drzwi: **404, 405, 406**. Nie zwalniam kroku, ale coś we mnie drga. Myśl, nieokreślona, nieuchwytna, pełza po krawędzi świadomości. Jeszcze nie wiem, co to jest, ale z każdym krokiem robi się wyraźniejsza.

Korytarze hotelu to labirynt **Minotaura**, w którym zamiast potwora czai się mrok i zapomnienie, a zamiast nici ciągnie się cień, ale nie prowadzi mnie do wyjścia, tylko wciąga głębiej. Nasze kroki brzmią jak echo w opuszczonej nekropolii. Idę, czując, że czas i przestrzeń zginają się wokół mnie. To nie są numery pokoi, to współrzędne mojego upadku, a ja jak mysz w pułapce, biegnę prosto w paszczę zagadki, której numer właśnie zaczyna migotać mi w głowie. Numery zaczynają się zlewać w jedną czarną plamę. Aż w końcu, bez dźwięku, bez ruchu, coś mnie uderza.

Zatrzymuję się. Odwracam się, patrzę za siebie. Na drzwi, które minęliśmy. Cofam się kilka kroków. Latarka przesuwają się po tabliczkach: **312, 311, 310**.

– Czekaj – mówię cicho, bardziej do siebie niż do niego.

Dean odwraca się, gotów rzucić jakąś uwagę, ale unoszę dłoń.

– Co? – prychna, z niecierpliwością malującą się na twarzy.

– Ten numer na szybie... Może to oznaczenie pokoju. – Słowa brzmią niepewnie, ale w środku coś zaczyna *klikać*. To może być iskra, która rozpali ogień.

Nasze spojrzenia spotykają się na ułamek sekundy, a potem oboje przesuwamy wzrok na drzwi: **309, 308, 307**.

Schodzimy piętro niżej. Pod numer **207**. Zwykle drzwi. Jak każde inne tutaj. Tylko że... numer wymazany, nie przez czas, a przez kogoś,

kto bardzo chciał, żeby przepadł. Pozostał tylko matowy połysk metalu i zadrapania jak po wielokrotnym szorowaniu. Drzwi są jak powiernicy, którzy przysięgli milczenie. To świadkowie, których pamięć nie rdzewieje. Przechowują wspomnienia tych, którzy tu wchodzili. Zdają się nie akceptować nowych lokatorów.

– Skoro już tu jesteśmy... – mruczy Dean, przesuwając kciukiem po rękawie.

Patrzy na mnie... czeka.

Przykładam dłoń do klamki. Zamknięte. Przez chwilę tylko patrzę. Są stare, ale solidne. Twarde jak kamień. Jak wspomnienia, które nigdy się nie zacierają.

– Odsuń się – rzucam przez ramię do Deana.

– To będzie żalozne – komentuje z cyniczną nutą, ale mimo to robi krok w tył.

Napinam mięśnie, celuję i kopię. Impuls przechodzi przez nogę, uderza w twarde opór. Drewno wydaje z siebie głuchy jęk. Nie pęka, nie ustępuje, tylko rezonuje jak coś upartego, co nauczyło się trwać. Ból odbija się echem w śródstopiu. Coś między tępotą a iskrami pod skórą. Nic się nie rusza. Drzwi stoją niewzruszone, jakby widziały już niejedną próbę wtargnięcia.

Za plecami słyszę stłumiony śmiech. Cichy, nie całkiem złośliwy, bardziej jak cień rozbawienia, który przemyka po ścianie. Nie muszę się odwracać, żeby zobaczyć ten jego uśmiech. Znam go zbyt dobrze.

– Może to nie te drzwi. A może chcesz zapukać, żeby się upewnić?

To nie jest pytanie. To próba wytrącenia mnie z równowagi. Irytacja wślizguje się pod skórę. Mam ochotę strząsnąć ją jak robaka.

Przesuwam dłonią po framudze. Palce trafiają na nierówności, zadry w wyschniętym drewnie.

– Może uda się je podważyć – mówię, choć wątpię, czy cokolwiek to zmieni.

Dean wzdycha teatralnie, jakby poproszono go o wspięcie się na dach, nie o otwarcie drzwi. Mimo wszystko wyciąga szczyryk.

Ostrze błyska w świetle. Dean wciska je w szczelinę zamka. Chrzęst. Metal o metal. Tępy dźwięk. Zgrzytliwy, szorstki, jak oddech przez gardło pełne piachu. Kręci delikatnie nadgarstkiem, próbując wyczuć mechanizm.

– No już, kochanie, otwórz się dla mnie... – mruczy do zamka, przekręcając ostrze o kilka stopni.

Klik. Dźwięk niemal niezauważalny, ale ja go słyszę.

– No proszę. Może jednak zmienię branżę.

Przewracam oczami i powoli naciskam klamkę.

Drzwi skrzypią przeciągle, jak coś rozciągane do granic wytrzymałości, gotowe pęknąć, rozedrzeć się na strzępy. Wkraczamy w otchłań konsumująca światło. To nie jest zwykły mrok. To gęsta, żarłoczna substancja, która wysysa blask naszych latarek, jakby próbowała ukryć przed nami prawdę zbyt przytłaczającą dla ludzkich oczu. Każdy foton zostaje pochłonięty przez ściany pokoju **207**, a to, co udaje nam się dostrzec, to jedynie strzępy normalności, które ciemność laskawie pozwoliła nam na chwilę zobaczyć.

Dean unosi latarkę. Promień przecina kurz. W powietrzu unoszą się drobinki jak popiół na pogorzeliśku. Opadają na obdrapane ściany, łóżko przykryte poszarzałą pościelą. Pokój wygląda na martwy od lat. Co w tym hotelu nikogo nie powinno dziwić.

Wchodzę pierwszy. Każdy krok na skrzypiącej podłodze brzmi jak decyzja, której nie można cofnąć, jakby to miejsce chciało, żebyśmy czuli je z każdym naszym ruchem, z każdym drgnieniem ciała. Cuchnie zapomnieniem. Zakurzonym papierem, rozwarstwiającym się tynkiem i drewnem, które chłonęło zimy, jak ciało chłonie brud. Z każdą rosnącą wilgocią i z każdym chłodem, chłonęło więcej, aż w końcu stało się częścią tego miejsca. W powietrzu wisi coś więcej.

To nie wspomnienie, a posmak przeszłości, która nie wyblakła, tylko się wypaliła. Cisza, która nie umarła, tylko rozpadła się w swoich granicach. I tylko trwa.

– Jeśli teraz znajdziemy kolejne liczby wryte na tej ścianie, odmawiam dalszego udziału w tej chorej grze – mamrocze Dean.

– Nie przesadzaj – odpowiadam. – Może to jest po prostu zwykły, przypadkowy pokój.

Dean patrzy na mnie, wyraźnie zirytowany.

– Przypadek? Wiesz, co jest przypadkiem? To, że nadal tu jesteśmy.

– I co teraz? Po prostu mamy stąd wyjść? Zrezygnować?

– Tak, Howard. Zrezygnować. Albo przynajmniej przyznać, że nie mamy pojęcia, co tu robimy.

– Boisz się? – pytam.

Dean prycha. Zaczyna omiatać pokój latarką, szukając odpowiedzi na własną rękę. Stare biurko. Pusta szafa. Przewrócone krzesło. Nic. Tylko cień rzeczy, które kiedyś tu były. Wszystko we mnie krzyczy: *coś tu jest. Ukryte pod powierzchnią.*

Podchodzę do biurka.

Pierwsza szuflada, pusta.

Druga, też.

Trzecia zacina się w połowie.

– Pomóc? – Dean wyciąga rękę z uśmiechem, ale zatrzymuję go gestem dłoni.

Szarpię mocniej.

W końcu puszcza. W środku jest coś owiniętego w cienki, postrzępiony materiał. Wymieniamy krótkie spojrzenie.

Podnoszę to. Powoli rozwijam materiał, a z jego wnętrza wysuwa się koperta. Stara, pożółkła, z niewielką plamą w rogu. Szorstka, pełna nierówności i drobnych zgrubień. Widocznie przeszłość wgryzła się w jej strukturę. Ktoś nosił ją przy sobie przez długi czas, nie mogąc

się zdecydować, czy ją zachować, czy wyrzucić. Przetrwiała próby czasu, ale nie miała dla nikogo większego sensu. Aż dotąd.

– List miłosny? – rzuca Dean, a w jego głosie słychać szyderstwo.

Rozrywam kopertę, wysypuję zawartość na biurko.

Metaliczny brzęk żłobi wnętrze, odbijając się od brudnych ścian. Klucz wiruje chwilę po podłodze, polyskując matowo w nikłym świetle, aż w końcu staje w bezruchu z cichym stuknięciem. Potem karta *tarota*. Przez chwilę, zwyczajna. *Zegar*, ale wskazówki na godzinie *drugiej*.

Biorę ją do ręki. Przekręcam w palcach. Jest inna, czuję to od razu. Papier jest gruby, lekko szorstki, ale pod opuszkami wyczuwam coś jeszcze. Unoszę kartę bliżej twarzy, mrużę oczy. Tłoczenie. Cienkie, niemal niewidoczne... Symbol. Najpierw tylko zarys jak cień w fakturze papieru. A potem wylania się, delikatna, niemal niedostrzegalna poświata. Fosforyzujący blask, który ujawnia się, dopiero gdy cień przesłania resztę.

Maska. Biała, pozbawiona rysów, anonimowa... Gdzieś to już widziałem. Tylko gdzie?

Tak! W notatniku Sinéad. Coś ściska mnie w środku. Nie chodzi tylko o to, że ktoś zostawił to tutaj celowo. Czuję na karku zimny oddech *wielkiego manipulatora*, który przesuwając nas po tej szachownicy jak drewniane pionki. Ta karta, ten klucz, ten pokój. To wszystko to teatr ustawiony specjalnie dla moich oczu. Prawda przestaje być celem śledztwa, a staje się przynętą.

– I co teraz powiesz? – pytam.

– Mercer miała nosa...

– Właśnie. Karta była tutaj cały czas. Czekala.

– Masz rację – mamrocze. – To jednak nie jest przypadkowy pokój.

Obracam kartę na stronę z zegarem.

– Wiesz co, jedno mnie zastanawia. Na tym wernisażu zegar był

ustawiony na godzinie pierwszej. – Patrę na partnera, szukając potwierdzenia. Kiwa głową. – Tutaj jest druga.

– No dobra, oświeć mnie – rzuca Dean.

– Według wskazówek na zegarze, tę kartę powinniśmy znaleźć jako trzecią, ale biorąc pod uwagę lokalizację, powinna być druga.

Widzę, jak Dean błądzi oczami, zastanawiając się nad tym, co właśnie powiedziałem.

– Czekaj. Chcesz powiedzieć... nie, to nie ma sensu.

– Właśnie to ma sens. Jeśli odkrylibyśmy **207** na szybie jeszcze wczoraj przed wernisażem, to tam nie moglibyśmy znaleźć karty, na której jest wcześniejsza godzina. Rozumiesz?

– Tak, o ile wskazówki mają jakiegokolwiek znaczenie – stwierdza.

– Dean, teraz musisz się skupić. Czas na szybkie pytanie: *czy ona była tu od wczoraj? Czy ktoś po wernisażu ją dołożył?*

– Ja już jestem skupiony od dawna, i to na sprawie, w przeciwieństwie do ciebie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nie wiesz? Dwie nogi, dwie ręce... dwa bufory – Jak lubieżny **satyr** oblizuje spierzchnięte wargi, a ja nagle czuję mdłości.

– Dean, do cholery! Bądź poważny...

– To robi się zbyt pojebane. Oznacza to, że ktoś nas obserwuje. Każdy nasz krok. To chciałeś usłyszeć?

Powoli się schylam i podnoszę klucz. Jest cięższy, niż mógłbym się spodziewać, nieco zimniejszy niż powinien być. Gładki, ale na główce czuć wyraźny wzór. Pod światło latarki dostrzegam małe, ledwie widoczne grawerowanie na bocznej krawędzi. Liczby. **2-0-7**. To coś, co wydaje się wynikiem czyjegoś wyrachowania. Ktoś wyrył go starannie, z namysłem. Wpatruję się w nie, a coś wewnątrz mnie zatrzymuje się na ułamek sekundy. **207**. Coś nie daje mi spokoju. Serce zwalnia, myśli zaczynają się zaciskać wokół tego jednego punktu.

Pokój 207.

Godzina 2:07.

Przypadek? Nie wierzę w takie rzeczy. To jest moment. To znak. Wszystko staje się jaśniejsze, choć nie chcę, by to miało sens. Wiem, że to coś, co nie pozwoli mi już odejść. Coś, co wciągnie mnie w ten pogmatwany labirynt. Coś się wydarzyło. Albo dopiero się wydarzy. Czuję, jak w gardle robi się sucho. Zaciągam się powietrzem, starając się pozbyć tego wrażenia, ale nie mogę.

Jeśli to wskazówka... to do czego?

Zaciskam dłoń na kluczu w nadziei, że to coś zmieni. Że ten drobny przedmiot mógłby nagle wyjaśnić wszystko.

Dean już otwiera usta, gotów rzucić kolejny komentarz, ale wystarczy jedno spojrzenie. Widzę, jak w ostatniej chwili zamyka je z cichym *kliknięciem* zębów. Nie teraz. To nie czas na żarty.

Podnoszę wzrok, próbując zebrać myśli, które wciąż mi się wymykają jak nieuchwytny cień.

– Mamy klucz – mówię powoli. – Ale do czego?

Dean mruga, wzdycha. Wskazuje palcem na wygrawerowany numer na kluczu.

– 2-0-7. Może do tego pokoju?

Zerkamy na otwarte drzwi. Każdy nasz ruch w pokoju burzy spokój czasu jak zarys na gładkiej powierzchni, który zostaje na zawsze.

Przecieram twarz dłonią. Skóra piecze od zmęczenia, a każda minuta spędzona tutaj wyciska ze mnie resztki energii.

– Dean, to by nie miało sensu. Kto zostawia klucz do tego pokoju... w tym pokoju?

Sejfu brak, szafki też, niczego, co miałoby tu pasować.

Dean wzdycha, niewielki uśmiech błąka się na jego ustach.

– Może to zaszyfrowana wiadomość? Albo numer faktycznie coś oznacza? – mówi, ale jego głos nie brzmi przekonująco. Widocznie

sam wydaje się w to nie wierzyć.

Cisza jest przeciągła, a moje myśli to jeden wielki chaos. Wciągam cicho powietrze, zanim zapytam.

– Dobra, ale co dalej?

Patrzę na klucz, potem znowu na kartę. To zbyt mało. Zbyt mało, by wyjaśnić cokolwiek. Wciąż czegoś brakuje. Kluczowego elementu.

Dean unosi kopertę, obraca ją w dłoni. Zwilża usta językiem. Koperta chrzęści cicho. Zawiesza oddech.

– Chwila, coś tu jest. – Sięga do środka, po chwili wyciąga zmiętą kartkę.

Wygląda na starą, jest poczerniała, nierówna na brzegach. W świetle latarki widać, jak jej powierzchnia polyskuje drobnym pyłem. Dean na moment przestaje być gliną z Los Angeles. Zmienia się w **średnio-wiecznego skrybę**, który właśnie odnalazł zaginiony apokryf. Widzę tę nagłą, niemal nabożną ostrożność w jego palcach, gdy wygląda papier poczerniały od czasu. Ten świstek to dla nas **Ewangelia według Zegarmistrza**. Tekst, który może spalić nasz świat, jeśli tylko odważymy się go odczytać na głos.

– Detektywie, gratulacje. **Elmwood Road** – czyta na głos.

Słowa zawisają w powietrzu. Pocieram skroń, czuję ból, który nie chce zniknąć. Każda litera wyrывa się z mroku.

Elmwood Road... Co to za miejsce? Znam je, czy tylko mi się tak wydaje? To nasz kolejny przystanek?

– Kot i myszka – mówię cicho, bardziej do siebie niż do niego, starając się ułożyć te fragmenty w jakąś całość.

– Co? – Dean patrzy na mnie, wyraźnie zaskoczony.

– To gra – odpowiadam.

Na jego twarzy przemyka cień wahania, moment, w którym nie wie, czy to znowu moja paranoja, czy jednak coś w tym jest.

– Myślisz, że ktoś czeka, aż przyjdziemy po następną wskazówkę?

– Nie wiem – odpowiadam, biorąc od niego kartkę.

Ktoś zostawia nam tropy. Pytanie tylko, czy prowadzą do niego... czy prosto w pułapkę. Palce zaciskają się na papierze, który pod dotykiem gnie się jak wyschnięty liść. *Czas ruszył*. Jak zegar. Nie da się cofnąć wskazówek. Nie da się ich zatrzymać.

Dean przekrzywia głowę. Patrzy na mnie z zaciekawieniem.

– Więc jedziemy?

Spoglądam na klucz. Potem na adres. Wybór jest oczywisty. Coś zaskoczyło w mojej głowie. Nowy trop? Kolejna warstwa? Nieważne. Nie zmienia to niczego. Przynajmniej nie teraz. Prawdziwy mistrz gry nie wygrywa partii. On sprawia, że to jego przeciwnik chce przegrać.

– Jedziemy, ale czy jest sens wzywać tutaj ekipę?

Dean rozgląda się po pomieszczeniu.

– Niczego tu nie znajdują, bo tego syfu nikt nie jest w stanie przeszukać.

Wychodzimy z pokoju.

Korytarz tonie w mroku. Tapeta odstaje od ścian długimi strzępami, falując przy każdym przeciągu jak postrzępiony sztandar. Ściany oddychają tym samym, co my.

Schodzimy. Nasze kroki są zbyt głośnie jak na puste piętro. Dźwięk rozbrzmiewa w tej martwej przestrzeni, odbijając się od ścian i wraca do nas, jakby próbowało przekazać jakąś wiadomość. Niżej w holu światło latarki wsiąka w zawiesinę powietrza, przykleja się do gołych ścian i znika jak zmierzch rozmywający się w ciemności.

Mijamy recepcję. Zegar tyka dalej, regularnie, niemal kpiąco. Tak cicho, że ledwo go słysząc, ale jest wystarczająco głośny, by wywołać we mnie niepokój.

– Co jest? – Dean zatrzymuje się przy drzwiach prowadzących na zewnątrz, gotów otworzyć je na oścież.

– Nic – odpowiadam krótko.

To tylko zmęczenie, ale coś w powietrzu nie pozwala mi pozbyć się wrażenia, że ta chwila nie jest przypadkowa.

Zimne powietrze uderza mnie w twarz jak lodowata dłoń. Zatrzymuję się na moment, wciągam je głęboko, ale nie przynosi ulgi.

Prowadzę w milczeniu. Miasto za szybą przesuwa się leniwie, blade, wyprane z koloru. Neonowe światła odbijają się w przesiąkniętej deszczem nawierzchni, ale nawet one wydają się przygaszone.

Świat oddycha coraz płycej. Niebo zasnutę grubą warstwą chmur, nabrzmiałych, gotowych się rozpruć. Na chodnikach prawie pusto. Pod jedną z latarni majaczy nieruchoma sylwetka, długa, przygarbiona, wtopiona w tło. Kaptur rzuca cień na twarz... jeśli w ogóle tam jest. Dłonie głęboko w kieszeniach. Nie patrzy na nas. Chyba. Przecieram oczy, pewny, że to tylko zmęczenie. Mijamy go.

Wiem. Jeśli się zatrzymamy, on będzie tam stał, patrzył, czekał.

Dean ziewa i opiera łokieć o drzwi.

– Nienawidzę takiej pogody. Wszystko jest takie martwe. Jeszcze ten cholerny mrok.

– Uwierz mi. Nie jesteś jedyny.

Skrećcam, zwalniam. Ulica wydaje się cicha, odcięta od reszty świata. Czas zwalnia, dźwięki tracą ostrość. Rzędy starych kamienic, zrzucają *węzową skórę czasu*, odsłaniając pod spodem surową, poszarzałą tkanę zapomnienia. Każdy z płatów luszczącej się farby to rok, który nie przyniósł odpowiedzi. Szyby w oknach matowe, brudne. Odbijają tylko rozmyte kontury chmur, które wiszą nisko, dotykając ziemi.

Numer 207.

Zatrzymuję samochód. Silnik szarpie powietrze, po czym cichnie.

Przez chwilę nic się nie dzieje. Światło latarni na rogu ledwo sięga ziemi, jakby nie chciało zajrzeć głębiej, wciśnięte w siebie, zgarbione

nad zapomnianym kątem miasta.

Odwracam wzrok.

Dean rozgląda się. Głośno wypuszcza powietrze.

Po chwili wykrzywia usta w grymasie półuśmiechu, ale w oczach brak śladu żartu.

– No to jesteście. Gotowy?

Nie odpowiadam od razu. Patrzymy na budynek przed sobą, jakby był trzecią osobą w tej rozmowie.

Wygląda, jakby już wiedział, że przyjechaliśmy.

Coś tu na nas czeka.

Odpowiedzi? Czy tylko kolejne pytania?

– Zawsze – odpowiadam.



Fałszywe nazwisko

Elmwood Road, 207. Miejsce bardziej wygląda jak warsztat niż mieszkanie. Niski budynek, z dużymi stalowymi drzwiami przesuwnymi, które mogłyby należeć do garażu albo magazynu. Szyld nad drzwiami ledwo trzyma się na zardzewiałych śrubach. Farba spłynęła z niego dawno temu, a po literach zostały tylko blade rowki. Prześwitują spod warstwy brudu, zatarte przez czas, niechciane, zapomniane.

Wysiadamy z samochodu.

– Sympatycznie – burczy Dean. Jego głos zdradza więcej sarkazmu niż zainteresowania.

Przesuwam wzrok po budynku. Rozdarte miejsca na jego ścianach przypominają blizny. To świadectwo wykrwawiania się od lat. Brudne okna, zniekształcające obraz, nadają wszystkiemu wygląd zapomnianego miejsca, odciętego od reszty świata.

Sięgam do kieszeni i wyciągam klucz. Jeśli pasuje do tych drzwi, to znaczy, że ktoś naprawę chciał nas tu sprowadzić.

– Sprawdźmy.

Podchodzę do drzwi, obracając klucz w palcach.

Dean napina mięśnie ramion jak tuż przed skokiem.

Wsuwam klucz. Metal chrzęści o krawędzie zamka. Przez sekundę opór, potem ciche *klik*, pasuje. Przekręcam. Trzask. Metalowe drzwi ustępują ze zgrzytem.

Wchodzę pierwszy. Patrzę w głąb przestrzeni.

To nie jest warsztat. To pracownia. Wnętrze jest ogromne, z wysokim sufitem, jakby wszystko w tym miejscu miało na celu tylko jedno: *zmieścić jak najwięcej*. Obserwuję ten chłodny cień, który wije się po posadzce niczym rozlana rtęć. To światło, które skapitulowało. Nie próbuje już walczyć z ciemnością pracowni, a jedynie podkreśla jej ogrom. W Los Angeles, gdzie noc jest zwykle rozświetlona kolorowymi neonami, panuje wizualna martwota, która dusi każdą próbę racjonalnego spojrzenia na to, co nas otacza.

Wyciągam latarkę. Sztalugi. Plótna opierające się o ściany. Półki pełne farb, pędzli, szkicowników. Wszystko poukładane na granicy porządku i chaosu, z ledwością utrzymujące równowagę w tym twórczym nieładzie. Podłoga wygląda tak, jakby ktoś rozciął na niej tubki z farbą. Jest pełna chaotycznych śladów, zaschniętych kropli i linii prowadzących donikąd. Stare ślady taśmy malarskiej, odciski palców, pojedyncze pociągnięcia pędzlem testujące różne kolory.

Wchodzę w sam środek pracowni upadłego twórcy. To nie jest studio artystyczne, to prosekorium estetyki, gdzie zapach terpentyny miesza się z zapachem rozkładu ludzkiej godności. Ta przestrzeń wydaje się świątynią kogoś, kto próbował poprawić naturę, ale jedyne, co mu wyszło, to chemiczna imitacja agonii.

Na środku trzy sztalugi, jedna przewrócona. Pod ścianą stoi długi drewniany stół. Palety ze starymi warstwami barwnika. Tubki wyciśnięte do końca, inne wciąż otwarte. Zapomniała je zamknąć, czy to nie miało już dla niej żadnego znaczenia?

– Miejsce pracy naszej malarki jak widać – rzucam w końcu, przerywając milczenie.

Dean prycha.

– *Praca* to chyba za duże słowo. Nie wiem, kto chciałby mieć to cholerstwo na ścianie.

– Ktoś chciał, może ktoś pokroju Phelptoona. – Dotykam ramy jednego z obrazów. – Sprzedawała pewnie te rzeczy za grubą kasę.

Przechodzę dalej, czując, jak każde kolejne *dzieło* zdaje się wciągać mnie w swoje ohydne wnętrze. Obrazy. Barbarzyńskie, pokręcone. Próba uchwycenia samej śmierci w jej najbardziej surowej, nagiej formie, jakby artystka chciała uwiecznić moment, w którym czas się zatrzymuje, a życie wycieka ze skóry.

– To jest bardziej popieprzone niż to, co widzieliśmy u niej – rzuca Dean, krzywiąc się z niesmakiem.

Zatrzymuję się pomiędzy dwoma obrazami. Każdy z nich hipnotyzuje jak bieguny. Jeden przyciąga, drugi odpycha. Jeden nie pozwala oderwać wzroku, drugi każe się cofnąć. Mój wzrok błądzi po liniach, fakturach, zatrzymując się na szczegółach, które nie dają spokoju.

Pierwszy jak *rysa na tafli szkła*. Nie sposób jej zignorować, choć mam wrażenie, że nie powinienem patrzeć. To ciało jest pomyślane na nowo. Mięśnie napięte, *rozciągnięte jak pergamin*.

Mój żołądek ściska się, jak po przelknięciu czegoś, co nie powinno znaleźć się w przelyku. Patrzę na to, ale wiem, że nie jestem w stanie tego zrozumieć. To nie zwłoki. To *echo* obecności. Utkane, zakonserwowane. Śmierć nie jest tu końcem, tylko kolejnym etapem. Kości są tylko cieniem pod *przezroczystą* imitacją skóry. Ciało zatrzymane między decyzjami: *rozpaść się, czy przetrwać jeszcze chwilę*. Oczy, dwa czarne punkty. Pustka, która nie szuka znaczenia. Po prostu jest.

Kolejny obraz. Rozlana czerwień, pulsująca, ale bez życia. Widzę przed sobą dzieła malarza bólu. Kogoś pokroju **Francisa Bacona**, kto zamiast płótna rozcinał ludzką psychikę. Te obrazy to nie sztuka. To protokoły egzekucji przeprowadzonych w wyobraźni. Każda plama czerwieni to krzyk, który nie zdążył opuścić gardła, a te twarze rozpadające się *wskutek skazy* to oskarżenie rzucone wprost w moją twarz. Ciało jest zastygłe w ruchu jak marionetka, której ktoś nagle przeciął sznurki. Strach jest wyryty w oczach jak w tynku. Zamiast form, pusta przestrzeń jak plama atramentu, która zjada płótno.

Potem dostrzegam trzeci obraz. Groteska. Ciało wygięte do granic jak zabawka, którą ktoś próbował złożyć bez instrukcji. Palce są długie, rozcapierzone. Stworzone nie do chwytania, ale do *rozdzierania*. Ich długość przeczy fizjologii, a kąt logice. Oczy są zamknięte, ale nie w spokoju. W napięciu. Ból nie odchodzi. Ból nad nim *zawładnął*. Ciało to tylko masa. Mięśnie przechodzą w *krzyk*. To nie postać. Nie obraz. To jest jęk zaklęty w farbie, który staje się głośniejszy niż szum

miasta za oknem, ogłaszając triumf bólu nad rozsądkiem. Obraz nie milczy. Wrzeszczy. I nigdy nie przestanie.

Te obrazy, one nie wiszą na ścianach; one we mnie wsiąkają. Czuję ten duszny rytm jak świst powietrza tuż przed uderzeniem o ziemię. Chcę uciec, mrugnąć, wymazać je pod powiekami, ale one już tam są... pulsują pod skórą, żywe i nienasycone. Nawet płótno wydaje się poruszać w rytm ich chorego oddechu.

Głos Deana, choć bliski, brzmi jak z dna studni. Nie pasuje tutaj. Jego przekleństwo jest zbyt małe wobec tego, co ta kobieta nosiła pod czaszką. To nie jest sztuka. To zapis jej osobistego piekła.

– Cholera jasna... Sam syf i obłęd. Nawet nie chcę wiedzieć, co siedziało w tym jej łbie. Mam ochotę puścić tę budę z dymem.

Zerkam na niego. Wygląda, jakby naprawdę szukał zapalniczki.

– Myślisz, że to by coś zmieniło?

– Przynajmniej nie musiałbym na to patrzeć.

– Na razie trzymaj łapy przy sobie – ucinam.

Wchodzę głębiej. Coś tu jest, coś więcej niż te obrazy. To nie pracownia. To przestrzeń, gdzie koszmary przesiąkły płótno, gdzie farba stała się zapisem rzeczy, których nie powinno się oglądać. To nie jest miejsce, które tworzy sztukę. To miejsce, które wytwarza przerażenie.

Światło latarki drży razem z moją ręką. Staram się nad tym zapanować, ale nie mogę. Coś w tym miejscu odpycha spokój, a każda cząstka powietrza pragnie uciec. Zostawić to za sobą... zapomnieć.

Snop światła zatrzymuje się na największym z obrazów, górującym nad resztą. Jest niekompletny, jakby nie zdążyła go dokończyć albo porzuciła projekt celowo.

Stawiam krok.

Potem kolejny.

Szklarnia. Ta sama, w której znaleźliśmy ciało, ale tu wygląda jakoś inaczej. Sinéad leży w samym środku. Jej twarz jest nienaturalna, zbyt

spokojna, jakby tylko na chwilę wstrzymała oddech. Czeka na coś, co nigdy nie nastąpi. Postać jest ledwo naszkicowana, nieukończona, jakby malarce zabrakło odwagi albo tchu, żeby ją doprowadzić do końca, ale ten wzrok... Patrzy gdzieś obok nas, na coś, co ją przeraziło tak bardzo, że nie dało się tego namalować.

Nie mam wątpliwości. Coś tu nie gra. Tło jest rozmyte, jakby nie należało do tego świata. Farba zlewa się w brudne plamy, tworząc przestrzeń, w której nie da się złapać punktu oparcia, ale to nie jest wszystko. Gdzieś w tych cieniach kondensuje się mrok, układając się w konkretny kształt. Jest zbyt ludzki, bym mógł go zignorować.

Ktoś tam jest. Ktoś patrzy. Niewidoczny, ale obecny. Cień zawieszony między ruchem a jego brakiem, którego nie da się wypędzić. Powietrze więźnie w gardle, gęste jak rtęć, która dusi każdą próbę westchnienia. Myśl wbija się w skórę jak ostra igła. Nic tutaj nie jest tym, czym się wydaje. Wszystko obce, przesunięte w niewidzialny, inny wymiar.

Rzucam okiem na Deana. Stoi nieruchomo, twarz ma jak z kamienia. Zero emocji, tylko czyste, cholerne zaniepokojenie.

– Co do...? – zaczyna, ale urywa.

– Też to czujesz? – pytam.

– Nie wiem, co czuję – mówi po chwilowej pauzie, próbując zrozumieć to, co właśnie zobaczył.

Obraz krzyczy, ale nie dźwiękiem, tylko czymś głębszym, czymś, co wwierca się w umysł, zostawiając ślad, który nie chce zniknąć.

Oczy zatrzymują się na tym obrazie, mimo że instykt podpowiada: *spieprzaj stąd. To płótno jest żywym przekleństwem.*

Pęcznieje pod dotykiem mojej latarki. Kolory nabierają spoistości krwi. Faktura wydaje się pulsować, jakby pod warstwą farby płynęło utajone życie. To nie jest reprezentacja szklarni. To jej metafizyczna esencja, która właśnie próbuje wylać się z ram i pochłonąć warsztat.

Każda zmiana kąta światła to kolejny niechciany szept.

– Myślisz, że wiedziała? – pyta Dean. Jego głos ledwo przebija się przez tę duszność.

Patrzę na obraz. Na Sinéad. Jej twarz nie wyraża strachu, to raczej... oczekiwanie. Wypuszczam powietrze, ale ciężar w piersiach nie znika. Utknął bez wyjścia.

– Może coś zobaczyła. Coś, czego nie powinna – odpowiadam.

Dean kręci głową.

– Albo ktoś kazał jej to namalować.

– Tylko po co? To nie ma sensu.

– To jakaś pojebana łamigłówka. Prowadzi nas po sznurku, który w każdej chwili może zacisnąć się nam na gardłach.

– Jeśli to faktycznie jest ostatnia rzecz, którą namalowała... jeśli nie zdążyła skończyć...

– Do czego zmierzasz?

– Namalowała miejsce swojej śmierci, Dean. Zanim to się stało.

Przelyka ślinę. Widzę, jak tryby w jego głowie ruszają.

– Co chcesz powiedzieć? Że przewidziała własną śmierć? Że sama otworzyła te drzwi? Czy ty siebie słyszysz?

– Nie wiem – rzucam. – Po prostu próbuję to rozwikłać.

Dean kręci głową i wskazuje palcem na płótno.

– A jeśli to działało odwrotnie?

– Co masz na myśli?

– Pomyśl – mówi Dean, a jego głos twardnieje. – Ona to namalowała, a jakiś chory psychol to zobaczył. Spodobało mu się. Postanowił ją wyręczyć i dokończyć ten obraz w prawdziwym świecie.

Cisza uderza we mnie jak taran. To ma sens.

– Chcesz powiedzieć, że ten obraz był dla niego instrukcją?

– Inspiracją. Znalazł tu gotowy schemat i go wykonał.

Zaciskam szczękę. Tak mocno, że w uszach słyszę strzał żuchwy.

Ostry, klujący ból promieniuje aż do skroni.

– Jeśli to prawda... to znaczy, że sprawa nie zaczęła się w momencie jej śmierci. Cholera... nawet nie zaczęła się w szklarni.

– Zaczęła się tutaj – stwierdzam. – W tej pracowni.

– A skoro to jego punkt wyjścia...

– To znaczy, że może tu wracać – kończę.

Najpierw idą myśli, a potem ciało je dogania.

Unoszę wzrok zbyt szybko, aż sztywnieje kark. Reszta ciała reaguje odruchem jak po pociągnięciu za ukryty przewód.

– Trzeba ściągnąć Parkera z ekipą! Natychmiast! – rzucam ostro, czując, jak napięcie rośnie w powietrzu.

Mijają minuty. Czas się pogrubia. W końcu głuchą pustkę rozdziera syrena. Nagły, ostry pisk, który tłucze spokój jak tafelę szkła. Przez świetliki wpadają czerwono-niebieskie rozbłyski. Nie dają ulgi, tylko potęgują duszność tego miejsca.

Drzwi aut uderzają o karoserię. Ich latarki kreślą na ścianach chaotyczne linie, zmuszając cienie do nerwowego tańca. Ludzie-mrówki w białych kombinezonach. W ich ruchach nie ma empatii, tylko mechaniczna precyzja. Każdy gest wydaje się zaprogramowany przez wyższą, bezwzględną siłę. Patrząc na nich, trudno dostrzec człowieka. Są jak jeden organizm. Pracują w milczeniu, zdeterminowani i odczłowieczeni przez procedury. Nie analizują zła, które zastali... po prostu je katalogują, wykonując wyrok biurokracji z precyzją owadziego roju.

W końcu ktoś włącza światło. Ostry blask zalewa pomieszczenie. Redukuje cienie w dziwne, ostre kontury, które zaczynają wyglądać jak labirynty, w których porusza się ekipa. Na ich twarzach nie ma wyrazu, jak na maskach, które zasłaniają jakiegokolwiek ślady emocji. Liczy się tylko funkcja, tylko zadanie.

Mężczyzna w okularach pochyła się nad jednym z obrazów. Dłonie

unoszą ostrożnie, jakby każdy centymetr powietrza stawiał opór, a sama bliskość płótna groziła przekroczeniem granicy, której nie powinno się naruszać. Widzę w nim kapłana w masce, który zamiast modlitewnika trzyma latarkę UV. Jego ostrożność to nie profesjonalizm, to lęk przed dotknięciem bóstwa, które sam wywołał z mroku. W miejscu takim jak to kryminalistyka staje się formą egzorcyzmów, a ten facet czuje, że ten obraz to ołtarz, na którym każda procedura jest tylko pustym gestem wobec siły, która nie zna litości... Patrzę na to objawienie w nadfiolecie i widzę, jak technologia Parkera kapituluje przed geniuszem mordercy.

Dean stoi w kącie z rękami w kieszeniach. Obserwuje scenę z dystansem, chłodno. Jest tylko widzem, nie uczestnikiem tej tragifarsy. Patrzy na techników i widzi to, czego oni jeszcze nie pojmują: *ich praca to absurdalna wivisekcja skazana na porażkę*. Szukają logiki w czystym chaosie, próbują oswoić niepojęte. On już dawno porzucił próbę znalezienia sensu.

Wtedy wchodzi Parker. Sztywny, napięty, bliski eksplozji. Jego skupiony wzrok omiata pomieszczenie, desperacko szukając jakiegokolwiek punktu oparcia. Podchodzi do nas.

– Które z was, do jasnej cholery, uznało, że warto tu wchodzić przed nami? – syczy, a w jego oczach nie ma już ani krzty cierpliwości.

Milczymy.

Parker zaciska szczękę. Widzę, jak przelicza w myślach cenę, którą każe nam zapłacić za ten błąd.

– Jak znaleźliście tę norę?

– Nos Mercer nas tu zaprowadził. – Dean uśmiecha się krzywo.

Parker przenosi na mnie pytające, ciężkie spojrzenie.

– Tak, to prawda – potwierdzam.

Parker nie wygląda na przekonanego.

– W ciemności, bez planów, bez informacji... Po prostu weszliście

i uznaliście, że warto się rozejrzeć?

– Tak – rzuca krótko Dean. Wzrusza ramionami, jakby cała ta sytuacja była tylko kolejną bzdurą, niewartą uwagi.

Mężczyzna wydaje z siebie długie, zirytowane westchnięcie, po czym przenosi wzrok na obraz.

– Nie podoba mi się to – mruczy.

– Masz na myśli płótno czy to, że byliśmy tu pierwsi?

– Obie rzeczy.

– No oczywiście.

Odwracam się od nich. Patrzę na twarz Sinéad na obrazie. Przez ułamek sekundy mam wrażenie, że jedna z jej powiek drga, jakby mrugnęła. Wstrzymuję oddech. Nie potrafię oderwać wzroku. Zbliżam się o krok, mrużę oczy, szukając najmniejszego ruchu w zastygłej farbie. To niemożliwe, a jednak czuję, jak serce podchodzi mi do gardła. Przecież to tylko obraz.

Kolejny technik nachyla się nad płótnem. Patrzy w milczeniu. Jego dłoń z latarką zaczyna drżeć. Snop światła tnie powierzchnię, wyciągając z niej ukryte warstwy, dziwne zarysy i niuanse, których nie ma prawa tam być. Mężczyzna nagle prostuje się i unosi wzrok. Jego twarz wykrzywia grymas czystego niedowierzania. Wygląda jak ktoś, kto właśnie zajrzał w otchłań i nie pojął tego, co zobaczył.

– Mam coś! – krzyczy. Jego głos uderza o ściany, wstrzykując w powietrze dawkę czystego napięcia.

Wszyscy wstrzymują oddech. Na obrazie, który dotąd wyglądał na nieruchomy, pojawia się coś nowego. Delikatny, niemal niewidoczny napis, wtopiony w strukturę farby.

Technik przysuwa latarkę niemal do samego płótna.

– *Non exsisto...* – czyta szeptem. – *...sicut tu...*

Przerywa na moment. Snop światła UV wyciąga z mroku kolejne litery, które zdają się pęcznić na powierzchni:

– ...*tempus accipere est.*

Wszystko milknie. W pracowni nastaje cisza tak mętna, że słyszę własne serce tłukące się w piersi.

Dean podchodzi do obrazu. Jego twarz pozostaje nieodgadniona, ale oddech staje się głębszy.

– Co to, do cholery, ma znaczyć? – pyta w końcu.

– *Non exsisto, sicut tu. Tempus accipere est* – powtarzam, nie odrywając wzroku od liter. – Naprawdę nie wiesz?

Dean spogląda na mnie, a jego usta wyginają się w krzywym, kpiącym uśmiechu.

– Jesteś taki mądry, to może po prostu to przetłumaczysz? – rzuca wyzywająco.

– Kto tu zna łacinę?! – krzyczę, a mój głos niesie się echem.

– Tak myślałem – uśmiecha się z satysfakcją.

Parker pojawia się tuż przy nas. Jest poirytowany, niemal zniesmaczony naszą wymianą zdań.

– Myślałem, że na studiach mieliście łacinę – mruczy z wyższością.

Dean zaciska szczękę, walcząc z ochotą, by mu odpyskować.

– Możesz to po prostu przetłumaczyć? Zamiast robić ten pieprzony cyrk?

Parker wzdycha ostentacyjnie. Podchodzi do płótna, mruży oczy, mamrocze coś pod nosem, aż w końcu prostuje się gwałtownie.

– *Ja nie istnieję tak jak ty. Czas to zaakceptować.*

Słowa o nieistnieniu wiszą w powietrzu.

Dean w końcu prychnął, przelamując napięcie.

– No świetnie. Kolejna zagadka do kolekcji. Po prostu wspaniale.

Zerkam na zegarek. Cyfry pulsują na tarczy.

– Chyba możemy się stąd zbierać – mówię.

– No kurwa, w końcu – rzuca Dean pod nosem.

W mojej głowie coś nagle drga, jakby daleki alarm przebił się przez

szum myśli. O czymś zapomniałem. Coś ważnego umyka mi między palcami. Co to było?

Nagle mnie uderza. Próbka.

Nerwowym ruchem sięgam do kieszeni. Wyciągam ją w sekundę, czując pod palcami chłód folii. Podchodzę do Parkera, który wciąż wydaje instrukcje jednemu ze współpracowników.

– O, właśnie – przerywam mu. – Mamy coś ze szklarni. Próbkę. Może warto rzucić na to okiem.

Parker mruży oczy, patrząc na znalezisko z wyraźnym niedowierzaniem na twarzy.

– Ze szklarni? Tam też byliście? Co to w ogóle jest? – pyta ostro.

– Nieważne. Gdybym wiedział, co to za cholerstwo, to czy zawracalbym ci teraz głowę? – rzucam, nie siląc się na uprzejmość.

Nie odpowiada. Zabiera próbkę, a w jego milczeniu czuć rosnący ciężar nowej niewiadomej.

Już przy samym wyjściu znowu coś strzela mi do głowy.

– Czekał – mówię, robiąc nagły zwrot w stronę jednego z obrazów.

– Co znowu? – Dean przystaje, ospale wzdychając.

Delikatnie unoszę płótno.

– Wezmę ten.

– Serio? – Dean prycha. – Może jeszcze coś sobie stąd dobierzesz na pamiątkę? Kolekcja w sam raz do twojego upiornego salonu.

– Po prostu mam pomysł – ucinam, nie dając mu kolejnej szansy na dalsze drwiny.

Wsiadamy do forda. Letarg otacza nas jak kleisty kokon. Dean siada obok, a droga przed nami pustoszeje. Każdy metr oddala nas od sensu. Woda w kałużach mieni się w słabym świetle lamp, formując na asfalcie dziwaczne obrazy. Cienie zrodzone poza tym światem, ze snów i gorączkowych myśli.

Docieramy na komisariat po kilku minutach, choć wydaje się, że minęła wieczność. Wsiadając, czuję ciężar obrazu w dłoniach. To nie tylko waga ramy i płótna. To coś znacznie gorszego. Wracamy do jaskini wydziału jak łowcy, którzy zamiast zwierzyny przynieśli do domu zarazę. Dean idzie zgarbiony, z rękami głęboko w kieszeniach. Wygląda na kogoś, kogo ta przeklęta noc zdążyła już w całości przełknąć.

Biuro wydziału jest ciche, prawie puste. Widać, że większość ludzi jest w terenie, a ci, którzy zostali, robią przerwę. Siadam przy biurku. Czas to poskładać. Przyglądam się obrazowi. Zastanawiam się, czy to zadziała. Dean wraca z parującym kubkiem. Unosi go i głęboko wciąga aromat, przymykając oczy, jakby celebrował ostatni dobry moment tego parszywego dnia.

– Boże... wreszcie coś, co nie śmierdzi trupem – mamrocze i ziewa tak szeroko, że aż strzelają mu zawiasy szczęki. Głos ma ciężki od niewyspania się. Ta kawa to jego ostatnia linia obrony.

207. Karta. Malarka. Pracownia.

Te elementy zaczynają powoli wskakiwać na swoje miejsca. Wciąż nie dostrzegam całości, ale kontury obrazu wylaniają się z mlecznej, brudnej mgły. To wciąż za mało, by zrozumieć, ale wystarczająco, by poczuć lęk.

Dean opiera się o biurko i zamyka oczy. W świetle jarzeniówek jego twarz wygląda na szarą, wyciśniętą z życia.

– Wiesz... – zaczyna w końcu, nie otwierając powiek. – Czasem się zastanawiam, po co my to jeszcze robimy.

Unoszę brew. Patrzę na niego przez chwilę, nie do końca wiedząc, o co mu chodzi. Może to pytanie retoryczne.

– Co masz na myśli? – pytam, choć nie oczekuję odpowiedzi.

– Całe to gówno. – Wzdycha, a jego wzrok błądzi gdzieś po pustym kącie biura, jakby czegoś wypatrywał, czegoś, co może mu przynieść ukojenie, po czym dodaje o pół tonu ciszej. – Ludzie zabijają się

z najgłupszych powodów, a my gonimy duchy, licząc na to, że w końcu któryś zostawi ślad.

Może ma rację. Może to wszystko jest bez sensu, ale nie mogę tego tak po prostu zostawić.

– Bo jak my tego nie zrobimy, to kto?

Dean uśmiecha się krzywo, a jego wzrok czystą irytacją.

– Brzmisz jak Parker.

– To ty zacząłeś filozofować.

Przecieram twarz dłonią i przyciągam do siebie obraz.

– Dobra, może łaskawie mnie oświecisz, po co to płótno? – pyta mnie, nie kryjąc cynizmu. – Masz zamiar dekorować swoją norę?

Ignoruję go. Wyciągam papierosa z paczki, czując, jak nerwy zaczynają się napinać. *Pstryk*. Zaciągam się, a dym spływa do moich płuc, zmywając choć trochę tego całego kurzu, który się na mnie osadził. To nie jest nawyk, to jedyna sekunda spokoju, jaką dziś dostanę. Wydmuchuję gęstą chmurę prosto na płótno. Jego ciężar zaczyna na mnie ciążyć. Dopiero teraz przenoszę wzrok na Deana.

– Patrz i się ucz – mówię cicho.

– A więc tak? Chcesz mnie zrobić swoim uczniem? – Unosi brew, ale widzę, że w końcu jest autentycznie ciekawy.

Wyciągam telefon, jego chłodna powierzchnia w dłoni daje mi poczucie kontroli, ale zarazem niepewności.

Wybieram jeden z numerów.

Czekam.

Po kilku sygnałach w słuchawce odzywa się kobiecy głos. Jest matowy, przeciągły i wyprany z emocji, jakby ta rozmowa była ostatnią rzeczą, na jaką ma ochotę.

– Biuro Harolda Phelptoona, w czym mogę pomóc?

Przybieram inny ton, bardziej nonszalancki, lekko snobistyczny. Skrojony pod kogoś, kto obraca się w świecie aukcji i drogiego wina.

– Dzień dobry. Dzwonię w sprawie prywatnej kolekcji. Mam obraz, który wymaga natychmiastowej wyceny.

Kobieta waha się. Słyszę, jak bębni palcami o blat.

– Pan Phelptoon nie przyjmuje indywidualnych klientów. Może pan napisać e-mail. Odpowiemy w ciągu trzech dni roboczych.

Uśmiecham się do słuchawki, choć tego nie widzi. Czuję jej zawodową odrazę do intruzów.

– To obraz zmarłej niedawno malarki. Może kojarzy pani nazwi...

Cisza. Zbyt długa, by była tylko przypadkowa. Nagle słyszę trzask, dźwięk przełączanej linii, a potem głęboki, pewny siebie głos.

– Harold Phelptoon. O czym dokładnie mówimy?

To głos współczesnego **Josepha Duveena**. Dla tego człowieka śmierć artystki to nie tragedia, lecz kampania marketingowa. Phelptoon nie pyta o stan płótna. Interesuje go proveniencja, bo doskonale wie, że krew na pędzlu podwaja cenę. Brzmi jak sęp w garniturze od **Brioni** gotowym przehandlować duszę malarki za miejsce w rankingu najbogatszych kolekcjonerów świata.

Zerkam na Deana. On unosi brwi, a w kącikach jego ust błąka się niedowierzanie.

– No proszę... – szepcze z nutą rozbawienia. – Tego się po tobie nie spodziewałem.

– Mam obraz Sinéad Worthime – mówię spokojnie. – Jedno z jej starszych dzieł.

Po drugiej stronie zapada chwilowy bezgłos. Słyszę tylko świszczący oddech. Phelptoon przetwarza informacje, kalkuluje zyski.

– Słyszał pan o jej śmierci? – pytam, prowokując go.

– Oczywiście – odpowiada natychmiast, a jego głos odzyskuje stały blask.

– Gdzie pan go znalazł?

– To ma jakieś znaczenie?

– Dla mnie? Jak najbardziej. – Ton Phelptoona staje się ostry i wyrachowany. Przestaje udawać uprzejmość. Gra się rozpoczęła.

– Powiedzmy, że u kogoś, kto nie znał jego realnej wartości. – Słowa mam równie chłodne, nawet ze świadomością, że właśnie dałem mu teraz jeszcze jedno narzędzie do analizy.

Phelpton milknie na chwilę. To moment zawahania się, coś, co wykracza poza zwykłą kalkulację. Zastanawia się, czy naprawdę warto pójść dalej w tę rozmowę, czy lepiej się wycofać. To na pewno nie jest typowy telefon do galerii.

– Jak się pan nazywa? – pyta w końcu.

Przez ułamek sekundy szukam w głowie odpowiedniego nazwiska.

– Jack Morgan – odpowiadam. Nazwisko jest na tyle neutralne, by nie wzbudzić podejrzeń, a jednocześnie brzmi wystarczająco solidnie.

– Morgan... – Phelpton testuje brzmienie tego słowa. – Ma pan czas dzisiaj o dwudziestej?

– O dwudziestej? – Robię pauzę, by nie wydać się zbyt chętnym na spotkanie. – Tak. Mam czas.

– Zapraszam do mojej rezydencji.

– Gdzie dokładnie?

– Poza miastem, w spokojnej okolicy. Posiadłość nazywa się **Silent Curios**. Na podjeździe stoją kamienne lwy. Zapewniam pana, nie da się ich przegapić – dodaje, a w jego głosie pobrzmiwa duma zmieszana z ostrzeżeniem.

– Do widzenia, panie Phelpton – kończę chłodno, zachowując resztki zawodowej uprzejmości.

– Do widzenia panu.

Rozłączam się, ale wciąż trzymam telefon przy uchu. Palce zaciskają mi się na rozgrzanej obudowie.

Dean klaszcze powoli, a dźwięk odbija się od ścian, brzmiąc niemal prowokacyjnie. Jego reakcja jest dziwnie teatralna.

– Brawo, panie Morgan, brawo!

Przewracam oczami, ignorując jego sarkazm.

Dean nachyla się bliżej.

– **Silent Curios.** Brzmi bogato – mówi to z lekką nutą kpiny.

– Bo jest. – Wsuwam telefon do kieszeni, czując, jak ta decyzja waży na mnie coraz mocniej. – Phelptoon nie bawi się w półśrodki.

– Kamienne lwy, luksusowa posesja... jeszcze tylko brakuje fontanny z aniołkiem sikającym w niebo.

Po chwili jednak, żarty Deana gasną, a jego ton nagle poważnieje.

– Jaki masz plan?

Pójście tam na oślep to czyste szaleństwo, ale nie mam wyboru.

– Podrzucisz mnie przed rezydencję. Będziesz czekał gdzieś niedaleko – mówię spokojnie.

– Jasne. Jak zwykle będę tym, który ratuje ci tyłek.

Sięgam po kolejnego papierosa. Palce lekko mi drżą, ale to tylko odruch, mechaniczna reakcja organizmu na nadmiar adrenaliny. Dym pozwala mi wziąć głębszy oddech. To może być finał tej sprawy. Albo dopiero początek czegoś znacznie gorszego.

– Myślisz, że jest w to zamieszany?

– Nie wiem. Przez telefon nie brzmiał podejrzliwie. Albo świetnie to ukrywa.

To nie zwiastuje niczego dobrego. Phelptoon to zagadka, a ja właśnie stawiam pierwszy krok na jego terytorium. Mam nadzieję, że gdy pociągnę za nitkę, cały teatr zacznie tańczyć.

Dean wzdycha, podkreślając, że to, co robimy, to strzał w ciemno.

– Zanim rzucisz się na pożarcie lwom, jeszcze coś zjemy?

– Tak, możemy.

Wychodzimy na chłodne powietrze.

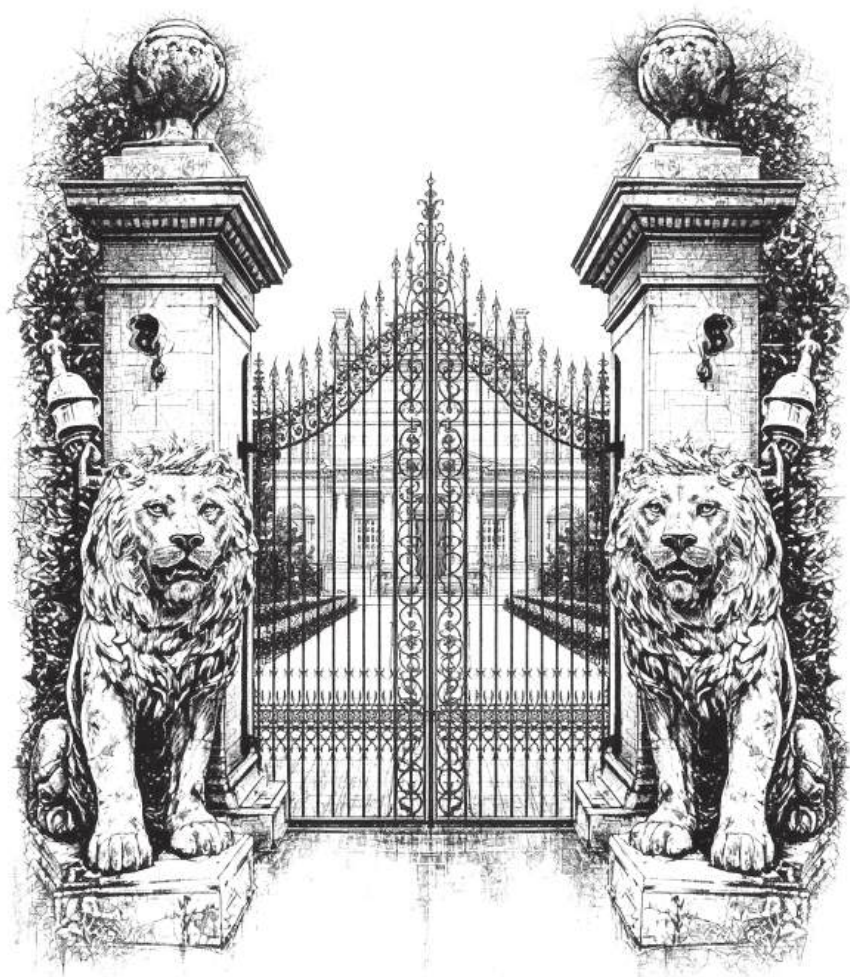
Ciemność zaciska się wokół jak pięść z betonu.

To nie ta zwykła, miejska ciemność.

Ta jest niemal świadoma.

Niebo nie mówi nic, ale coś patrzy... coś, co czuję w powietrzu.

Obecność, która nie potrzebuje własnego imienia.



Odcisk

Dean zatrzymuje samochód przy rezydencji. To ostateczny moment przed wejściem. Mechaniczne serce silnika bije jednostajnie, pomruki jego pracy stają się niemal rytmiczną melodią w ciszy nocy. Reflektory jak szklane oczy, ślizgają się po metalowej bramie.

– Wysiadka, panie Morgan – rzuca Dean z nutą rozbawienia, ale nie daje się nabrać. Pod jego uśmiechem wyczuwam napiętą jak struna czujność.

Chwytam za klamkę, ale zerkam na niego ostatni raz.

– Nie zapomnij o mnie.

– Jakbym mógł – przewraca oczami, po czym dodaje ciszej, niemal bezbarwnie. – Będę w pobliżu.

Drzwi zamykają się z głuchym stuknięciem, odcinając mnie od bezpiecznego wnętrza Forda. Zimno natychmiast oplata mi kark, przenika przez płaszcz. Poprawiam kołnierz i ruszam przed siebie.

Dean nie czeka. Manewruje autem i znika w mroku. A ja czuję się, jakbym ponownie znalazł się na brzegu **Styksu**, ale tym razem mam przewoźnika, który właśnie odpłynął, zostawiając mnie samego z zapłatą za podróż w dłoni. Jego *będę w pobliżu* to moja jedyna obietnica powrotu z krainy umarłych.

Lwy z kamienia siedzą w milczeniu po obu stronach bramy, ich oczy wydają się śledzić każdy mój ruch. Majestatyczne i zimne jak strażnicy starożytnej twierdzy, przypominają, że tutaj każda wpadka jest zauważana, a każde potknięcie odnotowane.

Rezydencja nosi ślady czasu. Kolonialna fasada, szara i zmęczona, emanuje surową, drapieżną elegancją. Budynek mógłby uchodzić za muzeum, gdyby nie wszechobecny monitoring, który czuwa w ciemności. Gdy podchodzę bliżej, brama zaczyna rozchyłać się, nie wydając żadnego dźwięku.

Wchodzę na długą aleję z jasnego żwiru. Z każdym krokiem słyszę chrzęst kamyków jak fanfary ogłaszające przybycie intruza. To ścieżka

zaprojektowana, by odebrać mi prawo do bycia cieniem. W tym miejscu nawet żwir pod butami staje się narzędziem dominacji, zmuszając mnie do bycia głośnym tam, gdzie wolałbym pozostać niewidoczny.

Powietrze pachnie mchem, ale pod tą wilgocią wyczuwam jeszcze słodki, duszący aromat kwiatów, które ledwo majaczą w półmroku.

Idę dalej, mijam idealnie przycięte krzewy i kamienne figury, które spoglądają na mnie czarnymi oczodołami. Nie patrzą z ciekawością, lecz z absolutną, mroźną obojętnością. Światła na podjeździe rzucają nienaturalnie długie cienie, przez co ścieżka staje się coraz bardziej klaustrofobiczna. Wystarcza kilka kroków, by na moich barkach osiadło coś niewidzialnego i dziwnie znajomego. Ciężar tej nocy.

Gdy docieram do drzwi, one uchylają się z cichym, niemal ludzkim westchnieniem.

Harold Phelptoon stoi w progu. Jego sylwetka odcina się ostro na tle ciepłego, miodowego światła wnętrza. Siwe włosy, gładko zaczesane do tyłu, lśnią w blasku żyrandola. Staję przed magnatem-estetą, człowiekiem, który wygląda, jakby sam został namalowany przez **Johna Singera Sargenta**. Phelptoon nie wita mnie jako gościa. On przeprowadza błyskawiczną inwentaryzację moich intencji. Jego idealnie skrojony garnitur to pancerz współczesnego arystokraty władającego królestwem cienia i pigmentu, gdzie każda z emocji ma swoją własną cenę katalogową.

– Pan Morgan? – Unosi brew, jego głos nie jest już tylko pytaniem, to bardziej stwierdzenie. Lustruje mnie spojrzeniem, bada, jakby chciał wiedzieć, kim jestem, zanim się zdecyduje, czy będziemy kontynuować grę, czy jednak zakończymy ją tutaj.

Kiwam głową, utrzymując spokojny wyraz twarzy.

– We własnej osobie.

Phelptoon na moment zerka na płótno, które trzymam w rękach, a jego wzrok zdradza lekką ciekawość, choć daje tego po sobie

poznać.

– Nie będziemy stać w drzwiach. – Jego głos pozostaje spokojny, ale w oczach jest coś, co mówi: *nie masz wyboru*. – Proszę śmiało, niech pan wejdzie.

Wnętrze otula mnie ciepłem, ale to nie jest gościnność. To raczej rodzaj powściągliwej, dusznej obecności. Pachnie tu politurowanym drewnem i lekką nutą nostalgii, która osiada w nozdrzach niczym kurz na grzbietach starych ksiąg. Zapach farby olejnej, wciąż świeżej, zdaje się szeptać, że sztuka tutaj nigdy nie zasypia. Ściany uginają się pod ciężarem płócien. Każde z nich żyje własnym, odrębnym życiem. Nie ma tu dzieł przypadkowych, a każdy centymetr przestrzeni tworzy spójną, choć głęboko niepokojącą narrację.

Niektóre obrazy do złudzenia przypominają prace Sinéad Worthime. Światło ślizga się po nich z chirurgiczną precyzją, a ja mam wrażenie, że malarka znalazła topografię tego domu lepiej niż jego właściciel. Cienie tańczące na powierzchniach mają autonomiczną wolę. To nie jest tylko gra pigmentu, to coś niemal świadomego.

Phelpton prowadzi mnie do salonu, gdzie na jednej ze ścian tyka zegar. Barokowy, bogato rzeźbiony, z cyferblatem poprzecinany cienkimi pęknięciami. Wskazówki biegną zbyt szybko. Zdaje się, że czas w tym domu nie zna umiaru. Zegar wymyka się logice, jakby miał własne pojęcie trwania. Tyknięcia wypełniają przestrzeń, nadając jej niemal groźny rytm. Jak oddech czegoś, co nie śpi.

– Panie Phelpton, pański zegar się śpieszy – mówię. Nie potrafię powstrzymać tego komentarza.

Mężczyzna nie unosi wzroku. Zatrzymuje się w pół kroku, a jego sylwetka zastyga.

– Panie Morgan, litości. Chyba nie przyszedł pan do mnie jako zegarmistrz? – Jego głos jest spokojny, ale lodowaty. Nie zostawia miejsca na żadne wyjaśnienia.

Skup się, Morgan. Podchodzę do jednego z płócien.

Przedstawia mglisty krajobraz z samotną postacią o rozmytych konturach. W jej dłoni dostrzegam ledwie widoczny kształt... kolejny zegar. Ukryty jak znak wodny, uporczywy jak wyrzut sumienia.

Kurwa, myślę, ale mięśnie mojej twarzy pozostają nieruchome.

Zerkam na mężczyznę, próbując utrzymać kontrolę nad własnymi myślami. Słyszę ciche chrzęst moich butów na drewnianej podłodze. Dźwięk, który wydaje się nienaturalnie głośny w tej przestrzeni.

– Piękna kolekcja – mówię w końcu, byle tylko przerwać to cholerne milczenie.

Phelptoon staje obok. Gładzi podbródek, mrużąc oczy. Widzę autentyczny głód estety, który karmi się tymi obrazami.

– Cenię rzeczy, które mają w sobie coś ponadczasowego – odpowiada. Jego głos jest spokojny, ale z jakąś ukrytą mroczną głębią.

To ciekawe. – Unoszę lekko brwi – biorąc pod uwagę, co dokładnie wisi na pana ścianach.

Phelptoon nie odpowiada na to. Podchodzi do barku i lustruje rzędy butelek.

– Czego się pan napije? Whisky? Gin?

– Whisky. Z lodem – rzucam, starając się wyważyć swobodę z absolutną czujnością.

Phelptoon nalewa do szklanki, dodaje lód, a ja, patrząc na obraz, staram się nie zdradzić swoich myśli.

Zastanawiam się... czy wystarczy, że dotknie rami obrazu? Jeżeli on jest w to zamieszany, ślad byłby nie do podważenia.

Mężczyzna odwraca się, spoglądając na mnie przez moment, po czym podaje mi szklankę.

– Za co będziemy pić, panie Morgan?

– Za twórczość Sinéad – mówię, unosząc szklankę.

Jego wzrok wbija się w moje oczy, szuka błędów w mojej postawie,

pęknięć w masce. Próbuje wyczytać, ile naprawdę wiem.

Po chwili jednak odwraca wzrok. Zderza szkło ze szkłem, nie pytając o zgodę. Krystaliczny dźwięk szkła wibruje w powietrzu.

Odprawiamy komunię z tego, co zostało. Kryształ zamiast hostii, whisky zamiast wina. Phelptoon pije za Sinéad z ironią, która mrozi krew skuteczniej niż lód w moim drinku. Ten toast to pakt z diabłem. Każdy łyk pali gardło świadomością, że biesiadujemy nad grobem dziewczyny, której śmierć stała się dla nas obu jedynie walutą.

– Zatem, za twórczość Sinéad – powtarza nieco ciszej, z wyraźnym cieniem ironii.

Phelptoon odstawia pustą szklanekę na mahoniowy blat. Stukot lodu o szkło rozchodzi się echem po salonie. Mężczyzna przenosi wzrok w stronę płótna w moich dłoniach.

– Więc... czy mogę wreszcie zobaczyć to dzieło?

Wypuszczam powoli powietrze.

Unoszę obraz, obracając go ostrożnie w jego stronę, ani na sekundę nie spuszczać wzroku z jego twarzy. Phelptoon mruży oczy, jego ciało niemal instynktownie nachyliło się ku płótnu, ale ręce pozostają nieruchome przy bokach.

– Może chciałby pan wziąć go do ręki? – pytam.

Staram się, by moje słowa brzmiały lekko, niemal niedbale, by nie zdradzić, jak desperacko czekam na jego odciski palców.

Podnosi wzrok. Analizuje moją propozycję. W jego spojrzeniu toczy się jakaś szybka, niewidoczna walka, aż w końcu na jego ustach błąka się delikatny, prawie niedostrzegalny uśmiech.

– Myślę, że potrafię docenić to dzieło bez potrzeby dotykania.

Przegrałem ten ruch. Światła lamp ślizgają się po warstwach farby, uwydatniając ślady pędzla, które w tej przestrzeni zdają się wciąż wibrować. Wzrok Phelptoona wędruje powoli: *linia po linii, cień po cieniu*. Patrzy tak, jakby w każdej zmarszczce farby krył się kod, którego

nie wolno mu zignorować.

Niewidzialna aura przykleja się do mojego karku niczym kadr filmu zatrzymany na sekundę przed eksplozją. Moje serce przyspiesza, a ciepło salonu staje się nieprzyjemne. Szorstki materiał płaszcza uwiera mnie jak niechciany, natrętny szept.

Phelptoon wypuszcza powietrze przez nos. To cichy, świszczący dźwięk, jakby wraz z wydechem uchodziło z niego całe napięcie nagromadzone w salonie. Prostuje się, ale nie odrywa wzroku od płótna. W jego spojrzeniu osiada lód.

– To... podejrzane – mówi w końcu, a jego ton jest suchy jak pył.

Wstrzymuję oddech. Czekam na wyjaśnienie, ale ono nie nadchodzi. Milczenie między nami przypomina ciężki młot zawieszony milimetr nad taflą szkła.

– Podejrzane? – powtarzam ostrożnie, niemal szeptem.

Jego wzrok wbija się w płótno z nową, drapieżną intensywnością. Próbuje dostrzec w fakturze coś, co dla innych pozostaje niewyraźne.

– Bo już go widziałem. W jej pracowni. To jedno z nowych dzieł.

W jego głosie nie ma ani cienia wątpliwości. Te słowa uderzają we mnie z siłą fizycznego pchnięcia. Dociera do mnie, że właśnie tracę kontrolę nad sytuacją... o ile w ogóle kiedykolwiek ją miałem.

– To niemożliwe – rzucam bezwiednie, ale czuję, jak moje słowa kruszą się w powietrzu.

Phelptoon unosi wzrok. Przez ułamek sekundy jego źrenice zwężają się gwałtownie. Widzę w nich coś, czego nie chciał mi pokazać. Błysk przerażenia, otchłań, której nie da się udźwignąć samym spojrzeniem, ale to trwa tylko chwilę. Zaraz potem maska magnata-estety wraca na swoje miejsce.

– A więc pytam... czego ode mnie chcesz? – To już nie jest propozycja rozmowy. To karta rzucona na stół, która w tej chwili zmienia przebieg całej gry.

Atmosfera w salonie zaczyna drgać jak świeżo uderzony gong.

Phelptoon nie mówi już do mnie jak do człowieka. Traktuje mnie jak problem, który musi zostać rozwiązany.

Widzę to w jego sztywnych barkach i dłoniach splecionych za plecami. Już wie. Przejrzał mój teatr. Muszę blefować.

Ostrożnie opuszczam obraz. Palce zaciskają się na ramie tak mocno, że czuję pod opuszkami fakturę drewna. To tylko pozór swobody.

– Chcę prawdy – mówię. W tej chwili wystarczy mi jego reakcja, każdy nerwowy tik, który zburzy ten idealny wizerunek.

Wyciągam ręce przed siebie. Staram się nie spieszyć, ale moje oczy i ciało zdradzają napięcie, które trzyma mnie w stalowym uścisku.

– Widzi pan, panie Phelptoon... Sinéad nie zdążyła dokończyć kilku rzeczy. I nie mam na myśli, tylko malowania – rzucam, czując, jak duszne powietrze pokoju zaczyna przylegać do mojej skóry niczym mokra tkanina.

Mężczyzna zaciska usta w wąską linię.

– Sugerujesz, że wiem coś o jej śmierci? Jesteś śmieszny.

Przechyłam lekko głowę i milknę. Daję ciszy szansę, by wypełniła przestrzeń między nami, by stała się dla niego nie do zniesienia.

– Nie sugeruję. Ja to wiem – moje słowa są jak kamienie wrzucone do spokojnej wody. Widzę, jak tworzą kręgi, coraz większe i bardziej nieprzewidywalne.

Phelptoon wciąga powietrze przez nos. Jego dłoń przesuwają się po krawędzi stołu. Porusza się ospale, ale jego palce zdradzają niecierpliwłość. Cała jego postawa krzyczy jedno: *nie jesteś tu już mile widziany*.

– Jeśli tak uważasz, to chyba powinieneś mnie aresztować – rzuca prowokacyjnie.

Nasze spojrzenia zderzają się w zawieszony chwili. Kto pierwszy odwróci wzrok, ten przegra, nawet jeśli jeszcze nie wie, o co toczy się rozgrywka.

– O, nie. Jeszcze nie – odpowiadam spokojnie. – Ale wie pan, co jest zabawne? Odciski palców.

Phelptoon mruży oczy, a jego spojrzenie twardnieje, zmieniając się w lity kamień. Kalkuluje, ile może jeszcze ukryć, a co musi wyznać.

– Znalazłem jeden w jej pracowni – kłamię prosto w oczy.

– To chyba nie jest przestępstwo, że kolekcjoner odwiedza artystkę, od której kupuje obrazy? – Jego riposta uderza natychmiastowo.

Phelptoon odzyskuje grunt pod nogami.

– Nie, nie jest – robię pauzę, by każde słowo wybrzmiało z należytą wagą. – Ale jeśli jedna z tych wizyt miała zbyt dramatyczny finał... wtedy sprawa się komplikuje.

Jego oczy świdrują mnie, próbują wybadać, jak głęboko sięgam, czy pod spodem jest coś więcej niż tylko blef. Phelptoon nie odwraca wzroku, ale nagle robi coś, czego zupełnie się nie spodziewam.

Uśmiecha się. To nie jest uśmiech zadowolenia. To grymas człowieka, który widzi przeciwnika stojącego na samej krawędzi. Jedno słowo i spadnę. Roztrzaskam się o skały.

– Morgan... – wzdycha i osuwa się głęboko w fotel. To jest gest przesadnego, niemal królewskiego spokoju, który zwała na mnie cały ciężar tej rozmowy. – Czy jakkolwiek się naprawdę nazywasz. Naprawdę wierzysz, że możesz po prostu tu wpaść i wyciągnąć ze mnie jakąś tanią spowiedź? Nie wiem, kim ty jesteś. Zegarmistrzem? Księdzem? A może tylko marnym oszustem?

Mrużę oczy, nie spuszczaając go z celownika.

– To ważne? Pańska reakcja mówi więcej niż tysiąc słów.

Phelptoon śmieje się cicho. To krótki, suchy dźwięk, jak po usłyszeniu żartu, który go nie bawi, ale zmusza do reakcji.

– Ach, tak. Ten jeden legendarny odcisk palca – opiera brodę na splecionych dłoniach. Nie musi stać, by patrzeć na mnie z góry. – Na czym go znalazłeś? Nie czekaj, sam zgadnę. Na obrazie?

– Nie mogę o tym mówić. Jeszcze nie teraz. To mogłoby zaszkodzić dochodzeniu – rzucam, czując, jak pętla na szyi się zaciska.

– Wręcz przeciwnie – Phelptoon przechyla głowę w bok niczym jastrząb, który jeszcze nie atakuje, tylko sprawdza, czy warto. – Jeśli oskarżasz mnie o coś tak poważnego, chciałbym wiedzieć, na jak kruchej podstawie stoisz.

Milczę. Jeśli powiem, że odcisk znaleziono na czymś banalnym, wyśmieje mnie prosto w twarz i wtedy to będzie definitywny koniec tej rozmowy.

Patrzy na mnie jak hazardzista, który trzyma asa w rękawie i czeka, aż sam rzucę karty na stół. W powietrzu wisi ten krótki, palący moment, gdy blef może zamienić się w zwycięstwo albo rozsypać jak zamek z piasku.

– Na czym znaleźliśmy odcisk? – powtarzam powoli. Gorączkowo szukam w myślach zaczepienia. W końcu wyciągam coś, co może dać mi choćby chwilową przewagę. – Na czymś, na czym nigdy nie powinno go być.

Mężczyzna nawet nie drgnie.

– To znaczy? – pyta beznamiętnie.

– Najgłośniej milczą drobne niedopowiedzenia. – Przechylam głowę, obserwując go jak okaz pod mikroskopem. – Ludzie, którzy kłamią, zawsze popełniają małe, durne błędy. Zapominają, gdzie byli, czego dotykali w przypływie emocji.

Moje słowa zawisają w przestrzeni, tworząc niewidoczną pułapkę.

Czekam, aż w nią wpadnie.

– Pyta pan, na czym znalazłem odcisk... bo sam pan już nie pamięta, gdzie go pan zostawił?

Widzę to. W jego postawie coś się rwie. Sekunda milczenia trwa ułamek za długo. Rytm jego oddechu na moment się załamuje, a maska magnata drga. Wiem, że karta właśnie się odwróciła.

– Coś panu umknęło, panie Phelptoon. – Opieram dłonie na stole, czując pod palcami martwy chłód polerowanego drewna. Pochyliam się w jego stronę. – I obiecuję jedno. Znajdę to.

Phelptoon wstaje. Każdy jego ruch jest przemyślany, każde słowo wyważone. Wygląda mankiet, ale ten ruch jest nieświadomy, niemal odruchowy, tylko po to, by zająć czymś ręce.

– Życzę powodzenia – rzuca sucho.

Bez pośpiechu podchodzi do komody pod ścianą.

Wykorzystuję sekundę, gdy jest odwrócony.

Sięgam po jego szklanę. Cicho. Ostrożnie. Kryształ wciąż jest ciepły od jego dłoni. Chowam szkło do głębokiej kieszeni płaszczka, zanim Phelptoon zdąży się obrócić.

Słyszę szcęk otwieranych drzwiczek. Wyciąga niewielką szkatułkę, wraca do fotela i siada. Kładzie ją przed sobą na stole, a jego dłoń czule przesuwa się po lakierowanym wieczku. Gdy ją otwiera, wiem już, że to nie jest prezent.

To **puszka Pandory** w wersji kieszonkowej.

Mimowolnie kładę dłoń na kaburze pod płaszczem.

Kliknięcie zamka szkatułki odbija się echem w salonie. Cicho, ale nienaturalnie wyraźnie.

Phelptoon nie patrzy na mnie. Jego palce wślizgują się do wnętrza z namysłem, wyjmując... jedno cygaro. Obraca je w dłoni, po czym sięga po gilotynę. Ciężką, srebrną, stworzoną dla kogoś, kto kocha absolutną kontrolę. Patrzę na jego ruchy. Robi to z precyzją kata, który nie czuje nienawiści do ofiary, a jedynie chłodny szacunek do czystego cięcia. Gilotyna przestaje być gadżetem, staje się symbolem wszystkich wyroków, które zapadły w tym gabinecie. Odcięta końcówka cygara upada na podłogę niczym głowa skazańca. Etap rozmowy, w którym byłem gościem, właśnie dobiegł końca.

Phelptoon wyciąga mosiężną zapalniczkę. Płomień rozbłyskuje,

oświetlając jego nieruchomą twarz. Zaciąga się powoli, cierpliwie celebrując każdy cykl obrzędu, aż końcówka cygara rozżarza się głęboką czerwienią. Wypuszcza pierwszy kłęb dymu. Gęsty, tłusty, zawieszony w powietrzu niczym kurz w promieniu światła.

– Podoba mi się twoja determinacja, ale powiedzmy sobie szczerze, detektywie... – uśmiecha się dymem. – Grasz na czas.

– A pan? – pytam, nie zdejmując ręki z broni.

Pauza. Sekunda. Dwie. Trzy.

Phelptoon znów się uśmiecha. Chłodno, z dystansem. Poprawia zegarek na nadgarstku, a jego spojrzenie na ułamek sekundy ucieka na bok. To jedyne pęknięcie na jego gładkiej masce.

– Cóż... – mruczy pod nosem. – Skoro tak bardzo lubisz zagadki, to życzę powodzenia w ich rozwiązywaniu.

Zaciskam szczękę tak mocno, że znów czuję ten tępy ból w żuchwie po ostatnim razie.

– Wrócę tu jeszcze.

Phelptoon unosi kącik ust. Wygląda na szczerze rozbawionego.

– Tylko się nie zgub, detektywie.

Teraz mam już pewność. On coś ukrywa, a ja muszę to wyszarpać z tego domu. Chwytam obraz i wychodzę. Drzwi zamykają się za mną z cichym skrzyknięciem, jakby rezydencja z ulgą wyrzucała mnie poza swój organizm.

Chłodny wiatr smaga mi twarz. Mijam bramę i te cholerne kamienne lwy, których ślepe oczy odprowadzają mnie w mrok. Nagle tuż za moimi plecami słyszę pisk hamulców i zgrzyt opon o asfalt.

Dean zatrzymuje wóz centymetr od mojego buta.

Wstrzymuję oddech, czując, jak ciężar ostatnich minut osiada na moich barkach niczym dokładane jedna po drugiej cegły.

Dean opuszcza szybę. Jego spojrzenie wbija się we mnie z czystą,

jadowitą ironią.

– Co, nawet nie drgnąłeś? – rzuca z udawanym zdziwieniem.

Wsiadam do auta, zatraskując drzwi przed zimnem nocy.

– Kiedyś może bym drgnął. – Wzruszam ramionami. – Teraz po prostu chcę wiedzieć, na czym stoje.

– I co z tym wielmożnym panem od siedmiu boleści?

– Gra jest trudna – odpowiadam cicho. – Przejrzał mnie. Wie, że to pułapka. Muszę znaleźć inny sposób, żeby go złamać.

Dean rusza gwałtownie, wjeżdżając w boczną uliczkę.

– Powodzenia.

Opieram głowę o zagłówek i na moment zamykam oczy. To bardziej skomplikowane, niż myślałem.

Dean ostro hamuje na skrzyżowaniu, a pasy wbijają mi się w klatkę piersiową. W tym momencie osłonięty cieniem kokpitu wyciągam szklankę. Robię to powoli, z namaszczeniem. Wsuwam ją do woreczka dowodowego. Trzymam to szkło, niczym **Prometeusz** trzymał skradziony ogień. W mitach ci, którzy rzucali wyzwania bogom, musieli najpierw wykraść im część ich mocy.

Ta szklanka to moja jedyna broń. Mały dowód na to, że potrafię uszczknąć coś z nietykalnego świata Phelpstoona i przynieść to tutaj, do tego brudnego auta. Chcę rozpalić pożar, którego on nie zdoła ugasić, ale wiem też, jak kończą ci, którzy kradną ogień. Sępy zawsze przylatują po swoją należność.

Pytanie nie brzmi: *czy tylko kiedy*.

Dean rzuca mi szybkie, podejrzliwe spojrzenie.

– Co to jest?

Skupiam się na szczelnym domykaniu woreczka. Dopiero gdy plastikowa krawędź przeskakuje pod moimi palcami, odpowiadam.

– Dean, to jest szklanka.

Wciąga głośno powietrze, a na jego twarzy wykwita irytacja.

– No jasne, kurwa – prycha, przewracając oczami. – Naprawdę, nie miałem pojęcia. Myślałem, że to wazon na twoje ambicje.

– To potencjalny dowód – wyjaśniam, ignorując sarkazm. – W razie, gdyby technicy wycisnęli coś konkretnego z pracowni. Musimy mieć materiał porównawczy.

Dean milczy przez chwilę, po czym wbija wzrok w drogę.

– Dobrze, że chociaż ty się nie poddajesz. Musimy dokopać się do tego, co on chce ukryć. Musimy go przekonać, że ma jeszcze mniej, niż mu się wydaje.

Sięgam po paczkę *Pstryk*. Iskra zapalniczki odbija się w bocznej szybie, migocząc niczym nerwowy sygnał alarmowy. Zaciągam się głęboko. Dym wypełnia mi płuca, a potem wolno ulatuje przez uchylone okno, niknąc w chłodnej nocy. Wpatruję się w białe pasy na jezdni, które światła latarni rozmywają w deszczu.

– Myślisz, że to on ją zabił? – pytam cicho. Słowa wypływają z moich ust niemal bezwiednie, jakby same szukały potwierdzenia.

Dean rzuca mi kolejne spojrzenie, tym razem cięższe.

– A co, masz jakąś inną teorię?

Nie mam, ale jeśli to prawda, to oznacza, że brodzimy w czymś znacznie większym, niż mogliśmy przypuszczać... Czymś, co nie kończy się tylko na jednym... morderstwie...

Minuty ciekną powoli, tłuste niczym olej. Oblepiają mi skórę, a ciższa w samochodzie wbija się pod paznokcie. Za oknem noc rozciąga się jak stara, brudna płachta, której nikt nie potrafi całkowicie wyróżnić z wilgoci.

– Wystarczy na dzisiaj – mrużę. – Mam już dość.

– Muszę cię zmartwić – rzuca, nie odrywając wzroku od drogi.

– Co znowu?

– Randka udana?

– Co? – Patrzę na niego nieprzytomnie.

– No wiesz, Howard. Alison, siedemnasta, romantyczne odsłuchiwanie nagrań... a na deser...

– Cholera... – Zerkam na zegarek. Jest **19:40**. – Nie wierzę...

– Teraz to już jesteś u niej totalnie spalony.

Wyciągam telefon drżącymi palcami.

Wybieram numer. Jeden sygnał, drugi. Odbiera.

– Tak? Słucham – jej głos jest beznamiętny, monotony.

– Przepraszam. Miałem pełno rzeczy na głowie, kompletnie zapomniałem o spotkaniu.

– Zauważyłam.

– Czekala pani?

– To nieistotne.

– Czy nadal pani tam przebywa?

– Fizycznie? Tak.

– Będę za piętnaście minut.

Rozłącza się.

To mnie już nawet nie dziwi. Boli tylko lekko, ale nie tam, gdzie się tego spodziewałem. Nie uderza w dumę ani w ego. Czuję, jak coś wewnątrz mnie po prostu się obłuzowuje.

Może chodzi o tę cholerną powtarzalność. O to, że zawsze wiem, jak to się skończy, zanim jeszcze spróbuję cokolwiek naprawić.

Albo o to, że nawet kiedy chcę być gdzieś obecny, i tak zawsze zostaję trochę obok. Nie mam siły się z tym spierać.

Patrzę w głąb cienia za szybą. Krople ściekają po szkle, jakby za wszelką cenę chciały zabrać coś ze sobą.



Chłodna obietnica

Zatrzymujemy się przed domem Deana. Kamienica tkwi w półmroku, przypominając te z mojego dzieciństwa. Niegdyś pełne światła, dziś będące jedynie cieniem dawnego blasku. Kiedyś w takich ścianach szukałem siebie. Dziś patrzę na ten sam brud i pęknięcia, czując tylko głuchą obojętność. Nie pamiętam, kiedy to się zmieniło. Kiedy znaki na murze przestały być mapą, a stały się odbiciem moich porażek, szepczącym o tym, co straciłem bezpowrotnie.

Wierzyłem, że z tych ruin da się zbudować coś nowego. Teraz to tylko zimne dekoracje pustki. To miejsce jest jego, nie moje. Dean tkwi tu, spleciony z cieniami klatki schodowej.

Ja? Ja jestem w drodze, wędruję tam, skąd nie ma powrotu. U mnie wcale nie jest lepiej. Siedem pięter, wiecznie popsuta winda. Dobrze, że mieszkam na trzecim i nie muszę co wieczór znosić odoru stęchliny z piątego. Z pensji detektywa stać mnie najwyżej na to, by nie martwić się o ciepłą wodę. W innych warunkach pewnie bym narzekał, ale tutaj? Tutaj wygoda to pojęcie abstrakcyjne.

Wychodzimy z samochodu.

Dean rusza w stronę wejścia, ja obchodzę maskę, by zająć miejsce za kierownicą. Nagle on zatrzymuje się i rzuca przez ramię:

– Kup jej kwiaty.

Rzuca tę radę z lekkością **arlekina**, który jako jedyny ma odwagę powiedzieć królowi, że jest nagi. Słyszę w jego głosie mądrość kogoś, kto nie boi się prostych gestów. Dla niego kwiaty to sposób na oswojenie chaosu, naiwna próba przywrócenia porządku tam, gdzie ja widzę tylko spaloną ziemię.

– Kwiaty? – Parskam, opierając dłoń o dach Forda. – To ma niby wystarczyć?

– Z grzeczności, nie? – Wzrusza ramionami.

– Może jednak pojedziesz ze mną?

Dean tylko wybucha śmiechem i zatrząskuje za sobą drzwi.

Zostaję sam na pustym chodniku.

Nie mam siły ani na jego uprzejmości, ani na złote rady.

Wsiadam do samochodu, zapinam pas.

Tak myślę, że może to nie taki głupi pomysł. Te kwiaty. Jakieś idiotyczne przeprosiny. Może to zadziała? Kto wie? Coś mnie podskórnie pcha, bym po prostu to zrobił.

Sięgam po telefon, sprawdzam adres w SMS-ie:

*3240 Linden Avenue
Dział współpracy zewnętrznej
Pokój 214*

Patrzę na deskę rozdzielczą, próbując uporządkować myśli. Wciąż nie mogę uwierzyć, że to wszystko... te kłamstwa, szklanki i łacińskie napisy... to naprawdę część mojej roboty.

Odpalam silnik i włączam światła. Ruszam w stronę centrum, mijając ulice, na których neony pulsują nerwowym rytmem, a ruch nigdy nie zwalnia. Moje ręce zaciskają się na kierownicy, ale głowa jest już zupełnie gdzieś indziej. Kiedyś nie wyobrażałem sobie, że coś tak błahego, jak kwiaty będzie miało jakiegokolwiek znaczenie w moim życiu.

W sumie nigdy nie byłem w takiej sytuacji, ale skoro Dean twierdzi, że to zadziała... Może. Chociaż kurwa... kto by pomyślał, że sprawa morderstwa skończy się randką?

Nie, to nie randka. To spotkanie dwóch osób, które czegoś od siebie chcą. Tyle że to tylko ja mam interes.

W końcu dojeżdżam do niewielkiej kwiaciarni. Jej jasna witryna bije po oczach już z daleka. Zanim jednak przekroczę próg, uderza we mnie niewidzialna blokada.

Czuję opór gdzieś głęboko w środku. To miejsce jest pełne życia,

światła, kompletnie mi obce. Przez chwilę mam wrażenie, że tu nie pasuję. Jest zbyt głośno, zbyt kolorowo. Zapach świeżości drażni nozdrza przyzwyczajone do kurzu i starej farby. To nie jest mój świat. To tylko kolejna rzecz, która w ogóle nie powinna mnie dotyczyć.

Wdech, wydech.

W środku panuje leniwy spokój, drastycznie różniący się od tego, co noszę w sobie. Słyszę stłumiony szum wody w małych fontannach oraz ciche, urywane rozmowy.

Zza lady wylania się starsza kobieta. Lustruje mnie przez chwilę, próbując odgadnąć, czego tu szukam. W jej spojrzeniu widzę rutynę. Zna tu każdą lodygę, każdy liść. Gesty klientów ma pewnie wyćwiczone do perfekcji.

Omiatam wzrokiem stoiska. Nie chcę być kolejnym facetem, który kupuje banalne róże czy tulipany. Szukam czegoś, co udźwignie ciężar tej sytuacji, a jednocześnie nie będzie łatwym wyjściem. Chcę, żeby to miało sens, choć wiem, że ostatecznie to i tak tylko pusty znak. Ignoruję cięte kwiaty i przeglądam półki z sukulentami. Coś nieoczywistego. Nic słodkiego, nic romantycznego. Ta roślina musi mieć ostre krawędzie. Nie może prosić o wyjaśnienia.

W końcu wybieram małego kaktusa o grubych, ciemnozielonych kolcach. Ta roślina to moja zbroja. W świecie pełnym wędnących róż i kłamiwych tulipanów on jeden mówi prawdę. Odmawiam bycia romantycznym. Odmawiam przeproszenia za to, kim jestem.

Wybieram coś, co potrafi przetrwać w pełnym słońcu bez kropli wody... tak jak ja trwam w tej robocie bez grama nadziei.

Podchodzę do kasy. Kobieta sięga po roślinę, ale jej wzrok jest czujny. Czeka na wyjaśnienie, dlaczego wybrałem akurat to kolczaste cholerstwo. Nie dostanie go. Moje powody nie należą do niej.

– To na... na uroczystość? – pyta z wyraźnym wahaniem.

– To tylko kaktus – odpowiadam automatycznie, odcinając się od

jakiejkolwiek głębszej analizy.

Florystka mruży oczy, jakby oceniała, jak dalece moje kłamstwo jest wiarygodne.

– Jak pan woli – mówi spokojnie, a w kącikach jej ust błąka się cień uśmiechu. – Mogę też przygotować coś bardziej... stosownego. Jeśli uzna pan to za konieczne.

– Co takiego?

– Wiązanke.

Serio? Po co mi wieniec? Czy naprawdę wyglądam, jakbym szedł na pogrzeb? A może po prostu mój samochód przypomina jej jeżdżącą trumnę? Dla niej każda wizyta kogoś takiego jak ja musi kończyć się pogrzebem: *albo relacji, albo złudzeń*. Proponuje mi wiązanke, bo wie, że ten kaktus to tylko mały, kolczasty nagrobek dla wieczoru, który i tak już dawno umarł.

Przez moment mam ochotę zapytać, czy z nią wszystko w porządku. Może ma lekko poprzewracane w głowie?

Jej wzrok zastyga na mojej twarzy, wyczekując reakcji. Powinienem się cofnąć, uciec od tej ironii, ale zamiast tego stoję jak wryty i udaję, że panuję nad sytuacją.

– Nie, dziękuję. To wystarczy – mówię szorstko, choć sam nie wiem, dlaczego muszę to aż tak dobitnie podkreślać.

Plącę. Kobieta kiwa głową. Bez komentarza, bez uśmiechu. Odprowadza mnie tylko chłodnym spojrzeniem profesjonalistki, która widziała już zbyt wielu spóźnionych mężczyzn.

Wychodzę, trzymając w dłoni tę małą, ironiczną roślinę.

Może kaktus niczego nie uratuje, ale przynajmniej nie muszę się martwić, że wybrałem coś wbrew sobie.

Mijają kolejne minuty. W końcu docieram na **Linden Avenue**. To nie jest prestiżowa dzielnica, ale tuż za rogiem wyrastają wieżowce,

które stoją w mroku niczym strażnicy innowacji. Ulica jest szeroka, tętniąca nerwowym ruchem, ale mimo że to Los Angeles, czuję tu przenikliwie zimno. To miejsce jest bardziej funkcjonalne niż przyjazne. Kwintesencja nowoczesnego, mitycznego więzienia, w którym najwyższą karą jest przejrzystość. Te budynki niczego nie kryją, a jednak czuję się w nich bardziej zagubiony niż w najciemniejszym zaułku. Każdy mój ruch odbija się w tysiącu szyb, tworząc armię sobotników, z których żaden nie wie, dokąd właściwie zmierza.

Zatrzymuję się przed celem. Na tablicy lśni wielki napis:

QuantumStream Innovations

Futurystyczna czcionka świeci w mroku, odbijając resztki światła ulicznych latarni. Wysoka, szklana fasada chłonie nocne niebo, nie sugerując żadnej otwartości. Z daleka budynek przypomina zimną, bezosobową maszynę. Brak ozdób, agresywny minimalizm. Cała uwaga skupiona jest na tym, co dzieje się wewnątrz.

Przed wejściem stoi dwoje ochroniarzy w ciemnych garniturach. Ich wzrok, zimny i mechaniczny, skupia się na każdym, kto próbuje skrócić dystans. Słuchawki w uszach i sztywne postawy sugerują, że to nie jest zwykłe biuro. To izolowana kapsuła, odcięta od świata. Mam wrażenie, że w środku trzymają coś, co nie znosi światła dziennego. Coś, czego słońce nigdy nie powinno dotknąć.

Wchodzę tam jako człowiek z epoki analogowej, ściskając doniczkę z kaktusem jak ostatni szaniec normalności w tym cyfrowym sanktuarium. Zaskakujące, jak ciężki może być kaktus. Milczy i to mi wystarcza. Moja obecność w tym miejscu to zgrzyt. To próba negocjacji z przyszłością, mimo że moja własna dawno mnie skreśliła.

Wychodzę z samochodu, stawiając stopę na twardym chodniku.

W zaułku podmuch porusza gazetą leżącą na ziemi. Przez moment

wygląda jak ręka sięgająca nieba. Może to tylko wyobraźnia, ale ten obraz wisi mi w głowie.

Idę w stronę wejścia, a jeden z ochroniarzy rusza w moją stronę, zatrzymując się przede mną.

– Pan tu nie wejdzie bez zaproszenia – mówi chłodnym tonem, patrząc na mnie przenikliwie.

– Howard Laamesth'on do pani Alison Tugers.

– Poproszę dokument.

Nie mam zamiaru wdawać się w kłótnię. Znam ten ton. Ten teatr. W takich miejscach to nie jest rozmowa, to formalność. To też nie jest dialog. To procedura. Nieśpiesznie sięgam po portfel.

Mężczyzna wyciąga z kieszeni coś w rodzaju *elektronicznego notatnika*. Ekran rozświetla się matowym światłem, a jego palce poruszają się po nim szybko i pewnie. Twarz zmienia się w mgnieniu oka, z nieugiętego w coś, na wzór rozluźnienia.

– Laamesth'on. – Mężczyzna kiwa głową do drugiego, który nadal patrzy na mnie czujnie. Ochroniarz ustępuje, ale atmosfera tu się nie zmienia, chłód nie znika. Natychmiast wyciąga rękę, kładzie palec na uchu, a jego twarz zamienia się w maskę skupienia. Szepcze coś zaszyfrowanego.

– *Zero... zero... dwa... zero... siedem.*

Przysięgam, że słyszę jego głos, ale nie jestem pewien, czy to na pewno do mnie dotarło.

Brama otwiera się cicho, niemal niezauważalnie. Zgrzyt stali gdzieś w tle, stłumiony, ale obecny. Cały proces przebiega bezbłędnie. Brama wydaje się częścią skomplikowanej maszyny, której celem jest kontrola, a nie gościnność.

Mężczyzna z *notatnikiem* przesuwa się, wskazując mi kierunek.

– Proszę za mną – mówi tonem, który nie znosi sprzeciwu.

Wkraczam w obszar, w którym nie obowiązują zasady z zewnątrz.

Powietrze pachnie stalą i syntetycznym tworzywem, co nadaje wnętrzu chłodną, industrialną aurę. Podłoga z czarnego, błyszczącego marmuru pożera blask paneli LED. Wszystko tutaj manifestuje powściągliwość, a nie elegancję.

Gładkie, zimne ściany odbijają echo moich kroków i moich myśli. Wysokie okna sięgają niemal sufitu, wpuszczając do środka stłumiony blask ulicznych latarni. Cienie mebli rozciągają się zbyt nienaturalnie wzdłuż ścian, jakby śledziły każdy mój ruch.

Po lewej stronie mija mnie minimalistyczna recepcja. Młoda kobieta zza kontuaru zatrzymuje na mnie wzrok tylko na ułamek sekundy. Jej brak reakcji sprawia, że czuję się tu jeszcze bardziej obcy. To nie jest miejsce dla ludzi. To przestrzeń dla procesów.

W rogu dostrzegam automat do kawy... zbyt zaawansowany, zbyt sterylny. Wygląda, jakby potrafił robić znacznie więcej niż tylko parzyć kawę. Obok stoją designerskie fotele w martwych barwach. Nie zachęcają do siedzenia. Do niczego nie zachęcają. To wnętrze nie powstało dla komfortu, lecz dla czystej funkcji.

Pod ścianą biegną panele o metalicznej teksturze. Obiecują bezpieczeństwo, ale skutecznie odstraszą wszystko, co przypomina życie. To zimny świat danych, obojętny na człowieka. Wchodzę w niego jak w inny wymiar, zbudowany z logiki i milczenia. Tu nie ma pytań ani wątpliwości. Nie ma śladów, że kiedykolwiek istniał tu ktoś żywy.

To miejsce nie ma pleców. Każdy korytarz kończy się szkłem, każde stanowisko jest zwrócone do wewnątrz. Centrum pozostaje ciemne i nieprzeniknione jakby ktoś celowo wyciął z niego wszelką obecność.

Poruszam się po obrzeżu, wystawiony na spojrzenie, którego nie jestem w stanie odwzajemnić.

To przywodzi mi na myśl **Jeremy'ego Benthama** i jego pomysł na **okrągłe więzienie**. Idealna konstrukcja dla tych, którzy wolą pa-trzeć, niż sami być widziani.

Następna kontrola.

Ochroniarz wyciąga dokumenty, które wyglądają na przygotowane znacznie wcześniej. Kładzie je przede mną, celowo unikając mojego wzroku. Ten formularz to kolejna ściana, którą muszę przeskoczyć, by pójść dalej.

– Proszę to wypełnić – rzuca mechanicznie, wskazując na papier.

Chłodne światło oświetla dokument, sprawiając, że cała scena wygląda jak kadr z **Brazil Terry’ego Gilliana**. Procedura trwa zaledwie minutę, ale tutaj czas zagęszcza się i płynie inaczej, zniechęcająco jakby system chciał mnie w nim utopić.

Ochroniarz odbiera formularz. Działa jak zaprogramowany automat, skrupulatnie sprawdzając każde pole. W tym budynku nie ma miejsca na błąd. Jego wzrok jest chłodny i profesjonalny. To spojrzenie kogoś, kto pilnuje nie tylko ludzi, ale i nienaruszalności systemu.

Po chwili przykłada palec do ucha.

– *Trzy... sześć... zero... jeden... osiem* – szepcze, a jego głos niemal ginie w proggu przekłętego lobby.

Kolejny szyfr. Co oni tu, do cholery, trzymają? Co może być na tyle ważne, by otaczać to taką siecią zabezpieczeń?

Winda zjeżdża na parter. Drzwi rozsuwają się bezszelestnie, a ze środka wychodzi... kolejny ochroniarz. Nawet mnie to nie dziwi. Bez słowa wskazuje mi gestem wewnątrz kabiny.

– Pokazać dokument? – rzucam z narastającą irytacją. Doskonale wiem, że w tym miejscu sarkazm to ślepa amunicja. Tutaj liczy się tylko posłuszeństwo wobec maszyny.

– Nie ma potrzeby – odpowiada lakonicznie.

Wchodzę do windy. Ochroniarz wsuwa się za mną, a jego bliskość jest niczym cienka, lepka warstwa niepokoju. Choć stoi tuż za moimi plecami, czuję na karku wzrok. Jestem dla niego kolejnym obiektem przesuwany przez procedurę jak bezimienna paczka na taśmociągu

futurystycznej hali produkcyjnej. W lustrzanych ścianach kabiny widzę nasze odbicia. Są powielone w nieskończoność, ale żadne z nich nie wygląda na żywe.

– Jaki dział? – pyta beznamytnie.

W tej ciasnej, lustrzanej kabinie kaktus staje się moim prześmiewczym atrybutem. Wyglądam jak **błądny rycerz**, który zamiast róży niesie wrogowi kawałek pustyni. Statysta w absurdalnym spektaklu, gdzie wszystko jest zbyt idealne i zbyt mocno wyreżyserowane. Ściszkam doniczkę, a ten kawałek natury niemal krzyczy w starciu z zimną stalą windy.

– Powtarzam. Jaki dział?

Wyciągam telefon, by sprawdzić SMS-a od Alison.

– Dział współpracy zewnętrznej – mówię powoli.

Wciska przycisk i kabina rusza z ledwo wyczuwalnym drgnięciem. Bezgłos, który następuje między nami, jest stężony i nienaturalny.

Ja wpatruję się w czubki swoich butów, on patrzy martwo przed siebie. Wydaje się, że utknęliśmy w jakimś zawieszeniu, w próżni.

Zatrzymujemy się. Drzwi rozsuwają się z sykiem. Waham się przez ułamek sekundy. Nie wiem, czy mam wyjść, czy czekać na oficjalne pozwolenie. Ochroniarz patrzy na mnie z bezwzględną obojętnością. W końcu wskazuje gestem korytarz.

– Proszę. Można wyjść.

Zanim ruszę, kładę dłoń na krawędzi drzwi i przytrzymuję je o sekundę dłużej, niż nakazuje logika. Dla niego to drobny pewnie niezauważalny ruch, ale dla mnie to jedyny sposób, by odzyskać, choć strzęp kontroli nad tym, co się dzieje.

Ochroniarz nie reaguje, ale wychodzi tuż za mną.

– Jaki pokój?

– Dwieście czternaście – mówię spokojnie.

– Tym korytarzem prosto i na prawo. Ostatnie drzwi – Wskazuje

mi ręką kierunek mojej drogi.

Ruszam, tym razem sam. Moje kroki odbijają się od zimnych, lśniących ścian, a mroczne, sztuczne światło nie nadaje drodze ani grama przytulności. Skręcam w prawo, czując na plecach wzrok ochroniarza. Na końcu korytarza widzę drzwi.

Zatrzymuję się, by sprawdzić numer: **214**.

Czas to zakończyć. Pukam. Czekam. Słyszę ciche kroki dobiegające z drugiej strony, stłumione, ale miarowe.

Alison otwiera drzwi. Jej sylwetka niemal rozplywa się w przestrzeni biura. Jest elegancka, chłodna, zbyt idealna. Wygląda, jakby była częścią wnętrza, stworzoną do niego. Jej brązowe oczy przypominają lustro. Patrzę w nie i nie wiem, kto właściwie patrzy z powrotem. Pod tą gładką powierzchnią czai się coś, czego nie chce pokazać. Ma na sobie czarną marynarkę, prostą, lecz pełną wyrazu. Skrojoną nie z delikatnej tkaniny, tylko z myśli i milczenia.

Mijając ją w drzwiach, wyczuwam ulotne napięcie w jej ramionach. To chwilowa zmiana postawy, ledwie zauważalna, jednak dla mnie wyczuwalna. Ułamek sekundy... tyle mi wystarczy, by wiedzieć, że nie jest tak opanowana, jak udaje, mimo że jej twarz nie zdradza emocji.

Wchodzę do środka, a ona zamyka za mną drzwi. Powietrze jest tu zbyt chłodne, ale to nie klimatyzacja, to jej opanowanie. Nie zmienia pozycji. Patrzy na mnie wzrokiem pełnym obojętności.

– Dzień dobry – mówię, przelamując ciszę, która krzyczy głośniejsz niż słowa.

– Proszę usiąść. – Wskazuje na fotel, nie ruszając się z miejsca.

Zbliżam się, zaciskając dłonie na doniczce. Kaktus nie pasuje do tego aseptycznego świata. Moje ręce zaczynają się pocić, choć to tylko roślina. Nic poważnego. A jednak to moje zachowanie z poniedziałku wraca jak echo, które nie chce zniknąć.

– Co to jest? – Alison zadaje to pytanie bez pośpiechu, a jej oczy

zdradzają zaledwie zarysem zainteresowania.

Z każdym jej słowem czuję coś odległego, nieosiągalnego.

Wyciągam kaktusa w jej stronę, niepewnie.

– Dla pani – mówię, choć już wiem, że to brzmi nienaturalnie, prawie wymuszone, a całe te przeprosiny są tylko zbiorem słów, które nie mają znaczenia.

– Po co?

W głowie mi huczy: *zjedź kaktusa, który stoi tu i robi za symbol bezsensu*. Po co przepraszać? Po co się męczyć? Lepiej schrupać kolce i mieć to wszystko gdzieś. Oczywiście, że musi zapytać po co, jakby wszystko trzeba było jej tłumaczyć, rozkładać na części. Moje przeprosiny brzmią jak cytaty z kartki, gest z obcej historii. Nagle nie wiem, po co jeszcze tu stoję.

Bierze doniczkę z tą swoją obojętną manierą, przekładając ją z ręki do ręki, jakby sprawdzała wagę przedmiotu na szali, zamiast po prostu, po ludzku przyjąć podarunek. Nie bije od niej tylko chłód, to absolutna niedostępność kogoś, kto operuje w innej temperaturze emocjonalnej niż ja.

Ona jest jak **Królowa Śniegu**, a ja właśnie stałem się jej **Kajem**... Kolejnym elementem lodowej układanki, który musi pasować do jej świata. Różnica polega na tym, że w baśni to odlamek lustra zatruł serce chłopaka, czyniąc go *zimmym*. Tutaj żadnych czarów nie potrzebowała. Alison nie musi wbijać mi szkła w oko, wystarczy jej obecność, bym poczuł, jak krew w moich żyłach zamienia się w lód.

– Hmm. – To jedyna reakcja, jaką dostaję.

Choć wiem, że dla niej to tylko roślina, mam wrażenie, że dałem coś całkowicie nie na miejscu. Czuję się jak żebrak, który przyniósł na ołtarz coś, co budzi jedynie politowanie. Moje przeprosiny? Równie bezsensowne, jak ta cała chora sytuacja. Zamykam oczy na moment, bo cała ta scena zaczyna być niedorzeczna.

– Proszę usiąść – Alison powtarza, wskazując na wolne miejsce.

To nie jest zaproszenie. To polecenie.

Wchodzę w głąb pokoju, lustrując wnętrze. To wymarła przestrzeń, która nigdy nie miała służyć człowiekowi. Jest obca, pozbawiona życia. Na środku stoi tylko biurko, jeden fotel i komputer. Brak szafek, regałów. Wszystko zaprojektowano na chłodno. Bezbłędny minimalizm, który wyklucza pomyłkę.

Całe pomieszczenie tonie w ciemności, ale światło księżycy wpadające przez okno sprawia, że wszystko jest widoczne, nic nie umyka temu subtelnemu, naturalnemu blaskowi. Mimo że pokój jest niemal pusty, ma swoją własną atmosferę. Niczego tu nie brakuje.

Dziwne. Nie wyczuwam żadnych zapachów, nawet śladu perfum. Cała przestrzeń wydaje się pozbawiona jakiegokolwiek woni. Nie ma tu ciepła ani ludzkiej obecności. Kaktus tylko potęguje to uczucie pustki, jakby był pomyłką, czymś, co miało ożywić atmosferę, a jeszcze bardziej ją pogłębia. To miejsce przypomina obraz wyjęty z mrocznego katalogu mebli dla umarłych.

– Proszę usiąść – powtarza po raz trzeci...

Chcę odmówić, wyjść stąd bez słowa i po prostu zniknąć. Coś jednak trzyma mnie w miejscu. Siła, której nie rozumiem. Nie fizyczna, lecz przypominająca obecność wypełniającą całe to miejsce. Moje ciało wbrew woli siada na krześle. Jak pacynka.

Jak ja tu w ogóle trafiłem? To samo *nieswoje* uczucie towarzyszyło mi w poniedziałek, gdy przyszła na komisariat. To nie była normalna rozmowa, to nie była zwykła interakcja. Coś w tym wszystkim od początku jest nie tak, a w tym pokoju to wrażenie tylko narasta.

Alison nachyla się do komputera. Jej palce sprawnie chwytają myszkę. Widzę jej twarz z bliska, z profilu. Jest nieruchoma, wyrzeźbiona z grafitu. Skóra ma nienaturalnie gładki, niepokojący odcień szarości. Żadnych zmarszczek, żadnych śladów upływu czasu. Wargi,

ledwie widoczne i mocno zaciśnięte, wydają się stworzone tylko do tłumienia emocji.

Komputer reaguje błyskawicznie. Okna otwierają się natychmiast, bez śladu opóźnienia. To coś więcej niż zwykły sprzęt. To system idealny, maszyna nieznająca błędu. Patrząc na ten proces z dziwną zazdrością, chłonąc każdy szczegół. To narzędzie jest pewnie cenniejsze niż całe moje przeklęte życie.

Coś we mnie zaczyna się burzyć. Czuję nagłą potrzebę, by wyrwać jakąś prawdę z tej statycznej ciszy. Nie wytrzymuję. Wyrzucam z siebie pytanie, które nie powinno paść:

– Skoro ma pani taki sprzęt, czemu nie można było po prostu nagrać tego na płytę? – Wiem, że jestem zbyt bezpośredni, ale to miejsce mnie przytłacza. Muszę przebić ten pancierz.

Ona nie podnosi wzroku. Wciąż patrzy w ekran, ignorując moje słowa, jakby nie miały żadnego sensu w świecie, gdzie wszystko podlega jej algorytmom.

– Musiałem przyjechać osobiście... – dodaje.

Wpatruję się w nią, czekając na jakikolwiek znak. Ona albo mnie nie słyszy, albo całkowicie wymazała moją obecność.

– Poza tym... – rzucam desperacko – odpuśćmy tę szopkę. Mam na imię Howard.

W końcu bez wyrazu kiwa głową, wciąż patrząc na ekran. Moje słowa uderzają w nią i natychmiast zamarzają w locie. Propozycja przejścia na ty w tym biurze brzmi jak bluźnierstwo, na które ona pozwala tylko dlatego, że jest jej ono całkowicie obojętne. To tak, jakbym próbował zaprosić posąg do tańca.

Alison nie mruga, nie skraca kontaktu. Jej milczenie i brak spojrzenia budują między nami mur z przezroczystego szkła, przez który widzę ją doskonale, ale nie mam najmniejszych szans, by jej dotknąć.

– Plik jest dość niestabilny. – Jej głos staje się jeszcze chłodniejszy

niż wcześniej – Dane źródłowe czasem nie przechodzą przez standardowe systemy. To nie kwestia sprzętu, a jakości danych źródłowych. Teraz wiesz, dlaczego musiałeś przyjechać osobiście. Wiesz, jak bywa z takimi nagraniami.

Nie wiem... gówno się na tym znam. To, co mówi, ma w sobie tę bierną prawdę, która nie zostawia miejsca na wątpliwości.

Jej palce zaczynają uderzać w klawiaturę, rozpraszając marazm. Każde uderzenie w klawisz jest niczym ale w tej przestrzeni przypomina wystrzał z pistoletu.

– I oto nagranie.

Klik.

Przez chwilę coś trzeszczy tak jak wczoraj, ale w końcu stabilizuje się i slychać głos:

– Służby ratunkowe, Los Angeles, jaki jest rodzaj zgłoszenia?

– Zostawiłem ciało. Resztą się zajmijcie sami.

Słucham.

Krew pulsuje mi w uszach, a czas staje się nieważny.

To jest, to nagranie.

Na początku nie wiem. Jest zniekształcone, rozmyte?

Chwilę potem jestem pewien, że to moje słowa.

To ja.

To mój przeklęty głos.

– Gdzie się pan znajduje?

– Hotel **Crumenatic Rebus**. Szklarnia na dachu.

Znowu słyszę jego głos. Wręcz odczuwam jego obecność w tym pustym pokoju. Teraz już nie mam wątpliwości, że to nie sen.

– Rozumiem... wysyłam patrol do hotelu. Jak się pan nazywa?

– Nazywam się **Wandothh**.

Koniec nagrania.

Kurwa. To nie ja dzwoniłem.

Jednak słyszę mój głos. I nic z tego nie pamiętam?

Co tu się, do cholery, dzieje?!

– Co to ma być? – syczę przez zęby. Słowa wydają się obce, odbijają się od ścian mojej głowy, nie mogą znaleźć ujścia.

– Oryginał. I twój głos.

Brak emocji. To jak rozmowa z martwą słuchawką.

– Ale to nie ja dzwoniłem!

– Dobrze. Rozumiem.

– Nic nie rozumiesz! Ktoś mnie wrabia.

– Skoro tak mówisz.

Co z nią jest nie tak? Te słowa spływają po niej jak deszcz po tym przeklętym szkłe, które nas odgradza, nie zostawiają nic, a wszystko, co mówi, brzmi jak bezduszny komunikat systemowy.

– Ty mi w ogóle wierzysz? – pytam. Patrę jej prosto w oczy. Pustka. Chciałbym znaleźć tam choćby cień wątpliwości... nie ma w nich nic. Tylko lód.

– Tak. Ktoś cię wrabia.

Cisza.

Przez chwilę mam wrażenie, że wcale nie usłyszałem jej słów, a jedynie powtarzający się, natrętny dźwięk we własnej głowie.

– To zostaje między nami? Mogę ci zaufać? – Wstrzymuję oddech, czekając, aż wydusi z siebie coś więcej.

– Tak. Możesz – rzuca. Jej głos to zaprogramowana odpowiedź, całkowicie wyprana z przekonania. Alison działa jak robot. Reaguje tylko wtedy, gdy naciśniesz odpowiedni przycisk. Inaczej milczy.

– To nie ma sensu – syczę i zaciskam dłoń na krawędzi biurka tak mocno, że palce niemal wrzynają się w blat. – Ktoś tym manipuluje.

To nie może być przypadek. Za dużo tego w moim życiu.

– Nie mogę ci pomóc, Howard. To nie moja sprawa.

– Nie musisz włączyć w to bagno razem ze mną! Tylko pomóż mi

zrozumieć, co tu się dzieje.

Patrzy na mnie zbyt spokojnie. Ani drgnie. Zanim zdążę wykrztusić choć słowo, dodaje:

– Nagranie jest technicznie oryginalne, nie nosi śladów montażu. Ten, kto dzwonił, mógł po prostu użyć algorytmu do klonowania głosu. Są do tego narzędzia.

– Klonowanie głosu? – powtarzam powoli, czując narastający chłód. – Czy takie rzeczy są w ogóle możliwe w czasie rzeczywistym?

– Oczywiście. Już od dawna. Syntezatory neuronowe, modulatory mowy... Wystarczy odpowiedni filtr i próbka twojego głosu, by zabrzmieć jak ty.

Moje myśli rozbiegają się niczym ptaki wypłoszone strzałem.

– Co jeszcze potrafi ta technologia?

– W odpowiednich rękach? – Wzrusza ramionami. – Możesz na przykład wygenerować nagranie od zera i sprawić, by wyglądało jak surowy materiał. Kilka cyfrowych artefaktów, trochę celowego szumu i przysięgniesz, że słyszysz prawdę. Dzisiaj nie odróżnisz już fikcji od tego co prawdziwe.

Zamykam oczy. Próbuje to jakoś poukladać, ale to jak próba zszycia dymu gołymi rękami.

– Jak mam udowodnić, że to nie ja?

– Głęboka analiza widmowa może coś ujawnić – mówi beznamiętnie. – Mikrosekundy nienaturalnych przejść, błędy w renderowaniu fali dźwiękowej. Jeśli ktoś naprawdę się postarał i użył sprzętu najwyższej klasy, trudno będzie to wykazać.

Analizą widmowa? Renderowanie fali? Kurwa... Ona pieprzy do mnie w jakimś obcym języku z przyszłości, podczas gdy ja noszę w kieszeni długopis, papierowy notes i pistolet, który ma więcej lat niż ona... Opowiada mi o mikrosekundach, jakby to były sekundy na ringu, a ja wiem jedno: *ktos właśnie ukradł mi głos, włożył go w parszywe usta mordercy,*

a ta kobieta próbuje mi wytłumaczyć techniczne parametry mojego upadku. W jej świecie to tylko błąd w renderowaniu, w moim to wyrok wydany przez ducha, który brzmi dokładnie tak, jak ja.

– Znasz kogoś, kto potrafiłby to rozebrać na części? Kogoś, kto naprawdę się na tym zna?

– Tak. Znam. To ja.

Ależ niespodzianka...

– Pomożesz mi to sprawdzić?

Alison wpatruje się we mnie przez długą chwilę, a ja czuję na sobie ciężar jej milczenia.

– Tak, Howard, pomogę ci, ale to potrwa. Nie da się przeanalizować takiego nagrania w kilka minut.

Jej głos brzmi jak melodia **flecisty z Hameln**. Obiecuje mi ratunek, obiecuje, że wyprowadzi szczury z mojej głowy, ale podskórnie czuję, że za tą muzyką kryje się przepaść. Ona nie pomaga mi z dobroci serca. Zaprasza mnie głębiej do swojego cyfrowego lasu, z którego być może nigdy już nie wrócę. Idę za jej głosem, bo nie mam innego wyjścia, choć wiem, że ta usługa nie jest darmowa. Czego zażąda, gdy przyjdzie czas zapłaty? W Hameln to dzieci zapłaciły za cudzą umowę.

– Przepraszam, że cię w to mieszam. I... dzięki.

– Dobrze, ale bądź cierpliwy. Muszę rozbić to pasmo dźwięku na części. To nie będzie proste.

Wstaję powoli. Każda część ciała wydaje się o tonę cięższą. Mięśnie wiedzą, że to tylko kolejny dzień pełen kłamstw. Patrzę na nią ostatni raz, próbując wyczytać cokolwiek z jej obojętnego spojrzenia. Nie znajduję nic. Tylko pustkę nowoczesnego biura.

– Dzięki, Alison.

– Dobrze, Howard. Uważaj na siebie – jej głos brzmi, jakby wygenerował ją ten jej komputer zamiast niej. Ta obojętność wybrzmiewa

w każdym dźwięku.

Zerkam na kaktusa. Przez ułamek sekundy widzę, jak absurdalnym pomysłem był ten zakup. Na początku wydawał się kawałkiem natury rzuconym między dokumenty i kable. Teraz wygląda tu nienaturalnie, ale ta roślina jest jednak w tej chwili najmniejszym z moich problemów.

Idę w stronę windy. Ochroniarz wciąż stoi na swoim miejscu, nieruchomy jak posąg. Wchodzę do kabiny, on wsuwa się za mną. Nic nie mówi. W tle słychać tylko szum wentylacji i wibracje stalowych lin. Sekundy rozciągają się, nabierając ciężaru. Winda zatrzymuje się na parterze. Wychodzę, czując jego wzrok na plecach. Jest za mną niczym cień. Przekraczam próg budynku, a chłodne powietrze nocy natychmiast wślizguje się pod płaszcz. Ochroniarz wciąż jest tuż za mną, krok za krokiem. Jego obecność nie zostawia mi ani milimetra przestrzeni na oddech.

Stoję przy samochodzie. Dopiero tutaj, na zewnątrz, udaje mi się swobodniej oddychać. Chłodne powietrze powoli zdejmuje ciężar, który wbil mi się w klatkę piersiową, ale nie otrzeźwia. Raczej przytępia zmysły. Wycisza hałas w głowie i sprawia, że ostre krawędzie moich myśli stają się zamazane, nieostre.

Unoszę wzrok. Niebo nade mną jest martwe, stłumione przez żółty blask sodowych latarni. Mam wrażenie, że to jest tylko błady odbłask nad miastem, które nigdy nie zasypia. Gdzieś z oddali, jakby zza horyzontu, dobiega dźwięk syreny, tak bliski, a zarazem nierealnie daleki. Los Angeles dyszy, ale w tej godzinie to nie jest oddech.

Myślę o nagraniu. O tym, co powiem Deanowi, gdy zapyta o nie jutro rano. Nie mam jeszcze odpowiedzi. Może w *światle dnia* wszystko zacznie układać się w sensowną całość, ale sam w to nie wierzę. Jutro będę się martwił, ale nie dzisiaj. Dzisiaj już nie mogę.

Chłód metalowej klamki Forda wchodzi mi pod skórę. Przez krótki moment zastanawiam się, czy w ogóle wracam do mieszkania. Czy to jeszcze dom? Wsiadam, przekręcam kluczyk w stacyjce. Silnik budzi się do życia, a jego drżenie przenosi się na moje dłonie.

Miasto przesuwa się za szybą w sennym tempie. Ulice są niemal puste, latarnie tworzą rozmyte plamy w wilgotnym powietrzu, tak samo niejasne, jak moje myśli. Za późno na korki, za wcześnie na poranny szczyt. Mijam samotny samochód, którego kierowca wpatruje się w drogę z nienawiścią, i przechodnia, który wygląda jak zagubiony cień. Tylko jazda. To mnie uspokaja.

Ciało jest w ruchu, ale myśli stoją w miejscu. Parkuję pod kamienicą. Zamykam ciężkie drzwi samochodu, odczuwając ich opór w każdym mięśniu.

Wchodzę do budynku. Drzwi wejściowe skrzypią, odcinając mnie od świata zewnętrznego. Klatka schodowa tonie w brejowatym półmroku. Staję u podnóża schodów i spoglądam w górę. Piętra wznoszą się nade mną niczym nieosiągalne wyzwanie, którego nie mam siły podjąć. Pół roku temu zarządca obiecywał, że naprawią windę *w przyszłym tygodniu*. Ten tydzień najwyraźniej nigdy nie nadejdzie.

Zaczynam wspinaczkę. Buty stukają o betonowe stopnie, a dźwięk niesie się echem po klatce schodowej. Te schody to moja prywatna wieża **Babel**, która zamiast do nieba, prowadzi donikąd. Kroki nie kończą się triumfem, a jedynie kolejnym piętrem pełnym obdrapanych ścian. Odliczam je do mieszkania, to wszystko, co mogę teraz zrobić. Mijam ślady codziennego upadku: odpryskujące tynki, plamy wilgoci na suficie czy plastikowy kubek wciśnięty w kąt, który leży tu od tygodni, zapomniany przez wszystkich. Tak jak ten budynek.

Docieram na swoje piętro. Zatrzymuję się i opieram dłoń o zimną, szorstką ścianę. Czuję pod palcami każdą jej chropowatość. Jeszcze kilka kroków. Potem może odpocznę, ale nie teraz.

Klucz w mojej dłoni wydaje się lżejszy niż myśli, ale obraz ciąży mi coraz bardziej. Mogłem go zostawić w Fordzie, a jednak z jakiegoś powodu wciąż go trzymam.

Ciche *klik* zamka. Otwieram drzwi. Zimno uderza mnie od progu, wypełniając każdą szczelinę mieszkania. Wewnątrz dusi się smród: stare papierosy, pot, może resztki alkoholu i coś jeszcze, czego nie potrafię nazwać. Powietrze jest zepsute, nie pozwala odetchnąć pełną pierśią. To nie jest spokój. To uciszenie z zaciśniętymi zębami. Głowa pulsuje. **Wdech, wydech.** Muszę odciąć myśli, zanim całkowicie mnie zaduszą.

Zsuwam płaszcz niczym zużyty całun. Materiał nasiąkł wilgocią Los Angeles, zapachem cygara Phelptoona i chłodem biura Alison. To balast świata, który dźwigam każdego dnia, aż zaczyna parzyć skórę. Rzucam go na fotel i mam wrażenie, że zostawiam tam część siebie, tę brudną, zmęczoną i przesiąkniętą kłamstwem.

Sznurowadła wydają się odporne, nie chcą współpracować. Palce ślizgają się po zmechaconej tkaninie, a sekundy kapią jedna po drugiej jak brudna woda z kranu. Łąduję na kanapie. Obicie jest szorstkie, nieprzyjemnie zimne.

W dłoniach wciąż ściskam ten obraz. Rama jest lekka, wręcz krucha, a cała scena wygląda, jakby miała się zaraz rozpaść na moich oczach. Nie potrafię jej uchwycić w całości. Kolory zlewają się w jedną plamę, w której dudnią pytania bez odpowiedzi. Przymykam oczy, opierając głowę o oparcie.

Zanim odłożę płótno, przyglądam mu się ostatni raz. Krawędzie są nierówne, a farba kładziona w pośpiechu albo z celową furią. Kolory klóca się ze sobą z premedytacją. Czy Sinéad próbowała tu coś ukryć? Postać na obrazie jest rozmyta, celowo nieokreślona, jakby nie chciała należeć do tego miejsca. Tło to bezkształtna plama, która wywołuje we mnie dreszcz niepokoju. Jeden cień jest zbyt wyraźny, zbyt celowy.

Trzymam ten obraz, choć wszystko we mnie krzyczy, że to nie moje brzemię. Wyczuwam w nim coś, co zgrzyta pod skórą.

Plótno jest lustrem, w którym zamiast twarzy malarki widzę własne lęki. Wsysa brud tego pokoju, wciąga moje myśli i powoli zaczyna wciągać mnie samego, aż staję się częścią jego mrocznego wnętrza.

Zamykam oczy. Wciągam powietrze, starając się wchłonąć resztki normalności.

Muszę zebrać myśli.

Muszę zdusić ten bałagan.

Tylko na chwilę.

Chwileczkę...

ŚRODA



Pod cienką warstwą

Budzi mnie cisza. Nie ta zwykła, do której przywykłem: szum samochodów za oknem, przeciągi w starych framugach czy kroki sąsiadów za ścianą. Tamte dźwięki zwykle mnie osadzają w rzeczywistości, nadają przestrzeni kontekst. Teraz ich nie ma. Została tylko głucha, lepka pustka. Spokój tak totalny, że aż nienaturalny. Przypomina komorę bezechową, wbija się w uszy jak zatyczka. Dźwięk zostaje zdławiony w samym zarodku, tuż przed narodzinami świata, który jeszcze nie oddycha.

Otwieram oczy.

Sufit jest znajomy, a pęknięcia na tynku to moja mapa losu, której linie z każdym dniem stają się coraz bardziej poplątane. Kiedyś wierzyłem, że odnajdę w nich logikę, teraz widzę tylko labirynt bez wyjścia. Pajęczyna w rogu to znak **Arachne**... przypomnienie o pułapce, którą system utkał wokół mnie tak misternie, że stała się niemal niewidoczna. Wiem, że coś się rozjeżdża, że nitki mojej podświadomości zaczynają puszczać.

Chcę dalej spać, ciało wciąż ciągnie mnie w głąb materaca. Wzdycham, choć powietrze w pokoju wydaje się zbyt ziarniste. Przeciagam się ostrożnie. Kości trzaskają, jakby coś chciało wydostać się spod skóry. W karku coś przeskakuje z ostrym *kliknięciem*. Znajome, nieprzyjemne uczucie. Czuję się jak golem ulepiony z brudnej, mokrej gazety zamiast gliny.

Zrzucam nogi z łóżka. Deski błyskawicznie wysysają ciepło ze stóp. Zimno rozlewa się po ciele... to uczucie jest realne, nie należy do żadnego snu.

Wstaje.

Jeden krok.

Drugi.

Trzeci nie dochodzi do skutku.

– Kurwa!

Mały palec trafia w kant łóżka. Twarde drewno, niezaokrąglone, bez cienia litości. Tłusty ból rozlewa się błyskawicznie od stopy po udo. Jak alarm. Jak rozbłysk czerwonego koguta pod skórą. Ciało obraca się samo, kolano ucieka w bok; ledwo łapię równowagę. Ręce chwytają powietrze, próbują je złapać, zanim rozsypię się na części. Przez kilka sekund po prostu stoję, lekko się kołysząc.

Ból pulsuje w stopie, odlicza czas. W myślach rzucam przekleństwa na wszystko: *na łóżko, podłogę, własne rozkojarzenie i na noc, która zamiast odpoczynku przyniosła tylko więcej pytań*. Serce bije za szybko. Stara się wyprzedzić ból, odsunąć go, bylebym nie musiał czuć tej ostrej, palącej obecności.

Wypuszczam powoli powietrze przez nos.

Otwieram oczy. Ciemność wciąż przykleja się do powiek, a ja nie mam siły jej odepchnąć. Kuleję do kuchni, każdy krok kosztuje więcej, niż chciałbym przyznać. W tym martwym punkcie słyhać tylko zdławione, brzęczące buczenie starej lodówki. Ręka wędruje w stronę kubka. Zatrzymuję się, gdy palce napotykalają chłodną powierzchnię ceramiki. Gwałtownie zabieram rękę.

To nie jest *mój kubek*. Mój zawsze był biały, matowy, z ledwo widoczną rysą na uchu. Ten, który ogrzewał dłonie w te poranki, kiedy nie mogłem się dobudzić.

Ten tutaj jest czerwony. Zbyt czysty. Zbyt nowy. Nie widziałem go nigdy wcześniej.

Biorę go do ręki. Faktura jest chropowata, nieprzyjemna. Ceramika udaje coś znajomego, ale nie przyjmuje ciepła moich dłoni. Trzymam go i mam wrażenie, że jest pusty nie tylko w środku. Nie pamiętam, bym go kupował. Nie mam pojęcia, skąd się tu wziął. Patrząc na niego za długo o wiele za długo jak na zwykły kubek. To fałszywy ślad podrzucony do mojej codzienności, by sprawdzić, czy jeszcze potrafię odróżnić własne życie od cudzej inscenizacji. To już nie jest naczynie. To

zgrzyt, który zniekształca mój świat.

Każda sekunda dłuży się w nieznośnym oczekiwaniu na coś, co może się wydarzyć... a może już się wydarzyło, tylko ja jeszcze tego nie widzę. Odkładam ten kubek na miejsce. Sięgam po kolejny, byle nie patrzeć na tamtą czerwień.

Zalewam go gorącą wodą. Kawa wypełnia naczynie, a z powierzchni wydobywa się znajomy, ostry zapach, który powoli zaczyna wypełniać kuchnię. Słodko-gorzka obietnica przytomności.

Czekam w milczeniu, stojąc nieruchomo, czując, jak pulsujący ból w małym palcu przypomina mi o sobie z każdą chwilą, którą spędzam w tym zawieszeniu. Stoję na jednej nodze, licząc na to, że to jakoś zmieni moją sytuację, chociaż wiem, że to nierealne.

Pierwszy łyk... Krztuszę się. Odruchowo wypluwam wszystko na podłogę. Ciemna plama rozlewa się po kafelkach, pełnie w stronę mojej bosej stopy jak coś żywego.

Smak jest makabryczny. To nie gorycz palonych ziaren, to czysty, zimny metal. Jakbym ssal starą monetę albo oblizywał stalowe ostrze. Przesuwam językiem po podniebieniu, chcąc się tego pozbyć, ale ten posmak zostaje. Jest tam jak cień, którego nie da się zmyć.

Patrzę na czajnik. Jego lśniąca powierzchnia odbija nie tylko moje zmęczone oblicze, ale też lekko zniekształcony obraz całej kuchni, niczym stary telewizor, który nie może wyświetlić obrazu w pełni, więc tworzy własną zdeformowaną wersję świata. Woda w czajniku wyglądała normalnie. Może to kubek był brudny? A może po prostu w takie dni jak ten, świat przestaje działać tak, jak powinien. Odstawiam naczynie, ale ten metaliczny zapach wciąż wisi w powietrzu, drażniąc nozdrza i budząc narastający niepokój.

Nagle nachodzi mnie myśl: *jak znalazłem się w łóżku? Jeszcze przed chwilą siedziałem na fotelu... trzymałem obraz, a potem nic.*

Obraz. Przecież muszę go oddać.

Muszę.

Zrywam się gwałtownie, wciąż czując ten fantomowy ciężar ramy w spoconych dłoniach. Rozglądam się po pokoju.

Pościel jest poskręcana jak liny. Poduszka zgnieciona, mokra od potu. Zasłony drżą, choć okno jest zamknięte. Wyglądają, jakby ktoś przed momentem się za nimi schował. Olać to.

Na stoliku pusta szklanka i popielniczka pełna niedopalków, ślady czyjejs obecności, niekoniecznie mojej. Podchodzę do biurka, gorączkowo przeszukuję papiery, otwieram szuflady. Bez sensu, przecież tam się nie zmieści. Zaglądam pod krzesło. Nic. Szukam wszędzie, wypycham ręce w najciemniejsze zakamarki. Za kaloryferem, pod łóżkiem, w szafie, między cuchnącymi ubraniami. Obrazu nie ma. Wyparował. Przedmiot, który przed chwilą palił mnie swoją chorą obecnością, teraz zostawił mnie z pustymi, drżącymi rękami. To nie był sen. To się działo naprawdę. Walić to. Znajdę go później.

Idę do łazienki, do mojej krainy **lotosu**, tam chcę odsunąć od siebie to uczucie, które ciąży na mnie od samego rana. Ciepła woda oraz mleczna para sprawiają, że zapominam o wszystkim: *o obrazie, o trupie na dachu, o tym, kim jestem*. Zjadam ten spokój kęs po kęsie. Każda minuta spływa po mnie jak słodka, paraliżująca trucizna.

Sięgam po ręcznik. Jest chłodny, wilgotny i lepki. Uderza mnie ostry zapach stęchlizny, która zdradza, że nie wysechł po poprzednim użyciu. Mimo to przesuwam go po twarzy, karku, ramionach, zostawiając za sobą ślady wilgoci i uczucie, że ten dzień jest anemiczny, że jeszcze nie zdecydował, w którą stronę ma mnie pociągnąć. Lustro jest zamglone, zamurowane mleczną taflą. Kształt za nim jest nieczytelny, rozmyty, jak niedokończony portret kogoś, kogo nie znam. Przeciągam dłonią po szkle. Zostaje wilgotny ślad, cienka szpara przejrzystości. Jak dziurka od klucza. Moje odbicie wciąż jest nieostre, obojętne. Mrużę oczy. Twarz jest zmęczona, nieruchoma. Cienie pod

oczami głębsze niż wczoraj jak świeżo wykopane groby.

Oddycham wolno. W odbiciu, przez ułamek sekundy, coś się porusza. Zbyt szybko. Może to tylko gra światła, a może czyjaś linia ramion? Ustawienie głowy? Jakby ktoś próbował mnie naszkicować ze swojej pamięci, ale się pomylił...

Serce przyspiesza, zaczyna walić o żebra. Nagle jestem zbyt wyraźnie obecny w tej chwili. Zbyt nagi. A może to nie ja jestem w odbiciu?

Przesuwam dłoń po lustrze jeszcze raz, mocniej, paznokciem, aż szkło jęczy, ale nie daje odpowiedzi. Wszystko wygląda *normalnie*.

Jednak dlaczego mam wrażenie, że moja własna twarz jest tylko maską, która zaraz się rozpadnie? Spoglądam na zegarek. **6:50**.

Za późno na spokojny poranek.

Za późno, żeby wciąż się wahać.

Wciągam koszulę, mając wyrzuty sumienia. Materiał jest zimny, niemal szorstki. Powinienem być wstać wcześniej. Miałem się nie spieszyć. Może nawet zjeść coś więcej niż tylko kawę. Dziś nawet kawa okazała się trucizną. Najwyraźniej ten dzień miał swoje własne, pokręcone plany.

Sięgam po telefon. Palec ledwie dotyka ekranu, gdy urządzenie nagle wibruje. Jedno krótkie drżenie. Potem dźwięk, który nie zakłóca ciszy; on ją pogłębia. Jak szept do ucha, który był tam przez cały czas, tylko ja go ignorowałem.

Odbieram.

– Gdzie ty, kurwa, jesteś?! – głos Deana uderza jak klaps w twarz, wyrrywając mnie z otępienia.

– Czego się drzesz? O co chodzi? – mruczę, a mój głos brzmi inaczej, obco, jakby należał do kogoś zza ściany.

– Howard, jest po jedenastej!

Czuję drapanie wewnątrz czaszki.

Coś małego i ostrego próbuje się z niej wydostać.

Mrugam. Raz. Drugi.

Sprawdzam godzinę. **11:13**. To niemożliwe.

Czuję się jak **Alicja**, która właśnie wpadła do nory, gdzie czas zwija się w ciasną pętlę i kpi z każdego uderzenia mojego serca. **Biały Królik** ukradł mi cztery godziny życia i uciekł z nimi w głąb tego labiryntu, zostawiając mnie w ciemności. Tylko że ten królik nie ma miękkiego futra. Jest wyliniąły, chory i właśnie zatrzasnął za mną jedyne wyjście, jakie miałem...

Jeszcze przed chwilą trzymałem kubek z parującą kawą. Patrę na blat. Naczynie wciąż tam stoi, nieruchome, z cienką, bladą wstążką pary, która wije się nad czarną powierzchnią jak pasożyt. Zapinałem guziki koszuli. Patrę na swoje dłonie. Jedna wciąż kurczowo zaciska się na telefonie; kłykcie są białe. Druga drży w sposób, którego nie potrafię opanować. Są moje, rozpoznaję blizny i linie papilarne, ale czuję je tak, jakbym założył cudze, zbyt ciasne rękawiczki.

Z telefonu dobiega głębokie westchnienie. W tle coś upada z metalicznym stukotem. Długopis? Klucze? Może resztki jego cierpliwości.

– No błagam cię. Masz się tu zjawić w trybie natychmiastowym.

Stoję w miejscu, wmurowany w podłogę. W głowie mam tylko martwą pustkę, mimo to ciało zaczyna się ruszać, ciężko, rytmicznie, jak źle naoliwiony automat.

– Dobra, zaraz będę – mówię, ale dźwięk mojego głosu jest płaski, wyprany z emocji, jak nagranie puszczane z zepsutego, taśmowego dyktafonu.

Wybiegam z mieszkania. Schody, dwa stopnie naraz. Potykam się, niemal lecę na twarz, ale odzyskuję równowagę. Przez ułamek sekundy mam wrażenie, że klatka schodowa się skurczyła, że ściany są nieco bliżej, niż powinny. Na zewnątrz powietrze jest ospale i mokre po

deszczu, który pachnie kurzem i betonem.

Nieprzyjemne zimno wgrza się w dłonie, które zapomniałem schować do kieszeni.

Otwieram drzwi samochodu. Wsiadam, wbijając się w fotel, zbyt blisko kierownicy. Kluczyk, zapłon. Silnik odpala, ale wibracje auta są obce, niepokojące, nie pokrywają się z moim oddechem, tworząc nienaturalny dysonans. Ford drży. Albo to ja się rozpadam. Wrzucam bieg. Ruszam. Ruch na ulicy ciągnie się jak w zwolnionym filmie. Samochody prześlizgują się po asfalcie z patologicznym opóźnieniem. Przechodnie przesuwają się za szybą niczym wyblakłe cienie na starej, zniszczonej taśmie. Ich twarze to tylko plamy. Nie ma to znaczenia. Wykonuję wszystko mechanicznie. *Pstryk*. Papieros żarzy się leniwie, sypiąc popiołem na moje spodnie. Pierwszy wdech wypełnia płuca ciepłem, zostawia znajomy, cierpki, dławiący ślad. Paradoks: *z całego mojego życia to właśnie ten toksyczny dym wydaje się teraz najbardziej realny*.

Droga na komisariat jest krótka, ale cholernie monotonna aż do bólu. Te same zakręty, te same światła, witryny sklepów z nieruchomymi manekinami o pustych, szklanych oczach. Mam wrażenie, że one odprowadzają mnie wzrokiem. Samochód prowadzi się sam. Moja świadomość dryfuje gdzieś obok, porzucona w rowie, a ciało jedzie dalej, gnane instynktem, którego nie rozumiem.

Parkuję pod budynkiem, ale coś jest nie tak. Powietrze wokół mojego samochodu zdaje się gęstnieć, drgać w nienaturalny sposób. To drobiazg. Może nawet nieistotny, a jednak sprawia, że żołądek mi się zaciska. Wysiadam. Rysa. Niby nic, a jednak uderza mnie jak chłodny powiew z kostnicy. Zawsze przesuwam dłonią po boku auta, to odruch, który powtarzam od miesięcy, ale ona... powinna być przy drzwiach. Cienka, długa, blizna po nocy pod barem, po tej cholernej próbie parkowania po kilku drinkach, ale jej tam nie ma. Lakier jest

gładki, martwy. Obchodzę samochód z narastającym tętnem. Znajduję ją po drugiej stronie. Tam, gdzie fizycznie nie ma prawa być.

Patrzę na nią, czując, jak świat wokół mnie trzeszczy na szwach.

Dotykam jej opuszkami palców. Jest ostra, nienaturalnie głęboka. Pod skórą zaczyna mi pulsować dziwne, suche mrowienie, jakby metal próbował mnie zainfekować. Lakier jest rozdarty, krawędzie poszarpane i surowe, jakby nie zrobił tego inny samochód, ale czyjs pazur. Podświadomość wyje, że rzeczy przesunęły się o milimetr w stronę szaleństwa. Ta myśl wbija się pod czaszkę jak zardzewiała drzazga.

Wchodzę do komisariatu. Powietrze wewnątrz jest duszne od fetoru starej kawy, wilgotnych płaszczy i wyziewów ludzi, którzy dawno stracili nadzieję. Czuję na sobie spojrzenie.

Dean patrzy na mnie zza biurka z uśmiechem **Kota z Cheshire**, ale to nie jest bajkowy uśmiech... jest złośliwy, niemal nieludzki. On wie więcej. Jego wiedza jest jak nowotwór, który karmi się moją dezorientacją. Dean nie jest przyjacielem. To kpiarz, drapieżnik, który widzi we mnie ofiarę i czerpie z tego perwersyjną, niemal erotyczną przyjemność. Ten wykrzywiony grymas to znak, że wpadłem w pułapkę, a on tylko czeka, aż sznur zaciśnie mi się na gardle.

– No proszę, pan detektyw postanowił nas zaszczyścić swoją obecnością. – Rzuca okiem na zegarek, jakby odliczał czas do mojej egzekucji. – Może powinienem zawołać kronikarza, żeby zapisał ten upadek w historii?

Rzucam telefon na biurko. Plastik uderza o blat z głuchym trzaskiem. Przeciągam się, czując, jak kęgi strzelają mi w karku, a ziewnięcie wyrywa się z gardła jak skowyt.

– Od rana taki dowcipny, co?

– Spóźnienie, podkrążone oczy... – Jego uśmiech staje się jeszcze bardziej drapieżny. – Coś mi mówi, że wczorajszy wieczór był... wyjątkowo... absorbujący.

Wzdycham, zdejmując płaszcz. Jest niezwykle ciężki, jakby nasiąkł czymś więcej niż tylko wilgocią. Nie mam siły na jego gierki.

– Odpoczywałem... na swój sposób – odpowiadam, rzucając mu spojrzenie, które powinno go uciszyć, ale w tym świetle wydaje się tylko puste i bezsilne.

– Odpoczywałeś... z panią Alison?

Zastyga mi dłoń na oparciu krzesła. Zastanawiam się, czy warto go uderzyć, czy po prostu zignorować, ale wybieram ucieczkę w codzienność, która i tak wycieka mi przez palce.

– Otworzysz okno? Duszno tu.

Dean wybucha cichym śmiechem, który bardziej przypomina grzechotkę jadowitego węża na pustyni.

– Nie musisz się tłumaczyć, Howard. To był tylko niewinny wieczór pełen rozmów... prawda?

– Prawda... – odparowuję, czując, jak warga drga mi w nienaturalnym grymasie.

– Tak, tak, jasne. A ja co wieczór prowadzę dysputy z moim kotem na temat sensu życia. Rewelacyjne towarzystwo, choć rzadko przyznaje mi rację.

Przewracam oczami, już zmęczony tym wszystkim.

– Dean, przecież ty nie masz kota.

Odwraca wzrok gwałtownie, jakby coś przeliczał w pustej przestrzeni przed sobą. Jego twarz na moment sztywnieje.

– Do cholery... z kim w takim razie rozmawiam co noc? – pyta szeptem, a w jego oczach błyska coś, co nie jest już żartem. To przez ułamek sekundy wygląda na szczery, pierwotny lęk.

– Może, zamiast insynuować, zajmiesz się robotą?

– Robotą? – Unosi brwi, a jego nienaganna maska kpiarza wraca na swoje miejsce. – Ależ przyjacielu, to jest moja praca. Zbieram dowody, analizuję fakty, wyciągam wnioski z twoich milczeń...

Opieram się na łokciach. Błat biurka jest lodowaty. Patrzę na niego, czując, jak w środku wszystko mi drętwieje.

– I do jakich wniosków doszedłeś?

Uśmiecha się szeroko. Zbyt szeroko. Mam wrażenie, że jego zęby są zbyt białe i jest ich za dużo.

– Po prostu nie chcesz o niej mówić.

Odwracam wzrok na mrok za oknem. Świat na zewnątrz jest inny. Czerń *dnia* wydaje się niemal oleista, jakby ktoś zamalował szybę smolą. Kątem oka widzę, jak Dean pochyla się nad biurkiem. Jego głos cichnie do poziomu konspiracyjnego szeptu, a ja zastanawiam się, czy to jeszcze ostrożność, czy już zaproszenie do wspólnego oblędu.

– Ale dobrze, nie będę cię męczył. Przynajmniej teraz, póki jeszcze masz siłę stać.

– Miła odmiana – rzucam w stronę szyby, w której widzę tylko własne, niewyraźne odbicie.

– Ale wieczorem wrócimy do tematu. – Dean przestaje się uśmiechać. Jego twarz staje się trupio biała w świetle jarzeniówek. – No dobra, a co było na nagraniu? – pyta nagle, bez żadnego ostrzeżenia.

Zwalniam na ułamek sekundy. Moje myśli potykają się o siebie. Zapomniałem o nagraniu. Zapomniałem o wszystkim, co nie jest tym drażniącym mrowieniem pod skórą. Sięgam po papierosa, czując, jak palce zaczynają drzeć w rytm pulsującej rysy na aucie. Potrzebuję kłamstwa. Potrzebuję go teraz, zanim Dean usłyszy trzaśnięcie mojego pękającego serca.

– Głos. A co niby innego? – rzucam w końcu. Mój ton jest martwy, wyprany z barwy, ale w tej próżni brzmi jak uderzenie o dno studni.

– Jaki głos? – Dean natychmiast wylapuje drobne drgnięcie powieki. Jest niczym wygłodniały ogar, który poczuł na wietrze kroplę krwi.

Pstryk. Zapalniczka pluje ciepłym ogniem. Przez chwilę wpatruję się w płomień, czując, jak żar drażni mi rogówki. Odkładam ją na

biurko. Metal wciąż jest gorący, zostawia na skórze piekący ślad, którego nie chcę zetrzeć.

– Zmieniony. Przepuszczony przez jakiś cudowny cyfrowy filtr, może syntezator. To ślepy trop – dodaję. Kłamstwo smakuje w ustach popiołem.

– Ciekawe – mruży Dean, napierając ciałem na biurko. Widzę, jak jego cień na ścianie nienaturalnie się wydłuża. – Bo wiesz, Howard... Skoro ktoś bawi się głosami, chce nas zamknąć w labiryncie. Chce, żebyśmy gonili echa, podczas gdy on stoi tuż za naszymi plecami.

– Możliwe – rzucam, wzruszając ramionami, choć czuję, jak zimny pot spływa mi po kręgosłupie.

– Możliwe – przytakuje, niemal szeptem. – Ale ty wydajesz się tym wszystkim dziwnie znudzony. Jakbyś już znalazł zakończenie tej historii, Howard. Albo jakbyś sam ją pisał.

Czuję, jak powietrze w pokoju staje się ciasne od jego podejrzeń. Muszę uciec z tego tematu, zanim zauważy, że przestaje oddychać.

– Tak, tak... – macham ręką. – W każdym razie, co z tą mazią na szybie? Zrobili już analizę, czy technicy znowu śpią nad próbkami?

Dean przygląda mi się jeszcze przez kilka sekund. Jego oczy są jak szklane kulki; puste i nieruchome. W końcu kiwa głową, a napięcie popuszcza z nieprzyjemnym trzaskiem.

– Tak. Przyszedł raport – odpowiada. Jego ton nagle staje się dziwnie urzędowy. – Może to cię wreszcie obudzi.

Spuszcza wzrok na papiery, po czym patrzy mi prosto w twarz.

– Próbką, którą pobraliśmy, to werniks – mówi z miną **Kolumba**, który myśli, że odkrył Amerykę.

O, świetnie. Werniks. Takie rozwiązanie na miarę sprawy stulecia.

– Co to jest? – pytam.

– Werniks to ochronny lakier, który nakłada się na obrazy. Takie coś, co zabezpiecza farbę. Tworzy cienką warstwę, trochę jak szkło

nad płótnem – wyjaśnia. – Problem w tym, że w jej pracowni nie było żadnego śladu werniksu. Zero.

– Może go zużyła?

– Technicy przeryli wszystko. Nic. Ani puszki, ani pędzla, ani nawet zapachu. Jakby ta substancja materializowała się tam tylko po to, żebyśmy mieli co zdrapywać z jej trupa.

– Czyli morderca przyniósł go ze sobą.

– Brawo! Howard w końcu wraca z dalekiej podróży.

– Dean. Na litość boską...

Wiem, że ta gra sprawia mu chorą satysfakcję, widzę, jak jego cholerna morda wykrzywia się w wysiłku, by nie parsknąć śmiechem wprost na moją dezorientację.

– Ale morderca miał. I dokładnie wiedział, co robi. To było celowe. Zaplanowane, od początku do końca.

Zapada odrętwienie, które nie jest tylko brakiem dźwięku. Jest gęste, lepkie, jakby ten cholerny werniks zaczął wypełniać pokój, zalewając mi płuca. Mam dziwne wrażenie, że każda sekunda rozciąga się w nieskończoność, tracąc swój pierwotny kształt.

Przekrzywia głowę i mówi dalej:

– To nie jest coś, czego używa się przypadkiem.

– Czyli zna się na obrazach. – Odchylam się na krześle, chcąc wyciągnąć z tego jakąś sensowną konkluzję. – Może maluje, może konserwuje. Może...

– Może był w jej pracowni – kończy za mnie.

– Phelpton kupował od niej obrazy – mówię w końcu, bo to jedyne nazwisko, które trzyma mnie jeszcze na powierzchni. – To jedyny trop, który nie jest echem.

Nagle coś mnie uderza.

Szklanka. Ta z jego domu.

Sięgam do kieszeni płaszcza. Lewa. Pusta. Prawa: *tylko pogniecione*

papierosy. Zaczyna mnie zalewać chłód. Zaglądam do wewnętrznej kieszeni, tej, gdzie trzymam rzeczy, których nie chcę zgubić. Nie ma jej. Miałem ją. W woreczku dowodowym. Owiąłem ją dokładnie, pamiętam, jak zasunąłem zamek strunowy. Jak niemal czułem przez folię ślad jego ust.

Stoję. Palce szukają oparcia w pustej kieszeni, chwytając powietrze.

Nie zgubiłbym jej. Nie ja.

Czyli albo ktoś mi ją wyjął, albo ja... nie, to przecież niemożliwe. Muszę znaleźć tę szklanę. Może zostawiłem ją w mieszkaniu, ale przecież obrazu też rano nie mogłem znaleźć.

Może ktoś...

Czuję się jak pieprzony **Pinokio** w teatrze obłąkanych marionetek. Każdy mój krok, każde drżenie dłoni wydaje się zaplanowane przez niewidzialnego lalkarza, który z obrzydliwą precyzją pociąga za moje ścięgna. Nitki śledztwa wrzynają mi się w nadgarstki, a każda próba buntu kończy się bolesnym szarpnięciem, które przypomina mi, gdzie jest moje miejsce. Nie jestem detektywem. Jestem tylko drewnianą figurką z wymalowanym grymasem odwagi, zmuszoną odgrywać swoją rolę, dopóki kurtyna nie spadnie i nie przykryje mojego upadku. Pytanie tylko, kto siedzi w mroku na widowni i czerpie swoją przyjemność z tego, że zaczynam wątpić.

– Howard, budzimy się! – Głos Deana tnie moją czaszkę jak piłą.

– Co? – Podnoszę wzrok. Jego twarz wydaje się teraz nienaturalnie błada, jakby też była zrobiona z drewna.

– Mówię, że krąg się zawęży. Robi się ciasno, Howard.

– Tylko że wciąż nie mamy kogo do niego wrzucić.

– Ty to masz szczęście. Cały ten syf spada na innych, a ty smacznie śpiesz, kiedy świat płonie – rzuca Dean.

Zamykam oczy na jedno uderzenie serca dłużej, niż powinienem. Zawsze wiedziałem, że Dean nie potrafi trzymać nerwów na wodzy,

ale nie zamierzam się tłumaczyć. Wmawiam sobie, że w tej grze nie ma miejsca na emocje, tylko na chłodną kalkulację, choć moje dłonie wciąż szukają w kieszeni szklanki, której nie ma.

– Spokojnie. Sprawdziłem ten werniks – kontynuuje Dean. – To nie jest ścierwo ze zwykłego sklepu. To nie jest coś, czym amatorzy smarują swoje bohomyzy.

Podnoszę głowę. Mój kark strzela, jakby drewno rzeczywiście ocierało się o drewno.

– Więc? Co to za gówno?

– Rzadki rodzaj. Specjalistyczny. Wykorzystywany głównie przy renowacji starych, drogich dzieł. Albo przez kogoś, kto ma obsesję na punkcie trwałości.

– To daje nam punkt zaczepienia. Coś konkretnego.

Nadzieja wzbija się na krótki moment jak powiew świeżego powietrza w dusznym pokoju. Kąciki ust Deana unoszą się na chwilę, ale nie wiem, czy to uśmiech, czy tylko ironia. Teatralnie podnosi obie ręce w geście zwycięstwa, a jego palce wydają się nienaturalnie długie.

– I tu wchodzę ja, twój osobisty wybawca. Sprawdziłem dostawy. W całym mieście tylko jedno miejsce sprzedaje ten konkretny rodzaj.

– No proszę. Detektyw roku – rzucam, a mój półuśmiech przypomina raczej uszczerbek na masce.

– Nie dziękuj. Sklep plastyczny na **Greenpoint**. Piwnica pełna chemikaliów i starych pędzli. Jeśli morderca robił zakupy, to właśnie tam zostawił swój ślad. Jedziemy?

Przez chwilę tylko patrzę na raport. Na pieprzoną pustkę, która wciąż wisi w powietrzu, bo nazwisko mordercy wciąż nie pojawiło się na liście.

– Jedziemy – mówię w końcu, sięgając po kluczyki.

Dean kiwa głową, uśmiechając się w taki sposób, który sprawia, że mam ochotę sprawdzić, czy on też ma nitki przywiązane do swoich

lokci. Rusza za mną, a jego kroki niosą się echem po korytarzu, zbyt rytmiczne, zbyt idealne...

Miasto przesuwa się za oknami, wciśnięte pod niskie, ołowiane niebo. Słońca jak nie było, tak dalej nie ma. Kiedy się to skończy? Budynki wydają się płaskie, dwuwymiarowe, martwe, przytłoczone przez chłód, który wgryza się w sam środek duszy. Silnik mruczy równo jak cichy, złowieszczy dźwięk tła, torując drogę przez statykę, która wypełnia każdy najmniejszy kąt. Ruch na ulicach jest jednostajny, pozbawiony życia. Nie ma pośpiechu, nie ma zmęczenia, tylko mechaniczna, bezcelowa ciągłość.

Ludzie przemykają chodnikami, skuleni w płaszczach, z rękami schowanymi głęboko w kieszeniach. Wyglądają jak duchy, które przestały się interesować światem, odcięte od siebie niewidzialną, szczelną membraną. Na skrzyżowaniu światła zmieniają się z zielonego na krwistoczerwone. Zatrzymuję się tuż przed linią. Dean coś do mnie mówi, ale jego słowa rozbijają się o szybę, wchłaniane przez martwe miasto, jakbym był pod wodą.

Przy krawężniku stoi pies. Czarny, duży, przemoczony do skóry. Sierść przyłgnęła do ciała w brudnych, cuchnących pasmach. Łapy ma zabłocone, bok obtarty, może od ściany, może od asfaltu, ale to nie jego wygląd przyciąga wzrok. Pies stoi bez ruchu. Głowę ma lekko pochyloną, oczy utkwione w jeden punkt, wprost w rozmyty deszczem sznur światel. Ten czarny kształt na krawężniku jest moim zwiastunem. Tym, który pojawia się, kiedy śmierć już podjęła decyzję, ale jeszcze nie zdradziła terminu.

Wtedy światła zmieniają się na zielone. Silniki burczą, woda chlu-pocze spod kół, ruszamy. Odwracam głowę, chcąc sprawdzić, czy zwierzę wciąż tam jest. Nie ma go... został tylko mokry plastikowy worek, wirujący w miejscu, w którym stał. Poruszany wiatrem, zbyt słabym, by unieść nawet cień liścia.

Zostaje po nim pustka. I dopiero potem w oddali rozlega się pojedynczy klakson. Przeciągli, wściekły, zniecierpliwiony. Nie pasuje do tej chwili, kaleczy ją. Wdziera się do środka jak źle dobrany dźwięk, który nie chce przestać rezonować w mojej głowie.

Zaciskam palce na kierownicy. Skóra na dłoniach ślizga się, wilgotna od zimnego potu. Klimatyzacja szumi, ale nie daje ulgi. Powietrze stoi w miejscu, stężone jak chemikalia, którymi nasączono ten dzień. Siedzenie pod plecami wydaje się twardsze, niż powinno. Pas wbija się w ramię, raniąc je. Ramiona wciąż napięte, mięśnie bolą. Z tyłu głowy zaczyna pulsować lekki ból... nie ból, a sygnał ostrzegawczy. Przez ułamek sekundy mam potworną pewność, że wewnątrz samochodu zaczyna się zapadać. Niegwałtownie. Powoli. Milimetr po milimetrze. Wchłania mnie jak metalowy grób.

To nie panika. Nie strach.

To coś innego. Cichszego.

Implozja.

Nie taka, którą słyszać. Taka, którą czuje się w klatce piersiowej, między oczami, w karku. Świat za szybą nie zwalnia. Światła zmieniają się jak zawsze.

– Howard? – Patrzy na mnie spod oka, w jego głosie słysząc tę irytującą nutę, którą łatwo wylapać, nawet gdy nie patrzysz mu w twarz.

– Nic – odpowiadam, choć wiem, że coś w tej chwili jest fundamentalnie zepsute.

Wszystko wróciło do normy. Pytanie, czy ja również?

Docieramy na miejsce. Sklep wygląda zupełnie jak relikw z innej epoki. Małe okna przysłonięte grubymi kurtynami, drewniana witryna, na której litery dawno straciły kolor.

Tak informuje napis nad wejściem. Farba jest już od dawna spuchnięta, odsłaniająca pod spodem wytarte drewno. Idealna komunikacja marketingowa.

Drzwi skowyczą, gdy je otwieram, a dźwięk ten miesza się z martwym szumem miasta, który zostaje za plecami.

W pomieszczeniu jest wąsko i duszno. Wnętrze ciągnie się w głąb, przypominając klaustrofobiczne gardło. Powietrze jest toporne, prze-sycone odorem terpentyny, starego drewna i olejnych pigmentów, które natychmiast wnikają w pory skóry i osiadają na języku gorzkim osadem. Każdy oddech przypomina o tym, że ten sklep żył przez dekady, nasiąkając toksynami, schnąc i gnijąc na przemian.

Wysoki sufit gubi się w cieniu, sugerując, że kiedyś to miejsce miało inną, mroczniejszą funkcję. Podłoga jęczy pod stopami, deski są nierówne, wytarte do surowej kości drewna, noszące ślady tysięcy butów, które szukały tu ratunku przed nijakością świata. Na ścianach wiszą próbki kolorów. Małe prostokąty farby na płótnie, niektóre jaskrawe jak świeża rana, inne tak stare, że pokryła je siatka spękań przypominająca ludzką skórę. W rogu wisi i tyka stary zegar wahadłowy. Jego dźwięk nie odmierza czasu, on go tnie, sekunda po sekundzie, przypominając, że wszystko w tym miejscu stoi w martwym punkcie. Miejsce to przypomina cmentarzysko barw zaklętych w szklanych słoikach.

Facet za ladą wygląda jak błąd w obrazie... jest zbyt czysty. Nienaturalnie schludny. Jego sweter nie ma ani jednej fałdy, jakby został odlany z formy, a nie uszyty. Okulary lśnią od obsesyjnego polerowania, odbijając światło w sposób, który nie pozwala dostrzec jego oczu. Gazeta w jego dłoniach układa się z pedantyczną precyzją.

Nawet sposób, w jaki przewraca strony, jest aptekarski. Nie chodzi tylko o to, by ich nie zagiąć. Chodzi o to, by nie dopuścić chaosu. Jest

zawieszony w rutynie, która wypełnia go bardziej niż cokolwiek innego w tym miejscu.

Nie podnosi wzroku, gdy wchodzimy, jakbyśmy byli tylko kolejnym odcieniem w paletce rzeczy, które go nie interesują. Jego postawa, nieruchoma i obojętna, zdaje się pasować do wyblakłych kolorów tego miejsca. Kustosz tajemnic, który bardziej niż pieniędzy pilnuje stagnacji swoich archiwów.

– Pomóc w czymś? – rzuca w końcu. Głos ma suchy, pozbawiony wilgoci, jak dźwięk kruszonego płótna.

Dean opiera się o ladę i rzuca mi krótkie spojrzenie, zanim przenosi wzrok na sprzedawcę. Jego postawa jest mniej wyważona niż wcześniej, bardziej bezpośrednia.

– Szukamy konkretnego werniksu... Damarowy, z olejem lnianym i balsamem kanadyjskim. Macie to święństwo?

Sprzedawca nie przestaje czytać, ale jego brwi drgają. Nazwa substancji przebiła jego *swetrzany* pancierz jak klinga.

– Rzadki wybór. Schnie długo, a efekt nie każdemu pasuje.

– Kto go kupił? – Dean tnie krótko, bez zbędnych uprzejmości.

Tym razem sprzedawca unosi głowę. Jego spojrzenie jest chłodne, niemal nieludzkie.

– To nie jest informacja dla kogoś, kto tylko przechodzi obok.

Dean sięga do kieszeni płaszcza. Nie wyciąga odznaki od razu, pozwalając, by ciężar tej chwili wgniół sprzedawcę w podłogę. Cisza robi swoje. Zagęszcza się, wypełnia nozdrza zapachem chemii. Facet wzdycha, odkłada gazetę z takim namaszczeniem, jakby składał całun. Ta decyzja wyraźnie go boli.

– Mamy go od lat, ale to nie jest coś, co ludzie kupują na co dzień.

Sprzedawca wstaje i niezdarnie podchodzi do starego komputera. To pudło wygląda jak przeżytek sprzed lat, twardy plastik obudowy zużyty, ekran lekko przyciemniony. Stuka w klawiaturę.

– Piątek. Jedna puszka – rzuca, nie odrywając wzroku od migoczącego monitora.

Dean wbija w niego drapieżne spojrzenie.

– Więc jednak ktoś to gówno kupuje. Macie listę klientów? Nazwiska, karty płatnicze?

Sprzedawca przekrzywia głowę. Kącik ust drga mu w czymś, co nie jest rozbawieniem. To czyste politowanie dla naszej naiwności.

– Panie, to nie apteka.

– Może pan go zna? – pytam, nie spuszczać z niego wzroku.

– Nie, ale jeśli to coś poważnego... – zawiesza głos, a jego okulary błyskają znad monitora. – Mogę dać nagranie z kamery.

– O to właśnie chodzi – mówi Dean. – Piątek. Cały dzień.

Sprzedawca bez słowa znika na zapleczu, wciągnięty przez ciemność za ciężką kotarą.

Zostajemy sami w miejscu, które nagle zaczyna nas trawić. Dean trąca puszkę terpentyny. Metal uderza o blat z głuchym, bolesnym brzdękiem, który niesie się echem aż pod sam wysoki sufit.

– Jak myślisz, co zobaczymy? – pyta Dean.

– Kogoś, kto zapomniał, że świat ma oczy.

Drzwi zaplecza skrzypią przeciągle jak skowyt bitego zwierzęcia. Sprzedawca wraca, kładąc na ladzie małą płytę CD. Plastikowe etui jest porysowane, ledwo odbija światło jarzeniówek.

– Piątek – mówi, odsuwając, jakby chciał odciąć się od tego, co właśnie nam przekazał.

Sięgam po płytę. Moje mięśnie są sztywne. Mówią, że w takich chwilach serce bije szybciej, ale moje po prostu zamienia się w lodowatą wodę. Ciężar w piersi staje się nie do zniesienia. Jeśli mamy szczęście, trzymam w ręku bilet na spotkanie z mordercą.

Przesuwam wzrokiem po wnętrzu, bardziej odruchowo niż w konkretnym celu, i wtedy coś przykuwa moją uwagę.

Mały obraz oparty o półkę z pędzlami. W pierwszej chwili to tylko plama, ale detale uderzają mnie w twarz z siłą fizycznego ciosu. Biała maska na szaro-srebrnym tle. Pociągnięcia pędzla są wściekle, nerwowe, jakby krew przyskała prosto na płótno. Wzrok tej maski... to spojrzenie **Meduzy**. Czuję, jak krew zastyga mi w żyłach, zamieniając się w glaz. Ta rzecz nie ma twarzy, nie ma oczu, a jednak patrzy prosto we mnie, obnażając każdą moją tajemnicę. Kpi z mojego śledztwa. Kpi ze mnie.

Zamieram. To nie jest przypadek. To nie może być przypadek. To jest ta sama maska. Ten sam martwy kształt, który widziałem wcześniej i który teraz, w tym przeklętym sklepie, staje się moją jedyną rzeczywistością.

Unoszę obraz. Chropowate płótno pod moimi palcami jest szorstkie, niemal drażniące, jakby tkanka tego dzieła była wciąż żywa i stawiała opór. Czuję pod opuszkami każdą nierówność farby, to nie jest malarstwo, to zapis ataku furii.

– Co to za obraz? – pytam. Mój głos brzmi, jakby dobiegał z głębi studni. Odwracam płótno, a światło jarzeniówek pelźnie po masce, wydobywając z niej nienaturalną głębię.

– To... lokalny artysta – mruczy. – Czasem zostawia tu swoje prace. Nie sprzedają się dobrze, ale on nie zwraca na to uwagi.

– Jak się nazywa? Ma pan do niego kontakt?

Mężczyzna zaciska usta w wąską, siną linię. Sięga po skrawek papieru. Dźwięk długopisu skrobiącego po kartce przypomina mi chrobot pazurów na dnie trumny.

– Amsler. Powinien tam być – mówi, podając mi kartkę. Adres wygląda jak rzędy cyfr skazanych na zapomnienie.

Przez chwilę w sklepie panuje martwota. Nawet zegar zdaje się wstrzymać oddech. Patrzę na Deana, szukając w nim iskry zwątpienia, ale w jego oczach widzę tylko zimne, profesjonalne skupienie

drapieznika, który właśnie poczuł ciepły ślad.

– To zaczyna być interesujące – mówi, ledwie poruszając wargami.

Drzwi zamykają się za nami z trzaskiem, który brzmi jak wystrzał. Miasto natychmiast uderza w nas falą brudnego dźwięku. Klaksony, belkotliwe rozmowy, rytmiczny stukot obcasów. Wszystko to zlewa się w jeden, agresywny szum. Z głośnika przy kiosku sączy się rozmyta, pętlowa melodia, która w połączeniu z wyciem syren tworzy kaskadę nie do zniesienia.

– Jeśli to ślepy trop, zmarnujemy resztki dnia na uganianie się za cieniem – mówi Dean.

– Jeśli nie, możemy właśnie ścigać się z czasem.

Ford wtapia się w strumień metalowych ciał. Miasto zagęszcza się, dusi zapachem spalin i kwaśnym dymem papierosowym, który ulatnia się przez szparę w oknie. Ulice są zatłoczone, a ruch płynie jak rwąca, czarna rzeka, posłuszna nurtowi, którego nie rozumiem. Samochody zbliżają się do siebie na milimetry, niemal ocierając o blachę, by po chwili znów się oddalić. Na skrzyżowaniu jakiś wrak wymusza pierwszeństwo, tnąc nam drogę. Dean rzuca kierowcy spojrzenie, które mogłoby zabijać.

Maska na obrazie. Kartka w mojej kieszeni. Te przeklęte cztery godziny, które wyparowały mi z życia. Wszystko zazębia się w jednym, krwawym punkcie, prowadząc nas tam, skąd nie ma już powrotu.

Czuję to uczucie. Zimne palce zaciskające się na moim karku. Coś nas goni. I jest coraz bliżej.



Lux Aeterna Silentium

Adres prowadzi do starej kamienicy na uboczu miasta, gdzie czas nie tylko upłynął, ale zgnił. Fasada budynku jest zniszczona, miejscami sypiąca się, jakby historia nie tyle jej nie oszczędzała, ile brutalnie ją bila. Przed wejściem kilka rowerów opartych o murek, zardzewiałych, ledwo utrzymujących się na kołach. Obok zaparkowany bus, za duży na tę okolicę, z przetartymi drzwiami i wyblakłym lakierem.

Staję, gaszę silnik. Warkot diesla cichnie, a w jego miejscu zostaje tylko nieprzyjemny szum moich własnych myśli.

– Gotowy? – rzuca Dean.

– Zawsze – odpowiadam, choć czuję, jak ten dzień powoli mnie rozrywa.

Musimy się zdecydować, czy wchodzimy na pewniaka, czy gramy *ostrożnie*, ale w tej chwili ostrożnie wydaje się tylko wymówką dla tchórzy, na którą nie mamy już czasu.

Dean wysiada pierwszy. Ja zaraz za nim, czując, jak ciężar atmosfery zgina mi plecy. Odgłos drzwi zamykających się za nami jest głuchy, ostateczny. Budynek przed nami zdaje się przygnębiony, jakby miał już dość tego, co widział. Drzwi. Nowe, przeciwpożarowe, w kontrastujących kolorach, odbijają się od reszty budynku, obdrapanego i zaniedbanego.

Nachylam się, by sprawdzić tabliczkę z nazwiskami. Są poźółkle, litery zatarły się pod wpływem lat i setek palców. Ślady czasu. Ślady nieludzkich dłoni. Przechodzę wzrokiem po nich, ale Amslera brak.

– Może wynajmuje bez meldunku – mówi Dean. W jego głosie słychać nutę narastającej irytacji.

– Może – odpowiadam, nie odrywając wzroku od tabliczki.

Wciągam powietrze do płuc. Jest zimne i suche. Wstrzymuję oddech i naciskam pierwszy lepszy przycisk.

Nic się nie dzieje. Absolutna głusza.

Drugi przycisk. Nic.

W końcu naciskam trzeci. Słyszę odległy, elektryczny trzask, zimny, beznamiętny dźwięk zwalnianego rygła. Drzwi puszczają, zapraszając nas do środka.

Może to tylko przypadek, może ktoś tu ma w nosie, kto tu wchodzi. A może właśnie teraz dostaliśmy zaproszenie, którego nikt się nie spodziewał. Zerkam na skrzynki pocztowe obok. Nazwisko F. Amsler widnieje na jednej z nich. Numer 6.

Wejście na drugie piętro to jak wchodzenie w inny zapomniany świat. Stare drewno pod nogami skrzypi, miejscami zapyziałe, z groźnym dźwiękiem, który sprawia, że mimowolnie zwalniam krok. Pajęczyny w rogach są grube, warstwowe, zakurzone, jakby nikt ich nie ruszał od lat.

Budynek trzyma coś w sobie. Wspomnienia, które chcą, by je bezpowrotnie zapomniano.

Podchodzimy do drzwi. Pukam dwa razy. Tylko echo tych dźwięków odbija się od ścian.

Nagle po drugiej stronie słyszę szmer, cichy, nerwowy, jak chrobot pazurów. Drzwi uchylają się o kilka centymetrów, a w szparze ukazuje się on. Dłonią nerwowo przeczesuje kark. Jest niecierpliw, a może znużony. W jego oczach czai się oblęd, którego nie da się ukryć pod zmęczeniem. Ma włosy w całkowitym nieładzie i wyciągniętą, cuchnącą koszulę umazaną zaschniętą, ciemną farbą, która wygląda jak krew. Jego oczy są zapadnięte, otoczone sińcami, ale nienaturalnie czujne. Nie oczekiwał gości. Na pewno nie takich jak my.

– Czego? – rzuca niskim, szorstkim głosem.

– Szukamy właściciela kilku obrazów, które znalazły się w sklepie na **Greenpoint** – słowa wypowiadam powoli, starając się, by brzmiały niewinnie.

– Chcecie kupić? – Mężczyzna otwiera drzwi szerzej, a ze środka bucha fetor, który zwała z nóg. – To wchodźcie, ale nie mam czasu.

Pokój jest ciasny, klaustrofobiczny, niemal nas miażdży. Unosi się w nim zaduch. Coś, co gnilo w mroku przez lata, niechciane i przemilczane. Woń świeżej farby miesza się z zapachem zleżałych pędzli oraz czymś jeszcze... czymś słodkawym, organicznym, co sprawia, że żołądek podchodzi mi do gardła. To zapach obsesji, która przekroczyła granice płótna.

Wnętrze żyje własnym, chorobliwym rytmem, a każdy ślad wydaje się opowiadać historię, której wolałbym nie znać. Pędzle sterczą ze starych słoików jak polamane palce, a brudna paleta leży na stole, pokryta zakrzepłą, lśniąca mazią, która nigdy nie wyschnie...

Czeka na artystę, by wrócił i dokończył dzieło zniszczenia. Ściany są oblepione płótnami. Niektóre wiszą na sznurkach jak płaty zdartej skóry, inne gniją na podłodze. W powietrzu czuć obecność chaosu, nieuporządkowaną, brudną energię, która pożarła to miejsce i wypłuła jego lokatora.

Amsler zamyka drzwi, ryglując nas w swoim prywatnym piekle. Ręką wskazuje ścianę, a w jego geście jest coś z dumy grabarza pokazującego dobrze wykonany wykop.

– To, co widzieliście w sklepie, to tylko ochłapy. Jeśli szukacie czegoś, co ma duszę... mogę wam coś pokazać.

Patrzę na obrazy. Styl jest konwulsyjny, nerwowy, jakby pędzlem kierował dreszcz. Każde dzieło wydaje się zawieszona w bezdechu, czekając, aż ktoś je wreszcie dobije. Jeden obraz wciąga mnie jak czar na dziura. Na płótnie jest kobieta. Twarz znajoma, bolesna, ale jej oczy... są wydrażone. Zimne. Jakby ktoś wyciął je skalpelem z innego świata i wcisnął w te oczodoły. Jest zbyt wyraźna, zbyt obecna, by mogła być tylko wspomnieniem. Jest jak nowotwór na tym płótnie, ale to jest ona. Poznaję ją.

– Skąd ją znasz? – pytam, a mój głos tnie zaduch pokoju.

Amsler zaciska szczękę tak mocno, że słyszę zgrzyt jego zębów.

Palce drgają przy szwie spodni, jakby szukały broni.

Milczenie rozciąga się między nami jak niewidoczna, kleista sieć.

Dean wzdycha, tracąc resztki cierpliwości. Wyciąga odznakę. Błacha błyska nienaturalnie w tym brudnym świetle.

– Detektyw Dean Harlow, a to Howard Laamesth'on – mówi sucho. – Powiedz nam, jak się nazywasz i kim dla ciebie była Sinéad Worthime. I nie marnuj naszego czasu, bo on właśnie ci się kończy.

Mężczyzna nie patrzy na odznakę. Jego wzrok błądzi między nami a portretem, szukając szczeliny, w której mógłby się schować, ale oczy go zdradzają. Błyszczą od lęku, którego nie da się przelknąć.

– Felix Amsler – wykrztusza w końcu. – Ona nie żyje. – Te słowa brzmią jak wyrok, który sam na siebie wydał.

– Wiemy to doskonale – odpowiadam, podchodząc o krok bliżej. Czuję od niego zapach potu i terpentyny. – Chcemy wiedzieć, co was łączyło.

Amsler unosi wzrok na odpadający sufit, jakby szukał tam ratunku przed prawdą.

– Skąd ją znalazłeś? – powtarzam, zniżając głos do groźnego szeptu.

– Nie radzę ci klamać, Amsler – dorzuca Dean, a w jego tonie słychać już chłód gilotyny. – Jeśli zacznę myśleć, że masz coś do ukrycia, ten pokój stanie się twoją celą szybciej, niż zdążysz odłożyć pędzel.

Mężczyzna przeciera twarz dłonią, rozmazując na policzku resztki ciemnej farby. Wygląda jak postać z własnego, nieudanego szkicu.

– Byliśmy tylko... znajomymi.

– Tylko znajomymi? – Dean unosi brew. – Dlatego masz jej portret z wyrażonymi oczami? To wasza definicja *znajomości*?

Twaz Amslera napina się, skóra wydaje się zbyt ciasna na kościach czaszki. Jego dłonie drżą tak mocno, że musi je schować za plecami. On wie, że pętla się zaciska, a my właśnie znaleźliśmy jej początek.

– Byłem w niej zakochany – przyznaje cicho, a to wyznanie brzmi

jak chrobot piachu sypanego na trumnę. – Ale dla niej... byłem tylko kimś, kto dobrze maluje światło na jej twarzy.

Jego spojrzenie wraca do obrazu, karmiąc się tą wydrażoną twarzą, jakby szukał w niej resztek życia.

– Sinéad... nie należała do tego świata. Miała w sobie blask, pod którym gnilo coś, czego nie pozwalała nikomu dotknąć. Była piękna, ale to było piękno drapieżne, niszczące. Była... nie do zatrzymania.

– To, co ją zatrzymało? – pytam, nie spuszczać wzroku z jego drżących dłoni. Szukam prawdy w każdej zmarszczce na jego przedwcześnie starzejącej się twarzy.

Kręci głową, a w jego gardle wciąż suchy szloch.

– Dostała zaproszenie. – Głos mu matowieje. To już nie jest wspomnienie, to wyrok, który wciąż słyszy w głowie.

– Jakie zaproszenie?

– Kartka. Ręcznie wypisana. W środku symbol. Żadnych nazwisk, żadnego podpisu. Tylko miejsce i data.

– Sekta – rzuca sucho Dean. To słowo wylatuje z jego ust jak splucie. – To zawsze kończy się na jakichś pieprzonych prorokach.

Podchodzę do malarza tak blisko, że czuję odór jego strachu.

– Od kogo to dostała? Kto jej to wręczył?

Podnosi wzrok, ale patrzy przeze mnie, jakby widział coś, co stoi tuż za moimi plecami.

– Nie wiem.

– Wiesz, chociaż, gdzie? – pytam.

– Tak – odpowiada szybko, a jego ton się zmienia. Jest w tym jakaś... niepewność. – W galerii **Eclipse of Light**. Jest na **Birchwood Lane**. Na zachód od centrum.

– I tyle? – pytam, starając się nie zdradzić, jak bardzo frustrują mnie te odpowiedzi.

– Pojechała i wróciła z zaproszeniem? – dodaje Dean.

– Tak... – mówi cicho.

– Jaki symbol był na zaproszeniu?

Domyślam się odpowiedzi, ale potrzebuję usłyszeć to od niego, jakby potwierdzenie przez kogoś innego mogło zdjąć ze mnie ten ciężar. Amsler potrząsa głową, jakby próbował wygnać demona z czaszki, ale słowa wyciekają z niego wbrew woli.

– To była maska. I napis. Po łacinie.

– Maska? Łacina? – powtarzam, a te słowa krążą po pokoju jak echa w pustym grobowcu.

Amsler powoli przytakuje, jego wzrok jest teraz pusty, martwy.

– Gładka, bez wyrazu. Tylko dwa otwory na oczy.

– A ten napis? Nie zaczynał się przypadkiem na **Lux**?

Gwałtownie podnosi na mnie wzrok. W jego źrenicach widzę czysty, pierwotny lęk.

– Tak. **Lux Aeterna** i coś jeszcze, ale litery wydawały się... płynąć. Nie pamiętam dokładnie.

Patrzę na Deana. Spotykamy się spojrzeniami. Bez słów, bez fałszywych gestów, w pełnym zrozumieniu.

Amsler bierze głęboki, świszczący oddech, jakby brakowało mu tlenu w tym przesyconym chemią pokoju.

– Poszliśmy tam razem. Nie chciała iść sama. Miała w sobie tę przekorną ciekawość, ale czułem, że się boi.

Cisza napina się między nami jak płótno przed pierwszym pociągnięciem pędzla.

– Co tam zobaczyłeś? – pytam, bo wiem, że ta opowieść jest kluczem. To początek łańcucha, który owinał się wokół moich nadgarstków i teraz zaciska się z każdą sekundą. Ten nieuchwytny cień wreszcie zyskał *imię*.

Mężczyzna zaciska pięści tak mocno, że zbielele kostki wyglądają jak wystające kości.

– Nie podobało mi się to – mówi szorstko, jakby coś drapało go od środka. – Od samego wejścia czułem, że to miejsce jest inne, że skrywa coś niepokojącego.

– Co masz na myśli? Konkrety, Amsler – naciskam, choć wiem, że czasem nie potrzeba konkretnego powodu, czasem po prostu czujesz, że coś nie gra, że przestrzeń wypełnia się niepokojem. Czekam, aż sam napnie tę linę do punktu, w którym wszystko się załamie.

– Wszystko było... zbyt idealne jak zły sen. Ludzie w maskach, te ich eleganckie stroje, szeptali do siebie, ale gdy przechodziliśmy obok, milczeli. Obserwowali. Oceniali.

Potrząsa głową, a ja widzę, jak każdy ruch kosztuje go litry potu. Przeszłość wycieka z niego jak ropa.

– Powiedziałem Sinéad, żebyśmy wyszli, że to nie jest miejsce dla nas, ale... – wzdycha, a jego wzrok na chwilę odrywa się od obrazu przeszłości. – Ona była zbyt ciekawa.

– I została?

Kiwa głową. Widać w nim bezradność. Nie tylko z powodu tej decyzji, ale i tego, co wydarzyło się potem, tego, co wciąż go dręczy.

– Powiedziała, żebym szedł, jeśli chcę, ale ona zostaje. Chciała wiedzieć, co się tam dzieje, chciała... zrozumieć.

To przez nią tu jesteśmy. Przez tę cholerną ciekawość, która pchnęła ją w paszczę czegoś, co nie ma żołądka, tylko wieczny głód. Coś, co teraz ja muszę rozszarpać, choć czuję, że moje własne palce stają się coraz bardziej obce.

– Wyszedłem sam – kontynuuje, a w jego głosie czuję lodowaty, stęchły oddech winy.

Słucham go i widzę **Orfeusza**, który stchórzył już w przedśionku piekła. Wyszedł, ale nie dlatego, że nie mógł się obejrzeć. Wyszedł, bo bał się tego, co zobaczy. Zostawił swoją **Eurydykę** w królestwie cieni, byle tylko zachować własną nędzną skórę. To nie była impreza. To

było dobrowolne zejście do maszynowni piekła, z którego on wrócił, ale z pustymi rękami i sercem tak zimnym, że nie rozgrzeje go żadne słońce, nawet gdyby w końcu raczyło wstać nad tym miastem. Sinéad została po tamtej stronie, a on od tamtej pory maluje tylko jej brak, wiedząc, że zatrzęsnęły się nad nim bramy, których nie śmie nawet dotknąć.

Spoglądam na niego ostro. Czuje, jak podchodzi mi do gardła żółć i pogarda. Słowa wyrrywają się z moich ust jak ostre odłamki szkła:

– Zostawiłeś ją tam? Samą? W tym tłumie maskarady? Tak ją, kurwa, kochałeś?

Widzę, jak nim rzuca, jakby dostał prądem, ale nie odwraca wzroku. To pytanie trafiło go jak zardzewiały sztylet, rozdarło tkanę kłamstw i odsłoniło gnijące mięso prawdy. To ból, który nie ma ujścia, bo żadne słowa nie opiszą tego grzechu.

– Myślisz, że to mnie nie żre od środka? – warczy, a jego głos uwalnia coś, co długo w nim siedziało, coś, co próbuje wyrwać się na powierzchnię, ale wciąż jest tłumione. – Każdej nocy, rozumiesz? Każdej pieprzonej nocy.

Oddycha ciężko, charczy, jakby ktoś dusił go pętlą garści piachu. Nie potrafi złapać tchu. Każda sekunda spędzona w tym pokoju trzyma go w martwym punkcie, w którym czas przestał płynąć i zaczął cuchnąć.

– Nie chciała wyjść. Nie mogłem jej zmusić! A ja... ja nie mogłem tam zostać...

Wzdycham, znając prawdę, zanim on odważy się ją wypluć.

– Bo stchórzyłeś – rzucam mu prosto w twarz.

Zaciska szczękę tak mocno, że widzę pulsujące żyły na skroniach.

– Wiedziałem, że jeśli zostanę... jeśli wejdę o krok głębiej w tę ciemność, to już nigdy nie zobaczę światła. Zakopałbym się w tym mule na zawsze.

W jego oczach tli się coś surowego, coś obrzydliwego. Może myśli, że gdyby został, uratowałby ją. A może wie, że teraz byłiby dwojgiem martwych kochanków, zastygłych w werniksie. To milczenie tylko potęguje horror, jak historia, która kończy się urwanym krzykiem, którego nikt nie chce dosłuchać.

Patrzę na niego, szukając czegoś więcej niż słów. Rozciągnięta koszula, na dłoniach ślady pigmentu wżarte w skórę, farba, która stała się już jego przeklętą częścią. Nie do zmycia. Nie do oddzielenia.

W rogu, na jednej ze sztalug, stoi niedokończony obraz.

Nie twarz. Nie sylwetka.

Maska.

Biała. Pusta. Złowieszcza.

– Teraz? – rzucam, a głos tnie powietrze jak lód. – Malujesz te cholerne białe maski?

Zamiera. Jego twarz błądzi w przestrzeni, szukając odpowiedzi, którą sam już dawno utopił w terpentynie.

– To nie tak... – zaczyna, ale słowa grzęzną mu w gardle.

– Więc jak, Amsler? – pytam tym zniżając ton. Mój szept jest groźniejszy niż krzyk.

Z każdym ułamkiem sekundy rośnie świadomość, że on sam już nie wie, co jest prawdą, a co koszmarem.

Dean robi krok w stronę obrazu, ale Amsler w końcu się rusza.

Zamiast odpowiedzi, podbiega i jednym, gwałtownym ruchem zrzuca płótno na zakurzoną podłogę. *Brzdęk.*

– Nie macie pojęcia, w co się pakujecie... – jego słowa wbijają się w martwość jak kamień w cichą wodę.

– A adres? Ten z zaproszenia? Pamiętasz go? – pytam, nie spuszczać z niego wzroku.

– Pamiętam... Nie da się tego ot tak zapomnieć – głos mu drży. Jego umysł wciąż uwięziony jest w miejscu, do którego nie chciałby

już nigdy wracać. – To stara rezydencja, kilka kilometrów za miastem. Pewnie kiedyś należała do jakiegoś bogacza. A teraz... – Zatrzymuje się, zaciska usta. – Teraz to coś zupełnie innego.

– Podaj nam dokładny adres – rzuca Dean, wyciągając notes i długopis, gotów zapisać współrzędne grobu.

Amsler kiwa głową. Recytuje adres powoli, sylaba po sylabie, jakby każda z nich była ciężarem, którego wreszcie się pozbywa. Ulga miesza się na jego twarzy z paniką. Mówi wprost o tym, czego się obawia: *idziemy prosto na rzeź*.

– Jak wyglądało to miejsce w środku? – wypytuję, czując, jak złe przeczucia owijają mi się wokół szyi.

Ręka wędruje mu na kark, nerwowym, szarpanym gestem. Nie patrzy na mnie. Myślami znów jest w tej rezydencji, która odcisnęła na nim piętno głębokie jak ostrze wbite pod skórę, pozostawiając bliźnę, która nigdy się nie zablźni.

– Na zewnątrz to była ruina. Stare mury, wybite okna na górnych piętrach. Myśleliśmy, że to tylko tło dla jakiejś chorej imprezy, ale kiedy weszliśmy do środka... – Przelyka ślinę, a jego galki oczne wydają się drżeć. – To było jak wejście do innego wymiaru.

– Inny wymiar? – Dean mruży oczy, patrząc na niego jak na wariata, którego trzeba zamknąć w klatce. Jego spojrzenie jest przenikliwe, pełne napięcia.

– Bogactwo. Marmurowe posadzki, tak czyste, że można było widzieć w nich własną śmierć. Ciężkie zasłony, złożone kinkiety na ścianach. Nie pasowało to do tego, co było na zewnątrz. Jakby ktoś celowo chciał, by ten cholerny budynek wyglądał na zapomniany. Albo porzucony.

Moje palce zaciskają się w pięść. To, co mówi, brzmi jak coś, co nie mieści się w żadnych ramach, coś, co od razu nie powinno mieć miejsca w tym świecie.

– Ktoś pilnował wejścia? – pytam, czując, jak adrenalina zaczyna krążyć w moich żyłach niczym kwas.

– Dwóch mężczyzn... Nie byli w garniturach jak jacyś hotelowi portierzy. Przypominali ochroniarzy z klubu nocnego. Skórzane rękawiczki, słuchawki w uszach. Sinéad pokazała im zaproszenie. Spojrzeli na nie, kiwnęli głowami, po czym podali nam maski... – Przerzywa. Jego twarz mówi więcej, niż słowa: *że chciałby już stamtąd wyjść, ale wciąż tkwi*. – Białe maski... – dodaje po chwili. – Proste, gładkie, bez ozdób, bez niczego, co mogłoby wyróżniać je od reszty. – Jego głos staje się coraz bardziej stłumiony, jakby stawiał wysiłek w wydobywaniu tych słów, które wcale nie chcą zostać wypowiedziane.

Patrzę na niego i widzę człowieka, który przestał istnieć w noc tamtej imprezy. Coś w nim zostało bezpowrotnie złamane, coś się popsuło, a te maski to może tylko początek.

Czas to kończyć, zanim ten pokój pochłonie nas razem z nim.

– Dziękujemy za pomoc, Amsler. Postaraj się... nie malować więcej – mówię, choć wiem, że to jedyne, co go jeszcze trzyma przy tej imitacji życia.

Kiedy odwracam się ku wyjściu, rzucam ostatnie spojrzenie na portret Sinéad. Przez ułamek sekundy mam pewność, że jej wydrażone oczy podążyły za mną. To nie jest złudzenie. To spojrzenie martwej **Eurydyki**, którego nie da się zmyć z siatkówki.

Światło lamp nie świeci, ono tylko rozlewa się wokół szarą, trupią poświatą. Niebo nad nami jest martwe, bez wyrazu, jak sufit w prosektorium. Nie ma słońca, nie ma cienia. Jest tylko mrok udający dzień. Powietrze jest zimne, żmudne, niosące ze sobą woń gnijącej ziemi i wilgotnego kamienia.

Dean opiera się o drzwi, ręce ma wsunięte głęboko w kieszenie. Nie patrzy na mnie. Jego wzrok błądzi gdzieś w szarości, wypatrując

decyzji, która już dawno zapadła, tylko baliśmy się ją wypowiedzieć.

– No i co? – rzuca w końcu. Jego głos jest twardy, podszyty irytacją i lękiem, którego nie potrafi ukryć. – Marnujemy czas na nagranie, czy jedziemy prosto do tego gniazda?

Rozsądek podpowiada: *sprawdź nagranie. Zobacz twarz. Zanalizuj szczegóły*. Tylko że rozsądek umarł w chwili, gdy poczułem metaliczny posmak kawy dziś rano. Jeśli na nagraniu jest człowiek odpowiedzialny za śmierć Sinéad, na pewno nie pozwoliłby, by coś tak trywialnego, jak kamera uchwyciła jego obecność.

Myślę o adresie, który nam podał. Wiem, że nic, co tam znajdziemy, nie będzie tym, czym się wydaje. To miejsce jest czymś innym, czymś, czego nie da się wpisać w ramy przeciętnego dochodzenia. Nie ma już miejsca na wątpliwości. Jeśli ta rezydencja i **Lux Aeterna** to faktycznie, jedno i to samo, co Sinéad zanotowała w notatniku, to mamy solidny trop.

– Jedziemy do rezydencji – mówię. Moje słowa brzmią obco, jakby wypowiedział je lalkarz poruszający moimi strunami głosowymi.

Dean nie pyta. Nie dyskutuje. Wślizguje się do środka.

Przekręcam klucz. Silnik wyje jak raniona bestia, a ja czuję, że zębatki przeznaczenia właśnie zaskoczyły, miażdżąc resztki mojego oporu. Znam ten dźwięk. To chrobot miażdżonych kości.

Droga przed nami wyludnia się, jakby świat rzygał pustką.

Na początku rozplywają się reklamy, potem sklepy, a kawiarnie ustępują miejsca magazynom, stacjom benzynowym. Otoczenie staje się dzikie, coraz bardziej nieprzyjazne.

Zerkam w lusterko wsteczne, ale widzę tylko ciemność. Gęstą, nieprzeniknioną maź, która pożera trasę tuż za naszymi plecami. To już nie paranoja, to fizyczny ciężar, który zgniata mi płuca. Jezdnia zwęża się, krwawi pęknięciami. Wjeżdżamy w głąb labiryntu, gdzie korzenie

rozrywają asfalt niczym kości starego szkieletu przebijające się przez martwą skórę. Las nie zna litości dla technologii.

Konary splatają się nad nami jak palce olbrzyma, który zaciska pięść, zamykając nas w klatce z liści i duszących cieni. Czuję, że droga pod kołami to ostatnia, rwąca się nitka, łącząca mnie z jakimkolwiek porządkiem.

Miasto zdechło gdzieś z tyłu. I wtedy pojawia się budynek. Wylania się z mroku bez ostrzeżenia, jak drapieźnik, który czekał tuż poza granicą światła reflektorów. Nie dominuje nad otoczeniem, raczej stapia się z nim, próbując przetrwać niezauważony.

W jednym z okien pali się światło. Słabe, chorobliwie żółte, rozlane nierówno jak ropa. Reszta budowli to tylko martwy cień. Nie ma ścieżki, nie ma innych aut. Tylko to jedno oko, wpatrzone w próżnię.

Dean gwizdzie cicho, a dźwięk ten drży od niewypowiedzianego strachu.

– Ktoś tu jest – mruczy. – Jeśli to nie wygląda na pułapkę, to nie wiem, co mogłoby nią być.

Obaj czujemy to samo, coś tu nie gra, w tym zawieszeniu, w tej martwej przestrzeni. Cały ten obraz wydaje się złudzeniem, czymś rozmytym na granicy percepcji. Krok po kroku wchodzimy w to, bez pewności, co nas czeka. To już nie decyzja. To zdarzenie.

Zatrzymujemy się na poboczu. Samochód wydaje się teraz żałośnie mały wobec tej martwej bryły budynku.

Wysiadam. Zapach lasu uderza mnie w twarz. Wilgoć ziemi zmieszana z gnijącym drewnem i pleśnią. Nie ma tu świeżości, jest tylko zapach powolnego rozkładu.

Gałęzie szepczą nade mną w nieznanym, gardłowym języku, którego nie chcę rozumieć. Ziemia pod stopami jest miękka, głodna. Błoto oblepia buty, każdy krok staje się walką, jakby grunt próbował mnie zatrzymać, wciągnąć pod spód.

W powietrzu unosi się coś jeszcze. Metaliczna, rdzawa woń. Smak krwi na wietrze. Przypomina gnijące skorodowane konstrukcje, które czekają, aż ktoś je odgrzebie. Napięcie przyspiesza bicie serca do granic wytrzymałości. Czuję mrowienie na skórze, jakbym był pod napięciem. To miejsce nie jest lasem. To świątynia bólu, gdzie każde drzewo i każdy cień ma swoją brutalną opowieść.

Podchodzę do okna. Każdy ruch jest powolny, kontrolowany przez strach. Przechyliłam się, zaglądam do środka, starając się nie być nawet cieniem.

Wtedy ich widzę.

To nie są zwykli ochroniarze.

To profesjonalna maszynownia śmierci w wersji paramilitarnej.

Trzej mężczyźni zastygli w oczekiwaniu, przypominając naciągnięte cięciwy luków, gotowe do posłania zabójczego pocisku, który rozewnie ciszę. Ich milczenie jest głośniejsze niż jakikolwiek krzyk. Stoją tam, nie jak strażnicy, lecz jak sędziowie kapturowi, czekający na ofiarę, którą system wyznaczył do utylizacji. Każdy ich gest, każda zmarszczka na ubraniu to obietnica zgonu. Chłodna, wytrenowana rzeźnia ukryta w garniturach.

Każda komórka w moim ciele wyje, że to nie jest zbieg okoliczności. To nie jest szemrana transakcja, na którą wpadliśmy przez amatorski błąd. Ci ludzie są tu jak nowotwór, gotowi do infekcji. Jeśli choć jeden promień ich spojrzenia nas muśnie, staniemy się tylko kolejnym materiałem do utylizacji.

Powoli, bezszelestnie odwracam się do Deana. Każdy miesiąc mam napięty do granic wytrzymałości, każda nitka nerwu zdaje się wrywać z tkanki pod wpływem narastającego ciśnienia.

Myśl o śmierci drapie mnie od środka, uporczywie i brutalnie.

To się może rozpieprzyć w ułamku sekundy.

Dean stoi kilka kroków za mną. Jest czujny, zamieniony w lodowy

posąg. Jego oczy odbijają tę samą pierwotną grozę, którą ja się dławie. Jesteśmy w niebezpieczeństwie, ale nie ma paniki. Przetrwaliśmy gorsze sytuacje. Mimo to... to może być nasza ostatnia akcja. Ostatni krok przed przepaścią.

Oddycham płytko, kontrolując każdy ruch klatki piersiowej. Nie mogę pozwolić sobie na luksus pośpiechu. Żadnych błędów. Odsuwam się od okna milimetr po milimetrze. Zgrzyt gałązki pod butem eksploduje w tej chwili jak strzał z bliskiej odległości. W uszach pulsuje mi ból, ostry i rytmiczny, jak cięcie ostrza.

Jesteśmy jak wilki przy cudzym ognisku. Jeszcze nas nie poczuli, ale jeśli...

Jeszcze kilka kroków. Jeszcze jedna wieczna chwila. W głowie mam tylko jedną, pulsującą mantrę: *nie daj się pochłonać*.

Docieramy do ściany lasu, gdzie drzewa, niczym niemi strażnicy, dają nam kruchą osłonę. Wymieniamy szybkie, szarpane spojrzenia.

Dopiero wtedy zaczynamy wycofywać się szybciej, ale wciąż z tą samą, nienaturalną ostrożnością. Każdy krok to preludium do burzy, która zaraz rozerwie niebo. Pot splywa mi wzdłuż kręgosłupa lodowatym strumieniem, zostawiając ślad jak oślizgły cień, który nie chce odejść. Nie wiem, czy nas widzieli. Nie wiem, czy już zaczęli nas okrążyć w tym gęstniejącym mroku.

Dean zamyka drzwi niemal bezgłośnie, ale widzę, jak jego palce zaciskają się na udzie. To jego sposób na trzymanie nerwów. Ja zaciskam dłoń na kierownicy tak mocno, że czuje, jak kości palców trzeszczą pod skórą.

Silnik odpala, ale nie karmię go gazem. Wycofuję powoli, jakbym bał się obudzić bestię śpiącą w korzeniach lasu. Sprawdzam lusterka, sprawdzam każdy mroczny kąt między drzewami.

Martwota stała się czymś stężonym, fizycznym, czymś, co można dotknąć. Droga przed nami to labirynt szczelin i zdradliwych korzeni.

Nie patrzę w przód. Moje oczy są uwiązane w lusterku, w tej czarnej dziurze, która może w każdej chwili wypluć naszą śmierć.

Jedna decyzja. Jeden fałszywy ruch kierownicą. To wszystko dzieli nas od bycia wspomnieniem. Za szybko nic się nie rusza, ale ten bezruch jest najbardziej przerażający. To spokój tuż przed uderzeniem.

Wstrzymuję oddech, aż płuca zaczynają piec. Serce bije w klatce jak schwyte zwierzę, które chce wygryźć sobie drogę na zewnątrz. Każdy metr to odliczanie do wybuchu, którego nie słycać.

Wciąż czekam, aż zza drzew wyskoczy coś nieludzkiego, jakaś biała, porcelanowa zjawą. Każdy kilometr to haust powietrza, które staje się coraz rzadsze, a przestrzeń wewnątrz Forda wydaje się nabrzmiała, naelektryzowana od napięcia.

Nikogo. Jeszcze nie... Dopiero gdy opony chwytają gładką nawierzchnię głównej drogi, Dean łamie się jako pierwszy:

– Kurwa, Howard... to było za blisko. O milimetr za blisko.

Sprawdzam boczne lusterko, potem wsteczne. Mroczna czerń lasu zostaje w tyle, mimo to mam wrażenie, że wciąż na nas patrzy.

Wdech, wydech. Powietrze smakuje jak kurz.

– Widziałeś ich broń? – mówi ciszej.

– Widziałem – przyznaję, czując, jak niepokój wzbiera w żołądku.

– To nie byli zwykli ochroniarze.

– Tak. Ludzie, którzy nie pytają o nazwisko, zanim pociągną za język spustowy.

Przejeżdżamy przez skrzyżowanie, przecinając cienką granicę między obłędem a cywilizacją. Ponure miasto otwiera się przed nami, budynki pną się do góry, droga staje się przewidywalna, ale to niczego nie zmienia.

Cała powłoka trzyma się na krawędzi, odkleja się na szwach, a każdy krok w stronę świateł jest tylko chwilową ucieczką do poczekalni.

– Myślisz, że nas zauważyli? – pyta Dean, a w jego głosie słycać

drżenie, którego nie da się zamaskować.

– Jeśli tak, to nasze akta są już w niszczarce. Jesteśmy martwi, tylko jeszcze o tym nie wiemy.

Parska cicho, ale to nie jest śmiech. To suchy, chrapliwy dźwięk ironii, którą musi przelknąć, by nie zwymiotować ze strachu.

– No to chyba, kurwa, mamy szczęście. Prawda?

Patrzę przed siebie. Miasto wygląda normalnie, co jest najbardziej przerażające. Dla tych wszystkich ludzi nic się nie zmieniło. Świat toczy się na swoich starych, zardzewiałych szynach. Przechodnie idą chodnikami jak zaprogramowane cienie, światła zmieniają się w swoim mechanicznym rytmie. Nikt nie wie, że kilka kilometrów stąd las pożarł kawalek sensu istnienia.

Drzwi komisariatu otwierają się z bolesnym skrzypnięciem. Wchodzimy w znajomy fetor starych akt, taniego detergentu i przypalonej, kwaśnej kawy. To jedyny zapach, który pozostaje niezmienny. Zapach bezpiecznej, martwej rutyny, która w swojej monotonii daje złudzenie, że zło dzieje się tylko *gdzie indziej*. Nigdy nie sądziłem, że ten betonowy grobowiec wyda mi się tak przytulny. Chociaż wiem, że to tylko zbiorowa halucynacja bezpieczeństwa. W sali jest pusto, tylko kilku funkcjonariuszy krąży między biurkami jak zepsute automaty.

Dean wzdycha, a jego ramiona opadają o kilka centymetrów. Powoli wypuszcza powietrze, trąc dłonią kark, jakby sprawdzał, czy głowa wciąż jest na miejscu.

Nie myślę o lufach, które mogły wyrosnąć z mroku lasu.

Nie myślę o Lux Aeterna ani o wydrażonych oczach Sinéad.

Teraz jestem tutaj.



Bilet w jedną stronę

Opadam ciężko na krzesło, czując, jak metal pod dłońmi drży, rezonując z każdym płytkim oddechem. Napięcie w powietrzu jest tak gęste, że niemal można je zeszkrobać ze skóry jak zaschnięty pot. Duszność w biurze jest przytłaczająca, jak mokra zasłona, która otula wszystko w niepokojącym, martwym spokoju. Wpełza w każdą szparę, w każdy zakamarek umysłu. Woda spływa z moich butów na podłogę, zostawiając za sobą mokre, cuchnące ślady, które natychmiast giną w cieniu pod biurkiem.

Przez moment tylko siedzimy. Bez słów. Napięcie opada, ale nie znika. Wciąż czuję ten sam, pieprzony balast, który od dawna wrastał w moje ciało, oplatał nerwy jak cierń pod skórą. Nie da się go wyrwać. Stał się częścią mnie, moją nową, mroczną tkanką.

Wynurzyłem się z tego, ale woda nadal oblepia kostki. Lepka jak lęk, który nie mówi nic, ale zawsze jest obok.

- Powiedz mi, Howard, że to nie jest jebane szaleństwo.
- Nie powiem ci tego.
- No właśnie.

Jego słowa rezonują we mnie, dźwięczą cicho, ale nieprzerwanie, jak odliczanie do wybuchu. Wiem, że ma rację. Wiem, że nic już nie będzie takie, jak wcześniej. **Lux Aeterna** to nie jest miejsce na mapie, do którego można tak po prostu wejść i wyjść bez śladu.

To nie galeria sztuki ani klub nocny.

To sieć, ciasna, utkana z cieni i obietnic śmierci.

To kokon, który czeka, aż zrobimy jeden krok za daleko.

– Musimy tam wrócić – mówię. Powoli. Każde słowo waży więcej niż poprzednie, wydobyte z gardła z trudem.

– Serio? Chcesz tam wracać? Do tego gówna?

– Dokładnie, ale nie możemy wejść ot tak. Musimy to rozegrać dokładnie tak, jak Sinéad. Musimy zagrać ich melodię.

Dean marszczy brwi. Widzę, jak jego myśli zderzają się ze sobą,

próbując z chaosu wydobyć, choć cień sensu. Walczy z tym, a ja moge niemal usłyszeć, jak jego wewnętrzny świat trzeszczy pod naporem obłędu.

– Zapomniałeś o najważniejszym, Howard – rzuca, a jego głos jest twardy jak kadłub lodolamacza kruszący arktyczny spokój. – Nasza artystka miała zaproszenie. My nawet awiza nie dostaliśmy. Jesteśmy intruzami.

– Amsler powiedział, że dostała je w galerii.

Dean zastanawia się przez chwilę, a potem na jego twarzy pojawia się ten znajomy, rozbawiony uśmiech. Tyle że nie ma w nim radości, jest tylko chłodne, wyrachowane szaleństwo.

– A czy my wyglądamy, kurwa, na krytyków sztuki? – rzuca niby żartem, ale lód w jego oczach mówi, że zabawa się skończyła.

– Możemy improwizować. Udawać, że jesteśmy kimś, kogo chcą zobaczyć.

– A więc Howard? – unosi brwi, czekając na wyrok. – Jaki masz pieprzony plan?

– Musimy sprawić, żeby nas zauważyli w galerii.

– I to wystarczy? Da nam bilet do piekła?

– Musi.

Brzmi fatalnie. I cholernie niebezpiecznie, ale obaj wiemy, że tam wrócimy. Pytanie nie brzmi: *czy, tylko kiedy ten teatr absurdu pochłonie nas na dobre.*

– Jeśli mamy tam wejść, musimy wyglądać, jakbyśmy do nich należeli – mówię, ściągając marynarkę i rzucając ją na krzesło. Chłód na plecach koi napięcie. A może to tylko złudzenie? Tak, to tylko iluzja normalności.

– No tak. Zbrodnie w sztuce wymagają stylu – mruczy z przekąsem, ale wiem, że jego myśli już błędzą w tym samym, mrocznym kierunku. Nadal waży ryzyko, ale szala przechyła się w stronę otchłani.

Patrzę na niego. Przez moment mam ochotę się roześmiać, głośno i histerycznie, ale ten śmiech w tym momencie wydaje się niemal bezbożny, niczym echo dzwonów bijących w kościele, w którym dawno zgasły wszystkie światła.

– Nie żartuję – mówię, wchodząc w rolę. – Jeśli to miejsce, gdzie kręcą się ludzie **Lux Aeterna**, nie możemy wyglądać jak gliniarze, którzy wpadli na herbatę.

Dean wie, że mam rację. W jego oczach na moment gaśnie ostatnie światło nadziei. Rozumie to, ale nie zamierza się z tym zdradzać. Zamyka to w sobie jak zwykle, chowając lęk za fasadą cynizmu. Przewraca oczami, ale odpina kaburę. Brzęk metalu brzmi jak niemy protest, jak ostatnie słowo rzucone w pustkę, której nikt nie słucha. Ostateczne zaprzeczenie, że ten cały plan ma jakikolwiek sens.

– Czyli co, mamy się zamienić w artystyczne łajzy? – burczy.

– Nie. W ludzi, którzy tam pasują.

Rozpinam mankiety i podwijam rękawy, jakbym przygotowywał się do patroszenia padliny, a nie do wizyty w galerii. Przedramiona mam żylaste, napięte. To nie jest rzeźba z drogiej siłowni, to mapa dekad spędzonych na szarpaniu się z brudem tego miasta. Koszula jest pognieciona dokładnie tam, gdzie powinna. Ma bić po oczach nonszalancją, która krzyczy: *mam was wszystkich w dupie*. Biel na górze, czerń na dole. Mundur kogoś, kto przyszedł tu z nudów, a nie z głodu informacji. Patrzę inaczej niż cała reszta tych estetycznych hien. Widzę żyły i krew pod świeżą farbą.

Dean podciąga rękawy jeszcze wyżej. Rozluźnia kołnierz, emanując czystą, destrukcyjną energią. On się nie dopasowuje, on infiltruje.

– Wyglądam jak pretensjonalny krytyk sztuki, który właśnie odkrył, że jego życie to farsa – rzuca, a w jego głosie slychać żwir.

– Idealnie. Wtopisz się w tłum.

– To co, pora wywlec z nory tego cholernego listonosza?

Kącik jego ust drga w czymś, co kiedyś mogło być uśmiechem, ale w tym momencie jest tylko nerwowym tikiem. To nie jest tylko żart, to wentyl bezpieczeństwa. Pod spodem, w tej ciemnej piwnicy jego psychiki, drży coś, czego obaj boimy się nazwać. Wyrzuca z siebie słowa bez puenty, jakby spluwał krwią po ciosie w zębra. Te puste słowa mają go ochronić przed poczuciem, że jest tu tylko kolejną ofiarą.

Drzwi zatrząskują się z głuchym, ostatecznym stuknięciem, jak wieko trumny. Brak płaszcza sprawia, że czuję się nagi. Mięśnie drżą w atawistycznym odruchu. Kiedyś, karmiąc się iluzją bezpieczeństwa, wierzyłem, że system mnie chroni. Teraz wiem, że system to tylko maszynka do mięsa, a ja właśnie zdjąłem jedyną warstwę izolacji. Ten brak tkaniny na plecach to nie chłód. To namacalne poczucie, że każdy cień za rogiem ma zęby.

Silnik mruczy nisko, przenosząc wibracje prosto do mojego kręgosłupa. Wszystko tu jest mechaniczne, wyprane z ludzkich odruchów.

Los Angeles za szybą nie jest miastem, to rozległa, ropiejąca rana, którą ktoś próbował przypudrować neonami. Realizm rozmywa się tu w matowym świetle, stając się nieuchwytna jak sen, z którego nie chcesz się obudzić, bo wiesz, co czeka cię po otwarciu oczu.

Zerkam w lusterko. Kiedy ostatni raz wyglądałem jak ktoś, kto ogląda sztukę dla przyjemności? Absurdalne pytanie, ale teraz nabiera mrocznego znaczenia. Bo to nie jest scena, którą wybrałem. To nie jest życie, którą planowałem przeżyć. To błąd w scenariuszu.

Wjeżdżamy na zachodnią stronę, gdzie brud jest po prostu droższy. Tu rytm miasta zwalnia, staje się dystyngowany i duszący. Domy na wzgórzach przypominają figury szachowe rozstawione przez znużonego boga. Każda czeka na swój ruch, każda jest gotowa poświęcić pionka. **Birchwood Lane** wita nas złotawym światłem, które nie ogrzewa, a jedynie oślepia. Przy krawężnikach gniją luksusowe wozy,

lśniące lakierem za miliony. Ludzie przesuwają się po chodnikach jak dobrze zaprogramowane manekiny. Mają czas, mają pieniądze i mają dusze tak puste, że echo ich kroków powinno rozrywać bębunki. Nie-naganni. Nieprawdziwi.

– Mów, jeśli wyczujesz smród – rzuca do Deana.

W tym miejscu nie ma krzykliwych reklam. Galerie chowają się za murem uprzejmości i prywatności. To twierdze zbudowane z arogancji. Rzeźby na dziedzińcach, warte więcej niż życie przeciętnego gliniarza, patrzą na nas z wyższością kamiennych oczu. Nikt tu nie szuka prawdy. Wszyscy szukają tylko lepszego sposobu na ukrycie kłamstwa.

– Hamuj – rzuca nagle Dean, a jego głos tnie powietrze. Wskazuje głową w lewo.

Patrzę tam. Kolejna willa, kolejna świątynia próżności. Jasne ściany, podjazd gładki jak sumienie polityka, elewacja z katalogu dla ludzi, którzy mają zbyt wiele do ukrycia. Na czarnej, minimalistycznej tabliczce wyryto:

Eclipse Gallery of Light

Nazwa brzmi jak beznadziejny żart w mieście, które od dawna tonie w mroku. Zatrzymuję wóz, ale nie gaszę silnika. Pozwalam mu mruzczyć, by w razie czego mieć pod ręką drogę ucieczki.

– Coś mi mówi, że to nie jest miejsce, gdzie wchodzi się, by kupić obrazek nad sofę – mruczy Dean.

Czuję to samo. Ta wyjalowiona perfekcja trawnika jest nienaturalna jak makijaż na zwłokach. Za szybami walczą światło i cień, a ja mam nieodparte wrażenie, że to nie my ich znaleźliśmy, tylko oni pozwolili nam podejść pod drzwi.

To miejsce nie pasuje do **Birchwood Lane**. Jest zbyt ciche.

Idziemy miarowo, ale każdy krok to walka z instynktem, który każe

spieprzać. Dean nadal porusza się jak detektyw. Jego oczy widzą to, czego inni nie zauważają. Niby spokojny, ale ruchy ma zbyt szybkie, wyćwiczone. Reaguje na to, czego nie widać, ale co czuć w powietrzu.

Wnętrze nas pochłania. Dosłownie. Przestrzeń jest wysoka i jasna, ale ma w sobie coś z próżni: *wysysa z ciebie tlen*. Kilka osób snuje się między dziełami sztuki jak duchy w czyścicu. Udują, że kontemplują obrazy, ale ich oczy są puste. Ktoś sączy wino, ktoś inny szepcze coś do ucha towarzyszki, ale ich uśmiechy są nienaturalnie miękkie, jakby wycięte z gumy.

Ciepłe światło liże rzeźby, które stoją w przejściach jak metalowi strażnicy, gotowi zacisnąć palce na twoim gardle. Zapach drogiej farby miesza się z mdlą słodyczą perfum. To nic więcej jak aromat luksusu podszyty rozkładem.

– Myślisz, że już się domyślili, że przyszliśmy spalić im ten teatrzyk? – pyta cicho, ledwo poruszając wargami.

– Zaraz nas poinformują – odpowiadam.

Wyczuwam ich spojrzenia. Nie są ciekawe, są oceniające. To jak przeciąg na karku w ciemnej alejce. Nie ma tu przypadku. Jesteśmy rybami w szklanym słoju, a ktoś właśnie puka w szybę.

Zatrzymuję się przy pierwszym płótnie. To chaotyczna plama ciemnych barw, ostre pociągnięcia pędzla przypominające rany cięte. Wygląda jak zderzenie dwóch światów: *jeden już płonie, drugi udaje, że wszystko jest w porządku*. Udują, że analizują fakturę, ale tak naprawdę skanują odbicia w szybach obrazów. Twarze, dłonie, ruchy. Większość gości to tylko statyści, ale jeden cień w rogu sali przykleił się do nas zbyt mocno. Patrzy zbyt uważnie. Jak rzeźnik wybierający najlepszy kawałek mięsa.

Marszczę brwi.

– Nie... nie czuję tego – rzucam, może odrobinę za głośno. Słowa brzmiały jak kamień rzucony w szklany sufit. – Artysta zapomniał o du-

szy, czy może sprzedał ją za ten jacht na podjeździe?

Dean podchodzi bliżej niż cień sunący po podłodze.

– Brakuje głębi. – Głos to miękki, jedwabisty kocioł trucizny. Patrzy na obraz, jakby widział na nim tylko metkę z ceną ludzkiego życia. – Gdzie ryzyko? Gdzie ten moment, w którym jest tylko czas na skok bez spadochronu?

Przecieram brodę, odsuwam się o krok, krzywię usta w grymasie, który ma udawać artystyczne cierpienie, a jest tylko oznaką zbliżającego się gówna. Dźwięki wokół nagle stają się odległe, jakbym zanurzył głowę w cuchnącej brei. Powietrze drży.

Wiemy, że gramy w szachy, i wiemy, że nasz przeciwnik jest tuż obok, ale nie widzimy jego twarzy. Spojrzenie pali mi kark. Uważne. Zimne. Oceniające. Jak nóż na gardle. On czeka na mój błąd. Na moment słabości, na drgnięcie powieki, które ujawni, że nie jesteśmy tu po to, by podziwiać sztukę, ale by wyciągnąć kogoś za fraki. Przedstawienie trwa, a ja czuję się, jakbym stał na scenie z kulą w komorze, musząc klaniać się publiczności, która klaszcze tylko dlatego, że jeszcze nie widzi krwi na moich dłoniach.

– Uważam, że problem leży w braku jaj, a nie techniki. Brakuje mu odwagi, by pokazać, jak naprawdę wygląda świat – mówię, cedząc słowa z pogardą.

Ruszam wzdłuż ściany. Kolejny obraz, ta sama zimna, wykalkulowana farsa. Czuję, że tonę w tym cholernym kiczu, czekając na gospodarza tego cyrku.

Dean kiwa głową. On już dawno przestał oddzielać życie od gry. Sam jest pociągnięciem pędzla, plamą na płótnie egzystencji. Jego gesty są celowe. Manifestuje swoją obecność, mówi: *jestem tu, sukinyzny, widzę waszą grę.*

– Bał się, że jak pójdzie dalej, to zobaczy własną twarz w lustrze? Że to, co wyjdzie, będzie tak samo puste, jak on?

– A może nie chciał zobaczyć demona? Tego, którego od zawsze nosi w sobie? – rzucam niby od niechcienia, ale w moich słowach nie ma lekkości. – Prawdziwa sztuka wymaga, byś wypruł sobie flaki na płótno. Kowal nie myśli o iskrach, które parzą mu skórę, on myśli tylko o ostrzu. Ostrzu, które zabija.

Te słowa wiszą w powietrzu jak smród. Każdy dźwięk w tej galerii staje się nagle podejrzany. Zanurzamy się w bagno, z którego możemy już nie wypłynąć.

– Może jeszcze nie znalazł właściwego medium – w głosie Deana pojawia się rozczarowanie. Nie sztuką, a ludźmi.

– Nie ma tu niczego, czego szukam. Tylko plastik i kłamstwa.

Słyszę ledwie uchwytny odgłos kroków. Zbyt lekkie. Ktoś tu jest, ale nie jest widzem. Jego obecność czuć w ciśnieniu krwi, w elektryczności w powietrzu. Stoję, gotów do ataku. Ciało napina się w milczeniu jak sprężyna. Oddech kontrolowany, mięśnie napięte.

Dźwięki cichną. Przestrzeń kurczy się wokół mnie.

Czas staje się lepki i powolny. I wtedy czuję ten niepokój, który rośnie, zamieniając się w czysty strach. Wpadłem w pułapkę, a teraz ktoś zamyka drzwiczki. Głos pojawia się znikąd. Miękki, uprzejmy, ale pod spodem czai się coś zimnego, coś, co nie pasuje do świata sztuki. Nie ciekawość. Nie czujność. Coś, co skrada się na krawędzi słów, zostawiając po sobie tylko drżenie strachu.

– Wybaczcie panowie, że podsłuchiwałem... – Głos dobiega zza kolumny, zanim jeszcze sylwetka rzuci cień. Mężczyzna wylania się jak postać z kiepskiego snu, który kończy się krzykiem. – Ale wasza pogarda... poczułem w niej autentyczną pasję. Szukacie natchnienia? Czy po prostu sprawdzacie, jak głęboko można splunąć na cudze starania?

Jego wejście to popis godny **Houdiniego**, gdyby ten zajmował się zawodowo zwabianiem ludzi w ciemne zaułki. On po prostu tam był,

jakby materializacja w samym środku naszej paranoi była jego jednym z najbardziej wyćwiczonych trików. Mistrz iluzji, który zbyt długo żył w cieniu, by teraz nie delektować się naszym zaskoczeniem.

Ubrany nienagannie, ale bez krzykliwego luksusu. Każdy szew, każdy guzik to deklaracja statusu kogoś, kto nie musi niczego udowadniać. Wygląda jak integralna część tej galerii. Tak samo zimny, jałowy oraz niepokojący.

– Inspiracja i krytyka to ta sama moneta, tylko po różnych stronach gardła – rzucam, odwracając się powoli. Słowa zostawiają osad w ustach. – Trudno tworzyć coś nowego, jeśli nie zliczy się najpierw wszystkich trupów, które zostawiła po sobie konkurencja.

Jego uśmiech nawet nie drga. To nie jest gest uprzejmości, to badanie gruntu, sondowanie naszych słabizn. Waży każdą pojedynczą sylabę, jakby szukał słabych punktów w naszych maskach.

– Pięknie powiedziane. Więc panowie... też *babrzą* się w tej materii? Tworzą?

– Czasem – rzuca Dean. – Kiedy znajdziemy coś ciekawego, co zasługuje na to, by przestało oddychać i stało się martwym obrazem.

Zatrzymuje wzrok na naszych ubraniach. Podwinięte rękawy, rozpięte kołnierze. Widzi nasz *kontrolowany* chaos i mam wrażenie, że chyba mu się on podoba.

– Możliwe, że jeszcze nie trafiliście na odpowiednią sztukę. – Jego ton zdradza pewną wyższość, ale nie bez ukrytej fascynacji. – Ale być może znam miejsce, które mogłoby was zainteresować.

Serce uderza mocniej, ale moja twarz pozostaje spokojna. Adrenalina zaczyna krążyć w żyłach jak kwas, a w głowie wyje alarm, którego nie zamierzam słuchać.

– Naprawdę? – pytam.

Mężczyzna nie mruga. Jego twarz to gipsowy odlew bez emocji.

– Chodźcie. Czas, żebyście zobaczyli coś, co nie jest przeznaczone

dla oczu tej bezkształtnej masy na zewnątrz.

Nie patrzę na Deana. Słyszę tylko, jak jego oddech staje się krótszy. Zgoda zapada bez słów, w tej ciszy, która zawsze zwiastuje kłopoty.

Mężczyzna rusza w stronę bocznych drzwi. Idziemy za nim jak *rodzina* za **Mansonem**, bez przymusu, z własnej woli, przekonani, że ktoś wreszcie nada temu sens. Nie ogląda się. Wie, że nasza nienawiść do tego świata i chora ciekawość to wystarczająca smycz. Obiecuje prawdę, wspólnotę i objawienie, ale nie mówi, że w tym miejscu prawda zwykle kończy się na stole sekcyjnym.

Po drodze zerkam na obraz. Czerwień i czerń splatane w przedśmiertnym uścisku. To my. To ta chwila. Początek końca.

Za drzwiami świat zmienia kolor na odcień starej krwi. Wąski korytarz, przytłumione światło, które zamiast prowadzić, zdaje się osaczać. Stare drewno trzeszczy pod ciężarem tajemnic, których nie da się już ukryć. Jest chłodniej, powietrze ma metaliczną, filtrowaną jakość. Pachnie inaczej. Pod słodyczą perfum i kurzu czai się coś pierwotnego, coś, co sprawia, że to miejsce wydaje się... świadome. Jakby ściany obserwowały nas, czekając, aż popelnimy pierwszy, nieodwracalny błąd.

Nieznajomy mówi do nas, nie zaszczycając nas nawet spojrzeniem. Jego głos nie zaprasza do dialogu. On ogłasza nasz wyrok, na który nie mamy prawa wnieść apelacji.

– Wyglądacie na ludzi, którzy szukają czegoś więcej niż tylko ładnej ramy do zasłonięcia dziury w sumieniu.

Każdy krok w głąb korytarza to stąpanie po krawędzi, każda myśl to ryzyko, że zdradzi nas drżenie źrenicy.

– Tak to można ująć – odpowiadam z wymuszoną flegmą. – Zwykle znajdujemy to, co inni woleliby zostawić w rynsztoku.

Skreca. Drzwi na końcu korytarza zdają cofać się, w miarę jak się zbliżamy, a czas zwalnia do konsystencji smoly. To jest ten moment.

Punkt krytyczny, w którym: *albo otworzy się przed nami prawda, albo ta ściana stanie się naszym ostatnim widokiem.*

Popycha skrzydło drzwi.

Wchodzimy. Nie widzę tu pułapki, przynajmniej nie takiej z metalu i sznurka. Jest tylko pomieszczenie, które zmienia reguły gry. Powietrze smakuje żywicą i sosną, ale pod tą leśną świeżością czai się mdlący odór rozkładu. Ściany są białe tylko w teorii. W rzeczywistości to cmentarzysko barw, które kiedyś tu rozlano. Są świadkami rzeczy, których nie da się zmyć wybielaczem. Podłoga jest lepka. Każdy krok wywołuje ten nędzny, mlaskający dźwięk, jakby deski próbowały wysać z nas życie.

Atelier. Miejsce, gdzie sztuka zastała samą siebie w stanie agonii.

– W tym świecie nie wystarczy chcieć. Trzeba udowodnić, że się do niego należy – mówi spokojnie. Odwraca się i mierzy nas wzrokiem. To nie jest ciekawość.

– Czym się zajmujecie? – To selekcja naturalna. On nie pyta o nasze imiona, on chce wiedzieć, co mamy w środku.

Dean nie bawi się w uprzejmości.

– Ekspresjonizm. Brutalny jak cios w zęby – mówi, krzywiąc głowę. – Sztuka, która nie zostawia blizn, jest tylko stratą farby.

Mężczyzna unosi brew, ale jego twarz pozostaje maską z granitu.

Przenosi wzrok na mnie. Czeka.

– Forma i dekonstrukcja – rzucam, czując na języku smak cynizmu. – Czasem to, co rozbite na kawałki, mówi o nas więcej niż ta wasza wygładzona, rzygająca doskonałością galeria.

Milczymy. Kuriozalnie długo. Napięcie między nami pęcznieje jak ropiejący wrzód. Jeśli go nie przekonamy, zostaniemy tu na zawsze jako kolejna plama na podłodze, której nikt nie raczy zauważyć.

Kącik jego ust drga. To uśmiech tak subtelny, że równie dobrze mógłby być pośmiertnym skurczem.

– Dobrze powiedziane, ale słowa są tylko słowami – jego głos staje się wyczekujący. – Pokażcie mi, jak to czujecie. Naprawdę.

Przez moment mam wrażenie, że źle odczytałem ten scenariusz.

– Co masz na myśli?

Jego palce suną po półce, mijając pędzle i szpachle.

– Tu nie ma widzów, panowie. Są tylko oprawcy i ofiary. Nazywamy ich artystami.

To nie jest przestroga. To akt otwarcia przedstawienia.

– Chcesz, żebyśmy...? – zaczyna Dean, ale mężczyzna uciska go jednym, lodowatym gestem.

– Chcę zobaczyć, czy wasze ręce potrafią robić to, o czym tak ładnie kłamią wasze usta. Udowodnijcie, że nie jesteście tu tylko po to, by marnować mój czas.

Całe ciało mi sztywnieje, zamieniając się w pancerz, który i tak nie chroni przed tym, co nadchodzi. To, co powiedział, nie jest tylko pytaniem. To glaz rzucony prosto w splot słoneczny, miażdżący resztki tchu. Jest żądaniem wyrwanym z tej dusznej chwili, która nie ma w sobie pasji, lecz jedynie chłodną, rzeźnicką presję.

Jego ręka spoczywa na stole z gracją drapieżnika, który już wie, że ofiara nie ma dokąd uciec. Każdy jego ruch jest płynny, ale nienaturalny, jakby pod skórą zamiast mięśni miał stalowe linki. Przestrzeń wokół nas ciemnieje od niewypowiedzianych gróźb. To nie jest galeria. To prosekorium, w którym to my leżymy na stole.

Co, jeśli zawieziemy? Co, jeśli nasza improwizacja okaże się tak samo pusta, jak te bazgraniny w głównej sali?

Kątem oka widzę Deana. Jest napięty jak cięciwa, gotowy puścić, rozplatać komuś gardło. Jego palce drżą. Nie strach; raczej vibracja silnika pracującego na zbyt wysokich obrotach. Niepewność targa nami jak wiatr strachem na wróble.

Nieznajomy wskazuje dłonią na półkę. Gest jest krótki, ostateczny.

– No? Czekacie na coś?

W gardle mam suchy piasek, który dławi każdy instynkt samozachowawczy. Muszę to zrobić. Musimy udowodnić, że też jesteśmy drapieżnikami, a nie tylko padliną w białych koszulach.

Podchodzę do sztalugi. Każdy krok dudni w moich uszach jak bęben egzekucyjny. Powietrze staje się ciężkie od paranoi. Dłonie same zaciskają się na szpachelce. Chłodna stal w dotyku przypomina nóż. Jedno spojrzenie na Deana. Nie ma w nim braterstwa, jest tylko wspólny pakt samobójczy. Zaczynamy rzeźbić w płótnie.

Sinéad Worthime. Jej wizje nie są sztuką. To są rany. Rany wyrwane z innej, ciemniejszej rzeczywistości, gdzie każda linia jest wykrzywiona przez cierpienie, a kolory nie współgrają, tylko walczą ze sobą. To malarstwo, które nie prosi o podziw, ono wgrzyza się w oczy, zostawiając pod powiekami osad z gniewu i rozpacz.

Dean odrzuca pędzle, jakby były zbyt cywilizowane. Wybiera palce. W jego ruchach nie ma krzty gracji, jest tylko pierwotna agresja. Rozciera czarny pigment tak gwałtownie, jakby chciał wydusić życie z samego płótna. Czerń nie pokrywa powierzchni... ona ją pożera, anihiluje wszystko, co białe i czyste.

Chwytam czerwień. Pot na karku stygnie, zamieniając się w lodowatą obrożę. Żuchwa boli od zaciskania zębów. Czas przestaje istnieć, rozpuszczony w oparach terpentyny. Szpachelka nie nakłada farby. Ona tnie. Każde pociągnięcie to głębokie nacięcie, z którego wypływa szkarłatna maź, spływając po płótnie jak z rozciętej tętnicy.

Czuję na sobie wzrok tego człowieka. To nie jest spojrzenie krytyka, to satysfakcja kogoś, kto właśnie patrzy, jak podpisujemy cyrograf własną krwią. Nie potrzebuje papieru. Wystarczy mu ten brud pod paznokciami Deana i moja desperacja.

Malujemy tak, jakby od każdego ruchu pędzla zależało, czy jutro rano poczujemy puls. Dean nagle uderza bielą. Bezlitosna, nagła linia

przecina ciemność niczym urwany krzyk kogoś, kto nie zdążył błagać o litość. Zatrzymuję się. Cofam o krok, a obraz przede mną zdaje się pulsować. Krawędzie czerwonych plam drgają, jakby pod płótnem coś żyło i próbowało się wydostać. To niemożliwe. Przecież to tylko farba... prawda?

Mrugam, ale rzeczywistość jest już zbyt rozmyta, by ją poskładać. Ten koszmar nie jest skończony, bo nic w świecie Worthime nigdy nie było domknięte. To chaos zamknięty w czterech listwach ramy. A teraz my staliśmy się jego częścią.

Nieznajomy podchodzi. Przez długą, duszną minutę analizuje nasze *dziela*. Jego spojrzenie jest jak dotyk zimnego ostrza na odsłoniętym nerwie. Ten spokój ma masę krytyczną, aż mam wrażenie, że zaraz wszystko wokół nas eksploduje. On nie ocenia kompozycji. On sprawdza, ile mroku udało nam się z siebie wyrzygać na to płótno.

Pigment spływa mi po nadgarstku, ciepły i kleisty jak krew. Nie wycieram go. Niech wsiąka. Moje dłonie drżą w niekontrolowanym rytmie. To nie było tworzenie. To była tragedia.

– Interesujące – odzywa się w końcu, a jego głos jest niski i gładki jak jedwab na trumnie. – Brutalne. Instynktowne. Prawie czuję smród waszego strachu w tych barwach. Wygląda na to, że jednak nie jesteście tylko turystami.

Dean prostuje plecy, ale to tylko mechaniczny odruch, fasada postawiona na trzęsawisku. Jego dłonie są napięte, a palce powykręcane w niemym skurczu, jakby ciało próbowało uciec od tego, co urodziło się w jego głowie. Walczy ze sobą, ale to walka z góry przegrana.

W tym pokoju nie ma już miejsca na litość dla samego siebie.

– To jest ta odpowiedź, której szukałeś, czy tylko kolejna dawka pretensjonalnego belkotu? – pytam, starając się, by mój głos brzmiał jak lód, choć w środku wszystko płonie.

Ten człowiek nie jest tylko obserwatorem. Jest architektem tego

koszmaru. Patrzy na nasze płótna z taką uwagą, jakby liczył każdą sekundę, która dzieli nas od ostatecznego upadku.

Potem uśmiecha się, ale to nie jest uśmiech. To szrama na marmurowej masce. Jest w nim świadomość kogoś, kto patrzy na dwa szczury w labiryncie i wie, że obie drogi prowadzą do rzeźni. Rozumie, że goniąc za prawdą, wpadliśmy w sidła czegoś, na co nie ma nazwy w żadnym kodeksie.

– Może. Tylko to jeszcze nie koniec.

Co, kurwa? Co on pieprzy?

Podchodzi do szuflady. Słyszę zgrzyt prowadnic. Ten zgrzyt wyciska powietrze z płuc, zostawiając w klatce piersiowej tylko pustkę i palący chłód. To dźwięk przekraczania progu miejsca, w którym sumienie zostaje ostatecznie porzucone.

– Pytanie brzmi: *czy to naprawdę jest wasza krew, czy tylko tani teatrzyk dla naimnych?*

Niepewność osiada mi na języku jak rdza, zostawiając metaliczny posmak strachu. Wyciąga coś z szuflady. Błysk metalu oślepia bardziej niż słońce. Nóż. Mały, elegancki. To nie jest narzędzie do walki, to narzędzie do skrupulatnego niszczenia złudzeń. Przesuwa nim po stole, a dźwięk tarcia stali o dębowe drewno wydaje się zdzierać warstwę ochronną z mojej duszy.

– Sztuka to ekspresja – cedzi. – Ale ekspresja bez ofiary to tylko onanizm. Prawdziwe poświęcenie wymaga blizn.

Dean zamiera. Widzę drżenie jego palców, ten nawracający lęk, który mówi jedno: *przekroczyliśmy już granicę*. Nie ma już powrotu do świata, gdzie ludzie kończą dzień przed telewizorem oglądając **David** **Lettermana** i śmiejąc się z jego list dziesięciu powodów.

Ten znajomy, bezpieczny głos z telewizora, te sarkastyczne żarty. Światła Nowego Jorku są teraz po drugiej stronie szkła, do której nie mamy już dostępu. Zostaliśmy sami w tej gniożącej ciszy, gdzie nikt

nie rzuca puenty, a program nigdy się nie kończy.

– Farba to tylko iluzja dla mas – kontynuuje nieznamomy. – Prawdziwa sztuka zostaje na skórze. Jak wyrok.

Podaje mi nóż. Rękojeść jest cięższa, niż zakładałem, jakby wykuto ją z grzechów wszystkich, którzy byli tu przed nami. Metal wrzyna się w moją dłoń, wciągając mnie w otchłań, w której nie ma już miejsca na *udawanie*.

– Zostawcie ślad. Znamię, którego nie przykryje żaden garnitur.

Ostrze wznosi się. Lśniące, zimne i twarde jak wyrok, który właśnie na siebie wydajemy. To nie jest akt odwagi, to czysta, destrukcyjna desperacja. Tu nie ma miejsca na ostrożność czy drżenie ręki. To nie jest dotyk, to pieczęć. Banalne miejsca zostawiliśmy za drzwiami galerii. Tu logika ma krawędź tnącą.

Rozpinam mu dwa guziki koszuli. Skóra pod spodem jest blada, bezbronna i obraźliwie spokojna, jakby nie wiedziała, że jej czas właśnie dobiegł końca. Zatrzymuję się na ułamek sekundy. Dłoń z nożem zawisa w powietrzu, ważąc resztki mojego człowieczeństwa.

Czy to można cofnąć? To pytanie jest martwe. Pauza między nami nie zapada, ona nas grzebie, ciężka i ostateczna jak wieko sarkofagu.

Dokonuję tego, co nieuniknione. To nie jest rana. To inskrypcja.

Wbijam ostrze pod jego obojczyk, jakbym nanosił ostatnią poprawkę na spartaczony szkic.

Skóra stawia krótki, gumowaty opór...

W końcu rozdziera się na dwoje, poddając się tej stali. To moment, który wgryza się głębiej niż jakakolwiek trauma. Nóż nie sunie gładko. On rwie tkankę w poprzek, z oporem, który czuję aż w nadgarstku. Każdy milimetr tego cięcia to kolejna spalona za nami galeria, kolejny most obrócony w perzynę.

To nie jest rana. To podpis pod cholernym cyrografem, którego nikt z nas nie czytał do końca. Krew nie tryska, ona wycieka leniwie.

Gęsta i ciemna jak stara farba, niosąca ze sobą zapach żelaza i końca pewnej epoki. Obserwuję, jak szkarłat wgrzyza się w nieskazitelną biel koszuli, jak bezlitośnie ją anektuje. Czerwień i biel zderzają się ze sobą w makabrycznym kontraście, tworząc plamę, która nie ma nic wspólnego z estetyką, tylko... z brutalną biologią. Rozlewa się nieregularnie, jak mapa terytorium, które właśnie podbiłem. Tylko tutaj, w tym dusznym atelier, ten sadyzm ma swój chory sens. Tylko teraz, gdy staliśmy się częścią pejzażu, którego nie da się już odzobaczyć. Zapisaliśmy się w tej historii atramentem, którego nie zmyje żadna pokuta.

Nieznajomy milczy. Śledzi każdy nasz ruch. Gest. Spojrzenie.

Dean odbiera nóż. Robi to z taką naturalnością, jakbyśmy od lat nie robili nic innego, tylko hobbistycznie znaczyli się stałą w dusznych pokojach. Nie mrugam. Patrzę mu prosto w oczy, szukając w nich resztek człowieka, którego znałem, ale widzę tylko odbicie zimnego ostrza. Jego ruchy są wyzute z jakiegokolwiek gracji. Palce zaciskają się na rękojeści, a chłód metalu przesywa powietrze między nami, zanim jeszcze dotknie tkanki. Dean się nie spieszy. Skurwiel z jakąś chorą, niemal nabożną czułością przykładła ostrze do mojej skóry i tnie. Ból nie jest zaskoczeniem.

Ciepła struga krwi rusza w dół mojej klatki piersiowej, mozolnie żłobiąc kanał w miejscu, gdzie kiedyś było poczucie bezpieczeństwa. Pierwszy dotyk. Ciecz jest zbyt gorąca w porównaniu z chłodem panującym w atelier. Wsiąka w materiał koszuli. Słyszę niemal ten mikroskopijny szelest nasiąkającej tkaniny.

Czuję ten ciężar, to już nie jest ubiór, to nasączony żelazem materiał, który stygnięciem przypomina mi o każdej sekundzie, która dzieli mnie od życia, jakie znałem jeszcze godzinę temu.

Dławię oddech w gardle, skupiony na tym, jak życie powoli wycieka ze mnie, by stać się częścią tej chorej wystawy. Nie muszę patrzeć na ranę. Rejestruję ją jako nową, jedyną znaną mi część mnie. Każdy

oddech, minimalny ruch ciała sprawia, że krew pełznie coraz niżej, znacząc terytorium, którego nigdy nie powinniśmy byli odwiedzać. Staliśmy się własną sztuką.

Jesteśmy teraz tylko pigmentem w rękach człowieka, który patrzy na nas, jakby właśnie odkrył sposób na nieśmiertelność przez zniszczenie.

– Majestatyczne – mówi spokojnie. Brzmi tak, jakby mówił o sakrum, o czymś, co wymaga absolutnego skupienia i kontemplacji.

Dla niego to, co widzi, wykracza poza zwykłą formę. To czysta esencja, sens sam w sobie. On nie widzi fizycznego zniszczenia, nie liczy ran na naszych ciałach.

Ignoruje to, co kryje się pod białą koszul i ciemniejącymi plamami na skórze. On widzi objawienie sztuki, dokładnie takie, jakie sobie wymarzył: *brutalną, krwawą i ostateczną*.

– Myślę, że możemy porozmawiać o kolejnych krokach – jego słowa zmieniają ton, a my stajemy się czymś więcej niż tylko przypadkowymi postaciami w jego galerii.

Nie jesteśmy już amatorami ani intruzami. Patrzy na nas jak na *równych sobie* jak na współtwórców. Przesuwa wzrok po tym, co po sobie zostawiliśmy. Dla nas to tylko ból i błędy. On dostrzega w tym *geometrię poświęcenia*. Coś, co umknęłoby każdemu innemu. Te znaki, ta wilgoć na ubraniach, ten dreszcz... dla niego to narracja, historia, która nie potrzebuje słów, by krzyknąć o swojej prawdzie.

– Przyznam panowie, że miałem was za zwykłych pozerów – rzuca, a jego głos, choć surowy, wibruje od autentycznego, ale zarazem chorobliwego podziwu. – Te wasze wcześniejsze podrygi na płótnie... to był belkot. Chaos bez celu. Miały w sobie jakiś powidok pasji, ale brakowało im tego ścierwa, o którym tak namiętnie pieprzyliście przy obrazach. Myślałem, że jesteście tylko parą wymuskanych laleczek, które boją się pobrudzić ręce czymś więcej niż drogim winem.

W powietrzu wiszą jego słowa, a każde z nich zdaje się pulsować, sprawdzając naszą wytrzymałość.

– Próbowaliście szczekać w języku, którego nie znacie. Udawaliście drapieżników, nie wiedząc nawet, jak smakuje żelazo we własnych ustach, ale to... – wskazuje palcem na rany, a w jego oczach błyska coś nieludzkiego. – To jest autentyczne. W końcu przestaliście recytować wiersze i zaczęliście wyć. Witajcie w rzeźni, panowie. Dopiero teraz zaczynamy prawdziwą rozmowę.

Milczymy. Wokół nas nadal czuć chorą atmosferę. Moment styku dwóch światów. Przeszłość jeszcze nas trzyma, ale przyszłość już zaczęła brać głęboki oddech. Nie mrugam. Powoli dociera do mnie, że to nie był przypadek. Jego uznanie nie jest tylko komentarzem. To fundament pod coś, co właśnie zaczyna nas kształtować.

Oddycham płytko, wciąż napięty, oszołomiony tą nagłą zmianą statusu. Wiem, tak samo, jak Dean, że teraz każde drgnienie powieki może przeważać szalę. To nie jest już rozmowa o obrazach, a audyencja u kogoś, kto właśnie uznał nasze istnienie za konieczne.

– Może jednak wyciśniemy z was coś więcej. – Jego uśmiech jest tak nikły, że niemal go nie ma.

Nieznajomy patrzy na nas nasycony chorą satysfakcją boga, który właśnie ulepił coś z błota i gówna. To triumf kogoś, kto zmusił nas do przekroczenia linii, o której istnieniu nawet nie wiedzieliśmy. Do pokazania talentów, których umówmy się... nigdy nie mieliśmy.

Sięga ręką do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wstrzymuje ruch, podejmuje decyzję, której nie może odwołać.

– Jeśli naprawdę szukacie natchnienia... jeśli chcecie wbić się na szczyt tej padliny, którą nazywamy elitą... – jego głos opada niemal do szeptu, od którego cierpnie skóra. – To **Lux Aeterna Silentium** właśnie rozchyliło przed wami nogi. Jutro odbędzie się pierwsza lekcja waszego nowego życia. Przyjdźcie, zanim natchnienie wyparuje

z was wraz ze strachem.

Podaje mi kopertę. Jej ciężar jest fizyczny, niemal miazdzący. Kiedy ją chwytam, on nie puszcza. Zatrzymuje dłoń na ułamek sekundy dłużej, wbijając mi wzrok w oczy. Sprawdza, czy dociera do mnie, że właśnie odebrałem bilet w jedną stronę do miejsca, z którego wraca się tylko w czarnym worku.

– Nie muszę dodawać, że jeśli stchórzycie... to wasze języki zostaną tu na stałe? – wypowiada to tonem tak płaskim i suchym, jakby odczytywał punkt w umowie najmu. Nie ma w tym złości, jest tylko chłodna pewność, która sprawia, że każde słowo uderza w stół z ciężarem żelaza.

Dean, który do tej pory stał jak posąg, strzepuje niewidoczny pyłek z rękawa. Robi to z taką pogardą, jakby cała ta sytuacja była tylko uciążliwym zabrudzeniem na ubraniu.

– Oczywiście – rzuca krótko. W tym słowie nie ma lęku. Jest tylko zimna akceptacja faktu, że właśnie staliśmy się częścią tego plugawego przedstawienia...

Kiwam głową, czując, jak koperta parzy mnie przez dłoń. To, co jest w jej wnętrzu, będzie nas zreć od środka. Każdy gram tej wiedzy będzie osiadał na sumieniu jak smog, którego nie da się wykasłać.

– Może lepiej nie wychodźcie frontem – rzuca, a w jego oczach nie ma ani grama ciepła. – Ludzie nie lubią patrzeć na artystów, którzy tak dosłownie *krwawią* za swoją sztukę.

Zanim zdążę splunąć komentarzem, odwraca się i prowadzi nas do wyjścia. Światło jarzeniówek migocze w agonalnym rytmie, raz oślepiając, raz rzucając nas w brudny mrok, a ja czuję, jak materiał koszuli, przesiąknięty krwią, zaczyna zastygać i kleić się do skóry w obrzydliwym, chłodnym uścisku. Ciepło rany ustąpiło miejsca lodowatej wilgoci, która rozchodzi się po klatce piersiowej.

Dean poprawia koszulę, ale to tylko pusty gest. Patrzę w jego oczy

i widzę tam to samo, co czuję pod własnymi żebrami: *obaj wiemy, że nie da się tego zamazać żadnym ruchem ręki*. Nie wyglądamy jak goście, którzy wymienili uprzejmości. Wyglądamy jak ludzie, którzy właśnie sprzedali coś, czego nie da się odkupić za żadne pieniądze świata. I najgorsze jest to, że zrobiliśmy to z własnej woli...

Metalowe drzwi otwierają się na tylną uliczkę, a chłodne powietrze uderza mnie w twarz jak liść od kogoś, komu wiszę kupę pieniędzy. Jest ostre, martwe i próbuje mnie przekonać, że w tym mieście nie ma już miejsca na nic, co ma temperaturę wyższą niż krew na mojej koszuli.

– To już wasze bagno. Sami zdecydujcie, jak głęboko chcecie w nie wleźć – rzuca nieznajomy, opierając się o framugę z tą swoją nieludzką obojętnością.

Nie odpowiadamy. Nie mamy czym. Przez jedną sekundę czuję, jak coś za naszymi plecami zatrząskuje się na amen. To nie tylko drzwi. To bariera, której nie przeskoczy nikt, kto nie ma pod paznokciami tego samego brudu co my. Ulica przed nami jest pusta i jałowa, dokładnie tak jak powietrze, które próbuję wepchnąć do płuc.

– Ruchy – rzuca Dean. Jego głos jest suchy, pozbawiony jakiegokolwiek barwy.

Idziemy, odgrywając tę nędzną farsę. Udajemy, że wciąż nad czymś panujemy. Krok za krokiem, bez pośpiechu, choć każda sekunda waży tonę. Każdy oddech jest przesiąknięty tą samą, nieuchronną świadomością: *naszą godność została właśnie przeżuta przez mechanizmy tego miasta i wypłuta prosto w brudną uliczkę*.

Staliśmy się częścią miejskiego ścieku, pocieszając się kłamstwem, że to jedyna droga do źródła prawdy.

Docieramy do Forda. Drzwi zamykają się z miękkim stuknięciem, które w tej pustce brzmi jak wystrzał. Opieram głowę o zagłówek, czując podłą, zimną skórę obicia na karku. Zamykam oczy, ale pod

powiekami wciąż widzę ten nóż.

Dean zerka na mnie, a potem na kopertę, którą ściskam w dłoni.

– No to mamy pieprzony bilet do cyrku – mówi, a jego słowa, zamiast przynieść ulgę, tylko pogłębiają ten dół, w którym siedzimy.

Przesuwam kciukiem po szorstkim papierze. Pod palcami czuję wytłoczony symbol. *Maska*. Cały ten syf, w który wdepnęliśmy, zamknięty w jednym, niemym znaku.

Symbol, który obiecuje wszystko i nie gwarantuje niczego, poza kolejną dawką upodlenia. Czy tam, dokąd zmierzamy, istnieje jeszcze jakakolwiek droga powrotna, czy właśnie spaliliśmy ostatnią mapę?

Budynki za szybą zlewają się w plamy jasności i cienia. Świat wokół nas zdaje się tracić konsystencję, jakby sam nie wiedział, czy jeszcze chce istnieć. Każda mila, którą mijamy, poszerza dystans między nami a resztą *normalnych* ludzi. Oni śpią, my krwawimy.

Koperta leży między nami jak trup w szafie. Śmierdzi tak samo. Jedziemy przez ziemię bezpłodną, gdzie światło latarni rozmywa kontury świata, zamieniając Los Angeles w jedno wielkie, neonowe wyspi-sko. To jest nasze współczesne **Limbo**. Poczekałnia dla tych, którzy już nie pasują do światła, ale wciąż boją się całkowitego mroku.

Został nam tylko kierunek i ta koperta, promieniująca chłodem jak relikwia zmarłego boga, którego właśnie zdradziliśmy.



Jak lustrzane odbicie

Najpierw czuję tępy, miarowy puls pod obojczykiem, jakby pod skórą uwiecziono drugie, mniejsze serce. Kiedy dotykam rany, ból eksploduje, zastygając w ułamku sekundy. To już nie jest skaleczenie. To palący żar, jakby ktoś wbijał mi rozżarzony pręt prosto w kości. Każdy milimetr ruchu wywołuje nową, gorącą falę, która promieniuje wzdłuż ramienia, wykręcając nerwy. Ciemna, kleista krew ścieka leniwie, jak coś, co desperacko śni o wolności, ale potrafi tylko brudzić.

Smuga zamienia się w ciekłą rzekę, która zbiera się na krawędzi dłoni i rytmicznie kapie do umywalki. Czerwień miesza się z białą porcelaną z jakąś chorą, niepokojącą harmonią. Mydło tylko pogarsza sprawę; rozmazuje ślady, zamieniając krew w blad różową maź, która zdaje się rumienić z zażenowania własną obecnością. Nie ma tu czym oddychać. Ściany łazienki zaciskają się wokół nas, a nasze dłonie, niczym te u **Lady Makbet** zostają naznaczone na amen. Żadna chemia tego nie zmyje.

Dean stoi obok, nieruchomy jak nagrobek. Koszula wisi na nim bezkształtnie, ramiona ma spięte tak mocno, że zaraz rozerwą mu mięśnie. Przyjmuje ten ból na klątę z tą swoją cholerną, męczeńską godnością, nie dając sobie prawa do najmniejszej słabości. Gapi się na lustro, ale w jego odbiciu nie ma nic. Tylko martwa pustka, która potwierdza, że cała ta szopka nie miała najmniejszego sensu. Mechanicznie przemywa rozcięcie, skupiony na tym, by nie rozpaść się na kawałki. Słyszę tylko, jak wciąga powietrze przez zęby. Krótki, suchy świst.

To nie jest skarga, to tylko wentyl napięcia, którego nie da się już zdusić wewnątrz. Ból przelatuje przez jego twarz i znika, nie zostawiając żadnego śladu na tej woskowej masce. Nie syczy. Nie przeklina. Po prostu robi to, co musi zrobić rzeźnik po skończonej robocie.

Moja koszula? Nadaje się tylko do spalenia. Jest przesiąknięta krwią, potem i dusznością tego parszywego atelier. Stała się tak obca, że czuję, jak mnie dusi. Ściągam ją powoli, milimetr po milimetrze.

Zakrzeplony materiał wgrzył się w ranę, odrywa się ze skórą, nie chcąc mnie puścić. Ból pulsuje teraz gdzieś w tle, jako stały akompaniament do tego wszystkiego, co właśnie bezpowrotnie się skończyło.

– Pieprzony teatr – warczy Dean. Głos ma chrapliwy. Wciąż tkwi w swojej roli, nie potrafiąc zdjąć maski, która wrosła mu w twarz głębiej niż to ostrze.

Wychodzimy. Jarzeniówki na korytarzu tną po oczach jak żyłki, wywlekając nas z transu prosto w tę durną, szarą egzystencję. Ciało skomle o mrok, o jakiś ką, gdzie mogłoby gnić w spokoju, zamiast paradować w tych za dużych koszulkach ze schowka, które śmierdzą stęchlizną i cudzym upadkiem. Jesteśmy jak neofici, których ktoś siłą wyciągnął z rzeźni i kazał im udawać cywilizowanych ludzi.

Nie robimy nawet trzech kroków, gdy zza rogu wypłuwa się stary... Marszczy brwi, oblatując nas wzrokiem, jakbyśmy byli jakimś rzadkim rodzajem pleśni na jego idealnie wypolerowanym wydziale. W jego oczach widzę zniecierpliwienie zmieszane z rozbawieniem, ale ani grama ludzkiego zainteresowania. Dla niego nie jesteśmy ludźmi. Jesteśmy zmarnowanym kapitałem, usterką w statystykach, która nie dowozi wyników.

– Co to, kurwa, ma być? – warczy, patrząc na nas z pogardą, jaką rezerwuje się dla dzieci, które usmarowały się błotem w niedzielnym ubraniu. – Wakacje w slumsach?

To słowo, *wakacje*, uderza mnie mocniej niż ból pod obojczykiem. To splunięcie w twarz komuś, kto właśnie wyciął sobie kawałek duszy, żeby kupić pieprzony trop. Patrzę na niego i czuję, jak w środku umiera we mnie ostatnia chęć do jakichkolwiek wyjaśnień. Jestem zbyt pusty, żeby go nienawidzić.

– Straciliśmy koszule – rzuca Dean. Głos ma płaski, wyprany z jakiegokolwiek emocji.

– Straciliście koszule? – Stary mieli te słowa w ustach, jakby sprawdzał, czy to nowa odmiana żartu, na który nie ma czasu. – Koszule, kurwa? Serio?

Dean tylko wzrusza ramionami z tą swoją nieludzką obojętnością. Gość dawno temu przestał się przejmować tym, co myśli o nim świat, i teraz tylko patrzy, jak ta cała biurokratyczna farsa toczy się dalej.

Stary wypuszcza powietrze przez nos, jakbyśmy zmarnowali mu najcenniejszą minutę życia. Wskazuje palcem na biurka.

– Do roboty. I ubierzcie się jak ludzie.

Ruszamy bez słowa. Sięgamy po marynarki. Ten banalny gest wydaje się teraz aktem ostatecznego zakłamania. Materiał trze o świeże rany, wgryza się w surowe mięso pod obojczykami. Ciało pulsuje, wyje z wściekłości, protestując przeciwko powrotowi do *normalności*.

Każdy ruch to przypomnienie, że tamci dwaj faceci, którzy weszli do tamtego atelier, zostali tam na zawsze. Teraz ci tutaj to tylko ich krwawiące kopie. Parzy, boli, piecze, ale nie mrugamy. Już nie. Jesteśmy profesjonalistami w kraju kłamstwa.

Stary nagle zatrzymuje wzrok na kopercie. Jego ciało sztywnieje niczym u rekina, gdy ten wyczuje krew w wodzie.

– Co tam macie?

– Trop – Dean zapina guziki marynarki, powoli, celebrując każdą sekundę bólu.

– Grubszy niż sądziliśmy – dodaję, a mój palec sunie po szorstkim papierze. Wytłoczona maska wbija mi się w skórę, jakby chciała mi przypomnieć, że teraz należy do mnie. Że to ona będzie teraz mówiła za nas.

Stary spleta ręce na piersi. Wydaje z siebie dźwięk, który jest bardziej syknięciem niezadowolenia niż pytaniem o konkrety.

– Coś konkretnego?

– Pracujemy nad tym – klamię prosto w tę jego zadbaną mordę,

zastanawiając się, czy jeszcze nad czymkolwiek panujemy. – Ale jesteśmy tak blisko, że czuję smród.

Jego spojrzenie twardnieje. Zrozumiał, że dokopaliśmy się do czegoś, co może pobrudzić nawet jego nieskazitelny dywan. Kiwa głową, ale bez satysfakcji.

– Dobrze, ale bez wyglupów, panowie. Nie chcę sprzątać po was kolejnego syfu.

Odwraca się i odchodzi. Słucham echa jego kroków, które milkną w korytarzu, zostawiając nas samych z tą kopertą, która promieniuje mrokiem jak radioaktywny odpad po wybuchu w Czarnobylu... Nie widać go gołym okiem, ale czujesz, jak z każdą sekundą przenika przez skórę, niszcząc w nas wszystko, co jeszcze było zdrowe. To niewidzialna śmierć, która nie potrzebuje cholernego noża. Wystarczy jej sama nasza obecność w tym pomieszczeniu. Powietrze wokół koperty drga, nasycone izotopem strachu, którego nie da się już z nas wypłukać.

Dean opada na krzesło, dłoń przesuwał przez włosy w szybkim, niemal automatycznym geście.

– Bez wyglupów... – powtarza cicho, rzucając okiem w stronę koperty. – Trochę, kurwa, za późno na bycie porządnym.

Nie rozmawiamy o tym, co się wydarzyło. To nie ma sensu. Zostaje nam tylko czekanie, aż ta gesta maź, w którą wdepnęliśmy, ostatecznie nas unieruchomi.

Telefon wibruje w kieszeni. Alison. Wychodzę na korytarz, opieram się o zimną ścianę, czując pod powiekami piasek. Odbieram.

– Mów.

– Spotkajmy się.

Alison nie dzwoni, żeby pogadać o pogodzie. Wyciąga mnie z biura prosto w chłodny deszcz, bo informacja, którą ma, jest zbyt toksyczny wyziew dla sieci komórkowych.

– Gdzie?

– Ty wybierasz.

Nie mam ochoty znowu jechać do jej firmy.

– Wiesz może, gdzie jest **Point Ice**?

– Znajdę. O dwudziestej.

Nie czeka na moją odpowiedź. Po prostu się rozłącza.

Przez chwilę trzymam telefon przy uchu, czekając na jakikolwiek dźwięk po drugiej stronie. Po chwili chowam go do kieszeni i wracam, wciąż czując ten ciężar, który niesie się za mną.

– Coś ważnego?

– Nic, czym musisz się przejmować.

Siadam, sięgam po teczkę, ale wiem, że jego wzrok nie przestaje mnie ścigać. Czuję to. I mimo że nie odzywa się ani słowem, czuję, że chce coś powiedzieć. Tym razem jednak nie pyta. Nagle zrywa się, poruszony impulsem, który nie wiadomo skąd przyszedł. Jego ciało napręża się, a spojrzenie staje się ostrzejsze.

– Cholera.

Podnoszę wzrok.

– Co? – pytam.

– Nagranie. Tak bardzo skupiliśmy się na tym całym gównie, że...

Urywa. Nie musi kończyć. Wyciągam płytę. Jest zimna i obca.

Wkładam ją do napędu, który reaguje metalicznym zgrzytem, jakby krztusił się tym, co mu podaję. Monitor migocze, obraz drga w konwulsjach zakłóceń. Segmenty ramek przesuwają się niezależnie, tworząc chaotyczny kolaż, z którego powoli wylania się sklep plastyczny na **Greenpoint**. Zamrożony w czasie, martwy jak wszystko inne dzisiejszego dnia.

Nagranie rusza. Piątek, **8:04**.

Drzwi się otwierają. Niski, lysiejący mężczyzna wsuwa klucz do zamka. *Klikięcie* ledwo słyszalne. Ruch odruchowy, powtarzany przez

lata. Światła rozbłyskują niemal natychmiast. Jarzeniówki zaczynają buczeć. Monotonnie, natarczywie.

Przyspieszamy. Czas na ekranie płynie nienaturalnie szybko, zmieniając ludzi przechodzących obok sklepu w smugi bez znaczenia.

9:17. Pojawia się pierwsza zjawa. Starsza kobieta w płaszczu tak ciężkim, że ledwo ciągnie torbę, która podskakuje w rytm jakiegoś ponurego, absurdalnego marszu. Grzebie w pędzlach, kartkuje zeszyty, jakby szukała sensu w śmieciach. Po dziesięciu minutach znika, zostawiając po sobie jedynie mialki obraz pustego sklepu.

– Fascynujące. Prawdziwy teatr absurdu – burczy Dean, a blask monitora wypala mu odbicie w rozszerzonych źrenicach.

Przewija. **10:34.** Wchodzi szczur. Chłopak w kapturze, dłonie ukryte w kieszeniach, sylwetka zgarbiona pod ciężarem własnej nicości. Nerwowe spojrzenia, rwany, spłoszony krok. Znika za regalami.

– Złodziej amator albo ktoś, kto jeszcze nie nauczył się kłamać bez mrugania okiem – rzucam, opierając skroń na dłoni.

Cyfry w rogu ekranu pędzą. Południe. Wtedy pojawia się on.

Mężczyzna w długim płaszczu, czarne skórzane rękawiczki, które na tym ziarnistym nagraniu wyglądają jak martwa, obca tkanka. Staje w progu, a jego obecność jest jak plama atramentu, która rozlewa się po sklepie, pochłaniając światło, tlen i resztki nadziei. Kamera gubi twarz w cieniu. Widzę tylko metodyczny, odczłowieczony ruch. Mija farby, staje na sekundę, wbija wzrok w obraz nad kasą. Nie dotyka, nie pyta. Po prostu tam jest. Nieruchomy. Jak błąd w systemie, który czeka na egzekucję. W końcu obraca się lekko w stronę obiektywu.

– Stop! – wykrzykuje. Mój głos jest obcy, trupi.

Dean uderza w klawisz. Obraz zamarza.

W pomieszczeniu wszystko zamiera, ale to inny rodzaj bezruchu. Wciska się pod żebra i rozpycha tam niczym nowotwór. Niepokój osiada mi na karku, lodowaty i przytłaczający jak wieko trumny.

Wpatruję się w ekran, desperacko szukając wady. Zła sylwetka. Nie ten chód. Ręka uniesiona za wysoko. Cokolwiek, co pozwoliłoby mi odetchnąć.

Dean odwraca się powoli. Maską cynika, którą nosił przez dekady, właśnie pękła, odsłaniając surowe, pierwotne przerażenie.

– Howard... – szepcze prawie bezgłośnie. – Jeśli to nie ty... to kto to jest?

Nie jestem w stanie wydusić słowa. W uszach dzwoni mi wysoki, metaliczny dźwięk. Na ekranie widzę sylwetkę, która nie ma prawa istnieć poza moimi najgorszymi koszmarami. To nie błąd kamery. To nie jest zniekształcenie. To ja...

To mój **Doppelgänger**.

Mroczny falsyfikat, który wylazł z cienia, by wymazać oryginał. Patrząc na własną tożsamość, którą ktoś ukradł i zapisał na tym nędznym, magnetycznym nośniku. Widzę siebie w formie przefiltrowanej przez absolutny mrok, przez coś, co nie posiada duszy, a jedynie moją twarz. To jak odbicie z drugiej strony lustra, które przypomina mi, że w świecie zimnych obiektów nie liczy się to, kim się czujesz, ale to, co zarejestrował czujnik. Moje życie właśnie przestało należeć do mnie. Stało się własnością cyfrowego cienia, który patrzy na mnie moimi własnymi, martwymi oczami.

Ta sama linia żuchwy, twarda i bezlitosna. Ta sama zmarszczka przy lewym oku, która wylazi na wierzch tylko wtedy, gdy mózg zaczyna mieć dane na najwyższych obrotach. Mój płaszcz, ten, który zakładam, gdy poranki przestają kąsać, a zaczynają tylko dręczyć.

Te same gesty. Powracające odruchy, których nie kontrolujesz, bo są starsze niż twoja świadomość.

Moje ciało. Mój chód. Moja twarz...

Ukradziona i wklejona w miejsce, którego nie pamiętam.

– To niemożliwe – mówię, a raczej chcę. Wypada z ust, ale dźwięk

umiera między krtanią a powietrzem, zostawiając w ustach suchy posmak porażki.

Nasza relacja, scementowana krwią w tamtym atelier, właśnie zaczyna gnić. Dean staje się sędzią, który na szali kładzie moją niewinność i to cyfrowe ścierwo, które nie zna litości. Nie spuszcza wzroku. Milczy, skanując obraz, szukając chociaż jednej fałszywej nuty w tej dobrze znanej melodii mojego istnienia.

– To musi być błąd. Symulacja, jakaś pieprzona sztuczka – mówię, ale ton mojego głosu zdradza mnie bardziej niż nagranie. Dean mi nie wierzy. Co gorsza, ja sam przestaję sobie wierzyć.

Zostajemy obaj w dusznym bezruchu jak w ciasnej trumnie zbudowanej tylko dla mnie. Obraz na ekranie ani drgnie, a we mnie wszystko się rozpada. Widzę, jak twarz Deana sztywnieje.

– Byłeś tam w piątek, Howard? – rzuca. Banalne pytanie, proste jak strzał w potylicę.

Powinienem odpowiedzieć od razu, ale w głowie mam tylko biały szum. Żadnego obrazu, żadnego zapachu, żadnego wspomnienia. Tylko opór materii. Umysł wbity w betonową ścianę. W końcu wypływam z siebie to jedno słowo:

– Nie. – Choć brzmi to tak, jakbym sam siebie próbował przekonać do nędznego kłamstwa.

Dean mruży oczy. Nic nie mówi, a to milczenie jest gorsze od oskarżenia. Wciągam powietrze, ale tlen nie dociera tam, gdzie powinien. *Piątek. Sklep. Kobieta. Szklarnia. Mój głos w nagraniu.* Staram się to poskładać, ale te puzzle pasują do siebie tylko w wersji, w której jestem mordercą.

– Howard, to się kurwa nie klei – mówi w końcu, a jego głos jest zimny jak kwiaty na sukience Mercer. – Kobieta jest martwa jak trup. Ma twój portret w mieszkaniu, a ty twierdzisz, że jej nie znasz. Nadażasz? Trop prowadzi do sklepu, w którym akurat robisz zakupy? I nie

kupowałeś tam bułek ani flaszki. To nie jest miejsce, do którego trafia się po drodze do domu.

Każde słowo wbija mi się pod żebra. Dean zaciska usta w cienką linię, a jego palce bębnią o klawiaturę w rytmie egzekucji. To już nie jest mój partner. To śledczy, który wyczuł krew.

Wciska *play*. Nagranie ożywa. Cyfrowy Howard podchodzi do lady. Widzę, jak porusza wargami, rozpoznaję ten specyficzny, arogancki ruch szczęki. Sprzedawca znika na zapleczu i wraca z puszką.

Wszystko jest idealne. Poza jednym: *ja tego nie pamiętam*. Albo tracę rozum, albo mrok, którego szukaliśmy, właśnie zaczął patrzeć na nas z mojego własnego odbicia.

Obraz na monitorze aż wyje od nadmiaru detali, ale w mojej głowie jest tylko biała, jałowa plama. Nie pamiętam tego miejsca. Nie pamiętam tego dnia. A już na pewno nie pamiętam, żebym kupował cokolwiek w tym pieprzonym sklepie dla artystów-amatorów.

– I jeszcze kupujesz ten cholerny werniks? – Głos Deana jest niski, wibruje tym specyficznym tonem, który wrywa prawdę razem z korzeniami. To nie jest pytanie. To gilotyna, która czeka na mój kark.

– Nie byłem tam – rzucam. Moje słowa brzmią jak zdarta płyta, jak automatyczny odruch obronny kogoś, kto już dawno przegrał.

Jego wzrok przewierca mnie na wylot, szukając choćby milimetrowej szczeliny w mojej masce, przez którą wylałoby się kłamstwo.

– Nie byłeś – powtarza moje słowa, mieląc je w ustach jak kawałek skórzastego, surowego mięsa. Szuka w nich smaku prawdy, ale znajduje tylko popiół. Przenosi wzrok na ekran i wskazuje podbródkiem na moją kopię. – No to, kto to jest, do kurwy? Twój zaginiony brat bliźniak, o którym zapomniałeś mi wspomnieć? Czy demon, który ukradł ci płaszcz?

Na ekranie moja twarz wykonuje ten sam, doskonale mi znany ruch głową. Ten Howard bierze werniks do ręki. Płaci za niego. Jak

mam udowodnić, że nie jestem gościem, który patrzy na mnie z nagrania moimi własnymi oczami? Próbuję przelknąć ślinę, ale w gardle mam tylko zawieszistą, gorzką smołę.

– To nie ja – powtarzam, a każde słowo smakuje jak najpodlejsze kłamstwo świata. Czuję to w każdym porze skóry, w każdym uderzeniu serca.

Dean odpycha się od biurka. Krzesło zgrzyta o podłogę jak pilnik o zęby. Wzdycha, przeciera twarz dłońmi, jakby chciał zetrzeć z niej całą tę sytuację. Wstaje gwałtownie, nie mogąc znieść ciężaru tej chwili. Jego kroki są ostre i niosą się po pomieszczeniu. Idzie w stronę tablicy z dowodami, ale nie patrzy na zdjęcia trupów. Patrzy w pustkę.

Ja nie siedzę przed monitorem. Ja stoję na krawędzi pieprzonego urwiska, balansując na palcach jak **Głupiec** z talii tarota. Tylko że ja, w przeciwieństwie do niego, doskonale widzę rzeźnię, która czeka na mnie na dole.

– Stary, nienawidzę tego – rzuca, stojąc do mnie plecami. Te słowa nie są ostrzeżeniem. To dzwon pogrzebowy. Wielki, mosiężny, bijący prosto w moje bębrenki.

Odwraca się. Znowu to robi... mierzy mnie wzrokiem, który rezerwuje dla seryjnych morderców i pedofilów w pokoju przesłuchań. To spojrzenie, które wbija mnie w podłogę, nie zostawiając miejsca na oddech. Nie jestem kłamcą, ale pod jego wzrokiem czuję się, jakbym właśnie zarżnął połowę miasta i zapomniał umyć rąk.

– Musimy to wyjaśnić, Howard. Tu i teraz – mówi, a po chwili dodaje z nieludzkim spokojem. – Bo jeśli naprawdę nie pamiętasz, że tam byłeś, to mamy kurwa problem, którego nie rozwiąże żaden adwokat.

Mamy, kurwa, problem. Te słowa oblepiają mi uszy, wpełzają do przewodu słuchowego jak tłuste robaki i osiadają na bębenkach. Ten ślimak w moim uchu dławi się tym wyrokiem, próbując go wypluć, ale

mrok jest już zbyt osaczający.

– Nie byłem tam – mówię znowu, tym razem szorstko, szukając choćby grama pewności, której już nie mam.

Słyszę, jak w jego głowie trybiki szatkują moje życie na drobne kawałki. Widzę, jak walczy ze sobą, decydując, czy wciąż jestem jego partnerem, czy już tylko kolejnym nazwiskiem w aktach oznaczonych *do utylizacji*.

– Zobaczmy, dokąd ten cień nas zaprowadzi. – Jego palec znowu naciska play. Obraz na ekranie ożywa w rwanym, cyfrowym rytmie.

Mężczyzna z moją twarzą *kończy zakupy*. Odwraca się. Idzie prosto w stronę kamery, a ja mam wrażenie, że zaraz wyjdzie z monitora i zacisnie mi dłonie na gardle.

Nagle się odwraca. Staje w miejscu. Patrzy.

Nie na kamerę. Patrzy prosto w moje oczy, przez ekran monitora.

Serce staje. Krew gęstnieje, hemoglobina ciąży jak gruz. Zamiast tlenu niesie do mózgu tylko panikę i chłód. Nie wiem, co przeraża mnie bardziej: *jego twarz, identyczna z moją, czy ten ledwie widoczny grymas na wargach*. Ten uśmiech jest głęboki jak żal, który nigdy nie wypłynął na powierzchnię. Ćwiczył go latami przed lustrem, czekając na ten cholerny moment. Wiedział, że będę patrzył. Tego właśnie chciał, ten sukinsyn bez swojej twarzy.

– Howard, do cholery...

– TO NIE JA!

– WIĘC KURWA, KTO? – Dean wypływa z siebie słowa z brutalną szczerością, która nie zostawia miejsca na ucieczkę.

Unikam jego wzroku, szukając ratunku gdziekolwiek indziej, byle nie w tych oczach, które widziały już zbyt wiele.

– Howard... gdybym ci teraz powiedział, że mamy twoje odciski na tych obrazach, co byś zrobił?

Pytanie uderza jak młot, odbija się od ścian czaszki, wywołując

pulsujący, tępy ból w skroniach. Nie boję się, że tam będą.

Kurwa, wiem, że ich tam nie ma.

Jednak przez ułamek sekundy, przez ten cholerny błysk paniki nie wiem, co bym zrobił, gdyby jednak były. Co wtedy?

Milczenie Deana jest gorsze od krzyku. Widzę drgającą szczękę, mięśnie pulsujące napięciem. Jest gotów do ruchu. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, to partner, który właśnie staje się prokuratorem.

– No dalej, Howard. Co byś, do cholery, zrobił?

Powinienem się zaśmiać. Rzucić coś cynicznego. Żart, przytyk, cokolwiek, byleby rozładować tę nienasyconą atmosferę. Gardło mam zaciśnięte. Mięśnie odmawiają posłuszeństwa. Nie mogę. Jestem sparaliżowany strachem. **Wdech, wydech.**

– To jakiś pieprzony żart – wypalam w końcu, ale to nie brzmi jak oburzenie. Brzmi jak nędzna prośba o litość.

Dean nie spuszcza ze mnie wzroku. Przechyla głowę, oczy wwiercają się we mnie, rozszczepiając moją reakcję na czynniki pierwsze. Nie jestem kłamcą, ale teraz czuję się, jakbym właśnie został przyłapany na nim.

– Może. A może coś ci się... rozleciało?

– Chcesz powiedzieć, że co? Że mam amnezję? Że coś mi się, kurwa, urwało? – prychem. To nawet nie jest ironia. Wargi mam spękane jak pustynia, która modli się o najmniejszy cień oazy. Jakby coś wyjadało mnie od wewnątrz.

Dean to widzi. Kurwa, wiem, że to widzi.

– Chcę powiedzieć – jego głos jest cholernie spokojny, aż boli. – że zaczynam się zastanawiać, jak dobrze cię tak naprawdę znam, Howard.

Zamarzam. Całe ciało napina się do ciosu. Albo do ucieczki.

– Mówisz, że nigdy jej nie spotkałeś. A Sinéad miała twój portret w mieszkaniu. Wiem, bo sam widziałem. A teraz patrzę na ciebie, jak

kupujesz werniks, całe trzy dni przed jej śmiercią. Wybieraj, Howard. Albo jesteś kłamcą, albo wariatem, który morduje we śnie.

W jego oczach coś zdechło. Nie widzę już złości, nie widzę partnera, z którym dzieliłem krew i brud tego miasta. Jest tylko wątpliwość. Śmierdzący strachem, który powoli wyżera dziury w jego masce.

– Howard, od paru dni zachowujesz się, jakbyś nadawał z innej planety – mówi powoli. Każde słowo smakuje jak woda z kałuży, na której widać rozpuszczoną benzynę i niespełnione obietnice. – W zasadzie... wszystko zaczęło gnąć w momencie, gdy znaleźliśmy to ciało. Znikasz. Patrzysz przez ludzi. Muszę do ciebie szczekać po dwa razy, bo twój mózg najwyraźniej wybrał się na spacer.

Chcę mu przerwać, zaprzeczyć, ale nie mogę. Bo ma rację. Nie tylko jestem rozkojarzony... mam luki w pamięci. Pamiętam poniedziałkowy poranek. Kawę. Deszcz bębniący o dach samochodu. Pierwsze rozmowy o sprawie. W radiu stary jazz albo rock. Pamiętam to, ale gdzie byłem we wtorek? We wtorek byłem w pracy... prawda? Musiałem być. Wczoraj byłem u Phelptoona? Czy to było wcześniej? Przedwczoraj? Gdzie obraz? Gdzie szklanka? Co to za kubek?

Czas się przesuwa. Jak taśma w starym magnetofonie. Zaczyna się, potem ciągnie, skrzypi, ślizga się w tył. Albo przeskakuje. Jakby ktoś przypadkiem nacisnął: *przewiń*.

Zerkam na zegarek. Nadgarstek jest zimny. Skóra lepka.

2:07. Nie rusza się. Sekundnik nie tyka. Zatrzymane wskazówki są głośniejsze niż wszystko inne. To niemożliwe. Znowu? Teraz?

Ktoś mówi. Zbyt blisko. Głos bez twarzy:

– Howard. Kiedy ostatni raz dobrze spałeś?

Nie wiem. Nie wiem, czy w ogóle śpię. I wtedy dociera do mnie, że to nie jest pytanie. To diagnoza. Wyrok. Dean patrzy na mnie tak, jak ludzie patrzą na **Jacka Torrance'a** stojącego z siekierą przed drzwiami. Staję się dla niego przypadkiem klinicznym, a nie partnerem.

Patrzę znowu. Inny kąt, inne światło. **18:50.**

Zegarek drga. Przysięgam. Wiem, co widziałem. Co tu się dzieje?

– Może powinienes wziąć wolne. Dziś spóźniłeś się trzy godziny.

– Pieprz się, Dean.

Nie rusza się, ale widzę to w jego oczach. Nie tylko widzę. Czuję to pod skórą. Czy właśnie rozważa, czy powinien mnie skuć? Czy powinienem mu na to pozwolić?

Wypuszcza powietrze przez nos. Powoli. Przypomina przedziurawiony balon, z którego uchodzi resztkę ciśnienia. Przez moment coś w nim mięknie, ale to nie jest empatia. To litość, jaką czuje się do zdychającego psa, któremu trzeba skrócić męki.

– Może ktoś cię wrabia – rzuca. To nie brzmi jak pocieszenie. To test. Brudna, psychologiczna zagrywka, żeby sprawdzić, czy rzucę się na tę wersję jak szczur na kawałek spleśniałego ochłapa. Czy uczipię się tej liny, wiedząc, że na drugim końcu jest pętla?

Co, jeśli to nie spisek? Co, jeśli moja pamięć to tylko ser szwajcarski, w którym mrok wyżarł dziury?

– Howard? – Podnoszę wzrok. Obserwuje mnie tak, jakby próbował dostrzec rysy na moich gałkach ocznych. – Jeśli coś ci się odkleja, musisz mi wyśpiewać wszystko. Teraz.

Milczenie między nami jest nabrzmiałe, ciasne jak drut kolczasty. Dotknij, a zostaniesz bez palców. Pociągnij mocniej, a wszystko runie z hukiem.

Co mam mu powiedzieć? Że czas ślizga się pode mną jak rozlana krew? Że zegarki żyją własnym, złośliwym życiem? Że czuję się jak pacynka, której ktoś właśnie odcina sznurki, a ja boję się, że jak spadnę, to okaże się, że w środku jestem pusty?

– Nie wiem, Dean – wykrztuszam w końcu. Głos mi drży, gardło zaciska się w suchym skurczu. – Nie wiem, co się dzieje... nic mi się nie zgadza w tym pieprzonym równaniu.

Serce wali mi o żebra tak mocno, że aż czuję dziwny metaliczny posmak w gardle. Puls w skroniach bije jak młot pneumatyczny.

Czekam na cios, na kajdanki, na cokolwiek, co skończy tę udrękę.

Dean podchodzi do komputera, wrywa płytę z napędu.

– Na razie to zostaje w *rodzinie* – mówi, ale jego ton to czysty, cyniczny szantaż. Nie ufa mi. Po prostu zawiesza wyrok w moim własnym, **kafkowskim procesie**. Wsuwa płytę do kieszeni płaszcza, jakby chował tam moją głowę. Nie pyta o zdanie. Obaj wiemy, co to oznacza: *od tej sekundy jestem jego podejrzanym numer jeden*.

– Wierzę ci – rzuca w końcu, patrząc na mnie twardo spod zmrużonych powiek. – Tylko dlatego, że ten gość w sklepie nie rozpoznał twojej cholernej, przepitej mordy. Rozumiesz? Tylko to cię ratuje.

Myśli zderzają się w mojej głowie i rozpadają na atomy.

Czas staje w miejscu, żeby to mogło do mnie dotrzeć.

Zaczynam mieć ten fakt w maszynce myśli. Analizuję każdy detal. Sprzedawca mnie nie rozpoznał... To, co wcześniej wydawało się błędem, teraz staje się schematem. Jednym z tych, które wyglądają na przypadek, dopóki nie zdasz sobie sprawy, że stoisz w samym środku pajęczyny.

Dean siada naprzeciwko, splata dłonie. Nerwy pulsują mu pod skórą. Jego zaufanie wisi na tej jednej, cienkiej nitce. Na okoliczność, że *moja twarz na ekranie* i moja twarz w tym pokoju to dla świata dwa różne byty. Przynajmniej w tym momencie.

– Jeśli cię wrabiają – dodaje cicho. – To morderca wiedział, że sprawdzimy ten trop. Wiedział, że tu przyjdziemy. Gra z nami, Howard. I jak na razie, idzie mu, kurwa, świetnie.

Patrzę na niego. Ściany pokoju zdają się wstrzymywać oddech, kurcząc się wokół nas. Ta chwila nie jest spokojem. To moment, w którym mrok właśnie przestał nas gonić, bo już nas dogonił.

– To nie przypadek, Howard. Ktoś nas prowadzi na smyczy, a my

merdamy ogonkami i idziemy prosto do rzeźni. Ten scenariusz był rozpisany od pierwszej minuty... Te wszystkie figury czekały na plan-szy, aż łaskawie się pojawimy...

To nie przypadek. To pojebana wersja **Truman Show**, w której jedynym finałem jest sekcja zwłok, a publiczność nie bije braw, tylko onanizuje się widokiem mojej agonii.

– Kurwa – mruczę, przecierając twarz dłońmi, które lepią się od potu i paranoi. Czuję smak popiołu na języku, choć od godziny nie miałem peta w ustach. – Co teraz? Jaki jest następny akt tej farsy?

Dean opuszcza wzrok na sekundę, może dwie. Wystarczająco długo, by przeladować magazynek w głowie i wrócić z nową, jeszcze gorszą myślą.

– Musimy zacząć myśleć jak drapieżniki, a nie jak zwierzyna łowna. Jeśli to pułapka, to nie chcą twojej odznaki. Chcą, żebyś sam sobie założył pętlę.

Sięgam po zimną kawę. Smakuje jak pomyje zmieszane z tytoniem, ale przynajmniej ten gorzki kwas trzyma mnie jeszcze po tej stronie przytomności.

– Potrzebuję papierosa – rzucam, wstając gwałtownie. – Albo czegoś, co wypali mi te wszystkie myśli, zanim one wypalą mnie.

Zapałam trzeciego papierosa z rzędu. Dym gryzie w gardło, drapie tchawicę tak, że aż brakuje tchu... i to jest jedyna dobra rzecz w tej chwili. Ból przypomina mi, że jeszcze oddycham. Że ciało wciąż tu jest, mimo że głowa już dawno wypisała się z tego interesu. Wciągam kolejne machy, próbując wypalić z siebie ten chaos. Serce wali jak oszalałe, dłonie drżą w rytm nadchodzącej katastrofy. Robi mi się niedobrze, ale palę dalej. To moja własna, prywatna komora gazowa.

Dean patrzy na mnie spod przymrużonych powiek. Ten sukinsyn niczego nie przepuści. Wylapuje każdy fałszywy akord, każde moje

mimowolne drgnięcie powieki. Szuka szczeliny w mojej wersji wydarzeń. Jednej rysy, która pozwoli mu roztrzaskać tę ciszę na kawałki.

– Masz wrogów, Howard?

Zatrzymuję dym w płucach sekundę za długo.

– A ty nie? – rzucam, czując, jak dym wyżera mnie od środka.

Unosi brew. Nie odrywa wzroku. Dobre pytanie, Howard. Tyle lat babrania się w tym ścieku... Tyle twarzy, których imiona zapomniałem i które modlą się o moją śmierć każdego wieczoru. Niektóre to już tylko cienie, ale inne... Nigdy nie wiesz, kto w bocznej alejce, przyciśnięty do ściany, postanowił, że to właśnie ty będziesz jego biletem do zemsty.

– Jeśli ktoś chce mnie zdjąć, wystarczy kulka w potylicę. To tutaj... to jest sadyzm.

– A może o to chodzi? Żebyś czuł, jak powoli tracisz grunt? Może to ja jestem celem, a ty tylko narzędziem tortur...

– Podwójna zasłona – mruczę, nie wiedząc już, czy mówię do niego, czy do demona w mojej głowie.

Dean kiwa głową.

– Jeśli tak, to ktoś chce, żebyśmy szukali prawdy tam, gdzie zostawił dla nas tylko gówno i kłamstwa.

To nie jest pułapka. To partia szachów z diabłem, a my jesteśmy pionkami, które mają już dość tej planszy. Dean rzuca przez ramię, gdy gaszę peta w przepelnionej popielniczce:

– Jutro nie zaśpij. I postaraj się nie zabić nikogo we śnie.

Usta mu drgają. To nie uśmiech, to pośmiertny skurcz empatii. Kręcę głową. Chciałbym mu odpyskować, ale nie mam już amunicji.

19:30. Za trzydzieści minut kolejne spotkanie w tym pieprzonym **limbo**. Gaszę komputer, naciągam płaszcz. Pachnie kurzem, dymem oraz każdą przegraną bitwą z ostatniego tygodnia. Czas ruszać głębiej w ten mrok.

Noc jest chłodna, ale to nie kwestia temperatury. To brak nadziei wyciąga ciepło z kości. Powietrze jest mętne od wilgoci i smrodu deszczu, który jeszcze nie spadł, ale już wisi nad miastem jak wyrok.

Czuję to napięcie, coś drażniącego, co nie pozwala odróżnić jawy od maligny. Od kilku dni nie ma słońca. Nie chodzi o zwykłe chmury. Nad Los Angeles zalega coś nieforemnego, jakiś toksyczny filtr, który dławi światło i rozciąga czas jak zużytą gumę. Zegarki to teraz tylko biżuteria dla naiwnych. Niektóre się cofają, inne pędzą na oślep, jakby próbowały uciec z tego świata. Może to ta pogoda, a może to miasto w końcu postanowiło nas wszystkich strawić.

Droga do baru jest znajoma, a jednak każdy detal wydaje się zbyt ostry, jakby ktoś podkręcił kontrast w mojej głowie do poziomu, przy którym pękają naczynka w oczach. Patrzę na własne życie przez brudną szybę, której nie da się wyczyścić.

Na parkingu gaszę silnik i pozwalam, by bezgłos w kabinie wgrzył mi się w uszy. Neon nad wejściem ledwo dyszy. Kilka liter zdechło dekady temu, został tylko napis:

P o n t I e

Pasuje do mnie wręcz idealnie. Rozczłonkowany, wypalony wrak człowieka.

Wiatr wślizguje się pod płaszcz, a pusta butelka stuka o krawężnik z regularnością metronomu odliczającego minuty do katastrofy. Czuję się jak pieprzony **francuski łącznik** w filmie, którego nikt nie chce oglądać. Jestem ogniwem w łańcuchu brudnych spraw, wpętany zbyt głęboko, by po prostu otworzyć drzwi i wyjść bez kuli w plecach.

Przez ułamek sekundy widzę cień po drugiej stronie ulicy. Ktoś

stoi pod latarnią, ale obraz zaraz się rozmywa.

Może to paranoja, a może mój Doppelgänger przyszedł sprawdzić, czy jeszcze dycham. Spotkanie tutaj to był fatalny pomysł, ale kocham tę spelunę za to, że nie udaje niczego, czym nie jest.

Wchodzę. W środku śmierdzi starym alkoholem i przegranym życiem. Niskie światła rzucają cienie tak długie, jakby chciały udusić każdego, kto tu siedzi. Alison tkwi w rogu, tam, gdzie mrok jest zbyt złowrogi.

Podchodzę do baru.

– Whisky z lodem. Dużo lodu, mało złudzeń – rzucam. Barman nalewa, nie patrząc mi w oczy. On wie, że tacy jak ja nie szukają rozmowy, tylko znieczulenia.

Biorę szklankę i idę do niej. Alison nie drgnie. Jej wzrok jest nieruchomy, skupiony na punkcie, którego nie widzę. Nie ma w niej gniewu, nie ma troski. Jest tylko ta przerażająca obojętność.

Przed nią stoi pełna szklanka, nietknięta, jakby czekała na toast za koniec świata. Znowu jest w czerni. Jej uniform żałobny, pancerz, który ma chronić przed syfem tego miasta. Wygląda jak klasyczna **femme fatale** z noir, która doskonale wie, że każda historia w tym miejscu kończy się albo na cmentarzu, albo w rynsztoku pod barem. Takim jak ten.

Obok szklanki stoi ten cholerny kaktus. Surrealistyczny żart, kawałek żywej pustyni na blacie nasiąkniętym rozlaną goryczą. Fakt, że go tu przytargała, drażni mnie bardziej niż rana pod obojczykiem, ale nie po to tu przyszedłem, żeby rozmawiać o botanice.

– No to jestem – mówię, a pierwszy lyk whisky pali mnie w gardło, przypominając, że wciąż mam przelyk.

– Widzę – odpowiada.

Jej głos jest pusty. W tej głuszy, która zapada między nami, czuję, jak miasto za oknem zaciska pętlę. Jesteśmy dwojgiem ludzi na dnie

brudnej szklanki, czekających, aż ktoś nas w końcu wypije.

– No dobrze – zaczynam, starając się, by lód w szklance dzwonił głośniejsze niż moje zęby. – Sprawdziłaś to nagranie czy tylko gapiałaś się w monitor, czekając na cud?

Nie odpowiada od razu. Przesuwa palcem po krawędzi szklanki, jakby obrysowywała kontur mojej trumny.

– Tak. Sprawdziłam.

W końcu unosi szklanekę, ale tylko po to, by przesunąć ją o centymetr w stronę mroku. Nie pije. Zostawia ją tam, gdzie była. Pełną, zimną i martwą. Dokładnie tak jak ta sprawa.

– To, co tam siedzi, Howard... jest nietypowe – dodaje, a słowo *nietypowe* brzmi w jej ustach jak diagnoza rzadkiej odmiany raka.

Czeka. Przeciąga ten moment, aż czuję, jak moje nerwy naciągają się do granic wytrzymałości i zaczynają się rwać z suchym trzaskiem.

– Nie użyto żadnej znanej mi technologii. Żadnego standardowego filtra. Niczego, co mogłabym przypisać do czegokolwiek znanego.

Mrużę oczy, próbując wyczytać z jej twarzy, ile prawdy zachowuje dla siebie.

– Więc? – pytam.

– Jeśli coś zostało tam zrobione, to nie mam pojęcia, czym.

Napięcie znowu siada między nami. Tłamsząca, brejowata masa, która przyciska mnie do blatu. Czuję je w karku, w ramionach, w tej cholernej whisky, która nagle stała się zbyt ciężka, by ją przelknąć.

– Muszę ci coś powiedzieć – mówię w końcu. – Trop zaprowadził nas do sklepu. Tam było nagranie. A na nim... – zawieszam na chwilę głos. – Byłem ja.

Jej brew drga. To jedyny znak, że wciąż ma tętno. Twarz pozostaje maską wykutą w granicie.

– Ty? – pyta cicho, niemal szeptem.

– Tak – kręcę głową, jakbym chciał ją zrzucić z karku. – Ten ktoś

kupuje produkt, który później znajdujemy na miejscu zbrodni.

– Co kupował?

– Werniks.

Słowo wypada mi z ust i brzmi jak absurdalny żart w środku apokalipsy. Zgrzyta w kontekście wszystkiego, o czym rozmawialiśmy.

Alison unosi brwi.

– Wiesz, co to jest? – pytam ją, trochę zrezygnowany, trochę z nadzieją, że może ona doda tu coś więcej.

– Tak. Oczywiście. A ty nie wiedziałeś?

Wzruszam ramionami.

– Może kobiety mają głowę do takich drobiazgów.

Przyjmuje to bez komentarza, tylko lekko przekrzywia głowę.

– Chciałabym zobaczyć to nagranie – mówi po chwili.

– Nie będzie to łatwe – biorę głęboki wdech, czując, jak płuca wypełniają się dymem i beznadzieją.

Nie okazuje zaskoczenia. Kiwa głową, jakby od początku wiedziała, że to schody.

– Dlaczego?

– Bo Dean postanowił pobawić się w prokuratora. Nie spodobało mu się to, co zobaczył. Zatrzymał płytę dla siebie.

Nie dodaję, że patrzy na mnie, jakbym był kolejnym trupem do opisania. Alison nie dopytuje. Zaznacza coś na swojej niewidzialnej liście grzechów, nie spuszczaając wzroku z moich oczu.

– Możesz wrócić do tego sklepu? – pyta. Jej spojrzenie jest uważne, nieustępliwe, jak lufa pistoletu przystawiona do mojej skroni.

Mój umysł zaczyna gorączkowo produkować preteksty, szukając jakiegokolwiek drogi ucieczki z tej rozmowy.

– Nie mam teraz takiej możliwości – wyrzucam z siebie. Odchrząkuję, próbując ratować resztki swojego autorytetu, który i tak już nie istnieje. – Dean... nie chcę, żeby poczuł krew. Jeśli on zacznie coś

podejrzewać, oboje skończymy w betonie.

Alison milczy. Jej dłoń zaciska się na szklance, ale nie pije, po prostu obraca ją w palcach.

– Jeśli chcesz, mogę to załatwić za ciebie – mówi cicho.

Zamieram. Alison wchodzi w tę sprawę z butami, a ja czuję, jak klamka zapada z głuchym, ostatecznym trzaśnięciem. Właśnie straciłem kontrolę nad tym, kto jeszcze będzie oglądał moją twarz na tym przeklętym nagraniu.

– Dlaczego chcesz mi w tym pomóc? – pytam, a w moim głosie słychać desperację, której nienawidzę. – Nikt w tym mieście nie robi nic za darmo, a już na pewno nie dla kogoś takiego jak ja.

Patrzy na mnie z takim spokojem, że mam wrażenie, jakby moje pytanie odbiło się od niej jak od ściany bunkra, ale dotarło. Widzę to w jej oczach.

– To nie twoja sprawa, Howard – ucina szybko. – Pomagam ci, bo mam w tym swój interes. – Jej głos nie drży. Jest wyprany z empatii, twardy jak lód na rzece Hudson.

Mam swój interes. To zdanie wisi w powietrzu jak smród spalenizny. Lodowate palce strachu suną mi po kręgosłupie, od karku aż po lędźwie, wbijając się w ciało.

Pytanie o motywy Alison to stąpanie po taflach, która pod moimi stopami już dawno zmieniła się w mozaikę lamliwych kawalków. Mam ochotę wstać i uciekać, dopóki jeszcze pamiętam drogę do wyjścia.

– Co to za interes? – próbuję drażnić, ale ona już nie patrzy na mnie. Jej wzrok błądzi gdzieś po odrapanej ścianie, śledząc nieregularności w tynku, które pewnie przypominają jej moje życie.

– Wiesz, jak ważne jest to nagranie, prawda? – pyta tonem, który nie dopuszcza sprzeciwu.

– Tak – odpowiadam, starając się opanować drżenie palców, gdy sięgam po szklankę. Kiepsko mi to idzie. Każde jej słowo to kolejny

stopień w dół do piwnicy, w której nie chcę być.

Czego ona chce? Czy my w ogóle gramy w tę samą grę, czy jestem tylko pionkiem, którego poświęci przy pierwszej okazji? Chciałbym zrzucić to na kawał paranoi, ale paranoja to jedyna rzecz, która jeszcze mnie nie oszukała.

Zerkam na nią. Jej twarz jest jak zwykle nieludzko spokojna. Kontrolowana do bólu. Pod tą maską siedzi coś jeszcze. Coś, czego nie potrafię nazwać, ale co sprawia, że moje mięśnie są napięte jak struny, które zaraz się rozerwą.

– Sklep plastyczny na **Greenpoint** – wyrzucam z siebie informację, której powinienem strzec jak oka w głowie. – Chyba jedyny w tej zapomnianej przez Boga okolicy.

– Dobrze. Wyciągnę to nagranie.

Słyszając to, czuję, jak żołądek zawiązuje mi się w supel. Dopiero teraz dociera do mnie nienaturalna martwota panująca w tym kącie baru. Jakby ktoś wyciszył świat suwakiem. Szum ulicy zdechł. Wiatr, który jeszcze przed chwilą dobijał się do szyb, po prostu wyparował. Powietrze stoi, jałowe i duszne, a ja dławię się każdym wdechem.

Patrzę na jej oblicze i nagle dostrzegam detal, który wcześniej mi umknął. Światło neonu odbija się w jej oczach, zamieniając je w dwie martwe, szklane tafle. W tym ułamku sekundy mam absolutną pewność: *nie mogę jej ufać*.

Im dłużej siedzę przy tym stoliku, tym bardziej czuję, jak serce tłoczy lodowatą krew. Powinienem czuć żar walki, a czuję tylko chłód kostnicy. Siedzę na krawędzi, z której nie ma już odwrotu.

Alison pochyla się lekko do przodu. Nie dotyka mnie, nie mówi ani słowa, a mimo to czuję jej obecność tak blisko, że zaczyna mnie to boleć. Przestrzeń między nami kurczy się, bezgłośnie zaciska, aż zostaje tylko zapach starej whisky i zbliżającej się katastrofy.

Zrywam się gwałtownie. Krzesło wali o podłogę z hukiem, który

w tym zatrzymanym momencie brzmi jak wystrzał z kalibru .45.

– To tyle na dziś – wyrzucam z siebie, próbując nadać głosowi ton faceta, który wciąż panuje nad sytuacją. Gówno prawda. Głos mi drży, a w powietrzu wisi coś, co nie ma twarzy, nie ma imienia, ale ma tysiąc oczu. To już nie jest rozmowa. To przesłuchanie, w którym oboje wiemy, że kłamię, nawet gdy milczę.

– Zgoda – mówi po chwili. Jej głos jest pusty, mechaniczny, jak komunikat o awarii windy.

Czuję, jak napięcie schodzi z moich ramion, ale to nie jest ulga. To tylko chwilowe zdrętwienie przed kolejnym uderzeniem. Moja intuicja wyje, ostrzegając przed każdym centymetrem jej spokoju.

Podchodzę do baru, rzucam banknoty za te pomyje, które piliśmy. Kiedy zerkam w jej stronę, już na mnie nie patrzy. Jej wzrok utknął gdzieś za moimi plecami, w mroku, którego nie mam nawet odwagi sprawdzić.

Wychodzę. Wilgotny chłód natychmiast przykleja mi się do twarzy. Kroki odbijają się od mokrego betonu, brzmiąc obco, jakby należały do kogoś, kto mnie śledzi. Przy samochodzie zamieram.

Odwracam się gwałtownie. Mam pewność, że ktoś mnie obserwuje. Z okna baru, zza brudnej firanki, z samego serca ciemności. Widzę tylko drgający cień. Może to gałąź, a może coś, co tylko udaje naturę, ale gałęzie nie mają tej drapieżnej intensywności spojrzenia.

Silnik krztusi się, zanim zaskoczy, jakby on też już nie chciał brać udziału w tej farsie. Ruszam, a każda mila dokłada kolejną warstwę paranoi. Nie powinienem był jej w to mieszać. Nie powinienem był ufać nikomu, kto nosi czerń z taką lekkością. Alison nie pomaga. Ona rozgrywa partię, o której nie mam pojęcia. Jej pomoc to nie przysługa, to pętla na mojej szyi. Układ bez zasad, w którym stawką jest moje życie, a ja nawet nie znam ceny.

Za szybą świat udaje, że jest normalny. Czerwone światła, ludzie kulący się pod parasolami, rutyna codziennego gnicia. Ja siedzę w tej blaszanej kadzielnicy, oddzielony szybą od reszty gatunku, jakbym oglądał archiwalne nagranie z czasów, gdy jeszcze istniało coś takiego jak *bezpieczeństwo*.

Parkuję. Gaszę silnik. Bezdźwięczność w aucie jest zbyt głęboka, zbyt grobowa, by mogła być prawdziwa. Siedzę nieruchomo, zaciskając dłonie na kierownicy, aż bieleją mi kłykcie. Puls w moim gardle bije w rytm nadchodzącej katastrofy.

Trzask drzwi. Schody, znajoma poręcz, chłodna i lepka. Nie wiem, czy to wilgoć z zewnątrz, czy to ja się rozpuszczam ze strachu.

W mieszkaniu wita mnie spokój, która nie uspokaja, tylko osacza. Zdejmuję płaszcz, a każdy ruch wydaje się nienaturalnie głośny. Coś tu śmierdzi. Nie dosłownie. To zapach naruszonej prywatności. Zostawiłem smród kawy, a teraz czuję echo metalu i czegoś chemicznego. Przedpokój jarzy się światłem. Jestem pewien, że je gasiłem. Nawet jeśli wybiegałem stąd jak szczur z tonącego statku, pewne odruchy są silniejsze od paniki.

Dotykam blatu w kuchni. Zimne drewno. Misa z kluczami przesunięta o dwa centymetry. Długopis leży pod kątem, którego nie znosi mój pedantyzm. Ktoś tu był i nie starał się być dyskretny. Ktoś zostawił mi wiadomość w języku drobnych przesunięć.

Patrzę w róg. Gazety, ale jedna rozłożona na stole.

Podchodzę powoli, czując, jak krew odpływa mi z twarzy.

Papier jest suchy, zwyczajny, ale...

Data bije mnie po oczach.

To jutrzejszy dzień...

Wstrzymuję oddech. Serce wali mi o żebra tak mocno, że aż boli.

To mieszkanie nie jest już moje.

To marna makieta, próba odtworzenia mojego życia przez kogoś,
kto robi błędy w ciągłości czasu. Stoję nieruchomo.

Ktoś tu był. Ktoś może wciąż tu jest.

Nie wiem, co jest gorsze.

Świadomość, że mam gościa?

Czy podejrzenie, że mój własny mózg właśnie zaczął pisać scenariusz, którego nie przeżyję...

CZWARTEK



Za lustrem

Cisza.

Nie ta zwykła, nocna, która daje odpocząć. To cisza naciągnięta jak folia spożywcza na zwłokach. Przylega do wszystkiego, dusi dźwięki, nie przepuszcza tlenu. Mam wrażenie, że czas dostał wylewu i teraz drży w agonii, czekając, aż wykonam jakikolwiek ruch, by on mógł ostatecznie szczeznąć.

Budzik milczy, jakby wiedział, że nie ma już dokąd mnie budzić. Zegar na ścianie: **6:59**. Patrzę na sekundnik. Cofa się o pół uderzenia, jakby przerażony tym, co czeka go w następnej minucie, a potem znów szarpie w lewo. **6:58**. I znowu **6:59**. To nie jest awaria mechanizmu. To tik nerwowy. Upiorne zapętlenie, którego nie naprawi nowa bateria. To coś... wewnętrznego. Coś, co wyżera logikę od środka.

Za oknem mrok ma nową fakturę. Otchłań pulsuje, raz miękka, raz twarda, jak skóra gigantycznego zwierzęcia, które nie może zdecydować, czy mnie pożreć, czy tylko wypluć. Czuję na języku metaliczny posmak, jakbym przed chwilą oblizal zardzewiały klucz do własnej celi. Powietrze smakuje ozonem, ale to nie jest zapach po burzy.

To zapach zbliżającej się egzekucji. Powietrze już wie, że wyrok zapadł, a ja jestem jedynym, który wciąż próbuje negocjować z niemotą.

Wstaję. A może tylko odgrywam scenę wstawania po raz tysięczny w tym samym **limbo**?

Stopy dotykają podłogi. Deski nie są zimne. Są zbyt obecne, zbyt namacalne, jakby chciały wrosnąć mi w skórę. Pod spodem czai się coś nieruchomego, jakiś wstrzymany oddech, który czeka, aż popełnię błąd. Moje ciało porusza się z opóźnieniem jak rwana transmisja. Myśli już pędzą ku przepaści, ale mięśnie wciąż tkwią w kleistym syropie świadomości. Nie nadążają za chaosem, który rozrywa mi czaszkę od środka.

Idę do łazienki. Odbicie w lustrze to sabotaż. To nie jest twarz, którą golilem przez ostatnie dwadzieścia lat. Czegoś w niej brakuje...

jakiegoś pierwiastka, który czyni człowieka żywym.

Patrzę na siebie i widzę tylko pustego manekina, którego ktoś ubrał w moje rysy. Gdyby ktoś mnie teraz zobaczył, zapytałby: *gdzie się podział Howard?*, a ja mógłbym mu tylko pokazać tę martwą, szklaną tafelę i powiedzieć: *nigdy mnie nie było*.

Podchodzę do okna. Miasto. Budynki stoją na swoich miejscach, ale ich geometria to kłamstwo. Są jak odręczny szkic psychopaty, który próbował odtworzyć świat z mglistych wspomnień. Okna w miejscach, w których nigdy ich nie było, balkony wyrastające z litych ścian, symetria tak nieludzka, że aż boli. Wszystko jest zbyt czyste, zbyt równe, wyrysowane od linijki, której nie trzymała ludzka ręka. To nie jest Los Angeles. To makieta przygotowana na moje przybycie. A ja właśnie zdałem sobie sprawę, że nie jestem tu lokatorem, tylko kolejnym eksponatem z wosku w tej chorej galerii.

Wtedy to słyszę.

Ten pieprzony, cichy dźwięk. Zbyt wyraźny w tej pustce. Jak głos, który dotyka skóry, by zaraz potem zadać cios.

Na nowo.

Dzień dobry. Dzień dobry. Dzień dobry.

Nieznany głos. Zbyt miły. Zbyt cholernie czysty, aż mdli.

Brzmi, jakby jakaś maszyna uczyła się naśladować życie. Może ćwiczył te puste słowa wcześniej, dopracowując fałsz. Powtarza się, zapętlony w nieskończonej, irytującej mantrze.

Z ulicy? Z korytarza? A może to wcale nie ta pozorna martwota na zewnątrz, tylko mój własny, przegniły mózg, który zaczyna odbijać swoje dźwięki w pętli, jak zacięta myśl, która mieli się bez końca; głośniejsza z każdą przekłętą sekundą?

Zamykam oczy. Ciemność.

Pustka, w której nie ma nawet mojej żalosalnej obecności. Otwieram je znowu. Próbuję zignorować to umierające miasto poniżej, ale to

uczucie nie znika. To tylko kolejny, drobny błąd w marności tego świata. Rysa, którą widzisz kątem oka, ale której, co za ironia, nie da się uchwycić. Coś we mnie nie pozwala odwrócić wzroku. Może to zmęczenie. Może mój umysł, ten popsuty mechanizm, wciąż nie dał rady przestawić się z nocy na ten pozbawiony sensu dzień.

Mój zegar biologiczny zdaje się mieć rozładowany akumulator. Potrzebuję resetu. Albo szybkiego końca.

Jestem w tym samym, obrzydliwie znajomym mieszkaniu. Te same ściany, te same kąty, ale wszystko wydaje się... zbyt wyraźne albo nie dość ostre. Jakby świat nie mógł się zdecydować, jak bardzo ma mnie w dupie. Sekundnik nadal nie wie, co zrobić z czasem. **6:58. 6:59.** Co chwilę się waha, sparaliżowany bezsenssem.

Wtedy znów to słyszę. Jak wcześniej.

Dzień dobry. Dzień dobry. Dzień dobry.

Tym razem, zza okna.

Spoglądam w dół. Ulica prawie pusta. Kilka postaci przesuwają się nienaturalnie wolno, ruchy jak zanurzone w smolistej, zawiesistej materii powietrza. Mężczyzna w szarym płaszczu stoi przy przejściu. Obraca głowę raz w lewo, raz w prawo. Zbyt metodycznie, zbyt idealnie, ale to nie on. To ta kobieta. Czerwona kurtka, plama koloru w szarości.

Ruch ust, który rozpoznaję, zanim go usłyszę.

Ten sam, mechaniczny, pozbawiony duszy gest.

Dzień dobry. Dzień dobry. Dzień dobry.

Ten sam rytm. Ta sama, fałszywa intonacja. Puszczony z taśmy głos próbuje udawać coś żywego, co jest najbardziej cynicznym żartem, jaki dziś słyszałem.

Serce przyspiesza. Cofam się, nie odrywając wzroku od tego teatru absurdu. Wszystko jest zatrzymane, ale nie zamrożone, raczej wstrzymane, jak powietrze przed trzęsieniem ziemi.

Odwracam się.

Telefon leży na stoliku nocnym. Sięgam po niego bezwiednie, jak po ostatnią deskę ratunku, która i tak utonie. Palce nieco zdrętwiałe. Ekran świeci chłodnym, obojętnym światłem. **6:59**.

Odkładam go z powrotem. Ten sam, pieprzony stan. Ciężar niepokoju opada na mnie. Nie szarpie, nie bije, tylko jest. Coś przygniata mi pierś. Jak ręka z betonu. Bezlitosna i nieruchoma. Jak ten świat, który udaje, że w ogóle się kręci.

Patrzę na drzwi. Nie pamiętam, czy je zamknąłem.

Pamięć to przecież tylko kolejna usterka w tym wadliwym systemie. Wydaje mi się, że przekręciłem klucz, ale w tym świecie *nydawanie się* to jedyna waluta, a ja jestem bankrutem.

Oddech jest płytki, drażniący. To nie strach. Strach bywa szlachetny, pierwotny. To, co czuję, to raczej mdłości na widok rzeczywistości, która przestała być dana, a zaczęła być sklejaną na poczekaniu fuszerką. Tandetną dekoracją.

Podchodzę. Dłoń zaciska się na klamce. Zimno przechodzi przez skórę aż do łokcia. Drzwi ustępują natychmiast. Wiedziały, że nadchodzę. Oczekiwały mojego dotyku z tą samą służalczością, z jaką trumna oczekuje zwłok.

Wychodzę. Korytarz wygląda znajomo, ale jego proporcje to żart. Za niski? Za długi? Architekt był sadystą albo kompletnym idiotą? Światło jarzeniówek brzęczy, ale to nie jest zwykły dźwięk elektryczności, to pogłos puszczoney w pustym hangarze, symulacja życia wewnątrz betonowej klatki.

Wszedłem w przestrzeń, która usilnie próbuje udawać normalność, ale jest w tym tak nieudolna, że aż budzi litość. Naśladuje, robi błędy, gubi tekstury.

Wtedy to słyszę. Dźwięk telefonu w mieszkaniu.

Cichy, niemal przeoczony, jak ostatnie tchnienie urządzenia, które

poddalo się w tej bezsensownej walce. Krótki, jednorazowy ton, który powinien brzmieć znajomo. Ekran telefonu wygaszony, odcięty od wszystkiego. Mimo tego, coś w tym wszystkim się zmieniło. Coś nieuchwytnego, ale wyraźnie odczuwalnego. Atmosfera? Gęstość światła? To uczucie, że coś zawisło w powietrzu? A może to tylko ja jestem inny. Moje stopy uderzają o podłogę, ale grunt pod nogami zdaje się tylko tanią imitacją drewna.

Nagle. Głos.

Nie z mieszkania. Nie z korytarza. Nie z zewnątrz.

Z wnętrza mojej czaszki, choć nie należy do mnie. To nie jest też myśl, ona miewa jakieś wahania. Ten głos jest cichy i przenikliwy. Wydobyty z martwej strefy percepcji, z tego ciemnego kąta, w którym chowam wszystkie rzeczy, o których nie chcę pamiętać.

Dzień dobry, Howard.

Nawet nie drgnę.

Nie mrugam.

Nie odwracam się.

Głos nie ma tonu, nie niesie emocji, nie da się go umiejscowić. Echo bez źródła. Słowa rozlały się po moim umyśle. Może zostały tam zaszyte wcześniej, a teraz ktoś je tylko uruchomił. Ciężar osiada między łopatkami. Ucisk na karku. Mam wrażenie, że ktoś za mną stoi, ale jeszcze się nie zdecydował, czy mnie dotknie. Nie oddycham.

W powietrzu znowu ten metaliczny zapach. Ostry, inwazyjny, jakby ktoś ostrzył nóż tuż pod moim nosem. Wślizguje się do gardła, miesza ze śliną, smakuje krwią i starą maszyną. Mój organizm nawet nie próbuje się bronić.

Dzień dobry, Howard.

Ten sam rytm. Ta sama, mechaniczna doskonałość. Idealnie wyprana z człowieczeństwa wersja powitania.

Co się stanie, jeśli się odwrócę? Zobaczą pustkę, którą sam sobie

wy-myśliłem w akcie desperacji? Czy może kogoś, kto wreszcie wyłączy tę marną iluminację? A co, jeśli naprawdę ktoś tam jest? Nie chcę wiedzieć.

Światło w korytarzu zaczyna migotać w konwulsjach. Cienie, dotąd bezkształtne i leniwe, zaczynają się organizować. Wydłużają się, łączą, drżą na granicy formy, która prawie wygląda jak postać. Niekompletna. Wciąż w fazie tworzenia. Jak wszystko w tym zapłutym świecie.

Dlaczego jestem ubrany? To nie jest błąd pamięci, to obca ingerencja. Palce mi drżą. Lodowate, sztywne jak u trupa, który jeszcze nie pojął, że przestał oddychać.

Instynkt każe mi sięgnąć do kieszeni... Czuję tam ciężar, którego nie powinno być. Telefon. Ten sam, który przed chwilą widziałem na stoliku. Zerkam do pokoju. Stolik jest pusty.

Przestrzeń wokół mnie zaczyna kłamać bez żadnego wstydu.

Wyciągam urządzenie powoli. Ekran rozjaśnia się sinym światłem. Połączenie przychodzące. Tam, gdzie powinna być nazwa kontaktu, widzę coś, co nie jest pismem. To sploty linii, które przypominają labirynt żył albo układ naczyń krwionośnych. Nie litery. Nie język. Coś pierwotnego.

Teraz już nie mam wątpliwości.

Dzień dobry, Howard.

Serce staje w poprzek piersi. Czas zwalnia do tempa gnicia. Każdy oddech jest wysiłkiem, jakby powietrze zamieniło się w suchy pył. To nie moje płuca pracują. To coś wewnątrz mnie wymusza te ruchy, żeby utrzymać ten nędzny spektakl przy życiu.

Wibruje raz. Drugi. Trzeci.

Potem nastaje uciszenie tak absolutne, że aż boli mnie w uszach. Zimny pot spływa mi po kręgosłupie, a gdy dociera do łędźwi, orientuję się, że drzę tak mocno, że aż uderzam zębami o zęby. To nie jest dreszcz zimna. To ciało próbuje uciec samo od siebie.

W korytarzu światło nadal zdycha w agonalnych drgawkach, ale cienie nie są już brakiem światła... stają się materią. Cienie drgają. Rozchodzą się po ścianach z własną intencją. Zbyt pewnie. Zbyt świadomie. Na końcu korytarza widzę windę. Jej matowa, brudna powierzchnia odbija moją sylwetkę, ale to odbicie jest niekompletne. Twarz jest tylko sugestią, rozmytą plamą, która nie potrafi utrzymać formy.

Nie panikuję. Chyba jeszcze nie. Panika to luksus dla ludzi, którzy wierzą, że mają jeszcze o co walczyć.

Cofam się do mieszkania.

Przekraczam próg i czuję, jakbym przebijał się przez zimną, mokrą błonę. Coś się zmienia. Zapach metalu, ten odór starej krwi na języku, znika tak nagle, że aż kręci mi się w głowie. Zegar rusza. Tykanie jest nienaturalnie głośne, jakby ktoś uderzał młotkiem w moją czaszkę. Próbuje zagłuszyć coś, co czai się w ścianach.

Podchodzę do lustra. Nie wiem po co. Po prostu wiem, że muszę. Zatrzymuję się w połowie drogi. Mój wzrok spotyka się z odbiciem. Przez sekundę widzę siebie, ale wtedy usta po drugiej stronie poruszają się... spóźnione o ułamek sekundy. Ten margines błędu w tym, co znamy, jest gorszy niż jakakolwiek bestia.

Moje własne odbicie patrzy na mnie z wyższością, jakby wiedziało, że ja jestem tylko cieniem, a ono oryginałem.

Kark mnie piecze. Skóra chce się oddzielić od mięśni. Nie mrugam. Nie wolno mi mrugnąć. Bo jeśli zamknę na moment oczy, to coś, co stoi w lustrze, może już ich nie otworzyć...

Telefon znowu wibruje. Tym razem dźwięk jest stłumiony, jakby wydobywał się z wnętrza mojego ciała. Odblokowuję ekran. Wiadomość. Bez nadawcy. Palce mi drżą, jakby moje własne nerwy gnily żywcem. Na ekranie widnieje tylko jedno zdanie, które odcina ostatnią nić łączącą mnie z rozsądkiem:

Nie patrz w lustro

Wtedy to czuję. Oddech.

Chłodny, wilgotny, muskający mój kark. Ktoś stoi za mną. Znowu. Logika podpowiada, że zamknąłem drzwi, ale logika w tym miejscu jest równie użyteczna co modlitwa w ubojni. Powietrze nagle zamienia się w lepki żel, który wpycha mi się do płuc. Czas nie płynie, on zdycha. Nie jestem już jego częścią, jestem tylko odpadem wyrzuconym poza nawias zdarzeń.

Znowu oddech. Bliżej. Telefon wibruje raz po raz. Ignoruję go. Nie patrzę na ekran. Patrzę w szklaną taflę. Z ciemności za moimi plecami wylania się cień. Ludzki? Tylko jeśli przyjąć, że człowiek to worek źle poskładanych gnatów.

Za wysoki, zbyt smukły, z palcami, które ciągną się w nieskończoność jak odnóża pająka. Jego twarz drga, walczy sama ze sobą, próbując utrzymać formę, która nieustannie jej ucieka.

Zaciskam palce na telefonie. Jedyne materialny przedmiot, który mi został. Jedyne, co jeszcze istnieje po tej stronie. To coś... uśmiecha się, ale ten uśmiech nie jest skierowany do mnie, jakby śmiał się do samego siebie.

Światło przygasa.

Słyszę pukanie.

Puk. Raz.

Puk. Drugi.

Dźwięk nie niesie się w powietrzu. Nie dochodzi z drzwi. Nie dochodzi zza okna. Ktoś puka prosto w taflę lustra, ale od tamtej strony.

Po drugiej stronie nie ma mnie. Nie ma odbicia. Jest tylko ulica, ale nie moja. Budynki są poskręcane jak złamane kości, które niezbyt dokładnie się zrosły. Latarnie wygięte jak stare drzewa. Niebo pocięte.

Ciemność nabiera kształtu.

Nieludzkiego. Nieobcego. Czegoś pomiędzy.

Czegoś, co zna mnie zbyt dobrze.

Puk. Po raz trzeci. I wtedy odbicie otwiera się jak rany na ciele jak pieprzone drzwi donikąd.

Wtedy... wychodzę ja.

Tyle że to nie ja.

To coś nosi moje rysy jak kradziony garnitur. Skóra jest napięta do granic możliwości, źle zszyta, faluje na żuchwie, jak tani lateks na manekinie. Zbyt nowa, zbyt gładka. Odrażająca imitacja życia.

Oczy? Dwa błyszczące guziki z lakierowanego drewna. Płaskie, martwe tafle lodu, pod którymi nie ma nic poza wieczną nocą. Nie patrzą na mnie. One rejestrują moją obecność jako przeszkodę.

Ten uśmiech. Nie rozciąga się, nie zmienia. Jest w nim coś przeraźliwego. Nie pasuje do ust. Ani do twarzy. Jest... wyryty?

Nie jest to tylko zniekształcona kopia. Jego ruchy są wyprane z jakiegokolwiek spontaniczności. Mechanicznie zaplanowane.

Przypomina wyłączony zegar, którego wskazówki uparcie próbują nadążyć za czasem.

Chcę uciec. Cofnąć się choćby o milimetr, ale moje ciało to teraz obcy, ciężki przedmiot. Zastygłem pod własną skórą, zablokowany jak maszyna, której odcięto zasilanie. Kolana są sztywne, kręgosłup to betonowy pał. Tylko dłonie jeszcze drżą. Ostatni dowód na to, że wciąż tam jestem. Powieki? Nie reagują. Patrzą zbyt długo, za długo, ale nie mogą mrugnąć.

Patrzą na niego. Na siebie. I wiem, że on widzi każdą moją tchórzliwą myśl, każdy brudny sekret. On nie jest moją kopią. On jest wersją, która wreszcie pozbyła się ciężaru bycia człowiekiem. Nie oddycha. Albo nie potrzebuje. Bo oddychanie byłoby symulacją.

Telefon dzwoni. Nagle, bezczelnie, jakby chciał obwieścić światu

moją klęskę. Sztuczne światło ekranu rzyga błękitem w tę ponurą ciemność, a na wyświetlaczu widnieje to samo mdle powitanie.

Dzień dobry, Howard.

Mój sobowtór przechyla głowę. Gest jest płynny, wyćwiczony, ale martwy jak ruchy kukielki na żyłkach.

– Nie powinienes tu wchodzić – mówi, a ja czuję, jak żołądek wywraca mi się na drugą stronę. – Skoro jednak już przekroczyłeś próg, droga powrotna przestała istnieć. Co za szkoda, Howard. Naprawdę.

To... coś mówi moim głosem... Moim językiem, ale to głos pozbawiony ciepła krtani, ludzkiej modulacji, jak echo nagrania z taśmy, która gnila w ziemi przez dekady. To dźwięk martwej natury próbującej udawać życie.

Nagle dźwięk ustaje. To nie jest pauza. To całkowite wyłączenie wszystkiego co znam. Nie ma szumu miasta, nie ma mojego oddechu, nie czuję nawet bicia własnego serca.

Zegar w mojej piersi wreszcie stanął, a ja nawet nie poczułem ulgi.

Telefon wciąż tkwi w mojej dłoni, ale nie czuję jego ciężaru. Jestem zawieszony w próżni między momentami, które już nie mają znaczenia. Litery na ekranie zaczynają się rozsuwać, wymykają się alfabetowi, gardzą strukturą, która przestała obowiązywać. Przesuwają się w sposób, który nie mieści się w moim nędznym, ludzkim pojmowaniu.

Sobowtór robi krok.

Nie muszę na niego patrzeć, by wiedzieć, gdzie jest. Czuję go całym sobą. To jak stanie przy starym kineskopie, który nie odbiera sygnału. Czuję obcy, elektryczny szum na skórze, drażniący i inwazyjny. W jego drewnianych oczach nic się nie zmienia, ale ten wryty uśmiech... on znika.

– Już czas – szepcze ta imitacja mnie.

Podnosi dłoń. Jego palce dotykają mojego czoła, dokładnie tam, gdzie jeszcze pulsuje resztką moich żalonych myśli. Są zimne, ale to

nie jest brak ciepła. To brak przynależności do tego świata. To palce wypożyczone z innego ciała, wciśnięte w tę formę siłą.

W tej sekundzie wszystko zaczyna puszczać. Świat zapada się do środka, grawitacja zostaje wykreślona z równania. Czas rozdziera się na strzępy dźwięków i światel. Moje ja okazuje się tylko cienką, krucho skorupą, pod którą kryje się bezkształtna masa.

Nie ma już *przed*. Nie ma *po*.

Wszystko staje się płynne i żywe w najbardziej obrzydliwy sposób.

Lustro znika. W jego miejscu wykwita miasto.

To miasto. Moje piekło uszyte z cienia i betonu. Zgięte jak papier w rękach znudzonego, okrutnego dziecka. Ulice wiją się jak obnażone nerwy, budynki rosną pod kątaami, od których bolą oczy, a niebo to przepołowione sklepienie, przez które zaraz przeleje się ostateczna ciemność.

Nie stoję już przed nim. Jestem w środku.

Jestem pasożytem wtłoczonym w gnijące ciało świata, który mnie nie rozumie, odrzuca i szczerze nienawidzi.

Chcę się ruszyć, ale moje ciało jest zamurowane w czasie. Ciężar, który czuję, nie pochodzi z zewnątrz. On wyżera mnie od środka. Oddycham ciężko, szorstko, przepychając przez płuca czarną smołę.

Zaczynam ledwo słyszeć. Czuję, jak puls bije mi w kościach, a mój własny szkielet próbuje mi przypomnieć, że jeszcze nie całkiem przestałem istnieć. Skóra jest kleista od potu, który śmierdzi starym metalem. Światło wokół jest zbyt jasne. Zbyt ostre. Bezlitosne. To nie jest słońce... To światło operacyjne w prosektorium, w którym właśnie zostałem rozłożony na części pierwsze.

Teraz Ty...

Czy ty też to widzisz?

Nie wiem, kim jesteś.

Jednak czuję cię, jakbyś był tuż obok, tylko po drugiej stronie moich oczu. Tuż za powiekami. Jak echo czegoś, co powinno mnie opuścić, a jednak wciąż patrzy.

Może to ty jesteś tam cały czas.

Czekasz. A ja...

Ja tylko odgrywam swoją rolę.

Podnoszę wzrok. Sufit. Znajomy, obskurny, odrażający.

Moje mieszkanie. Oddycham płytko, a powietrze drapie mi krtani jak tłuczone szkło. Klatka piersiowa unosi się w rytmie wymuszonego oddechu, jakby jakaś siła wyższa właśnie wepchnęła mnie z powrotem w to gnijące truchło.

Dłonie drżą, gdy dotykam twarzy. Moja skóra. Moje rysy, ale pod palcami czuję obcą tkanekę, naciągniętą na mnie jak źle skrojona maska. Czuję tę cienką, niewidzialną nić wewnątrz klatki piersiowej, która wciąż prowadzi tam, do tamtego miejsca.

Nie wiem, czy wróciłem sam.

Może wróciłem z pasażerem na gapę?

Próbuję przelknąć ślinę, ale gardło mam twarde jak tektura. Zerkam na telefon. **6:59**. Cyfry są blade, nieruchome, jak wyrok, który zapadł, ale jeszcze nie został wykonany.

Wpatruję się w nie z nienawiścią.

Mrugam raz. Drugi. Wstrzymuję oddech, czekając, aż to miasto się podda i wreszcie rozpadnie się na dobre.

7:00.

Wypuszczam powietrze przez zaciśnięte zęby. Nie czuję ulgi, tylko rozczarowanie. To był sen. Koszmar. Tylko sen. Kurwa, ale jaki realny. Zapach potu pod koszulką, lepkość karku, ciężar powiek. To tylko cholerny koszmar. Przekręcam się na plecach. Skóra przykleja się do brudnego prześcieradła. Serce wciąż wali jak oszalałe, nie potrafiąc

wyhamować w tej pustej codzienności. Lustro. Biurko. Okno. Światło neonów sączy się do środka jak rzygowiny, rozwodnione i nieśmiale. Wszystko wygląda znajomo i właśnie to jest w tym wszystkim najbardziej przerażające. Może świat tylko udaje, że jest na miejscu.

Podnoszę się. Kręgosłup strzela, kolana drżą. Ciało stawia opór, jakby było moim najgorszym wrogiem, a nie narzędziem.

Idę do łazienki. Odkręcam wodę. Jest zimna, bolesna, prawdziwa. Strumień uderza w dłonie, a ja napinam palce, sprawdzając, czy wciąż nad nimi panuję. Patrę w lustro. To ja. Tylko ja, ale nie ufam temu odbiciu ani przez sekundę.

To był sen.

To był sen.

TO BYŁ TYLKO SEN, do cholery!

Odkręcam wodę mocniej. Chłód łapie mnie za nadgarstki, rozlewa się pod skórą, wypłukując ostatnie ślady tamtego świata. Każda kropla to hak wbity w moją intencjonalność.

Patrę na odbicie. Żadnych zniekształceń. Żadnych opóźnień.

To ja. Tylko ja.

Chwytam ręcznik. Szorstkość materiału wbija się w policzki jak drobne gwoździe. Ocieram twarz. Oddech staje się spokojniejszy.

Wychodzę z łazienki. Zostawiam za sobą lustro. Zostawiam za sobą pytania. Zaczyna się dzień. Mimo że tak naprawdę go nie ma.

Nie sięgam po kubek. Nie wstawiam wody. Kawa może poczekać.

Może po drodze, między komisariatem a jakimś miejscem, gdzie dźwięki będą zbyt głośne, by myśleć.

Patrę na telefon. **7:10**. Czas płynie. Normalnie.

Tak powinno być. Zawsze.

Biorę płaszcz. Klucze. Ręce poruszają się mechanicznie. Ciało wie, co robić, zanim myśl się uformuje. To mój własny tryb awaryjny. Coś

w głowie, cichy impuls, każe mi jeszcze raz zerknąć, sprawdzić, czy wszystko jest na swoim miejscu.

Nie robię tego. Nie oglądam się za siebie, wiem, że jeśli spojrzę, ta marna iluzja, którą nazywam domem, rozpadnie się na moich oczach.

Zatrząskuję drzwi. Odgłos jest zbyt głośny jak uderzenie wieka trumny. Wszystko, co zostało w tym mieszkaniu: *sny, cienie i ten obcy pasażer*. Wszystko zostaje nagle odcięte, ale to tylko pobożne życzenie.

Schodzę na dół i wychodzę na ulicę.

Poranek udaje normalność z taką samą wprawą, z jaką seryjny morderca udaje uprzejmego sąsiada. Ford stoi tam, gdzie zawsze. Cichy, nieruchomy, czekający na kolejny dzień bezsensownej służby. Nie patrzę na drzwi auta. Nie analizuję faktu, że zniknęła rysa pod klamką. Ta cienka linia, którą znałem na pamięć. Może nigdy jej tam nie było?

Może ten przeklęty ziemski padół w pośpiechu wymienił rekwizyty, zapominając o detalach. Gównu mnie to obchodzi. W tym świecie prawda jest towarem deficytowym, a ja przestałem go szukać.

Wsiadam. Zapinam pas. Znam ten ruch, to kliknięcie, które kiedyś dawało mi złudne poczucie bezpieczeństwa. Dziś to tylko metalowa obroza. Nie włączam radia. Dźwięki są dziś inwazyjne, a każda nuta mogłaby rozerwać tę kruchą ciszę, której desperacko się trzymam. Silnik warczy cicho, jakby on też miał dość tej farsy.

Ruszam.

Ulice są wilgotne, pokryte śliską powłoką, którą zostawiła po sobie noc, jakby miasto pocilo się ze strachu. Wszystko wygląda normalnie, więc zakładam tę maskę i jadę dalej. Zaciskam dłonie na wieńcu kierownicy, czując, jak krew odpływa mi z palców. To jedyny sposób, by nie pozwolić moim myślom zatoczyć kolejnego koła w stronę szaleństwa. Mówię sobie: *nie analizuj. Nie patrz na zegary. Nie badaj cholernych odbić w witrynach, bo możesz w nich zobaczyć kogoś, kogo nie chcesz znać.*

To będzie normalny dzień.

Przynajmniej tak sobie wmawiam, klamiąc prosto w twarz światu który myślę, że znam. Śledztwo. To jest mój jedyny punkt zaczepienia. Nie sny, nie sobowtóry, ani te pieprzone lustra...

Fakty. Dane. Dowody. Rzeczy, które można zarchiwizować i o nich zapomnieć.

Główna ulica tętni życiem, które mnie nie dotyczy. Ludzie, kroki, szmer silników. To tylko tło, tania scenografia, w której próbuję grać swoją rolę, by nie zostać usuniętym z kadru. Wieczorem czeka mnie **Lux Aeterna**. Kolejny punkt na mapie tego syfu.

Może to tylko pusta wydmuszka, a może miejsce, gdzie wszystko wreszcie się rozpadnie. Może pośród tej klaustrofobicznej próżni czeka na mnie coś, co zna mnie lepiej niż ja sam.

Początek czy koniec? Jeden diabeł.

Tylko nie teraz. Nie dzisiaj. Jeszcze nie mam ochoty na finał.

Śledztwo. Odpowiedzi rzekomo czekają. I może, tylko może, na końcu tej brudnej drogi znajdę coś, co wytłumaczy, dlaczego świat tak bardzo chce się mnie pozbyć. Albo po prostu znajdę dno, o które wreszcie będę mógł się rozbić.



Przełamana prawda

Na komisariacie wszystko wygląda tak samo, ale to tylko kolejna beczelna mistyfikacja. To miejsce przestało istnieć w formie, którą znałem. Normalność bije tu ze wszystkich stron... gładka, powtarzalna, rzygowiny skopiovane z kalki. Pod tą lśniącą powierzchnią coś się tli, coś gnije i nie chce się ujawnić, dławiąc się własnym milczeniem.

Dźwięki, te wszystkie jałowe rozmowy, histeryczny stukot klawiatur, szmer krzesel i szelest martwych papierów... wszystko to zlewa się w płaskie, puste tło. Przestrzeń straciła głębię, jakby ktoś wyciął biurka z kartonu i kazal nam w nich grać role stróżów prawa. Czuję się jak statysta w filmie, któremu zapomniano dopisać kwestie.

Mimo to napięcie nie odpuszcza, zaciskając się na mojej krtań. Wyczuwam spojrzenia, choć kiedy gwałtownie podnoszę wzrok, widzę tylko puste twarze wlepione w monitory. Skóra na karku piecze, jakby ktoś przypalał ją papierosem. Nie wiem, czy to moja własna paranoja, czy ta atmosfera, która wypełnia każdy kąt biura jak trujący gaz. Każdy krok na korytarzu ma teraz ostrą, raniącą krawędź. Moje nogi ważą tonę, jakby grawitacja miała zamiar wciągnąć mnie prosto do piekła pod tym brudnym linoleum.

Dean siedzi i milczy, ale ta pauza jest żywsza niż okrzyk bojowy. Po jego twarzy widać, że coś zauważył. Jego spojrzenie nie ma troski, ma tylko to obrzydliwe oczekiwanie. To nie jest pytanie: *co ci jest? To ostrzeżenie: zaraz usłyszysz coś, czego nie chcesz*. Gapi się na mnie, czekając na wyjaśnienie, którego nie mam, bo nie da się wytłumaczyć komuś, że świat właśnie zamienia się w tandetną dekorację.

Odwracam się w stronę kuchni, nie czekając na jego werdykt. Przechodzę między biurkami, a moje kroki dudnią o podłogę. Mijam szybko. Wzrok mimowolnie ucieka w jej stronę, ale w ostatniej chwili wykręcam szyję. Nie boję się potworów. Boję się potwierdzenia własnej obcości. Boję się, że w tym odbiciu zobaczę kogoś, kto już dawno przestał być mną.

To miejsce oddycha mgłą. Niewidoczną, ale wszechobecną, która wślizguje się do płuc i oblepia myśli. Potrzebuję tej przeklętej chwili spokoju. Potrzebuję odskoczni od tego cyrku, zanim ta szarość wciągnie mnie na dobre i wyrzuci jako kolejny pusty, bezużyteczny element wyposażenia biura.

Automat wypłuka czarną lurę, której smak jest jawną zniewagą dla zmysłów. To nie jest kawa... to ciepła, rozcieńczona desperacja, przypomnienie, że w tym świecie nawet proste przyjemności są tylko marną imitacją. Piję to świństwo tylko po to, by poczuć, że moje gardło jeszcze potrafi reagować na ból. To krótki, płytki oddech przed powrotem do mojej klatki.

Wracam do biurka. Czuję na plecach wzrok Deana; spojrzenie, którego nie mam siły odpędzać. Biorę kolejny łyk. Gorycz osiada na języku jak osad na dnie grobu. To moja kotwica. Trzyma mnie w tym miejscu, w tej hali pełnej ludzi-cieni, i pozwala mi nie pytać o sens tego wszystkiego. Przynajmniej na parę sekund.

Sięgam po papierosa. Moje palce drżą, ledwie zauważalnie, jak u alkoholika na głodzie, ale to wystarczy, bym poczuł do siebie obrzydzenie. *Pstryk*. Ogień wykwita małą, nędzną eksplozją. Wciągam dym głęboko, aż do samego dna moich przeżartych nihilizmem płuc. Nikotyna rozlewa się w środku, oferując mi jedyne oszustwo, na które jeszcze dają się nabrać: *złudzenie, że rzeczywistość ma miękkie kramędzie. Przez chwilę świat przestaje być tak cholernie ostry.*

Potem wszystko się rozsypuje.

Wspomnienie wraca jak niechciana choroba.

Mieszkanie. Ta nienaturalna obecność, która nie była jedynie brakiem dźwięku, ale czymś złowieszczym. Pamiętam, jak otworzyłem drzwi i poczułem, że świat o mnie zapomniał. Instynkt, ten ostatni kawałek zwierzęcia we mnie, wrzeszczał, że ktoś tam był. Przeszukałem każdy kąt? A może tylko stałem tam jak sparaliżowany idiota?

Jeszcze ta gazeta.

Z pozoru zwykły śmieć, ale coś w niej wyło o pomstę do nieba.

Nagle... dziura. Wielka, czarna wyrwa w pamięci. Ktoś wcisnął pauzę, wyciął kluczowe fragmenty mojego życia i wyrzucił je do śmieci, przewijając mnie do przodu. Zostałem w zawieszaniu, będąc częścią scenariusza, którego mi nie wręczono. Czy mnie odurzili? Jeśli tak, to dlaczego wciąż oddycham? Czy śmierć była dla nich zbyt tanim rozwiązaniem? Pytania mnożą się pod czaszką jak pękające szkło, tnąc wszystko, co uważałem za pewne.

Jeszcze ten Phelptoon. To nazwisko krąży wokół mnie jak sęp. Im bardziej staram się je zignorować, tym głośniejszumi mi w uszach.

Phelptoon, Phelptoon... Dlaczego w ogóle o nim nie rozmawiamy? Jest jedynym podejrzanym. Bez dowodów, ale mimo wszystko... Jest czwartek, a my siedzimy tu i patrzymy, jak śledztwo dogorywa. Tak po prostu.

Dźwięki biura nagle cichną, oddalają się, jakby ktoś wyciszył mikser. Przestrzeń między mną a Deanem rozciąga się nienaturalnie, trzeszcząc pod wpływem napięcia, które wyżera nas od środka. Ten kawałek normalności jest wybrakowany, to tylko marna makieta.

Wyrzucam z siebie słowa wolno, każde z nich smakuje żółcią.

– Może Phelptoon ma coś wspólnego z tym nagraniem? – pytam, a mój głos brzmi obco, jakby należał do kogoś, kto już dawno przestał wierzyć w sprawiedliwość.

Z twarzy Deana znikają resztki emocji, jakby ktoś starł je brudną szmatą. Zostaje tylko to martwe, pytające spojrzenie, które krzyczy: *co ty pieprzysz?*

– Co, mowę ci odjęło? – dodaje.

– Kogo masz na myśli, Howard?

Może nadal trzyma dystans przez to cholerne nagranie albo coś wie i gra głupka.

– Phelptoon. Nasz jedyny, pieprzony podejrzany.

– Howard... Nie wiem, o kim mówisz.

Powietrze gęstnieje.

Nie wiem, co się dzieje.

– Może to w końcu jego numer – rzucam cicho. To już nie jest przypuszczenie, to diagnoza choroby, która właśnie mnie wykańcza.

Dean marszczy brwi, a w jego oczach błyska coś na kształt litości wymieszanej z obrzydzeniem.

– Kogo, do cholery?

Ściskam nasadę nosa tak mocno, jakbym chciał zmiażdżyć kość. Myśl, Howard, zanim ten mechanizm całkiem się zatrze. Jeśli ktoś majstrował przy mojej pamięci, to zrobił to niechlujnie.

Pamiętam jego twarz, te szorstkie rysy, które w tym nowym, wypranym świecie wydają się nienaturalnie gładkie. Phelptoon. Człowiek-cięń. Pieniądze, wpływy, ręce zawsze czyste, mimo że zanurzone po łokcie w gównie. Sterował wszystkim z tylnego siedzenia, a teraz... teraz po prostu wyparował.

Jeśli on to zrobił, to znaczy, że wie, co mam pod czaszką.

Wtorek. Byłem u niego. Rozmawialiśmy. Próbowalem blefować, szukać czegokolwiek na tej jego idealnej masce. Może trafiłem w czuły punkt. A może po prostu podpisałem na siebie wyrok *wymazania*.

Czy ja go sobie wymyśliłem? Czy Harold Phelptoon to tylko kolejna usterka w moim przepalonym mózgu?

Notatnik Sinéad. To nazwisko tam było. Musiało być, kurwa, wryte w papierze.

Rzucam się do szuflady. Wyciągam notatnik dłońmi, które drżą tak mocno, że niemal go upuszczam. Dean patrzy na mnie jak na wariata, który właśnie zaczął rozmawiać ze ścianą.

– Co ty znowu odpierdalasz, Howard?

Muszę wiedzieć.

Muszę wiedzieć, że nie jestem jedynym, który to widział. Że nie wymyśliłem sobie wszystkiego, litera po literze, noc po nocy. Nie mogę pozwolić sobie na wątpliwości. To wszystko jest zbyt ważne.

Otwieram notatnik. Przewracam strony, czując narastający mdły niepokój. I wtedy staję jak wryty. Brzeg kartki jest poszarpany. Nierówna, ostra krawędź jak niemy świadek amputacji.

Brakuje strony. Tej najważniejszej.

Phelptoon i Wanda. Pamiętam te słowa, widzę je pod powiekami, każdą literę wypaloną w moich zwojach mózgowych. A tutaj... pustka. Wycięte. Podarte. Wymazane z istnienia.

Zimny pot spływa mi po plecach, zostawiając lodowaty ślad.

Kto to zrobił? Jaki profesjonalista sprzątnął dowody, zanim zdążyłem je wykrzyknąć? To nie jest przypadek. Przypadki zdarzają się ludziom, którzy mają szczęście, a ja je dawno straciłem.

Telefon. Dzwoniłem do niego. Dwa razy. Słyszałem ten jego pewny siebie, obrzydliwy głos. To musi być w rejestrze. Musi być jakiś ślad w tym cyfrowym bagnie.

Sprawdzam połączenia. Ostatnie wybierane numery.

Nic. Pusta, biała przestrzeń tam, gdzie powinien być dowód mojej poczytalności. Nie ma numeru. Nie ma połączeń z wtorku. Nie ma niczego.

Świat właśnie wcisnął przycisk *Delete* na mojej jedynej prawdzie, zostawiając mnie z ręką w nocniku i szaleństwem w oczach.

– Dean, powiedz mi... co my, do cholery, robiliśmy od poniedziałku? Od początku sprawy Sinéad.

Patrzy na mnie, jakbym trzymał odbezpieczony granat i uśmiechał się do niego szeroko. W jego oczach widzę to obrzydliwe mieszanie lęku z pogardą.

– Chyba sobie kpisz, Howard.

– Pytam poważnie. Mów.

– Od rana zachowujesz się jak zwierzę w klatce – warczy, a jego głos tnie powietrze. – Snujesz się po komisariacie jak własny cień, belkoczesz rzeczy, które nie mają żadnego sensu. Może w końcu pójdziesz do domu i zdechniesz w łóżku na kilka godzin?

– Dean, nie pierdol. Pytam cię o Phelptoona.

– KTO TO, KURWA, JEST?! – ryczy, a żyła na jego karku pulsuje w rytm mojej narastającej paranoi. Gapi się na mnie tą swoją tępą miną, jakby to w mojej głowie brakowało nie kilku stron, ale całych rozdziałów. – Howard... – opiera się o biurko, a jego głos staje się niebezpiecznie cichy. – Może ty naprawdę masz amnezję? A może po prostu mózg ci wyparował?

Ignoruję to. Nie mam siły na jego tanie diagnozy.

– Ostatnie trzy dni... co ustaliliśmy?

– Howard...

– Mów, do cholery!

Milczy. Sekunda zamienia się w wieczność, w której słyszę tylko brzęczenie jarzeniówek i bicie własnego, przerażonego serca.

W końcu Dean przeciera kark, jakby próbował zmyć z siebie brud tej rozmowy.

– Dostaliśmy sprawę morderstwa. Stary hotel, szklarnia, trup kobiety, zero śladów – recytuje z monotonią grabarza. – Karta w jej dłoni. I tyle... bla, bla, bla.

Kiwam głową.

– Dalej, kontynuuj.

Przewraca oczami. Widzę, jak z twarzy odpływa cierpliwość.

– Byliśmy na wernisażu, skąd nas wypierdolili. Sekcja wykazała, że coś jej zrobiło z mózgu papkę, ale Mercer nie wie co. Mieszkanie wraz z pojebanymi obrazami... I twoim portretem u niej – mówi szybko, jakby chciał wymazać z siebie te fakty i zapomnieć o nich. – Ślad werniksu, pokój 207, pracownia pełna kolejnej dawki chorych obrazów.

Trop do sklepu, malarz, galeria... A dziś mamy jechać do tej posiadłości na odludziu.

Dean przerywa i wbija we mnie wzrok, w którym nie ma już ani krzty koleżeństwa.

– I wiesz co, Howard? Zaczynam się poważnie zastanawiać, czy wrócimy stamtąd w jednym kawalku. A ty zaczynasz mi tu odpierdalać szajbę w najgorszym możliwym momencie.

Nie wspomniał o Phelptoonie. To nazwisko dla niego nie istnieje. Jestem jedynym strażnikiem tej tajemnicy, a to czyni mnie albo jedynym trzeźwym, albo ostatnim wariatem.

– A nagranie? – pytam szeptem, który kaleczy gardło. – To ze sklepu na **Greenpoint**?

Dean milczy długo, zbyt długo. Sprawdza, czy naprawdę mam chelność o tym wspominać. Potem jego usta wykrzywiają się w złośliwym, nieludzkim uśmiechu.

– Chcesz, żebym zaczął o tym rozpowiadać, Howard? Chcesz, żeby wszyscy się dowiedzieli?

Czuję, jak każda komórka mojego ciała sztywnieje.

– Co?

– Że było. Że je widzieliśmy. Że, kurwa, byłeś na nim ty?

Bezgłos, który zapada, jest tak ciężki, że niemal kruszy biurko. Gapię się na niego, a on nie mruga. A więc nagranie istnieje.

To jedyna kotwica w tym morzu kłamstw, choć wolalbym, żeby spłonęło razem z całym tym budynkiem.

– Przepraszam, Dean.

Nawet nie wiem, za co go przepraszam. Za to, że doczesność jest pieprzniała? Za to, że widziałem siebie na filmie, którego nie pamiętam? Czy za to, że wciąż oddycham, choć wszystko wokół mnie sugeruje, że nie powinienem?

– Howard, powiedz mi wreszcie... co ty, odpierdalas?

– Nic... – Wzruszam ramionami, ale czuję się jak trup na słońcu.

Odchylam się na krzesło, próbując przybrać maskę kogoś, kto ma wszystko pod kontrolą. – Po prostu źle sypiam.

Udaję spokój, by nie poczuł mojego strachu. Bo jeśli on wyczuje, jak bardzo się boję, ta cienka zasłona normalności, która nas jeszcze dzieli, spłonie w sekundę. Zaczynam dzień, wiedząc jedno: *gra toczy się dalej, a ja jestem jedyną osobą przy stole, która nie zna jej zasad.*

– To może się, kurwa, wyśpij, bo zaczynam mieć wrażenie, że zaraz sam cię przesłucham – syczy Dean, a jego głos jest twardy jak glaz.

Uśmiecham się krzywo. Ten uśmiech nie ma dokąd dojść, jest martwy. Zawiesza się gdzieś między zębami a gardłem, jakby ktoś odciał mu tlen, zanim zdążył się narodzić.

– Będziesz delikatny? – pytam, a w moich słowach nie ma nic poza cyniczną pustką.

– Howard, nie liczyłbym na to.

Patrzemy na siebie przez chwilę.

On czeka, aż rzucę mu na stół jakiś dowód mojej poczytalności.

Ja czekam, aż w końcu odpuści i zmieni temat. Nie odpuszcza.

– Howard. Jeśli jest coś, o czym powinienem wiedzieć, to jest właśnie ten moment – mówi, a w jego głosie pobrzmiwa cięń czegoś, co kiedyś było zaufaniem. Tyle że ja sam nie wiem, co się dzieje.

Przecieram twarz dłonią, wciągam głęboki oddech, próbując znaleźć słowa, które w tym cyrku trzymają się kupy.

– Wiesz co, Dean? Miałem jakiś dziwny sen...

Unosi brew.

W jego oczach lśni ciekawość zmieszana z irytującą ironią.

– No dawaj, Howard. Znowu te twoje egzystencjalne koszmary. Co tym razem się pojawiło? Ktoś cię ściga, czy po prostu nie możesz zapomnieć o ostatnim drinku?

– Nie, serio. Śniło mi się, że znalazłem w notatniku Sinéad jakieś

nazwisko. Harold Wage Phelptoon... i imię Wanda. Coś mi świta, ale nie potrafię tego złożyć w całość.

Dean nie drgnął. Jego twarz to maska z betonu.

– I w tym śnie... – kontynuuję, obserwując go, jakbym patrzył na egzotycznego gada w zoo. – Pojechałem do jego rezydencji, pełnej złota i marmurów. I te lwy na podjeździe... Bogaty skurwiel, który wygląda jak ktoś, kto nigdy w życiu nie dotknął brudu, ale ma całą armię ludzi do roboty.

Zatrzymuję się, wciągając powietrze.

– Gadaliśmy, próbowałem go przycisnąć, ale coś mi się nie zgadzało, a potem... kiedy wróciłem, wszystko zaczęło się rozjeżdżać. – Kolejna pauza. – I teraz zastanawiam się, czy to był tylko sen.

Coś w jego twarzy się zmienia, czy to tylko moje zmęczone oczy?

Dean parska śmiechem, kręci głową z niedowierzaniem.

– Faktycznie, Howard. Bardzo głupie te twoje sny. Może to objawy paranoi, a nie stresu?

Nie takiej reakcji się spodziewałem. To nie był tylko sen...

– Zamiast śnić o whisky i gołych babkach, ty nawet w łóżku robisz śledztwa – kręci głową, patrząc na mnie z rozbawieniem, jakby właśnie rozwiązał zagadkę mojej porabanej egzystencji. – I ty się dziwisz, że jesteś taki spierdolony? Cały czas robota, nawet we śnie. Cóż, to się ładnie łączy.

Śmieje się jeszcze chwilę, ale mnie nie jest do śmiechu. Jeśli mam rację, muszę sam rozwikłać sprawę Phelptoona.

Dean nie pamięta. Albo udaje. Albo, co gorsza, ktoś mu kazał zapomnieć. Jeśli tu czuć smród, to pochodzi właśnie od Phelptoona. To on jest kluczem. Nie wiem, czy to on wyciął naszą pamięć, czy ktoś nim steruje.

Wiem jedno: *muszę tam wrócić. Muszę znaleźć dziurę w tej ich pieprzonej rzeczywistości.*

– Lepiej powiedz mi, jak wygląda sytuacja z Alison. – Zmienia temat, wracając do swojej roli.

– Masz aż tak nudne życie, że cię to interesuje? – pytam, a mój cynizm jest tak skondensowany, że można by go kroić nożem.

– Takie rzeczy zawsze mnie interesowały, Howard – odpowiada Dean, a w jego oczach błyska coś, co wygląda jak prawdziwy mrok.

– Nie teraz. Muszę coś sprawdzić.

Dean gapi się na mnie z tym swoim protekcyjnym rozbawieniem, ale nie parska śmiechem. Chyba przywykł już do widoku człowieka, który powoli rozsypuje się na kawalki.

– Proszę cię, kawa jeszcze paruje, a ty już gdzieś pędzisz? – pyta, jakbyśmy mieli przed sobą całą wieczność, a nie tylko kolejne godziny w tym czyścú.

Nie odpowiadam. Wstaję, czując, jak stawy trzeszczą pod ciężarem zmęczenia.

– Uważaj, Howard. Nie mam ochoty zdrapywać cię z asfaltu ani odwiedzać w szpitalu – rzuca za mną.

– Postaram się nie skończyć w rowie. Choć to całkiem kusząca perspektywa.

Chwytam płaszcz i zarzucam go na ramiona. Nie oglądam się za siebie. Zanim Dean zdąży wypchnąć z siebie kolejną *złotą myśl*, jestem już w drzwiach.

Wiatr z zewnątrz uderza mnie w twarz lodowatym biczem, wdmuchując chłód do dusznego komisariatu. Każda moja decyzja waży teraz tyle, co szafa pełna trupów. Czas ponownie odwiedzić Harolda Phelptoona. Jeśli ten skurwiol naprawdę ukradł mi kawalek życia, wy-cisnę go z niego razem z krwią.

Wsiadam do samochodu i mocno pocieram twarz. Muszę uciszyć ten jazgot w głowie. Włączam silnik, ale nie ruszam. Patrzę w przednią szybę. Za każdym razem, gdy wychodzę z biura, mam wrażenie, że

mój świat przesuwają się o milimetr. Albo ktoś w końcu połapie się, że moje sumienie przypomina wysypisko śmieci, albo faktycznie dokopie się do dna tej studni.

Biorę głęboki oddech i wstrzymuję go, jakbym nurkował w szambie. Sprawdzam lusterka, nie spodziewam się nikogo, a jednak czuję ten świdrujący wzrok na karku.

Wciskam gaz. Ford mruczy cicho, z rezygnacją. Wyjeżdżam na drogę, mijając światła, które w tym martwym powietrzu wyglądają jak dogasające ogniska. Miasto trwa w letargu, obojętne na mój los. To tylko betonowa padlina, a ja jestem robakiem, który próbuje wygryźć sobie drogę do prawdy.

Wyjeżdżam na **Silent Curios**. Ta ulica cuchnie pieniędzmi i strachem. Wypindrzone ogrody, gładkie podjazdy i domy przypominające fortece zbudowane z pychy. Ludzie tutaj odgradzają się od świata nie murami, lecz pogardą.

Zatrzymuję się pod *twierdzą* Phelptoona. Wysokie ogrodzenie, kamery, które śledzą każdy mój ruch z mechaniczną nienawiścią, brama zdolna zatrzymać czołg. Zaciskam dłonie na kierownicy. Phelpton może zarządzać moją pamięcią, może wstrzykiwać mi koszmary prosto w żyły, ale nie powstrzyma mnie przed zadaniem ciosu. Prawda musi w końcu rozszarpać te złote łańcuchy.

Wychodzę z auta. Ciśnienie w skroniach narasta. Lwy na podjeździe. Nie wymyśliłem ich. Te dwa kamienne drapieżniki siedzą przy schodach, patrząc na mnie wzrokiem, który wie więcej niż ja sam. To **sfinksy** ważące moje kłamstwa przeciwko jego zbrodniom.

W paszczy lwa. Słowa wracają do mnie z echem zza światów. Czy ja już tu byłem? Naprawdę?

Czuję znajome ukłucie w czaszce. To nie ból, to obrzydliwe wrażenie, że życie przecieka mi przez palce jak brudna woda.

Coś mi odebrano, a puste miejsce wypełniono paranoją. Patrę na te kamienne bestie, niemal spodziewając się, że zaraz skoczą mi do gardła.

Podchodzę do bramy i naciskam dzwonek.

Nic, tylko cisza. Długa, gęsta i cyniczna.

Potem trzask interkomu. Głos Phelptoona wślizguje się do moich uszu jak zimny wąż:

– Tak?

Nachylam się do głośnika, czując smak metalu na języku.

– Morgan... – rzucam, a po sekundzie dodaję. – Jednak dzisiaj jako Howard Laamesth'on.

Powietrze ciąży między nami, ciężkie od tego, co niewypowiedziane. Czuję, jak ten skurwiel tam, w środku, kalkuluje moje szanse na przeżycie. To nie jest spokój czy próba namysłu, to moment, w którym drapieźnik decyduje, czy warto brudzić sobie łapy moją krwią.

Brama w końcu ustępuje, wypływając z siebie chrobot metalu.

Wchodzę na posesję, a widok, który mnie uderza, jest jak powracający nowotwór... wszystko jest identyczne, aż do granic oblędu. Krzewy przycięto z taką precyzją, że wyglądają na martwe, jakby życie było tu zakazane. Kamienne figury gapią się na mnie tymi swoimi ślepyimi galkami. To nie są rzeźby, to niemi świadkowie, którzy przetrwali więcej moich upadków, niż jestem w stanie zliczyć. Moje dłonie drżą, ale to nie chłód, to ciężar obojętności, który zapada się do mrocznego rdzenia moich wspomnień.

Podchodzę do drzwi. Kołatka to kolejny dowód na sadyzm tego miejsca. Masywna, odlana z zimnego, obojętnego metalu, wygląda, jakby żywiła się strachem każdego, kto odważył się jej dotknąć. Ma kształt potwornej łapy. Wielkiej, zakończonej pazurami gotowymi rozzerwać tkanekę świata. Ciemna patyna pokrywa jej powierzchnię jak zakrzepła krew.

Chwytam za jeden z pazurów. To jak dotknięcie trupa, który wciąż emituje jakąś chorą energię. Pociągam w dół. Czuję obrzydzenie wymieszane z fascynacją, jakbym właśnie wkładał rękę do otwartej rany. Dźwięk uderzenia nie jest echem, to niski pomruk wybudzający coś, co powinno zostać na zawsze pogrzebane w niepamięci.

Kroki po drugiej stronie są powolne, celowo wyprane z pośpiechu. Drzwi otwierają się, a w ich progu staje on... Harold Wage Phelpton. Bogaty skurwiel, samozwańczy bóg w uniwersum kłamstw. Jego głos to wyrok, który zapadł dawno temu, zanim w ogóle pomyślałem o zostaniu gliniarzem.

Garnitur leży na nim idealnie, maskując fałsz, który czuję w powietrzu. Jego twarz to gładka, patynowa maska jak ta kołatka. Wygląda jak obraz powieszony w złym miejscu, jak coś, co budzi instynktowny lęk przed fałszem. To **Dorian Gray** naszych czasów. Nieskazitelny na zewnątrz, podczas gdy gdzieś w zamkniętym pokoju jego sumienia gnije portret, którego nikt nie ma odwagi obejrzeć.

Gapi się na mnie, a ja czuję, jak kolejna klisza w moim mózgu przeskakuje z trzaskiem. On wie. On zawsze wiedział.

– Nie wiem, po co tu przyjechałeś, Howard... – rzuca, a jego głos jest tak zimny, że niemal widzę szron na jego ustach.

Stoję jak wryty. Ja już tu byłem. Ta scena jest jak zdarta płyta. Jeśli ja to pamiętam, to dlaczego Dean ma w głowie białą plamę?

Czy ten człowiek, który stoi przede mną, potrafi wycinać ludzi? Jak zbędne akapity w tandetnej powieści?

Phelpton wzdycha z autentycznym znużeniem, jak ktoś, kto ma dość użerania się z usterką w systemie.

– Dobra. Wejdz.

W wejściu uderza mnie fala déjà vu tak silna, że niemal zwała mnie z nóg. To nie tylko miejsce, to zastygły, sfermentowany czas. Te same surrealistyczne bohomyzy, te same zdeformowane sylwetki z oczami,

które śledzą mnie z niemym szyderstwem. Każda postać na tych obrazach wydaje się uwieczona w wiecznej agonii.

Zapach jest inny niż na komisariacie. Duszny odór drogich cygar, starego dębu i czegoś jeszcze... czegoś, co pachnie jak stary grób, którego nikt nie odwiedza.

Powietrze jest tłuste od historii, o których nikt nie odważyłby się opowiedzieć głośno, bo prawdziwość by tego nie udźwignęła.

Phelptoon zamyka drzwi, a ich trzask niesie się echem w tej pustej, drogiej klatce ze złota. Trzyma ręce w kieszeniach z tą swoją obrzydliwą pewnością siebie, ale jego spojrzenie tnie jak brzytwa. Jest ostre, przeszywające, z rodzaju tych, w które patrzy się z bólem, a jednak nie można przestać.

– Co to za żalosna akcja z Morganem? – pyta, opadając na skórzaną kanapę z wdziękiem drapieżnika. – Myślałeś, że podasz inne nazwisko i nie poznam cię po głosie? Naprawdę, Howard? Aż tak nisko cenisz moją inteligencję?

Powietrze w pokoju smakuje jak zużyty tlen. Phelptoon przechyla lekko głowę, a ten jego uśmiech... to tylko grymas kogoś, kto bawi się rozdeptywaniem mrówek.

– Howard, zapomniałeś, że mam kamery? Myślisz, że w tym świecie cokolwiek umyka komuś takiemu jak ja?

Podchodzę bliżej. Powietrze jest niemal naładowane statycznym szumem jak tuż przed egzekucją.

On nawet nie drgnie. Jest niewzruszony, nieludzki.

– Byłem tu we wtorek – rzucam, a mój głos brzmi w moich uszach jak skarga skazańca.

Jego twarz pozostaje maską.

– Rozmawialiśmy, pamiętasz?

Patrzy na mnie długo, bez mrugnięcia. A potem ten uśmiech wraca. Ten sam, który widziałem w moich koszmarach.

– Czyżby?

– Byłem tu, do cholery! – powtarzam głośniejsze.

Odchyła się na kanapie, całkowicie zrelaksowany. Całe to moje cierpienie, ta walka o resztki zmysłów, jest dla niego jedynie anegdotą. Nudną ciekawostką z życia owadów.

– To ciekawe, Howard... bo ja zupełnie tego nie pamiętam, ale wiesz, co jest w tym najlepsze? Że to nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia.

Nie mówi tego, jak ktoś, kto ma lukę w pamięci. Mówi to, jak bóstwo, które właśnie wymazało wtorek z kalendarza świata i czeka, aż uznam to za jedyną obowiązującą prawdę.

Siedzi tam, strażnik zapomnienia w garniturze za kilka tysięcy dolarów. Jeśli on powie, że mnie tu nie było, moje wspomnienia stają się jedynie diagnozą psychiatryczną. Patrzą mu w oczy. Żadne bóstwo. To tylko zakłamana szuja, marna imitacja człowieka, która uwierzyła we własną wszechmoc.

– Chciałem wycenić obraz Sinéad.

Uśmiech Phelptoona znika tak nagle, jakby ktoś wyłączył światło. Jego ciało sztywnieje, a głos twardnieje, zmieniając się w chrzęst kruszonego betonu. Granica została przekroczona, a dystans wyparował, zostawiając tylko nagą, pierwotną wrogość.

– Nawet nie wymawiaj jej imienia!

Tnie mnie tymi słowami. Ostrze wchodzi gładko, bez wahania. To nie jest groźba... to przestroga od kogoś, kto już dawno przestał bać się w subtelności. Robię krok w jego stronę, pewny, że nie mam już nic do stracenia.

– Masz coś wspólnego z tym syfem? Manipulujesz dowodami? Kasujesz ludziom pamięć, bo tak ci wygodniej?

Phelpton nie drga. Tylko patrzy. Nieruchomy jak marmurowy nagrobek, ale jego oczy... to nie jest lód. To bezdenne studnia pełna

rzeczy, których nie chciałbyś dotknąć nawet wzrokiem, jeśli planujesz dzisiaj zasnąć.

– Masz problem, Howard. A ja nie mam zamiaru go rozwiązywać za ciebie – jego słowa brzmią jak wyrok odczytany nad otwartym grobem. Bez gniewu. Bez cienia emocji. I właśnie to jest najgorsze. To nie jest nienawiść, to chłodna obserwacja dogorywającego zwierzęcia.

– Nie. – Pięści zaciskają mi się tak mocno, że paznokcie wbijają się w skórę. Mięśnie karku są spięte jak stalowe liny, gotowe ustąpić przy najmniejszym ruchu. – To ty masz problem. Bo ja, w przeciwieństwie do twoich opłaconych marionetek, wszystko pamiętam.

Phelptoon podnosi się powoli. Każdy jego ruch jest wyliczony, zaprojektowany tak, bym poczuł ciężar każdej sekundy, która dzieli mnie od totalnego upadku.

– Wszystko? Jesteś tego pewny?

Gapię się w tę jego maskę, która kiedyś mogła być twarzą. Stoi naprzeciwko mnie. Zbyt blisko, wchodząc w moją strefę komfortu z gracją drapieżnika, który wie, że ofiara nie ma dokąd uciec.

– Po tym, co zrobiłeś Sinéad... – mówi niemal szeptem. – Nie powinienem w ogóle z tobą rozmawiać.

Zamieram. Powietrze w pokoju nagle zamarza.

– Że co? – syczę, a głos drży mi od nadmiaru adrenaliny. – Chcesz zrobić ze mnie kozła ofiarnego? Tak to zaplanowałaś? Dlatego na tym pieprzonym nagraniu w sklepie jestem ja? To twoja reżyseria?

Phelptoon przechyla głowę. Nie szuka odpowiedzi. On ją celebrowa. Jest kilka kroków przede mną, patrząc na moją szarpaninę z niemym, cynicznym politowaniem.

– Wpuściłem cię tylko z szacunku do niej – rzuca, a słowo *szacunek* brzmi w jego ustach jak bluźnierstwo.

Wiem, że kłamie. Wpuścił mnie z ciekawości, by zobaczyć, jak bardzo rozpadł się mechanizm w mojej głowie.

– I ona... – Robi pauzę. Zbyt długą, zbyt teatralną. – Ona cię kochała.

To nie jest cios.

To uderzenie kafarem prosto w klatkę piersiową.

Tętno rozsadza mi bębunki w uszach. Pocę się, choć w pokoju jest chłodno. Powietrze staje się oleistą mazią, której płuca nie są w stanie przyjąć.

– Co ty pieprzysz? – wyrzucam z siebie, a gniew miesza się z paniką, tworząc w gardle duszącą pętlę. – W co ty chcesz mnie wkręcić?

Coś we mnie wrzeszczy: *uciekaj! Wyjdź stąd, zanim ta ciemność cię pochłonie na dobre*. Jestem jednak unieruchomiony przez lęk kogoś, kto właśnie zrozumiał, że cały ten czas uciekał przed własnym cieniem. To nie Phelptoon mnie trzyma za gardziel. Trzyma mnie ciężar korony z cierni i win, o których wołałem zapomnieć. Stoję tam, w centrum tego luksusowego mauzoleum, jak wygnany król, który odkrył, że to on sam podłożył ogień pod własny zamek.

Dlaczego on jest taki spokojny? A co, jeśli ta szuja mówi prawdę? Co, jeśli cała ta maskarada jest jeszcze bardziej brudna, niż sądziłem?

Phelptoon zmienia ton. Chłodna fasada topnieje, a pod nią ukazuje się coś, co w innych okolicznościach nazwałbym ludzkim odruchem.

– Ja też to przeżywam, Howard... – spuszcza wzrok, a ja czuję dreszcz obrzydzenia. – Odeszła za wcześniej.

Nic się nie składa. Puzzle są z innych pudełek.

– Widzę, że coś w tobie pęka, Howard – mówi, a jego głos to ostateczny werdykt. Odczytał drżenie moich rąk, strach w oczach, wszystko, co próbowałem ukryć pod maską twardego gliny.

– Co to za bajki? – pytam ostro, ale mój głos brzmi już tylko jak echo człowieka, którym byłem jeszcze rano.

Czeka, aż to do mnie dotrze. Unosi brwi. Powoli. Jego bronią jest cierpliwość.

– Bajki? Howard, co ty właściwie próbujesz sobie przypomnieć?

Phelptoon patrzy na mnie z politowaniem jak na dziecko, które próbuje posklejać rozbitą butelkę.

Coś we mnie kruszy się z trzaskiem, którego nikt inny nie słyszy. Wspomnienia leżą rozsypane na ziemi jak te potłuczone szkło. Pytanie tylko, czy te kawałki kiedykolwiek należały do mnie, czy zostały mi podrzucone?

– Kiedy ją zostawiłeś, strasznie się załamała... – cedzi słowa, każde odmierzone z aptekarską precyzją, by trulo powoli, ale skutecznie.

Nie krzyczy. Szept wystarczy, by wlać mi do uszu płynna rteć, która wypala resztki logiki.

Zostawiłem? Kogo? Kiedy? Ten człowiek wycina otwory w mojej egzystencji, a ja wpadam w nie bez krzyku.

– Ale to nie Sinéad się wtedy rozsypała, Howard – dodaje, a jego wzrok wwierca się w moją czaszkę. – To ty.

Gapię się na niego, czując, jak świat zaczyna wirować.

– Naprawdę myślisz, że nie widzę, w co grasz? – rzucam, i nagle słyszę własny głos podwójnie, z opóźnieniem. Echo w miejscu, które nie ma prawa istnieć. Świat zaczyna mieć lagi, jakby serwer, na którym działa mój umysł, dogorywał w męczarniach.

– Ty naprawdę... nie pamiętasz? – pyta cicho.

Zaciskam szczękę tak mocno, że czuję ból w zębach. Każdy centymetr mojego ciała jest napięty do granic możliwości.

– Phelptoon, nie igraj ze mną. Nie teraz.

On spuszcza wzrok i staje się groźniejszy niż kiedykolwiek. Ta naga, brudna ludzkość to najstarsza sztuczka w arsenale kusiciela. Nie oferuje mi odpowiedzi. Oferuje mi wspólny ból, braterstwo w bagnie. Pokazuje mi swoją ranę tylko po to, by uspić moją czujność, podczas gdy jego słowa wycinają ostatnie kawałki pewności, że jestem tym, za kogo się podaję.

– Howard... – bierze głęboki oddech, szukając słowa, które będzie ostatecznym ciosem. – Ty i Sinéad. Byliście razem.

– Nie... to, kurwa, niemożliwe.

Phelptoon patrzy na mnie, spokojny jak marmurowy nagrobek. Bez pośpiechu, bez wahania.

– A ty? – przekrzywia głowę. – Ty w to naprawdę nie wierzysz?

Nie mogę. Nie wierzę. To nie pasuje do mojego życia, do moich nawyków, do mojej pustki. Tylko... dlaczego nie mogę złapać tchu?

Coś zaciska się na moich płucach jak jakaś warstwa. Strefa między jawą a snem. Rozszerza się, pochłaniając pokój. Granice świata rozmazują się w szarej mgle.

Phelptoon powoli się cofa, ale to nie przynosi ulgi. Wręcz przeciwnie, czuję, że przygotowuje finał. Sięga do szuflady.

Moje serce wali w żebra jak szalone, dłoń mimowolnie wędruje ku kaburze. Instykt mówi, że to się skończy krwią. Déjà vu.

Wyciąga coś i kładzie na polerowanym blacie stołu.

Zdjęcie.

Na nim... Sinéad. I ja. Jak to możliwe? Nic z tego nie ma w mojej głowie. Twarz, uśmiech, ta obrzydliwa bliskość... wszystko to wydaje się obce, narzucone, jak iluzja stworzona po to, by mnie ostatecznie złamać.

Patrzę na obcego człowieka z moją twarzą, który wygląda na szczęśliwego. Chce mi się rzygać na ten widok.

W głowie mam zamęt, strach i tętnienie, które zagłusza wszystko inne. Ściany pokoju zdają się zbierać do skoku. Czas stoi w miejscu. Słyszę tylko swój własny, nieludzki bezdech.

– Co to za gówno? – chrypię.

– Prawda.

– Skąd masz to zdjęcie? – pytam, ale głos... głos nie należy już do mnie. Jest pusty.

Odpowiedź nie pada, a może po prostu boję się ją usłyszeć.

Zostaje tylko ten dziwny, martwy bezruch, który udaje normalność, podczas gdy mój świat właśnie został zredukowany do popiołu. Sęk w tym, że ja nie jestem **feniksem**, a z tego pogorzelniska nic już nie wstanie.

– To, co ci mówię, Howard, nie jest bajką – jego głos ma w sobie ostateczność wyroku śmierci.

W głowie szumi. Myśli wirują w chorym tańcu. Pytania, na które nie ma odpowiedzi, bo każde z nich rodzi tylko kolejną wątpliwość. Wspomnienia... jeśli to w ogóle są one, są rozmazane, puste, niechciane. Czuję je pod skórą, ale nie potrafię ich oswoić. Coś we mnie wyje, żeby uciec, ale dokąd uciekać, skoro mój własny umysł stał się miejscem zbrodni?

– Kim ona dla ciebie była? – pytam w końcu, a pytanie rozrywa mi klatkę piersiową od środka. Czuję, jak narastające wewnątrz napięcie zaraz mnie rozsadzi.

Odpowiedź wisi w powietrzu. Gotowa do ataku. Nie wiem, czy to będzie prawda, czy kolejne kłamstwo ulepione z moich własnych leków, ale smakuje tak samo... jak zgnilizna.

– Wynająłem jej pracownię – mówi Phelptoon, a jego głos jest tak suchy, jakby wypluwał piach. – Nie za pieniądze. Wymienialiśmy się. Obrazy za miejsce.

Wymienialiśmy się. Te słowa trzeszczą mi w uszach jak rdza pożerająca kość. Kolejna cyniczna transakcja w świecie, gdzie wszystko ma swoją cenę, nawet talent.

– Dlaczego?

– Lubilem jej sztukę. Miała w sobie coś... surowego. Prawdziwego. Była wyjątkowa w tym morzu tandety.

Nie wierzę mu. Ani jednemu słowu, które wychodzi z tych jego idealnie skrojonych ust. Czuję, że każda głoska to pułapka.

– A potem przyszedłeś ty – dodaje, a w jego głosie pobrzmiwa oskarżenie, które tnie głębiej niż nóż. – I wszystko się rozsypało.

To zarzut, który ma mnie złamać, rzucić na kolana w akcie pokuty, ale ja mam już dość przepraszania za rzeczy, których nie pamiętam.

– A może... – Robię krok w jego stronę, wchodząc prosto w jego pole widzenia. – Może to wszystko od początku było zepsute? Może tylko czekało na kogoś, kto to wreszcie roztrzaska?

Patrzy na mnie, jakby właśnie zauważył, że ofiara przestała uciekać i zaczęła szczerzyć zęby. Bez litości. Bez mrugnięcia okiem.

Nie chcę już tego słuchać. To błędzenie w labiryncie, który sam zaprojektował, żeby mnie wykończyć. Ten spektakl musi się skończyć.

Rzucam mu zdjęcie pod nogi. Nie oddaję go, rzucam nim jak brudną szmatą. Niech się udławi tym swoim dowodem.

Trzęsę się, ale to nie strach. To gniew.

Czysty, niefiltrowany, pierwotny gniew.

To moja ostatnia linia obrony przed oblędem.

Wybieram rolę kogoś, kto woli spalić to całe mauzoleum, niż pozwolić, by Phelptoon dołożył do mojej głowy kolejną cegłę swojej chorej narracji. Moje dłonie szukają rękojeści jakiegokolwiek prawdy, nawet jeśli ta prawda miałaby być ostatnią rzeczą, jaką poczuje. Jeśli mam utonąć, to nie jako skamlący pies, ale z krwią wroga na rękach.

– Gówna prawda – mówię, a słowa wylatują z moich ust jak pociski przeciwpancerne. Celne. Zimne. – Cała ta twoja układanka to brednie dla naiwnych. Nie kupuję ani jednego grama tej historii.

Phelptoon nie odpowiada. On tylko patrzy tym swoim martwym wzrokiem jak ktoś, kogo nie wzruszają ani modlitwy, ani kławy śmiertelników.

– Posłuchaj mnie teraz uważnie – zniżam głos. Jest teraz twardy, przepelniony chłodną nienawiścią. Zero empatii, zero wahania. – Nie wiem, co tu kombinujesz, jakie narkotyki mi podajesz i jakie filmy

montujesz w moich snach, ale jedno ci gwarantuję: *dowiem się*.

Robi się nienaturalnie cicho. Jakby ktoś wyszał dźwięk z pokoju, zostawiając samo echo mojej furii. Przez ułamek sekundy myślę, że może naprawdę zwariowałem, że to wszystko dzieje się tylko w mojej czaszce, ale wtedy wraca złość.

Ostra. Czysta. Pali mnie w gardle jak wrzący olej.

– Koniec tej zabawy w chorego boga. Nie obchodzi mnie, czy oszukujesz, odurzasz, czy robisz coś jeszcze gorszego. Dopadnę cię, Phelptoon. I obiecuję ci... cholernie tego pożałujesz.

Ten jego uśmiezek. Zimny, wyrachowany, ledwo dostrzegalny. Nie drga mu nawet powieka. To mnie doprowadza do szału. Chcę go rozbić, zetrzeć ten cholerny cień uśmiechu z jego twarzy, zmusić to marmurowe bóstwo do jakiegokolwiek ludzkiej reakcji.

– Zrobię krok, jeśli trzeba. Albo dziesięć. Będę deptał ci po piętach tak długo, aż nie zostanie ci nic do ukrycia poza własnym strachem.

Zaciskam pięści tak mocno, że czuję chrzest własnych stawów. Chcę wycisnąć z siebie tę frustrację, zanim ona ostatecznie przeżre mi wnętrzności.

– Myślisz, że mnie złamiesz? Że sprawisz, bym zaczął kwestionować każdy swój krok w tym bagnie? Nie masz pojęcia, z kim grasz, ty nędzna imitacja boga. Pierdol się.

Każde słowo to cios. Brutalny, wymierzony z zimną krwią. Mój głos brzmi jak młot rozbijający tę jego szklaną wieżę spokoju na miliony ostrych odłamków.

– Manipulujesz nagraniem, grzebiesz mi w czaszce, jakbyś przestał meble w wynajętym mieszkaniu. Tylko że źle trafiłeś. Myślałeś, że grasz ostro? Ja gram bez zasad.

On nawet nie mruga, ale słucha.

– I wierz mi, Phelptoon... to nie skończy się tak, jak sobie zapisałeś w scenariuszu.

Odwracam się na pięcie. Korytarz przede mną majaczy jak przez brudną mgłę, tracąc kontury, tracąc sens. Przestrzeń zaciera się, a ja zostaję sam w samym środku nieukończony, gównianej historii.

Na zewnątrz deszcz leje bezlitośnie. Niebo nad Los Angeles pękło, wylewając na nas całą swoją lodowatą obojętność, jakby chciało zmyć ten plugawy teatr, który przed chwilą odgrywałem u tego skurwiela.

Czuje, jak ta wilgoć wżera się w moje komórki, zmieniając moją krew w czarne błoto, a myśli w bezużyteczny szum statyczny.

Ciemne chmury wiszą tak nisko, że zdają się miażdżyć dachy. Nie ma tu światła. Nawet latarnie dogorywają, rzucając mdły blask przez filtr brudu i zmęczenia. Panuje tylko szarość. Mazista, wchodząca pod paznokcie, osiadająca na języku jak spalenizna.

Wyciągam paczkę, ale papierosy są już niemal zintegrowane z tą przeklętą wilgocią. Papier marszczy się w moich drżących palcach jak zmięty list pożegnalny. Zapalniczka ślizga się w dłoni jak martwy przedmiot stworzony do sabotażu. Przekręcam kółko raz po raz, kciuk drętwieje, ale iskra nie nadchodzi. Deszcz, wiatr, cały ten świat rzuca mi klody pod nogi. Powietrze cuchnie asfaltem, starym deszczem i moją własną porażką. Mam ochotę roztrzaskać tę zapalniczkę o beton, poczuć ten jeden konkretny dźwięk niszczonego metalu. Powstrzymuje mnie tylko apatia. I świadomość, że to i tak nic nie zmieni.

Rzucam papierosa w błoto. Po prostu spada. Wkopuję go w maź, zostawiając po nim tylko brudny ślad. Zaciskam powieki. Zęby szczękają, czoło pulsuje mi w rytm narastającego oblędu. Zimny deszcz splywa po karku... nieproszony, lodowaty dotyk samotności, który ma mnie za nic. Cała ta gra pozorów, ten pieprzony teatr ról... wszystko mnie wkurwia. Nie wiem, czy nienawidzę bardziej tej sytuacji, czy siebie za to, że wciąż w niej tkwię.

Co ja tu, do cholery, jeszcze robię?

Czego szukam w tym grobowcu?

Wsiadam do samochodu. Drzwi trzaskają głucho jak wieko trumny. Dłonie łądują na kierownicy, napięte, twarde, obce.

Wszystko we mnie drży, ale to nie chłód. To pieprzony korek emocjonalny, kwas, który żre mnie od środka, docierając do samego rdzenia mojego *ja*.

Odpalam silnik. Dźwięk jest suchy, martwy jak echo w pustym kontenerze. Deszcz splywa mi po twarzy z mokrych włosów, ale nie ścieram go. Przecież i tak zaraz wróci. W tym świecie zawsze wraca to, co brudne i zimne.

Siedzę chwilę w tej metalowej puszcze. Patrzę przed siebie.

Ani w prawo. Ani w lewo.

Nie chcę widzieć niczego poza tym, co jest tu i teraz.

Patrzę na deszcz, który nie przestaje lać.

Na mrok, który nie odpuszcza ani na centymetr.

Patrzę na to cholerne, wielkie nic.

Uświadamiam sobie z przerażającą jasnością, że to nic patrzy na mnie ze wzajemnością. I uśmiecha się moim własnym uśmiechem.



Powracający koszmar

Wchodzę do biura, zatrzymując za sobą drzwi z nadzieją, że zostawię tamten świat na zewnątrz. Klamka zacina się na ułamek sekundy. Mały, złośliwy opór materii jakby ten budynek też chciał mnie zatrzymać w miejscu. Powietrze w środku jest inne. Bardziej zawiesiste, naciągane napięciem, które aż dzwoni w uszach.

To cisza przed egzekucją.

Rozglądam się. Wszystko wygląda tak samo, a jednak wszystko jest kłamstwem. Te same sterty beużytecznych dokumentów, ten sam kontrolowany chaos na biurkach. Znam to miejsce jak własne blizny.

Mimo to teraz czuję się tu jak intruz we własnej skórze. Ktoś przestawił mnie o jeden lub dwa milimetry. Zmienił kąt padania światła, nałożył na wszystko brudny, siny filtr.

Ściany mają inny odcień? Czy to tylko mój wzrok, który odmawia posłuszeństwa?

Powietrze cuchnie kurzem nasiąkniętym cudzymi szeptami i potem ludzi, którzy stąd wyszli i nigdy nie wrócili. To zapach porażki, która wgryza się w meble.

Zatrzymuję się przy biurku. Leży tam pusta kartka. Ta biel jest agresywna, drażniąca. Wygląda jak biała flaga, którą moja psychika wywiesiła przed Phelptoonem.

A jeśli ten skurwiel mówił prawdę?

To pytanie wraca jak miarowe stuknięcie w rurach. Głuche, rytmiczne, niemożliwe do uciszenia. Jest jak drzazga pod paznokciem. Wiesz, że przy próbie wyjęcia poleje się krew, ale nie możesz z nią żyć. Obraz wspomnień faluje jak zdjęcie topielca pod taflą mętnej wody.

Ja i Sinéad? Próbuję nas do siebie dopasować, ale widzę tylko rozmazane kształty, figury wypłukane z koloru i sensu.

Ktoś celowo zamazał moją przeszłość grubą warstwą czarnej farby, zostawiając mnie z niczym.

Tyle lat. Tyle rzekomych chwil...

Nie potrafię wygrzebać z pamięci ani jednego dźwięku jej głosu, ani zapachu jej włosów. To nie jest amnezja. To jest kradzież. Przeoczyłem moment, w którym ktoś włamał się do mojej głowy i wyniósł z niej wszystko, co miało jakąkolwiek wartość.

Nawet nie słyszę Deana. Widzę tylko jego cień, który kładzie się na tej przeklętej kartce, brudząc jej biel.

– Co ty taki? – rzuca od niechcenia. Głos ma wyprany z emocji, niemal znudzony jakby komentował pogodę.

W mojej głowie spirala paranoi zaciska się coraz mocniej. Żadnych wyjść. Żadnych odpowiedzi. Tylko ten chory, zapętlony szum.

Telefon dzwoni gwałtownie.

Ten dźwięk rozcina powietrze jak piła mechaniczna. Patrzę na ekran... nieznany numer, ciąg cyfr, które wyglądają, jakby nie należały do żadnego ziemskiego systemu.

Rzucam okiem na Deana. Jego twarz to nieruchoma maska, ale widzę napięcie w jego barkach. On wie. Wszyscy tutaj wiedzą, tylko ja gram rolę ślepego głupca.

– Muszę to odebrać – chrypię.

Klikam głośnik. W słuchawce słychać trzask, jakby ktoś rozbił butelkę na betonie. Ostre odłamki dźwięku wpadają mi do uszu.

Przez moment panuje absolutna, martwa głusza. A potem...

– *Dzień dobry, Howard.*

Ten głos. Zimny. Znajomy w sposób, który sprawia, że krew staje mi w żyłach. Brzmi jak nagranie puszczzone z zepsutej taśmy, lekko przesunięte w dół, nienaturalnie przeciągnięte. Głos, który słyszałem dziś rano, głos z moich snów, głos z nagrania.

To nie jest rozmowa. To wyrok, który właśnie został mi odczytany prosto w twarz, w biurze, które przestało być moim schronieniem.

Telefon wyslizguje mi się z dłoni. Łapię go w ostatniej chwili, czując pod palcami zimny plastik, jedyny twardy punkt w świecie, który

właśnie zaczął się topić. Wystarczyło jedno zdanie. To mój głos. Ten sam, którym rano przeklinałem w łazience, teraz wycieka z głośnika jak czarna wydzielina.

Oddech staje dęba w gardle. Serce? Może wciąż bije, a może to tylko martwy rytm automatu, który zapomniał się wyłączyć. To miał być zwykły dzień... zamiast tego to kolejna pętla beznadziei.

Wpatruję się w ekran, ale widzę tylko pulsujące, nienawistne milczenie. Dźwięk z głośnika drży, jakby ktoś tarł go papierem ściernym, zdzierając z niego resztki ludzkiej modulacji.

– *Dzień dobry, Howard.* – Ten sam ton. Ten sam ja, wypluty z innego, gorszego świata.

To coś włamało się do mojego gardła i ukradło mi barwę dźwięku, żeby teraz drwić ze mnie z tamtej strony linii.

Słuchając go, czuję się jak wyblakła, nieudolna kopia, która właśnie stanęła twarzą w twarz z oryginałem. Koszmar, który miał zniknąć po przebudzeniu, właśnie stał się jedyną obowiązującą wersją Wszechświata. Granica się zatarła. Kształty miękną, światło pulsuje jak w malignie, a powietrze zamienia się w duszną, kleistą galarete.

– Co do cholery...? – zaczyna Dean, ale ucinam go jednym szybkim spojrzeniem.

Nie chcę jego głosu. Nie chcę, żeby jego prostacka normalność rozbiła to napięcie, które jako jedyne trzyma moje ciało w jednym kawałku. Biorę głęboki oddech. Powietrze drapie, smakuje rdzawym metalem i starą wentylacją kostnicy.

– Kim jesteś? – pytam. Słowa brzmią jak wyrok, choć mój głos drży jak próchniejąca podłoga pod ciężarem prawdy.

– Wiesz, kim jestem, Howard – odpowiada głos po drugiej stronie. Wszystko w nim jest wyuczone, mechaniczne, nieludzkie. – Nie przejmuj się. Niedługo przekonasz się osobiście.

Skóra na karku mi cierpnie.

To nie jest groźba, to stwierdzenie faktu. Coś pod tym głosem nie należy do tego świata. To nie jest gra. To jest proces eliminacji mojej osoby.

– Kiedy... się poznaliśmy? – wypowiadam to z trudem.

Głos w słuchawce wybucha cichym, pogardliwym śmiechem. To nie jest śmiech człowieka, który cieszy się z żartu. To dźwięk drapieżnika, który patrzy, jak ofiara sama zapęcza się w kozi róg.

– Wiesz, że masz problem z pamięcią, Howard? Twoja głowa to ser szwajcarski, a ja jestem tym, co wypełnia dziury.

Ciało mi sztywnieje. Coś lodowatego wślizgnęło się pod moją skórę i zastygło wzdłuż kręgosłupa. Obracam się powoli.

Dean gapi się na mnie, ale jego twarz jest martwa, wyprana z jakiegokolwiek reakcji. Przenoszę wzrok na szybę. Widzę tam własne odbicie, ale ono mnie nie poznaje. Kąt ten sam, światło to samo, a jednak... to nie jestem ja. To tylko coś, co założyło moją skórę i udaje, że mnie pamięta. Detale są inne... żuchwa zbyt ostra, oczy zbyt puste, brwi wygięte w nienaturalnym łuku.

– Niepotrzebnie wmieszaliście w to Amslera – mówi głos, a każde słowo opada na dno mojej duszy jak kamień w mętnej wodzie.

Układanka, którą ktoś mi wcisnął do rąk, rozsypuje się na kawałki. Nie wiem, czy kiedykolwiek do mnie pasowała. Nie wiem, co jest prawdą, a co tylko cynicznym kłamstwem stworzonym na moje potrzeby. Wiem tylko jedno: *nie mogę już udawać, że to się nie dzieje.*

Dean patrzy na mnie. Jego oczy, zwykle pełne cynizmu, teraz są przepelnione czymś, co wygląda jak wyczekiwanie na stracenie. Zrozumiał. Ta sprawa dawno przestała być pod naszą kontrolą.

Nigdy nie była.

– O czym ty mówisz? – pytam, ale brzmi to, jak kwestia napisana przez kogoś innego, włożona mi w usta w tym teatrze absurdu.

– Amsler był tylko pionkiem, Howard – głos w telefonie niemal

mruczy z satysfakcji. – Sprawa dopiero się zaczyna. A ty, mój drogi, jesteś jej głównym, choć nieświadomym, architektem.

W głowie burza. Myśli szarpią się jak wyrwane, puste kartki z notatnika. Nic się, kurwa, nie skleja. Wszystko jest rozmazane, a każdy fragment prowadzi w inną, ślepą uliczkę.

– Howard... – mówi głos. – *Nie patrz w lustro.*

Połączenie się urywa.

Bez *kliknięcia*, bez tonu, bezlitośnie. Moment zawieszenia, który zapada, jest nienaturalnie brudny, jak gnojówka. Nie słyszę nic oprócz własnego oddechu, który nagle wydaje się wulgarnie głośny, jak szum fal wewnątrz czaszki. Wszystko zaczyna się zacierać, jakby ktoś zdjął mi maskę, ale zapomniał zostawić twarz.

Czy to, co mi się śniło, naprawdę było tylko snem?

Wpatruję się w ekran telefonu z chorą nadzieją, że coś się wydarzy. Że głos wróci, powie cokolwiek, byle tylko przerwać to martwe milczenie. Zimne, nieprzeniknione, jak koniec taśmy, na której albo nie ma nic, albo jest wszystko, czego się bałem.

Podnoszę wzrok. Dean przysuwa się bliżej, jego ruchy są spowolnione jak w żelowym płynie. Ręka zawisa w powietrzu, otwarta, bez celu. Zaciska usta, a mięśnie szczęki napinają się rytmicznie.

– Co to było, do cholery? – pyta szeptem jakby bał się, że głośniejsze słowo obudzi coś, co jeszcze się nie ruszyło. A może już jest w ruchu, tylko ja tego nie widzę.

Półświadome obrazy tłoczą się pod czaszką, ale żaden nie chce się ujawnić. Jak tchórzliwe dzieciaki ukrywające się przed karą. Kim był ten człowiek? A raczej, kim był *ten* głos, który mówił dokładnie to, co śniło mi się tej nocy, i brzmiał jak *ja*, tylko... spokojniejszy? Jak martwa wersja mnie, której nic już nie jest w stanie ruszyć.

Patrzę na Deana. Widzę w jego oczach to samo, co czuję... strach, który jest zbyt duży, by go nazwać.

– Dean... – zaczynam, a mój głos jest obcy. – Ty to... słyszałeś?

– Tak... słyszałem – odpowiada, a to proste słowo waży tyle, co martwe słowa.

Myśli płaczą się jak cienkie, napięte żyłki. I wtedy przychodzi pytanie, którego boję się zadać, bo odpowiedź zniszczy resztki mojego świata: *co, jeśli to nie był tylko sen?*

NIE! To musiał być sen, powtarzam w myślach, ale brzmi to, jak zdanie z obcego, martwego języka.

– Może... użył syntezy? – rzucam, szukając ostatniej, żalostnej deski ratunku w logice.

Dean nie odpowiada od razu. Jego twarz staje się zamknięta, a oczy uciekają gdzieś za moje ramię, jakby szukały drogi ucieczki.

W końcu kiwa głową, ale to bardziej westchnienie rezygnacji niż odpowiedź. To nie wystarcza. Głos był za dokładny. Nie tylko ton, ale te cholerne, drobne pauzy, które robię, gdy klamię albo próbuję coś ukryć. Wibracje, które są częścią mnie, a nie syntezy.

On wiedział. Wiedział, co mi się śniło. Tego nie da się przewidzieć, to nie jest przypadek. To jest spisek przeciwko mojej egzystencji.

– Howard, musimy dowiedzieć się, kto do cholery stoi za tym wszystkim – głos Deana w końcu coś robi. Wbija się we mnie jak stalowe ostrze, ale przynosi chłód, którego potrzebuję. To moja kotwica w chaosie.

Myślę tylko o jednym: *nie patrz w lustro*. To nie było ostrzeżenie. To była instrukcja obsługi mojego rozkładającego się umysłu.

– Spotkałeś go kiedyś? – Dean wciąga mnie z powrotem do tego chorego pokoju.

– Tak... – szepczę, zamykając oczy. – W lustrze... we śnie.

Może to wszystko jest częścią czegoś większego, czegoś, co nie mieści się w słowniku zjawisk naturalnych. Może to ja byłem po drugiej stronie. Może nie wróciłem sam. Może ktoś przyszedł ze mną?

Ktoś, kto nosił moją twarz, ale nigdy nie był mną, a teraz czeka na dogodny moment, by wreszcie przejąć kontrolę nad moim marnym życiem.

– To niemożliwe... – rzuca Dean, desperacko trzymając się resztek normalności. – Spotkałeś go tam, w lustrze? Może tylko tak sobie to tłumaczysz, bo boisz się prawdy?

Może Dean ma rację. Może to tylko kolejne złudzenie w świecie, który stał się jedną wielką halucynacją. Ktoś mógł wejść do mojego mieszkania, przesuwając moje rzeczy swoimi brudnymi łapami, dotykać moich ubrań i przynieść ten czerwony kubek tylko po to, by patrzeć, jak się łamię. Może wpuścili do mojego życia pasożyta... paranoję, która teraz żre mnie od środka, konsumując resztki zdrowego rozsądku, by w końcu urosnąć i zająć moje miejsce. By stać się mną bardziej, niż ja sam kiedykolwiek byłem.

Ten głos musi być częścią układanki. Może niedługo dowiem się, że to on pociąga za sznurki w tym szaleństwie. Muszę być blisko. Zbyt blisko, jak cień, który przywarł do skóry i nie chce odejść, dopóki nie zostanie z niego tylko suchy płat.

Przecieram twarz dłonią. Palce drżą mi jak u starca.

– Nie wiem, co się dzieje, Dean, ale jedno jest pewne: *jesteśmy blisko. Krążymy wokół odpowiedzi, a komuś bardzo zależy, żebyśmy połamali sobie na niej zęby.*

Dean milczy, gapiąc się w szybę, za którą świat powoli zdycha.

– Myślisz, że ten facet z nagrania to ten sam, który teraz dzwonił?

W głowie widzę jego twarz. Moją twarz. To odbicie, które wiedziało o mnie wszystko. Jak mrugam, jak klamię, jak odwracam wzrok, gdy sumienie zaczyna mnie gryźć.

– To możliwe – mówię powoli. – Tylko to nie tłumaczy, dlaczego wygląda jak ja. Ktoś mógłby odstawić taką szopkę?

Dean wzrusza ramionami.

– Ktoś z technologią i nieograniczonymi zasobami. To by racjonalnie tłumaczyło ten cały burdel.

Racjonalnie. To słowo brzmi w mojej głowie jak obcy, martwy język. Racjonalność nie powinna mieć pulsu, nie powinna drgać w rytm mojego szaleństwa. A jeśli to nie narkotyki? Jeśli to nowoczesny eksperyment, w którym jestem tylko szczurem w labiryncie? Świat nie tylko się rozdziera, on się deformuje. Cicho. Płynnie. Jakby miał lekką gołąbkę i zaczynał majaczyć. Moje ręce drżą. A to drżenie idzie prosto z kości, głębokie i nieuniknione.

Nagle przychodzi myśl, ostra i zimna.

– Dean, musimy jechać do Amslera! – wyrzucam to z siebie głosem, który udaje twardszy, niż jest w istocie.

Ruszamy do drzwi. Nie patrzymy na siebie, nie ma sensu szukać potwierdzenia w cudzych oczach, kiedy własne nas oszukują.

Każdy krok ciągnie za sobą milczący ciężar pytań, na które nikt nam nie odpowie. Wiem, że czas się psuje.

Rozciąga się jak zły sen, w którym wszystko dzieje się o tę jedną, kluczową sekundę za późno. Rana pod obojczykiem zaczyna pulsować. Strupy się rozdzierają. Nie tylko te na ciele. Te na duszy też już dawno puściły, uwalniając brudną ropę wspomnień.

W samochodzie panuje spokój, który rani uszy. Słowa tutaj nie pasują. Są zbyt kruche na tę jazdę przez deszcz. Dźwięki wewnątrz kabiny stają się nienaturalnie ostre. *Klikięcie* pasów brzmi jak przeladowanie broni, westchnienie plastiku pod ciężarem naszych ciał jak jęk potępionego. Deszcz nabiera masy i intencji. Próbuje nas pochłonać niewidzialnymi ustami. Wycieraczki tną szybę w rytmie, który przypomina puls jakiejś nieludzkiej maszyny. Każdy ich ruch rezonuje w moich kościach.

W kabinie śmierdzi kurzem, starym plastikiem i wilgocią, która pozwoli nas osacza. Deszcz wali o dach jak **alfabet Morse'a**, którego nie potrafimy rozszyfrować, a który pewnie mówi tylko jedno: *to koniec*.

Trzymam kierownicę zbyt mocno. Dłonie mam śliskie, a palce przeskakują po niej jak po zbyt napiętym kablu elektrycznym. Wzrok wbity w drogę, ale w myślach już dawno wypadłem z trasy. Samochód skręca w boczną uliczkę, prowadzony jakąś chorą, mechaniczną pamięcią. Asfalt jest śliski jak lód na jeziorze, po którym nie powinno się chodzić. Lampy uliczne migają niepewne, czy mają nam jeszcze poświecić, czy pozwolić, by mrok wreszcie nas wymazał.

Kątem oka wyczuwam spojrzenie Deana. Jest pełne pytań, na które nie mam zamiaru odpowiadać.

– Myślisz, że coś mu się stało? – rzuca, ale to nie jest pytanie. To stwierdzenie zgonu.

Nie odpowiadam. Jeśli to wypowiem, ta chora *normalność* uzna to za fakt, a ja wciąż ludzę się, że mam jakikolwiek wybór. Wciskam gaz. Mocno, impulsywnie. Chcę, żeby prędkość rozmyła ten świat, żeby asfalt pode mną ruszył wstecz jak zerwana taśma w magnetofonie, cofając nas do momentu, w którym wszystko jeszcze miało, choć cień sensu.

Widzę budynek. Ten sam. Przeklęta stała w świecie pełnym zmiennych. Świat stoi w miejscu, chociaż my jesteśmy już tylko swoimi własnymi powidokami.

Parkuję. Koła szurają po mokrym betonie z dźwiękiem, który przypomina darcie papieru. Rowery pod ścianą, porzucony van... wszystko na swoim miejscu.

– Gotowy? – Dean chwyta klamkę.

– Zawsze – klamię. To słowo znaczy coraz mniej.

Domofon wydaje krótki, stłumiony dźwięk. Potem nastaje martwa pauza, która zdaje się nas pożerać.

– Może go nie ma? – pyta Dean, ale obaj wiemy, że Amsler nigdzie nie poszedł. Nie po tym głosie w telefonie.

Dzwonię do sąsiadów. Sygnał. Drugi. Każdy impuls to uderzenie tętna czekającego na ostateczną diagnozę. W końcu ktoś odbiera. Głos jest stłumiony, odległy, jakby dochodził zza grubej szyby.

– Halo?

– Policja. Musimy dostać się do Felixa Amslera. Natychmiast.

Letarg po drugiej stronie to nic więcej, jak bezgłos nabrzmiały od niewypowiedzianych wyroków. W głębi tego mrocznego domostwa zasiada on... współczesny **Minos**, sędzia bez twarzy, który waży moje życie na szali własnego lęku. Widzę go oczami wyobraźni: *nieubłagany, owijający wokół siebie ogon potępienia przy każdym moim słowie*.

W końcu słyszę *kliknięcie*. Ten suchy, metaliczny dźwięk to nie tylko zamek, to zgrzyt klucza w bramie piekieł. Ostateczne przypieczętowanie losu. Ten anonimowy głos był moim Strażnikiem Progu.

Przez jedną, wiecznotrwałą sekundę mierzył ciężar moich win, aż uznał, że moja dusza jest wystarczająco jałowa, bym mógł przekroczyć ten próg. Zostałem wpuszczony do środka, by odbyć swoją własną pokutę.

Wchodzimy na drugie piętro. Schody skrzypią pod naszym ciężarem, a każdy z tych dźwięków to rana na psychice. Drzwi do mieszkania Amslera milczą. Pukam. Dźwięk nie wraca, nie odbija się. On po prostu zostaje wchłonięty przez drewno.

W tej sekundzie nienawidzę wszystkiego, co ciche.

Cisza to przestrzeń, w której rosną potwory. Pukam mocniej. Drzwi drgają jak klatka piersiowa kogoś, kto zapomniał, jak się oddycha. Klamka jest lodowata. Dociskam ją. Zamek puszcza z nienaturalną łatwością. Mechanizm przesuwają się jak szept mordercy.

Patrzę na Deana. A w jego oczach widzę to samo, co on znajduje w moich: *czysty, nagi strach*. Obaj boimy się przekroczyć ten próg, choć instynkt mówi nam, że już dawno jesteśmy po drugiej stronie.

– Jeśli coś mu się stało, musimy to sprawdzić – stwierdzam, choć mój głos brzmi jak echo w pustym hangarze.

Drzwi otwierają się z przeciągłym jękiem, który brzmi jak skarga. Wchodzimy powoli w miejsce, gdzie normalność przestała obowiązywać. Każdy krok to eksploracja ruin własnego rozsądku. Wchodzimy w mrok, który na nas czekał.

Tylko że jest już za późno.

Zawsze jest, kurwa, za późno.

Amsler leży na podłodze, ciało nienaturalnie rozciągnięte jak porzucony prototyp, któremu jakiś sadystyczny stwórca nagle odciął zasilanie. Jest martwy, ale jego zwłoki nie są obojętne. Twarz nie zastygła w spokoju... jest otwarta w grymasie agonii, która trwała o kilka długich wieczności za długo.

Nigdzie nie ma siniaków. Żadnych śladów walki, żadnych rozpaczliwych zadrapań na parkiecie. Nic. Amsler po prostu się poddał, jakby śmierć była jedynym logicznym wyjściem z tego labiryntu. Jego dłoń, teraz już tylko zimne kłębowiska mięsa i kości, ściskają coś z pośmiertną furią.

Karta.

Schylam się. Nie dotykam jej od razu. Najpierw pozwalam, by ten widok wżarł mi się pod powieki. Każdy detal tego kawałka papieru wydaje się przemyślany, starannie wkomponowany w ten makabryczny spektakl. Znowu ten sam, rzygający powtarzalnością scenariusz. Sekwencja zdarzeń zbyt dokładna, by nazwać ją przypadkiem. To nie morderstwo, to cholerny teatr.

Wciagam rękawiczki. Palce mi drżą, ale to nie lęk, to jest to pieprzone napięcie, które podpełza pod skórę jak insekty.

Dotykam karty. Jej faktura jest inna, obca. Ta karta wydaje się... świadoma. Jest twarda, sztywna jak papier czerpany z ludzkiej skóry. Podnoszę ją, obracając w palcach jak relikwię zniszczenia. Z tyłu widnieje symbol: *maska*. Biała, pozbawiona emocji, z pustymi oczodolami, które gapią się prosto w moją pustkę. To twarz, która nie mówi nic. Lustro, w którym nie ma nawet cienia odbicia.

Z przodu wskazówki. **7:00**.

Przez moment w moich uszach nie ma nic poza głosem tamtej wróżbiarki. Jej brednie o szkieletach, przejściach i śmierci właśnie zyskały ostre, raniące krawędzie. *Śmierć nie ma końca*. To nie była metafora, to był manifest. Ta karta promieniuje zimnem, które wykracza poza jakąkolwiek skalę. Dotykając jej, czuję, jakbym kładł palce na pulsie samego mordercy. To bilet do świata, w którym godzina **7:00** nie oznacza świtu, lecz moment, w którym mrok ostatecznie miażdży oko. Maska na rewersie to twarz bóstwa, któremu właśnie rzucono na pożarcie truchło Amslera.

Zerkam na Deana. Wyciąga telefon z rutyną maszynisty na cmentarzu. Jego ruchy są pewne, ale palce zdradzają napięcie, którego nie da się ukryć pod ubiorem.

– Mamy ciało. Potrzebujemy ekipy na miejscu, zabezpieczamy dowody – rzuca do słuchawki. Zero emocji, zero pytań. Czysty, profesjonalny cynizm.

Wzdycha. Nie jest zmęczony fizycznie. On jest wyczerpany egzystencjalnie, od środka. Jego twarz to teraz kolejna maska w tym pokoju, ale widzę, jak pod skórą pulsuje mu rezygnacja.

– Zabili go, bo wiedzieli, że go odwiedziliśmy – mówi. To nie jest przypuszczenie. To fakt, który właśnie nas naznaczył.

– Czyli to nie przypadek – odpowiadam powoli, a mój głos brzmi jak chrzęst piachu. – Ktoś nas obserwował. Albo jego. Albo wszystkich naraz.

Dean kiwa głową, a jego wzrok ucieka w stronę oczu Amslera.

– Tak. Ktoś widział nas u niego. Albo my jesteśmy zwierzyną, albo on był tylko przynętą, która właśnie przestała być potrzebna.

– Morderca osobiście nas zaprogramował. Sklep, Amsler, galeria... Każdy krok był zaplanowany. Dopilnował nawet, żebyśmy dostali to przekłete zaproszenie – stwierdzam.

Dean gapi się na mnie, a w jego spojrzeniu przesuwa się cień myśli, mętny i niepokojący.

– Myślisz, że ten psychol pojawi się dziś? W **Lux Aeterna**? – jego słowa nie niosą nadziei na złapanie sprawcy. Niosą zapach stypy.

– Może. Może cała ta sprawa to tylko nędzna opera, a my mamy być jego finałowymi ofiarami.

Milczymy, ale obaj czujemy to samo: *gracz jest tuż obok*. Czujemy jego oddech na karku, gdy wykonuje kolejny ruch na tej szachownicy zrobionej z ludzkiego mięsa. Czy jesteśmy tylko marionetkami w rękach Phelptoona? A może on też jest tylko pionkiem, którego ktoś zaraz sprzątnie z planszy?

Może Wanda jest kluczem, a może oboje są już tylko trupami, które jeszcze nie wiedzą, że przestały oddychać.

Czas zwalnia. Minuty wyginają się jak zardzewiałe gwoździe pod ciężarem młota. Dean stoi obok. Zaciśnięta szczęka, zmrużone oczy. To nie jest czujność gliniarza, to agonalne zmęczenie człowieka, który próbuje przelknąć ten dzień bez dławienia się własnym rzygiem.

W mieszkaniu śmierdzi rozpuszczalnikiem i czymś, co przypomina próbę odmalowania świata farbą, która nigdy nie wyschnie. Wszystko się lepi. Wszystko brudzi.

Z zewnątrz dobiega szum. Narasta, krok za krokiem, jak woda przebijająca się przez kruszejącą tamę. Czerwono-niebieskie światła radiowozów tną szybko, mieszając się w pokoju jak ogień z wodą.

Ten taniec światel zalewa ściany, a ja mam wrażenie, że jesteśmy wewnątrz obrazu, który jakiś szaleniec właśnie zamalowuje na czarno.

Howard i Dean... dwie kolorowe plamy, które zaraz zostaną przykryte głuchą, ostateczną ciemnością.

Spoglądam na zegarek. **17:46**. Skupiam wzrok na sekundniku.

Wtedy to widzę. Zatrzymał się. Nie, on się cofnął...

Czas właśnie zwymiotował sekundę, której nie potrafił przetrwać. To nie usterka mechanizmu, to świat na moment stracił pewność siebie, obnażając swoją nędzną, mechaniczną sztuczność. Czuję, jak niepewność wlewa się we mnie jak lodowata ciecz. Powoli. Skutecznie.

Wrywam telefon z kieszeni. Ekran jarzy się trupim, chłodnym światłem. Minęło dziesięć sekund. Zegar wciąż milczy. Moje serce wali w żebra jak uwięziony szczur. Nic. Kolejne sekundy mijają jak przez brudną mgłę. Nie oddycham. Czekam na wyrok.

17:47.

Wciągam powietrze, a płuca palą mnie żywym ogniem. Zegarek znów tyka. Normalnie. Bez histerii. Jak gdyby nigdy nic.

Przez moment mam pewność, że sen zaczął przeciekać do mojego wnętrza, a każde moje mrugnięcie to kolejna kropla trucizny.

Z tego odrętwienia wrywa mnie dźwięk skrzypiących drzwi. Delikatny, cichy, ale przecinający powietrze jak rozżarzony drut. Ktoś właśnie wszedł do tego grobowca, a ja nie wiem, czy to ekipa sprzątająca, czy może reżyser, który przyszedł osobiście zakończyć ten żaloszny spektakl.

Pierwsze sylwetki wyciekają z ciemności korytarza jak plamy oleju. Technicy wchodzi jeden po drugim, wybijając butami rytm, który pasuje do tej chwili tak samo, jak radosna piosenka do pogrzebu. Nagle zrobiło się tu tłoczno.

Wśród nich jest Mercer. Drobna, niemal eteryczna, zbyt delikatna na tę rzeźnię, którą nazywamy swoim domem. Jej ruchy są powolne,

niemal choreograficzne. W innym świecie, takim, który nie śmierdzi zwłokami, pomyślałbym, że tańczy. Zwłaszcza w tej swojej kolejnej kolorowej sukience w kwiaty... absurdalnym kontrapunkcie dla trupów i zastygłej krwi. To kolejna pomyłka w tej wadliwej płaszczyźnie... błąd estetyczny, który drażni moje oczy.

– Co mamy? – pyta beznamiętnie. Jej głos jest czysty, ale martwy. To dźwięk kogoś, kto już dawno przestał odczuwać cokolwiek poza zawodową ciekawością.

Przesuwa wzrokiem po Amslerze, jakby sprawdzała datę ważności na kartonie mleka. Dean natychmiast wyrzuca z siebie raport. Recytuje instrukcję obsługi zgonu: *brak śladów walki, karta w dłoni, absolutna ci-sza*. Patrzę, jak technik wkłada dowód do plastikowego worka. Ten obraz wydaje mi się odległy, rozmazany jak stary film puszczoney na zepsutym projektorze. Moje ciało stoi na tym brudnym parkiecie, ale ja już dawno opuściłem ten budynek. Jestem tylko widzem w teatrze, który zna zakończenie i wie, że jest ono beznadziejne.

Mercer skanuje pokój jak maszyna. Układa puzzle z ludzkiego nieszczęścia bez cienia pośpiechu. Zakłada rękawiczki z taką precyzją, że każda fałda gumy wydaje się zaplanowana. Nie chce, by miejsce zbrodni ją zakłóciło. Ona pilnuje swojej sterylności, jakby to był jedyny mur dzielący ją od oblędu. Podchodzi do Amslera płynnie, bez jednego potknięcia.

– Nic nie wskazuje na typową przyczynę śmierci – mówi w końcu, a jej głos jest suchy jak raport medyczny. – Prawdopodobnie znowu *wysuszony mózg*.

Podnosi wzrok i patrzy na nas zbyt długo. To spojrzenie wbija mi się w żołądek jak hak.

– Stan ofiary jest identyczny z tym u Sinéad Worthime.

Gapię się na dłonie Amslera. Jedna zaciśnięta na fotelu, druga zwiotczała, z oderwanym paznokciem. Dziwne, nie zauważyłem tego

wcześniej. Realność zaczyna się rozwarstwiać, a ja czuję, jak grunt usuwa mi się spod nóg.

– **Może nie chcesz tego słyszeć, Howard, ale jeśli zamierzasz brnąć w to dalej, lepiej bądź gotowy na to, co odkryjesz** – rzuca Mercer, a jej ton jest chłodny jak lód w jej kostnicy.

– Co takiego? – mój szept ledwie odbija się od ścian.

Mercer zapina torbę. Ruch jest szybki, ostateczny. Prostuje się i patrzy mi w oczy o pół sekundy za długo. Widzę w nich mikroskopijny błysk. Może to znużenie, a może po prostu rezygnacja kogoś, kto wie, że patrzy na żywego trupa.

– Mówię, że zabieram go na sekcję, ale zapewne wynik będzie ten sam co wcześniej – stwierdza neutralnie, choć czuję, że pod spodem kryje się coś więcej. Coś, co ma mnie zniszczyć.

Moje dłonie drżą, próbując wyprzedzić myśli, które boją się sformułować jakąkolwiek tezę. Odwracam wzrok. Nie chcę tego teraz rozgryzać. W powietrzu nastaje cisza, przerywana tylko szelestem folii i odległym sygnałem radiowozu.

Dean gapi się na mnie tym swoim dziwnym wzrokiem, próbując wygrzebać z mojej twarzy coś, czego ja sam nie potrafię nazwać. Znamy się zbyt długo. W tym fachu słowa to tylko zbędny szum. Obaj czujemy, jak rzeczywistość wokół nas zaczyna pruć się na szwach.

Parker nagle otrząsa się z odrętwienia. Wygląda jak człowiek, który na moment zapomniał, że stoi w pokoju z trupem.

– Może ci ludzie po prostu sami zdychają? – rzuca z dziwną rezygnacją. – Znowu nie mamy nic. Żadnych odcisków, żadnego DNA. Tylko my i ta pieprzona karta.

– Tak. Pewnie wszyscy nagle padają na zawał z kartami w dłoniach, bo to teraz taka nowa, lokalna moda – syczy Dean.

Jego sarkazm jest jak tania szpachla. Zakrywa blizny w psychice, ale ściana i tak zaraz runie.

Parker wraca do dokumentacji. Suchy *klik* migawki tnie ciszę. Aparat rejestruje zwłoki, ale obiektyw nie widzi tego, co najważniejsze: *zgrzytu niewidocznej, chorej narracji, która nas pochłania*.

Patrzę na Amslera. Nie widzę człowieka. Widzę rekwizyt. Wszystko jest tu zbyt czyste, zbyt celowe, zbyt... teatralne. To nędzna kopia, której nikt już nie odczuwa.

Jeszcze ten pokój... nagle zrobił się dziwnie obszerny. Wczoraj, we trójkę, gnietliśmy się tu jak w klatce. Dziś? Siedem osób kręci się bez trudu, jakby ściany rozstały się, by zrobić miejsce dla tego spektaklu.

– Czas na nas. Jedziemy do posiadłości – mówię wolno. Mój głos brzmi jak echo puszczony w pustym szybie windy.

Dean nie odpowiada. Ma wzrok wbity w martwe oczy Amslera.

Kręci głową, jakby chciał odgonić muchy, których tu nie ma. Albo głosy, których ja nie słyszę.

– Po tym wszystkim... chyba mi się już nie chce. W sumie nigdy mi się nie chciało – rzuca cicho. Ironia nie maskuje jego zmęczenia. Ona je tylko ubiera w brudny łachman. Uśmiecha się, ale ten grymas pasuje do tej sceny jak krawat do topielca.

Czuję to samo. To nie jest zwykle niewyspanie się. To narastające przekonanie, że jesteśmy tylko statystami w filmie, w którym nasza rola kończy się na znalezieniu kolejnego ciała.

– Musimy się przebrać – mówię, ale moja motywacja przypomina próbę ruszenia zardzewiałej maszyny bez oleju. Czuję tylko zimno metalu pod palcami.

Plan jest prosty i beznadziejny: *mieszkanie, biuro, a potem ta przekłeta posiadłość*.

Jedziemy do Deana.

Deszcz bije bezlitośnie o maskę Forda, mazysty i brudny jak plama oleju na chodniku. Światła latarni ślizgają się po szybie, zostawiając

smugi przypominające ślady pazurów kogoś, kto desperacko próbował się wydostać z tego samochodu. Dean siedzi obok, sztywny, martwy za życia. Wypatruje odpowiedzi w ciemnych ulicach, choć wie, że tam znajdzie tylko więcej pytań.

Zatrzymuję się pod jego kamienicą. Wysiada bez słowa. Drzwi zatraskują się z głuchym stukiem, który brzmi jak kropka na końcu zdania. Zostaję sam.

Opieram głowę o zagłówek i odpalam papierosa. *Pstryk*. Dym wzebra się w duszne powietrze kabiny, mieszając się z odorem mokrego płaszcza i starego tytoniu. Strzepuję popiół przez uchylone okno, patrząc, jak znika w deszczu. Monotonny rytm kropel to idealne tło do koszmaru, z którego nie mogę się obudzić.

Wraca. Jest przebrany, ale jego twarz nie uległa zmianie. To twarz człowieka, który pogodził się z tym, że wróci dziś z krwią na butach. Ruszam dalej, do siebie. Silnik mruży miękko, obojętnie. Wycieraczki z uporem **Szyzyfa** zbierają strużki wody, które i tak zaraz wrócą. Ulice są puste, wyprane z życia. Kaluże odbijają światła neonów, tworząc pod nami świat, który nie istnieje. Zamazany powidok miasta, które kiedyś mogło być prawdziwe.

W głowie wciąż mam ten obraz. Martwy malarz. I coś jeszcze. Coś, co czai się tuż poza zasięgiem moich zmysłów, drażniąc mi kark. Coś, co już mnie dotyka swoimi zimnymi palcami, choć jeszcze nie potrafię nadać mu imienia, czuję, że ono już dawno zna moje.

Zatrzymuję się pod kamienicą. Silnik wciąż pracuje, mrużąc tę swoją mechaniczną, beznadziejną modlitwę. Trzymam dłoń na stacyjce, ale nie gaszę auta. Patrzę w górę, na okna.

Są czarne, zimne i tak samo obojętne, jak martwe oczy Amslera.

Czy ktoś tam na mnie czeka?

Czy w cieniu moich własnych mebli czai się kolejna chora usterka? Nie wiem.

Przez chwilę niemal chcę w to wierzyć. Strach jest przynajmniej jakimś dowodem na to, że jeszcze żyję.

W końcu wzdycham i przekręcam kluczyczek. Moment, który zapada, jest ogłuszający. Wsiadam, a krople deszczu wbijają mi się w ramiona. To już nie jest opad, to klucie miliona lodowatych igiel.

Biegnę po schodach, polykając stopnie dwa, trzy naraz. Zostawiam za sobą brudne ślady, dowód mojej marnej obecności w tym miejscu.

W klatce śmierdzi tą specyficzną, stęchlą samotnością, która wycieka spod każdych drzwi.

Docieram do swoich. Przez ułamek sekundy mam wrażenie, że ktoś stoi za mną, tuż przy uchu, ale gdy się odwracam, widzę tylko pusty, źle oświetlony korytarz.

Klucz obraca się w zamku, a drzwi otwierają się z jękiem, który brzmi jak wyrzut sumienia. Stoję w progu, nasłuchując. Nic. Zapalam światło. Żółtawa poświata zalewa korytarz, ale nie rozprasza tej gęstej atmosfery, która wgryza się w ściany. Powietrze w tym mieszkaniu ma swoją własną wagę. Słyszę tylko odległy szum deszczu i tykanie zegara w kuchni. Ten stary mechanizm nigdy się nie zatrzymuje, jakby jego jedyną funkcją było przypominanie mi, że każda sekunda przybliża mnie do ostatecznego rozpadu.

Zrzucam mokre buty. Podłoga jest chłodna i wilgotna. Nie ściągam płaszcza. Coś mnie powstrzymuje. Mam wrażenie, że to mieszkanie mnie testuje, że bada moją wytrzymałość, zanim pozwoli mi wejść głębiej w tę pustkę.

Robię kilka kroków. Strach pulsuje mi w skroniach. Może to tylko zmęczenie, a może **Lux Aeterna** już tu jest, wślizguje się pod progiem, deformując moją przestrzeń.

Podchodzę do okna. Odslaniam zasłonę.

Ulica na dole tonie w szarości. Nikogo nie ma. Świat został wymazany. Dopiero wtedy wypuszczam powietrze, którego nie miałem odwagi wydusić z płuc. Czas zaczyna mnie dusić, metr po metrze.

Rzucam mokry płaszcz na fotel. Zimno wbija mi się w kark. Idę do łazienki, licząc na to, że woda zmyje ze mnie, chociaż warstwę tego brudu, który przyłgnął do mnie na komisariacie.

Widzę swoje odbicie. Wyglądam jak trup, który zapomniał się położyć. Woda wpada do odpływu z hukiem, zimna i bezlitosna. Nie przynosi ulgi. Zamiast czuć się czystszy, czuję się bardziej zakurzony, jakbym składał się już tylko z popiołu.

Otwieram szafę. Rzędy ubrań. Ciemne, praktyczne szmaty dla człowieka bez przyszłości. Moja dłoń sięga po stary galowy garnitur. Rozprostowuję materiał. Nie wiem, po co go trzymam. Nigdy nie pasowałem do balów czy eleganckich kolacji. A jednak wisi tu, nienaruszony, jak całun czekający na odpowiedni moment. Każdy facet powinien mieć garnitur na wyjątkowe okazje: *ślub, pogrzeb albo własną egzekucję*. Nie idę na bal. Idę do **Lux Aeterna** jako ofiarnik i ofiara w jednym. Scenariusz tego przedstawienia dopisuje się właśnie na moich mankietach.

Zerkam na telefon. Cały dzień milczenia. Ta cisza ze strony Alison jest bardziej jałowa niż krzyk Amslera. Czas ciągnie się jak jelita na asfalcie. Nie wytrzymuję. Dzwonię. Nie wiem, czego się spodziewam.

Sygnal. Długi, pusty, monotony. Nadzieja zawsze umiera ostatnia, ale w moim przypadku to ona zdycha pierwsza.

Po kilku długich, pustych sygnałach niemal tracę nadzieję. W końcu odbiera, a jej głos jest jak dotyk zimnego szkła.

– Howard – mówi. – Coś się stało?

To pytanie jest kolejnym szczytem absurdu.

Oczywiście, że się stało. Świat zdycha w powolnych konwulsjach, mamy kolejnego martwego artystę, prawdopodobnie z papką zamiast mózgu. A ona? Brzmi, jakby była kompletnie wykolejona, odcięta od jakiegokolwiek ludzkiej wibracji.

– Nie, nic. Po prostu się nie odzywałaś. Chciałem sprawdzić, czy jeszcze istniejesz – rzucam z dawką cynizmu, która nawet u mnie budzi niesmak.

– Wszystko w porządku – odpowiada zbyt szybko, mechanicznym tonem automatu. – Mam już nagranie, ale potrzebuję czasu na analizę. Wiesz, jak to bywa.

No nie wiem, kurwa. Nie mam pojęcia, jak to bywa w twoim świecie, w którym dowody zdobywa się ot tak, *pstryknięciem* palców.

– Nie miałaś problemu z załatwieniem tego? – pytam, a moje podejrzenia kłębią się w gardle jak dym. – W końcu nie jesteś z policji.

– Mam swoje sposoby, Howard – mówi bez emocji. – Nie musisz się o nic martwić.

Nie musisz się o nic martwić... To zdanie powinno być wyryte nad wejściem do piekła. Martwię się, i to tak mocno, że chce mi się rzygać. Pomaga mi, ale jakim kosztem?

Co ona przede mną ukrywa w tych swoich sposobach? Czuję, jak serce wali mi w niebezpiecznym tempie, zupełnie niepasującym do tej krótkiej, jałowej rozmowy.

– Aha – odpowiadam, bo na nic innego mnie nie stać.

Moje zaufanie do niej wisi na cienkiej, naciągniętej do granic możliwości nitce.

– Czy coś jeszcze? – pyta.

– Nie, nic więcej.

Rozłącza się bez ostrzeżenia. Głośność świata spada do zera w jednej chwili. Kolejny raz rzuca mnie w ciemność, zostawiając z milionem pytań, które kielkują pod czaszką jak pleśń. Wkładam telefon do

kieszeni, czując paraliżującą irytację. Ten świat nie daje mi nawet szansy na normalne pożegnanie.

Wychodzę z mieszkania i przekręcam klucz. Zgrzyt metalu brzmi ostatecznie. Na klatce panuje półmrok, rozrywany jedynie przez blade, pomarańczowe plamy awaryjnego oświetlenia.

Ściany wyglądają jak pole bitwy.

Północ kontra Południe, światło kontra mrok, a ja stoję na linii frontu, nie wiedząc, do kogo strzelać.

Wtedy to słyszę. Winda. Ten archaiczny mechanizm, to szuranie kabiny o ściany szybu.

Zamieram. Patrzę na panel z czerwonymi cyframi, które zmieniają się z jakąś nieludzką pewnością siebie. Kabina jedzie w górę, naciągając ciszę aż do granic swoich możliwości. Nie pamiętam, kiedy ostatnio działała. Rok temu? Dwa? Ten budynek jest trupem, którego nikt nie naprawia, a jednak teraz, o tej godzinie, w tej przeklętej chwili, winda postanowiła ożyć.

Dźwięk wydaje się absolutnie nie na miejscu. Jest jak zgrzyt zepsutej maszyny w samym środku snu.

Czuje, jak napina mi się kark. Przecież to tylko winda, prawda? Tylko w moim świecie nic nie dzieje się bez intencji. Ktoś nią jedzie. Ktoś zbliża się do mojego piętra, a ja czuję, jak to miasto znów zaczyna deformować się pod moimi stopami.

Stoję nieruchomo, gapiąc się w drzwi kabiny, jakby zaraz miały wypłuć coś, co pożre resztki mojego rozsądku.

Czekam. Może to tylko sąsiad, kolejna anonimowa twarz w tym grobowcu? Mieszkam na trzecim piętrze, cztery poziomy nade mną, dwa pod. Kiedyś liczyłem każdy stopień, bo ta winda była martwym pomnikiem technologii, który nigdy nie działał.

A teraz... czerwone cyfry pelzną w górę z jakąś perwersyjną pewnością siebie.

1...

2...

3...

Winda staje. Moje piętro...

Kurwa. Przelykam ślinę, czując, jak każda struna w moim ciele naciąga się do granic wytrzymałości. Ręka odruchowo szuka rękojeści pistoletu, ale trafia na pustkę. No tak, garnitur. Specjalnie zostawiłem broń. Chciałem, żeby to była decyzja ostateczna, bez marginesu na błąd, bez drogi ucieczki. Chciałem stanąć przed tym finałem nagi, osłonięty jedynie cienką warstwą wełny i własną paranoją.

Drzwi windy otwierają się z cichym, syczącym dźwiękiem, przypominającym ostatnie tchnienie. Wpatruję się w środek. Jarzeniówka migocze w agonalnym rytmie, rzucając trupie światło na metaliczne ściany. Widzę w nich swoje odbicie... napiętą twarz, oczy wbite w próżnię. Kabina jest pusta. Nikogo. To fizycznie niemożliwe, ktoś musiał wcisnąć przycisk, ktoś musiał nadać temu mechanizmowi impuls. Jednak stoję przed pustą klatką, która przyjechała tu tylko po to, by pokazać mi moją własną samotność.

Robię krok do przodu, zaglądam w rogi, sprawdzam lustro.

Nic. Żadnego zapachu, żadnego śladu obecności. Przez sekundę myślę, żeby wsiąść i zjechać do piekła, ale instynkt, ten stary, zaszczyty pies, każe mi się cofnąć. Wybieram schody.

Schodzę powoli, a każdy mój krok brzmi jak odliczanie. Gdy dościeram na parter, zimne powietrze uderza mnie w płuca jak pięść. Pusto. Tylko echo moich butów odbija się od wilgotnych, zaplutyh ścian. Na drzwiach windy, tych na dole, widzę kartkę. Żółty, brudny papier z jednym słowem:

AWARIA

Winda nie działa od miesiący. Kurwa. Ten budynek znów puścił mi oczko, a ja nie mam siły się odgryźć.

Wychodzę na zewnątrz. Idę w stronę Crown Vica, czując, jak garnitur krępuje mi ruchy. Staje się moją zbroją i więzieniem jednocześnie. Dean stoi przy aucie, oparty o maskę z tą swoją miną człowieka, który widział już wszystko i nic go to nie obeszło.

– Co ty, kurwa, szykujesz się na studniówkę? – rzuca, mierząc mnie wzrokiem. – Myślałem, że wchodzisz tylko się przebrać, a nie po kostium na bal przebierańców.

Chwytam za klamkę, czując pod skórą to drżenie, którego nie da się zapić ani wypalić. Staram się przybrać maskę twardego, ale w tym garniturze czuję się jak natręt w cudzym życiu.

– Dobrze, że parking jest zadaszony. Szkoda byłoby ubrudzić taką ładną szmatę wyjściową, co? – mówię, a mój cynizm jest tak gęsty, że niemal go wypływam na asfalt.

Siadam za kierownicą. Silnik odpala z cichym, mechanicznym warkotem. Teraz nie ma już odwrotu. Mam zaproszenie, mam partnera oraz świadomość, że **Lux Aeterna** to miejsce, gdzie wszystkie kłamstwa wreszcie staną się ciałem.

Wiatr wdiera się przez szczelinę w oknie, szumiąc w kabinie z siłą dogorywającego płuca. Ten powiew nie niesie ulgi, on tylko pogłębia niepokój, który towarzyszy mi od wyjścia z mieszkania jak czarna dziura, wsysająca resztki mojej woli.

Szum wichury miesza się z furią deszczu, a samochód drży, jakby sam bał się tego, co majaczy przed nami. Skupiam się na każdym metrze mokrego asfaltu, analizując każdą kałużę, jakby to była kwestia przetrwania. To już nie jest jazda, to rozpaczliwa próba utrzymania kontroli nad własną tożsamością, która wyslizguje mi się z rąk.

– Ta droga nigdy nie wyglądała lepiej – rzuca Dean, gapiąc się na ciemniejący, martwy krajobraz.

Nie reaguję. Na cynizm Deana odpowiadam własnym milczeniem. Czas na bezplodne dyskusje minął razem ze śmiercią Amslera.

– Będzie ciężko – mruczy bardziej do siebie, a w jego głosie słyszę rezygnację, której nie potrafi już ukryć.

– Nie mamy wyboru – ucinam. Wybór to luksus.

Dean opiera głowę o zagłówek i zamyka oczy. To tylko żalosna próba złapania tchu przed zanurzeniem się w rynsztoku. Z oddali wyłania się **Lux Aeterna**.

Światło sączące się z jego wnętrza rozlewa się po karoseriach luksusowych maszyn, zaparkowanych przed wejściem jak rzędy polerowanych trumien.

Pośród cieni martwego lasu budynek lśni niczym fałszywa latarnia, prowadząca nas prosto na skały. To pułapka, ołtarz postawiony na fundamencie z kłamstw, a my dobrowolnie wchodzimy w paszczę tej bestii. Czuć to w powietrzu, ten dreszcz niepokoju, który pełnie wzdłuż kręgosłupa jak lodowaty pasożyt.

Zatrzymuję samochód w cieniu drzew i gaszę światła. Chcę, żeby mrok nas pochłoniął, zanim zrobi to ten budynek.

– Czysty luksus – zauważa Dean, lustrując scenę. – Wygląda na to, że bal się zaczął.

Patrę na mury. Wczoraj ten gmach był martwy, głuchy, pogrążony w martwym letargu. Dziś tętni chorym życiem, jakby potwór w jego sercu wreszcie się przebudził, a tę iluminację odpalono specjalnie na moje powitanie.

Wysiadamy. Chłód uderza mnie w twarz, surowy i bezlitosny, ale to nie mróz sprawia, że moja skóra cierpi, ale ciężar spojrzeń, których jeszcze nie widzę, a które już czuję na sobie jak dotyk brudnych

palców.

Poprawiam garnitur. Moją własną zbroję, uszytą z materiału, który kępuje ruchy, ale stanowi jedyną barierę między mną a szaleństwem tego miejsca.

Morderca prowadził mnie tu po sznurku jak zwierzę na rzeź, ale to ja decyduję, w jakim stylu przekroczę ten próg.

Adrenalina już nie krąży w moich żyłach... ona mnie spala od środka, przygotowując na spotkanie z architektem tego piekła.

Wtedy, w tej krótkiej sekundzie przed wejściem, dociera do mnie najgorsza prawda: *nie boję się tego, co zastaniemy w środku. Boję się tego, kim będziemy, gdy stamtąd wyjdziemy.*

O ile w ogóle wyjdziemy...

To nie jest moment, który może coś zmienić.

To moment, w którym uświadamiam sobie... że granica została przekroczona dawno temu.

Teraz tylko idziemy odebrać nasz rachunek.

Tylko nie wiem, czy mamy jeszcze czym zapłacić...



CIĄG DALSZY NASTĄPI

Postłowie

Minał jakiś czas, odkąd ta opowieść zaczęła kielkować w mojej wyobraźni, a potem powoli przelewać się na papier. Pisanie jej było dla mnie jak błędzenie po nieznanym lesie we mgle. Widziałem niewielkie zarysy drzew, ale ich prawdziwe kształty objawiały się dopiero wtedy, gdy podszedłem bliżej.

Dziś pierwszy tom dobiega końca. Mimo to pod powierzchnią słów wciąż czuć pulsujący, niepokojący rytm świata, który dopiero się formuje, wykuwa w ogniu zdarzeń i zastyga w formy, których sami bohaterowie jeszcze nie w pełni rozumieją.

Każdy zakamarek, który wspólnie odwiedziliśmy, każdy cień rzucony na bruk i każdy drobny detal tego miejsca skrywa niewypowiedziane tajemnice. Te, które czekają na swój moment, by uderzyć z podwójną siłą. Nie na wszystkie pytania znaleziono odpowiedź i nie był to przypadek. W labiryncie tej historii niektóre ścieżki celowo kończą się ślepym zaułkiem, by zmusić nas do szukania prawdy tam, gdzie wzrok nie sięga. Nie każdy sekret został odkryty, bo niektóre z nich są wciąż zbyt niebezpieczne, by objawić się już teraz.

Postacie, które poznaliśmy, ze wszystkimi ich bliźniami i nadziejami, wciąż niosą w sobie głęboką niepewność, lęk i pragnienia tak silne, że nie miały jeszcze szansy w pełni wyjść na jaw. To ludzie zawieszeni między przeszłością, która ich ukształtowała, a przyszłością, która rzuca im wyzwanie.

To, co widzieliśmy do tej pory, to jedynie fragment większej, mrocznej całości. To pojedynczy kawałek mozaiki, której pełny, być może przerażający obraz będzie się powoli i mozolnie rysował w kolejnych rozdziałach. Ten tom był próbą oswojenia mroku, ale jak sami

zauważyliście, mrok nie daje się tak łatwo okiełznać.

Znajdujemy się teraz w specyficznej przestrzeni. W próżni między tym, co już znane i oswojone, a tym, co nieuchronnie ma nadejść. To miejsce zawieszenia, moment, w którym możecie na chwilę wstrzymać oddech i otrzeć kurz z ubrań, ale musicie przy tym zachować najwyższą czujność. Fundamenty zostały położone, ale gmach tej opowieści wciąż drży w posadach. Czy dym, który widzieliśmy na horyzoncie, to zwiastun ratunku, czy zapowiedź pożaru?

Dziękuję, że towarzyszyliście bohaterom w ich pierwszych, niepewnych krokach. Pamiętajcie, że cisza, która zapada po przewróceniu ostatniej strony, nie jest końcem, lecz jedynie pauzą przed uderzeniem. W drugim tomie cienie wydłużą się jeszcze bardziej, a granica między sojusznikiem a wrogiem stanie się niebezpiecznie cienka. Przygotujcie się, bo świat, który poznaliście, wkrótce wystawi Howarda na ostateczną próbę. Niektóre drzwi, raz otwarte, nigdy nie dają się zamknąć.

Prawdziwa twarz tego świata dopiero zaczyna wylaniać się z mgły.
Prawdziwa gra z losem dopiero się zaczyna.

Echo drugiego tomu...

Słyszę kroki.

Niespieszne, ale wyraźne.

Miękkie, ciche, ale każde zetknięcie obcasa z podłogą ma wagę. Każda nuta uderza osobno z intencją. Nie podnoszę od razu wzroku, ale czuję jej istnienie. To nie dźwięk, nie zapach. To obecność, która przesącza się do pomieszczenia jak dym pod drzwiami. Wiem, że muszę ją zobaczyć. Nie po to, by się upewnić. Po to, by zrozumieć. To jak nieuchronność.

Kobieta. Pojawia się w drzwiach. Nienagle, nie ostentacyjnie, jakby nie chciała zwrócić na siebie zbyt dużej uwagi, a jednocześnie sprawia, że cała przestrzeń nagle ożywa, zamieniając się w scenę, na której ona jest jedynym aktorem. Nie potrzeba muzyki. Nie potrzeba słów jak królowa, która wchodzi do gry w kluczowym momencie. Zmienia układ sił na planszy. Nie musi wykonywać żadnych ruchów, sama jej egzystencja je wywołuje.

Nie wyróżnia się strojem. Brak krzykliwości, żadnej ciężkiej biżuterii. Czerwień. Prosta. Surowa. Włosy gładko upięte na karku. Sprawia wrażenie kogoś, kto panuje nad każdą sekundą swojego istnienia. Jest jak cień, który zdaje się poruszać w rytmie swoich myśli, a każdy jej ruch jest dokładnie wyważony. Kontroluje nie tylko przestrzeń wokół siebie, ale i czas, który się wokół niej zatrzymuje.

– Wanda. – Czarna maska skłania lekko głowę. To nie brzmi jak imię. Bardziej przypomina tytuł, a kiedy je wypowiadasz, jedyną słuszną reakcją jest spuszczenie wzroku.



